



*Kristin Hannah*



*Zdarzyło się nad  
jeziorem Mystic*

Tytuł oryginału ON MYSTIC LAKE

*Poświęcam Barbarze Kurek.  
Mama nie mogłaby mi wybrać lepszej matki chrzestnej...  
Dedykuję ją też mężczyznom mojego życia:  
Benjaminowi i Tuckerowi...  
A także pamięci mojej matki, Sharon Goodno John.  
Mam nadzieję, że w niebie są księgarnie, Mamo.*

## *Podziękowania*

Niektóre książki są bitwami, inne wojnami. Moim generałom - Ann Patty, Jane Berkey i Lindzie Gray dziękuję za to, że zawsze wymagały ode mnie, bym dawała z siebie wszystko; Stephanie Tade winna jestem wdzięczność, gdyż wierzyła ona w tę książkę od samego początku; Elisie Wares i wspaniałemu zespołowi Ballantine Books składam podziękowania za nieustające wsparcie i zachętę przez cały czas pracy nad książką, a moim towarzyszkom - Megan Chance, Jill Marie Landis, Jill Barnett, Penelope Williamson i Susan Wiggs dziękuję za to, że zawsze stały przy mnie, słuchały, śmiały się razem ze mną, oraz za wszelkie inne wspólne przeżycia, a memu aniołowi stróżowi, oberagentce, mentorce i przyjaciółce, Andrei Cirillo, dzięki za wszystko.

# *CZĘŚĆ I*

*Naprawdę odkrywamy siebie nie wtedy, gdy szukamy nowych krajobrazów, lecz gdy spoglądamy na nie nowymi oczyma.*

*Marcel Proust*

## *1*

Deszcz padał ze zmęczonego nieba niczym drobne, srebrzyste krople łez. Gdzieś za wałem chmur wynurzało się słońce, zbyt słabe, by rzucić cień na ziemię.

Był marzec, przygnębiający miesiąc, spokojny, cichy i szary, lecz podmuchy wiatru stawały się coraz cieplejsze, przynosząc obietnicę wiosny. Drzewa, które jeszcze w zeszłym tygodniu były nagie i kruche, urosły, zda się, o piętnaście centymetrów w jedną, bezksiężycową noc, a czasami, gdy choć promyczek słońca padł na konar, ukazywał się czerwony pączek nowego życia, budzącego się na czubku trzeszczącej brązowej kory. Lada dzień wzgórza za Malibu pokryją się kwieciami i przez kilka krótkich tygodni będzie to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Podobnie jak rośliny i zwierzęta, tak i dzieci południowej Kalifornii wyczuwały nadejście słońca. Zaczynały marzyć o lodach, sorbetach i zeszłorocznych obciętych dzinsach. Nawet zaprzysięgłe mieszcuchy, gnieźdzące się w wieżowcach ze szkła i betonu w miejscach o tak pretensjonalnych nazwach jak Miasto Stulecia, bezwiednie skręcały do działów ogrodniczych wielkich centrów handlowych. W metalowych wózkach obok wysuszonych na słońcu pomidorów i butelek z wodą Evian zaczęły się pojawiać doniczki z małymi rozsadami geranium.

Przez dziewiętnaście lat Annie Colwater wyglądała wiosny niczym młoda dziewczyna, z zapartym tchem oczekująca swego pierwszego w życiu tańca. Zamawiała sadzonki z odległych krajów i kupowała ręcznie malowane ceramiczne doniczki, by posadzić w nich ulubione rośliny.

Teraz jednak czuła tylko strach i mglistą, nieokreśloną panikę. Po dzisiejszym dniu nic w jej dobrze zorganizowanym życiu nie będzie już takie samo, a ona nie nar leżała do kobiet, które lubią nagłe, burzliwe zmiany. Wolą, by wszystko toczyło się gładko, swoim torem. Najbezpieczniej czuła się, wiodąc zwyczajne życie, w otoczeniu rodziny.

Żona.

Matka.

Te role ją określały, nadawały sens jej życiu. Zawsze taka była, i teraz, powoli zbliżając się do czterdziestki, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek marzyła o czymś innym. Wyszła za mąż tuż po studiach i w tym samym roku zaszła w ciążę. Mąż i córka byli jej kotwicami, często myślała, że bez Blake'a i Natalie zniosłoby ją na morze, niczym okręt bez kapitana, dryfujący na łasce fal.

Ale co robi matka, gdy jej jedynaczka opuści dom?

Poruszyła się niespokojnie na przednim fotelu cadillaca. Strój, który tak starannie dobierała dziś rano: granatowe wełniane spodnie i blad różowa jedwabna bluzka, nagle wydał się jej nieodpowiedni. Zazwyczaj ukrywała się za modnymi rzeczami i udawała kobietę, którą nie była. Ubrania wielkich krawców i staranny makijaż sprawiały, że wyglądała jak energiczna żona dobrze prosperującego męża, za którą miała uchodzić. Ale nie dzisiaj. Dziś brązowe włosy do pasa, które upięła w kok -tak jak lubił jej mąż, tak jak się zawsze czesała - przyprawiły ją o ból głowy.

Postukała wymanikiowanymi paznokciami w poręcz i zerknęła na Blake'a, który siedział rozparty wygodnie w fotelu kierowcy. Sprawiał wrażenie człowieka absolutnie spokojnego, jakby to było normalne popołudnie, nie zaś dzień, w którym ich siedemnastoletnia córka wyjeżdża do Londynu.

Wiedziała, że taki lęk to dziecinada, ale ta świadomość wcale nie umniejszała jej bólu. Gdy Natalie po raz pierwszy oznajmiła im, że chce wcześniej skończyć szkołę i ostatni semestr spędzić w Londynie, Annie poczuła się dumna z niezależności córki. Uczniowie ostatnich klas ekskluzywnych szkół średnich często tak robili i właśnie podobnie wyszukanej przygody Annie pragnęła dla swej córki.

Sama Annie nigdy nie zdobyłaby się na tak śmiały krok - na pewno nie w wieku siedemnastu lat, ani nawet teraz, gdy liczyła ich trzydzieści dziewięć. Podróż zawsze ją przerażała. A choć uwielbiała oglądać nieznanne miejsca i poznawać nowych ludzi, zawsze wyjeżdżając z domu, podświadomie czuła niepokój.

Wiedziała, że ta słabość jest pozostałością młodości, normalnym ubocznym skutkiem tragedii, która naznaczyła piętnem cierpienia jej dzieciństwo, ale zrozumienie przyczyn obawy wcale jej nie umniejszało. Podczas każdych wakacji rodzinnych Annie dręczyły nocne koszmary - mroczne, upiorne wizje, w których znajdowała się sama w obcym kraju, bez pieniędzy i celu. Zagubiona, wędrowała po nieznanych ulicach, szukając rodziny, która stanowiła jej oparcie, aż w końcu budził ją własny szloch. Wtedy wtulała się w śpiącego męża i nareszcie odzyskiwała spokój.

Była dumna z niezależności i odwagi córki, która zdecydowała się na samotną podróż do Anglii, ale nie przypuszczała, że tak ciężko będzie jej żegnać Natalie. Były z córką najlepszymi przyjaciółkami, odkąd wyrosła z

gniewów i dąsów nastolatki. Pewnie, że przeżywały i ciężkie chwile - kłótnie, zranione uczucia, rzucały sobie w twarz słowa, których nie należało mówić, ale to tylko zacieśniało ich wzajemną więź. Stanowiły jedność, były „dziewczętami” w domu, w którym jedyny mężczyzna pracował osiemdziesiąt godzin tygodniowo i czasami przez całe dni zapominał o uśmiechu.

Wyrzała przez okno. Jak przez mgłę widziała inkrustowane betonem kaniony centrum Los Angeles, grafitti i neony, które zostawiały świetliste smugi w siąpiącej mżawce. Podjeżdżali coraz bliżej lotniska.

Wyciągnęła rękę do męża, dotknęła bladoniebieskiego kaszmirowego rękawa jego garnituru.

- Polećmy do Londynu z Naną i pomóżmy się jej zadomowić w rodzinie, u której będzie mieszkać. Wiem...

- Mamo - odezwała się ostro Natalie z tylnego siedzenia. - Pomyśl rozsądnie. Jeśli się tam pokażesz, będziesz się czuła strasznie upokorzona.

Annie cofnęła rękę i wyrwała mechaty kłębuszek ze swych kosztownych wełnianych spodni.

- Tak mi tylko przyszło do głowy - rzekła cicho. - Twój tata od dawna usiłował wysłać mnie do Anglii. Pomyślałam... że może teraz moglibyśmy się tam wybrać.

Blake rzucił jej szybkie spojrzenie, które nie całkiem zdołała odczytać.

- Nie wspominałem o Anglii od lat.

- Potem mruknął coś o tłoku na jezdniach i nacisnął klakson.

- Chyba nie będzie ci brakowało kalifornijskiego ruchu - odezwała się Annie w niezręcznej ciszy, która nagle zapadła.

Z tylnego siedzenia rozległ się śmiech Natalie.

- Absolutnie. Sally Pritchard - pamiętasz ją, mamó, pojechała do Londynu w zeszłym roku - w każdym razie ona mówi, że tam nie ma takich nerwów. Nie jak w Kalifornii, gdzie wszędzie możesz dojechać tylko samochodem. W Londynie po prostu wsiadasz do metra. - Wetknęła blond główkę w przestrzeń między dwoma przednimi siedzeniami. - Jeździłeś metrem, tato, kiedy w zeszłym roku byłeś w Londynie?

Blake znowu nacisnął klakson. Westchnął ze zdenerwowania, włączył kierunkowskaz na znak, że skręca i wjechał na pas szybkiego ruchu.

- He? O co chodzi?

- O nic - westchnęła Natalie.

Annie ścisnęła Blake'a za ramię, przypominając mu delikatnie, że przeżywają wyjątkowe chwile - ostatnie, które spędzają z córką przed wielomiesięcznym rozstaniem - i, jak zwykle, nie zwraca na nie uwagi. Zaczęła coś mówić, by zapłacić ciszę, cokolwiek, byleby nie myśleć, jak bardzo dom będzie pusty bez Natalie, lecz wtedy ujrzała znak ZWOLNIJ i nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Blake zatrzymał się przy szlabanie dla wyjeżdżających, po czym wjechał w mroczną ciszę podziemnego parkingu i zgasił silnik. Siedzieli tam dłuższą chwilę. Annie spodziewała się, że Blake udzieli córce jakiejś ojcowskiej, życiowej rady, czegoś, co by utrwaliło ten moment w pamięci. Zawsze umiał znaleźć właściwe słowa, ale teraz otworzył tylko drzwi.

Annie jak zwykle poszła jego śladem. Wysiadła z samochodu i stanęła przy swoich drzwiach, obracając okulary słoneczne w zimnych, och, jak strasznie zimnych palcach. Spojrzała na bagaż Natalie - jedną jedyną torbę z szarej, wełnianej białej i plecak z zielonego brezentu od Eddiego Bauera.

Martwiła się, że to za mało, że nieporęcznie będzie córce nosić ten ekwipunek... martwiła się o wszystko. Natalie wydała się jej tak strasznie



młodziutka, jej wysokie, chude ciało tonęło w workowatej dżinsowej sukience, sięgającej niemal czarnych gланów. Dwie metalowe klamry ściągały jej długie, srebrzystoblond włosy z bladej twarzy. Trzy srebrne kolczyki w lewym uchu układały się w kształt krętej drabinki.

Annie chciała nawiązać rozmowę - rzucić parę rad dotyczących pieniędzy, paszportów, unikania samotnych wędrówek - ale zupełnie jej to nie wychodziło.

Blake kroczył z przodu, niosąc dwie samotne sztuki bagażu, a Natalie i Annie w milczeniu maszerowały za nim. Annie pragnęła, by zwolnił i szedł razem z nimi, ale nie odezwała się - by przypadkiem Natalie nie zauważyła, że tatuś się spieszy. Przy stanowisku kontroli biletów wręczył wszystko Natalie, po czym we trójkę przeszli na lotnisko międzynarodowe.

Przy wejściu Annie przyciskała do siebie granatową torebkę jak tarczę. Podeszła do dużego, brudnego okna. Przez ułamek sekundy widziała w szybie swe odbicie -chudej, nienagannie ubranej pani domu, która stała samiutka.

- Czemu nic nie mówisz, mamó? Nie mogę tego znieść. - W głosie Natalie kryła się małeńka nutka niepokoju, którą mogło wychwycić tylko ucho matki.

Annie zmusiła się do śmiechu.

- Zazwyczaj błagamie mnie, żebyś siedziała cicho. Teraz też mogłabym powiedzieć tak wiele. Ot, choćby jak wczoraj oglądałam twoje zdjęcia z dzieciństwa i pomyślałam...

- Ja też cię kocham, mamó - wyszeptała Natalie.

Annie chwyciła rękę córki i przytrzymała ją. Nie odważyła się odwrócić do córki z obawy, że dziewczyna z jej twarzy wyczyta, jakim

bólem napawa ją rozstanie. Zdecydowanie nie chciała, by jej dziecko zabrało ze sobą taki obraz matki, niczym za ciężki bagaż do samolotu.

Podszedł do nich Blake.

- Szkoda, że nie dałaś sobie kupić biletu pierwszej klasy. To taki długi lot, a jedzenie w klasie turystycznej jest okropne. Pewnie sama będziesz musiała doprawić sobie sałatkę.

Natalie się roześmiała.

- Akurat dużo wiesz o kuchni w klasie turystycznej, tato.

Blake'a to rozbawiło.

- Z pewnością pierwsza klasa jest znacznie wygodniejsza.

- Nie chodzi o wygodę - odparła Natalie - ale o przygodę.

- Ach, przygoda - rzekła Annie, która nareszcie odzyskała głos. Zastanawiała się, co czuje człowiek mający takie wielkie marzenia, i jeszcze raz pozazdrościła córce jej niezależności. Natalie zawsze dobrze wiedziała, kim jest i czego pragnie.

- Pasażerów odlatujących do Londynu lotem trzysta pięćdziesiąt siedem prosimy o wchodzenie na pokład.

- Będę za wami tęsknić - rzekła cicho Natalie. Spoglądała na samolot, nerwowo gryząc kciuk.

Annie pogładziła jej miękki policzek, usiłując zapamiętać najdrobniejszy szczegół tej chwili, malutką myszkę obok małżowiny lewego ucha córki, dokładny odcień jej prostych, jasnych włosów i niebieskich oczu, cynamonowe piegi na nosie.

Annie pragnęła wszczepić sobie to wszystko w pamięć, by w ciągu następnych trzech miesięcy mogła wyciągać ten obraz jak drogą sercu fotografię.

- Pamiętaj, że będziemy dzwonić w każdy poniedziałek o siódmej twojego czasu. Będiesz się świetnie bawić, Nano.

Blake rozwarł ramiona.

- Uściskaj starego ojca.

Natalie wtuliła się w niego.

Zbyt szybko rozbrzmiał głos przez głośnik, prosząc o wejście na pokład pasażerów z klasy Natalie.

Annie jeszcze raz zamknęła córkę w długim, rozpaczliwym uścisku - po czym z wolna się odsunęła. Mruganiem usiłując powstrzymać łzy, patrzyła, jak Natalie daje bilet kobiecie w drzwiach i machnąwszy pospiesznie po raz ostatni, znika w rękawie.

- Nic jej nie będzie, Annie. Wpatrywała się w puste drzwi.

- Wiem.

Jedna łza, tylko tyle to zajęło. Jedna łza spłynęła po twarzy Annie i nie widziała już córki.

Annie stała jeszcze długo po odlocie samolotu, biała smuga gazów spalinowych już dawno zdążyła wtopić się w ponure niebo. Czowała Blake'a obok siebie. Chciała, by ujął jej rękę, ucisnął za ramię albo wziął w objęcia - co niechybnie zrobiłby pięć lat temu.

Obróciła się. W oczach męża widziała swe odbicie i zamglone zwierciadło ich wspólnego życia. Po raz pierwszy pocałowała go jako osiemnastolatka - była niemal w wieku Natalie - i od tamtej pory nie miała już innego mężczyzny.

Jego przystojna twarz była poważna jak rzadko.

- Och, Annie... - powiedział skrzekliwym, zduszonym szeptem. - Co ty teraz poczniesz?

Omali nie osunęła się na podłogę, akurat tu, na tym sterylnym, zatłoczonym lotnisku.

- Zabierz mnie do domu, Blake - wyszeptała łamiącym się głosem. Chciała mieć wokół siebie znajome rzeczy, które przypominałyby jej, kim jest.

- Oczywiście. - Chwycił ją za rękę i poprowadził przez halę pasażerską do garażu. Bez słowa wsiedli do cadillaca i zatrzasnęli drzwi. Klimatyzacja włączyła się natychmiast.

Gdy samochód mknął po kolejnych autostradach, Annie poczuła się wyczerpana. Oparła się ciężko o tył fotela i wyglądała na miasto, które nigdy nie stało się jej miastem, choć przenieśli się tutaj tuż po studiach. Był to miejski labirynt, rozchodzący się na wszystkie strony, gdzie wspaniałe, kunsztownie urządzone domy majątnych wdów codziennie szły do rozbiórki, bo chętni na te miejsca dobrze wiedzieli, gdzie złożyć wnioski; tutaj także profani nie mający pojęcia o sztuce, pozbawieni zmysłu estetycznego czy poczucia ciągłości, bezustannie rozpalali paleniska, w których tony marmurowych rzeźb i szkła przetapiały się na stosy dymiących, buchających ogniem zgłiszcz. W Mieście Aniołów tak niewielu mieszkańców zauważało ubytek jeszcze jednej rezydencji, stanowiącej chlubę tej okolicy. Zwalony budynek nie zdążył ostygnąć, a już właściciele firm budowlanych obiegli ratusz, tłocząc się jeden na drugim jak czarne mrówki, po zezwolenie na budowę i ulgi. W ciągu paru miesięcy kolejny połyskliwy, pokryty szkłem budynek piał się coraz wyżej i wyżej w zadymione, brązowe niebo, tak wysoko, że Annie często zastanawiała się, czy ci inwestorzy sądzą, że dzięki swym milionom dotrą do rajów.

Nagle poczuła niespodziewane pragnienie, by wrócić do domu. Nie do stłoczonego, dostatniego piękna Mali-bu, lecz do wilgotnej zieleni

krajobrazu jej młodości, owych dzikich terenów zachodniej części stanu Waszyngton, gdzie rosły grzyby wielkości talerzy, gdzie tłuste, lśniące szopy wychodziły podczas pełni księżyca, by pić wodę z kałuż na środku drogi. Do Mystic, w którym jedynymi drapaczami chmur były wysokie świerki, rosnące tam od czasów amerykańskiej rewolucji. Nie była w miasteczku od dziesięciu lat. Może teraz wreszcie uda się jej namówić Blake'a na tę wycieczkę, skoro nie byli już uwiązani do południowej Kalifornii rozkładem lekcji Natalie.

- A może byśmy tak pojechali do Mystic? - zapytała męża.

Nie patrzył na nią, nie odpowiedział na jej pytanie, przez co poczuła się mała i głupia. Pociągnęła za spory diament, tkwiący jej w uchu, i wyrzuciła na zewnątrz.

- Myślałam, czyby nie zapisać się do klubu. Boże drogi, tyle będę miała teraz czasu. Zawsze mi powtarzałeś, że za mało wychodzę z domu. Może zacznę ćwiczyć aerobik, co ty na to?

- Nie mówiłem o tym od lat.

- Och... No dobrze, zawsze zostaje tenis. Uwielbiałam tenis. Pamiętasz, jak graliśmy debła?

Zjechał z autostrady i zwolnił przy wjeździe na krętą, zatłoczoną drogę szybkiego ruchu nad brzegiem Pacyfiku. Kiedy wydostali się na ich drogę, przegrodzoną bramą, pomachał do strażnika i wjechał do Colony, położonego nad samym morzem klejnotu Malibu. Krople deszczu zrosiły przednią szybę i na ułamek sekundy zamazały świat, nim wycieraczki starły wodę.

Pod domem zwolnił, jadąc centymetr po centymetrze podjazdem wyłożonym tłuczniem. Zatrzymał się przed garażem.

Annie zerknęła na niego. Dziwne, że nie wjechał do garażu. Dziwne, że nie nacisnął nawet pilota. A jeszcze dziwniejsze, że nie wyłączył silnika. Nie znosił wychodzenia z cadillaca w czasie deszczu...

Nie jest sobą.

Ta świadomość uśmierzyła nieco targający nią niepokój, przypomniała, że nie jest tak samotna, jak jej się wydaje. Energiczny, niezwykle sprawny mąż Annie był równie kruchy jak ona w tej chwili.

Przebrną przez to razem, ona i Blake. Będą się wspierać dziś i przez wszystkie dni i noce w pustym gnieździe. Byli rodziną, zanim urodziła się Natalie, i znowu nią będą we dwoje. Może nawet powrócą wesole chwile, jak kiedyś, gdy byli przyjaciółmi, partnerami i kochankami... jak w te dni, gdy wychodzili potańczyć i wracali dopiero, gdy słońce wylaniało się zza horyzontu.

Odwróciła się do niego i odgarnęła lok włosów, spadający mu na oczy.

- Kocham cię. Razem jakoś sobie z tym poradzimy. Nie odpowiedział.

Właściwie nawet się tego nie spodziewała, ale mimo wszystko niezręczna cisza ją zaboląła. Zapomniała o rozczarowaniu i otworzyła drzwi samochodu. Drobinki deszczu prześlizgnęły się przez otwór, pokrywając mokrymi plamkami jej rękaw.

- Będziemy bardzo samotni tej wiosny. Może pogadam z Lupitą i urządzimy barbecue. Od lat nie wydaliśmy porządnego przyjęcia na plaży. To nam dobrze zrobi. Dziwnie będzie chodzić po domu bez...

- Annie. - Wypowiedział jej imię tak ostro, że w połowie zdania ugryzła się w język.

Gdy się do niej odwrócił, ujrzała, że ma łzy w oczach. Pochyliła się i dotknęła jego policzka w przelotnej, czulej pieszczocie.

- Ja też będę za nią tęsknić.

Odwrócił wzrok i westchnął ciężko.

- Nie rozumiesz. Chcę rozwodu.

RS

## 2

- Miałem z tym zaczekać... przynajmniej do przyszłego tygodnia. Ale na myśl, że wrócimy dziś do domu... -Blake potrząsnął głową i reszta zdania zawisała w powietrzu.

Bardzo wolno Annie zamknęła drzwi. Deszcz uderzał w przednią szybę i spływał strużkami po oknach, zasłaniając zewnętrzny świat.

Musiała się przesygnąć. Marszcząc z niezadowoleniem brwi, wyciągnęła do niego rękę.

- O czym ty mówisz... ?

Przycisnął się do okna, jakby jej dotyk - dotyk, który znał od tak dawna - był mu wstrętny.

Nagle stało się to rzeczywiste, przez ten gest, na który nigdy by sobie nie pozwolił. Jej mąż prosił o rozwód. Gdy cofnęła rękę, zauważyła, że drży.

- Powinienem być zrobić to już dawno, Annie. Nie jestem szczęśliwy. Od lat nie jestem z tobą szczęśliwy.

Nigdy nie doznała takiego wstrząsu. Przenikał ją całą, rozchodząc się po ciele paraliżującymi falami. Głos ugrzązł jej gdzieś w głębi i nie mogła z siebie wydobyć nawet urywanych dźwięków.

- Sam nie mogę uwierzyć w to, co mówię - powiedział cicho, a ona usłyszała jego chrapliwy, zdławiony oddech. - Widuję się z kimś innym... z inną kobietą.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Miał romans. Słowo to zapadało w nią, raniąc aż do kości. Teraz mnóstwo drobnych szczegółów nagle zaczęło pasować: nie pojawiał się na kolacji, podróżował do egzotycznych miejscowości, zaczął nosić nowe jedwabne bokserki, po tyłu



latach zmienił wodę kolońską z Polo na Calvina Kleina, no i tak rzadko się kochali...

Jakże mogła być tak ślepa? Musiała wiedzieć. Gdzieś w głębi duszy, w jakimś prymitywnym jądrze kobiecości, musiała wiedzieć, co się święci, ale wolała nie zwracać na to uwagi.

Odwróciła się doń, tak bardzo pragnąc go dotknąć, że aż sprawiało jej to fizyczny ból. Przez pół życia dotykała męża, gdy tylko nasza ją taka chętka, a teraz odebrał jej to prawo.

- Damy sobie z tym radę... - mówiła słabym, jakby nieswoim głosem. - W małżeństwach ciągle ktoś romansuje na boku... daj mi trochę czasu, żebym ci przebaczyła, nauczyła się znowu ci wierzyć, ale...

- Nie chcę twojego przebaczenia.

To się nie mogło zdarzyć. Nie jej. Nie im. Słyszała słowa i czuła ból, ale cały czas miała oszałamiające poczucie nierzeczywistości tej rozmowy.

- Przecież tyle osiągnęliśmy. Byliśmy razem wiele lat. Mamy Natalie. Poradzimy sobie z tym, może spróbujemy udać się do poradni rodzinnej. Wiem, że mamy kłopoty, ale wszystko się ułoży.

- Nie chcę próbować, Annie. Chcę się stąd wynieść.

- Ale ja nie chcę. - Jej głos przeszedł w cienkie, błagalne skomlenie. - Jesteśmy rodziną. Nie możesz odrzucić, ot tak, dwudziestu lat... - Nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Przeraziła ją ta nagła cisza, którą znalazła w swojej duszy; zlekła się, że istnieją słowa, które mogą uratować jej małżeństwo, a ona nie potrafi ich przywołać. - Proszę cię, proszę, nie rób tego...

Nie odzywał się przez długą chwilę - tak długą, że znalazła pasemko nadziei i wplotła je w solidny materiał. „Zmieni zdanie. Uświadomi sobie,

że jesteśmy rodziną i powie, że to tylko kryzys wieku średniego. Na pewno... "

- Kocham ją.

Żołądek Annie zaczął się powoli i z udręką rozpadać.

Kocha ją? Jak może kochać kogokolwiek innego? Miłość wymaga czasu i trudu. By stworzyć coś rzeczywistego, potrzeba miliona maleńkich chwil, nałożonych jedna na drugą. Ta deklaracja miłości i wszystko, z czym się wiązała, pomniejszała Annie. Poczła się drobnutką, znikającą osobką, odległą o milion kilometrów od człowieka, którego zawsze kochała.

- Od jak dawna?

- Prawie od roku.

Poczła pierwsze, gorące łzy. A więc od roku wszystko między nimi było kłamstwem. Wszystko.

- Kim ona jest?

- To Suzannah James. Nowa, młodsza partnerka w firmie.

Suzannah James, jedna z kilkunastu gości na urodzinowym przyjęciu Blake'a w zeszły weekend. Chuda młoda kobieta w turkusowej sukience, która piła każde słowo z ust Blake'a. Tańczył z nią przy melodii *Na tym pocałunku oprzyjmy marzenia*.

Łzy kłuły oczy Annie, zamazując wszelkie kontury.

- Ale po przyjęciu kochaliśmy się...

Czy w ciemności widział twarz Suzannah? Dlatego zgasił światła w sypialni, nim dotknął żony? Wymknął się jej cichy, skomlący jęk. Nie była w stanie dusić w sobie tego wszystkiego.

- Blake, proszę cię...

Miał bezradną minę, sam nieco zagubiony, a gdy wydawał się tak bezbronny, znowu był Blakiem, jej mężem. Nie tym lodowatym człowiekiem, który nie chciał napotkać jej spojrzenia.

- Kocham ją, Annie. Nie zmuszaj mnie, bym znowu to powtarzał.

Gorzkie pozostałości jego wyznania skaziły powietrze, nie miała czym oddychać. „Kocham ją, Annie”.

Gwałtownie otworzyła drzwi samochodu i na oślep, potykając się, podeszła ceglany podjazdem do domu. Deszcz uderzał ją w twarz, mieszając się ze łzami. Przy drzwiach wyciągnęła klucze z torebki, lecz ręka tak jej się trzęsła, że za pierwszym razem nie mogła trafić do dziurki. Potem klucz wsunął się w otwór i głośno przekręcił.

Wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

\* \* \*

Annie wychyliła drugą szklankę wina i naląła sobie trzecią. Zazwyczaj po dwóch szklankach chardonnay szumiało jej i kręciło się w głowie, usiłowała też przypomnieć sobie piosenki z młodości, lecz tym razem trunk nie pomógł.

Chodziła po domu jak we mgle, usiłując uzmysłwić sobie, co złego zrobiła, dlaczego jej się nie powiodło.

Gdyby to wiedziała, może zdołałaby wszystko naprawić. Przez ostatnich dwadzieścia lat zawsze na pierwszym miejscu stawiała potrzeby rodziny, a jednak poniosła porażkę, przez co została sama, tęskniąc za córką, która wyjechała, i mężem, zakochanym w innej kobiecie.

Gdzieś po drodze zapomniała to, o czym powinna była pamiętać. Tej lekcji nauczyła się wcześniej - i wydawało się jej, że umiała ją dobrze. Ludzie odchodzą, a jeśli kochasz zbyt mocno, zbyt gwałtownie, ich szybkie i nagłe zniknięcie może zmrozić człowieka do głębi duszy.

Weszła do łóżka i zagrzebała się pod kołdrą, lecz gdy zdała sobie sprawę, że leży po „swojej” stronie, poczuła się, jakby dostała policzek. Wino podeszło jej do gardła, miało smak tak kwaśny, że omal nie wymiotowała. Wpatrzyła się w sufit, mruganiem starając się odpędzić łyzy. Czowała, że z każdym urywanym oddechem staje się coraz mniejsza.

Co ma teraz robić? Zawsze myślała w kategoriach całej rodziny, nie wiedziała już nawet, czy ma jakieś wewnętrzne „ja”. Budzik na nocnym stoliku tykał nieprzerwanie... a ona łkała.

Zadzwonił telefon.

Annie obudziła się za pierwszym dzwonkiem, serce jej waliło. To on, dzwoni, by jej powiedzieć, że wszystko było pomyłką, że przeprasza i że zawsze ją kochał. Lecz gdy podniosła słuchawkę, usłyszała śmiech Natalie.

- Hej, mamó, wszystko poszło świetnie - zaczęła wesoło.

Głos córki sprawił, że Annie znowu poczuła ból w sercu. Usiadła na łóżku i przeczesała drżącą ręką splątane włosy.

- Jak się masz, kochanie? Nie mogę uwierzyć, że już tam jesteś. - Mówiła cienkim, urywanym głosem. Zaczerpnęła głęboko oddechu, usiłując się uspokoić. -Więc jak przeszedł ci lot?

Natalie wdała się w długi monolog, który trwał nieprzerwanie przez piętnaście minut. Annie słuchała o podróży samolotem, lotnisku, dziwnym londyńskim metrze oraz że domy są połączone ze sobą - jak w San Francisco, wiesz, mamó...

- Mamó?

Annie uświadomiła sobie ze strachem, że zapadła w milczenie. Słuchała Natalie - naprawdę uważnie -lecz jakiś drobny, pozbawiony znaczenia zwrot w rozmowie przywiódł jej na myśl Blake'a, samochód, który nie stoi w garażu, oraz jego samego, którego nie ma w łóżku.

Boże, jak to się wszystko teraz potoczy?

- Mamo?

Annie z całej siły zacisnęła powieki w nikłej próbie ucieczki. W jej głowie bezustannie rozbrzmiewał jednostajny, świszczący ryk.

- Jestem, Natalie. Przepraszam. Opowiadałaś mi o rodzinie, u której mieszkasz.

- Nic ci nie jest, mamo?

Łzy spływały po policzkach Annie. Nawet nie próbowała ich wycierać.

- Ze mną wszystko w porządku. A co u ciebie? Milczenie zatrzęszczało w słuchawce.

- Tęsknię za wami.

Annie usłyszała samotność w głosie córki i musiała wszystkimi siłami zapanować nad sobą, by nie wyszeptać do telefonu: „Wróć do domu, Nano. Razem będziemy samotne”.

- Uwierz mi, Nano, że szybko nawiążesz nowe przyjaźnie. Zanim się obejrzyś, będziesz się tak dobrze bawić, że nie starczy ci czasu, by siedzieć w domu i czekać na telefon od starej matki. Piętnasty czerwca nadejdzie o wiele za szybko.

- Wydajesz mi się trochę niespokojna. Dasz sobie radę beze mnie?

Annie roześmiała się. Był to nerwowy, niespokojny dźwięk.

- Oczywiście, że tak. I nie wąż się o mnie martwić.

- Niech będzie. - Powiedziała to tak cicho, że Annie musiała mocno nadstawić ucha, by usłyszeć słowa córki. -Może porozmawiam z tatą, zanim się rozplączę.

Annie się wzdrygnęła.

- Nie ma go.

- Ach tak.

- Ale cię kocha. Prosił, żebym ci to przekazała.
- No, myślę. Więc zadzwonisz w poniedziałek?
- Jak w zegarku.
- Kocham cię, mamo.

Annie znowu poczuła potok łez w gardle, skurczonym tak, że ledwo mogła mówić. Powściągnęła gwałtowne pragnienie, by przestrzec Natalie przed światem, przed związkami, które bez ostrzeżenia rozpadają się w deszczowy dzień.

- Uważaj na siebie, Natalie. Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Połączenie zostało przerwane.

Annie odłożyła słuchawkę, wypełzła z łóżka i po omacku, potykając się, weszła do łazienki. Światła rozbłysły niczym blask na filmach Olivera Stone'a. Z przerażeniem wpatrywała się w swe odbicie w lustrze. Nadal nosiła ubranie, które miała na sobie na lotnisku, tak pogniecione, że go nie rozpoznawała. Włosy przylgnęły jej do głowy, jakby użyła kleju zamiast odżywki.

Uderzyła pięścią w wyłącznik. W błogosławionej ciemności rozebrała się do majtek i biustonosza, zostawiając na posadzce stosik zmiętej odzieży. Z łazienki wyszła jako zmęczona, stara i opuchnięta kobieta, która z powrotem wpełzła do łóżka.

Czuła go w materii pościeli. Ale to nie był on. Blake -jej Blake - zawsze używał polo. Co roku dawała mu tę wodę kolońską jako prezent gwiazdkowy, który przychodził już opakowany w zielone świąteczne pudełko do sklepu Nordstroma. Dawała mu polo co roku, a on używał go co dzień, póki Calvin Klein i Suzannah nie zmienili wszystkiego.

Najlepsza przyjaciółka Annie pojawiła się wcześniej następnego ranka, rześka i promienna. Walila pięściami we frontowe drzwi, krzycząc:

- Otwieraj zaraz, do cholery, bo wezwę straż pożarną! Annie narzuciła na siebie czarny jedwabny szlafrok

Blake'a i potykając się, ze znużeniem podeszła do drzwi. Miała potwornego kaca po wypitym poprzedniego wieczoru winie i samo otwarcie drzwi kosztowało ją niemało wysiłku. Kosztowne kamienne płytki podłogowe pod jej bosymi stopami były zimne jak lód.

W drzwiach stała Terri Spencer, ubrana w spłowiały drelichowy kombinezon. Gęsty, kędzierzawy nimb czarnych włosów przysłaniał szal w kolorze wściekłego szkarłatu. Z jej uszu zwisały wielkie złote koła. Wyglądała jak Cyganka, którą grała w popularnej reklamie. Terri skrzyżowała ramiona, uniosła jedno bujne biodro i obrzuciła wzrokiem Annie.

- Wyglądasz okropnie.

Annie westchnęła. Oczywiście, Terri już wiedziała.

Nieważne, za jak wolnego ducha pragnęła uchodzić jej przyjaciółka - obecny mąż Terri był zagorzałym prawnikiem, a prawnicy lubią plotkować.

- Słyszałaś już.

- Musiałam usłyszeć od Franka. Mogłaś sama zadzwonić.

Annie drżącą ręką przeczesła splątane włosy. Ona i Terri były przyjaciółkami od zawsze, jak siostry. Lecz mimo wszystkiego, co razem przeszły, choć wspólnie przeżywały dole i niedole, Annie nie wiedziała, jak zacząć. Zazwyczaj opiekowała się Terri, aktorką o niezwykle silnej osobowości, i razem z nią brnęła przez ciągłe rozwody i małżeństwa. Annie przywykła troszczyć się o wszystkich. Z wyjątkiem Annie.

- Miałam zadzwonić, ale to takie... trudne.

Terri objęła Annie pulchnym ramieniem i popchnęła ją na przeładowaną sofę w saloniku. Potem zaczęła chodzić od okna do okna, odciągając białe jedwabne zasłony. Wysokie na sześć metrów okna,

biegnące od ściany do ściany, stanowiły obramowanie morza i nieba, tak niebieskich, że aż kłuły w oczy i nie dawały Annie żadnej kryjówki.

Gdy Terri wreszcie przestała się miotać, usiadła na sofie obok Annie.

- No więc co się, kurde, stało? - spytała cicho. Annie żałowała, że nie może się uśmiechnąć - tego

Terri pragnęła, dlatego posłużyła się wulgarnym językiem - lecz Annie nie zdołała pójść jej na rękę. Jeśli powie to głośno, jej tragedia stanie się zbyt rzeczywista. Pochyliła się do przodu, kryjąc zapuchniętą twarz w dłoniach.

- O Boże...

Terri wzięła Annie w ramiona i trzymała ją mocno, kołysząc przyjaciółkę w przód i w tył, odgarniając brudne włosy z jej lepkich policzków. To dobrze, że ją podtrzymuje na duchu i pociesza, dobrze, że Annie nie jest tak samotna, jak jej się wydawało.

- Przeżyjemy to - odezwała się wreszcie Terri. - Choć wydaje ci się, że już gorzej być nie może, mimo wszystko przetrwasz, masz moje słowo. Blake i tak był dupkiem. Lepiej ci będzie bez niego.

Annie odsunęła się i spojrzała na przyjaciółkę przez zasłonę piekących łez.

- Nie chcę... być bez niego.

- Jasne, że nie. Chodzi mi tylko o to...

- Wiem, o co ci chodzi. Chodzi ci o to, że będzie mi coraz lżej. Akurat ci wierzę. Zmieniasz mężów częściej niż ja bieliznę.

Gęste, czarne brwi Terri uniosły się w łuk.

- Przyznaję jeden punkt gospodyni domu. Annie, posłuchaj, wiem, że jestem szorstka i pesymistycznie nastawiona, dlatego moje małżeństwa



padały, jedno za drugim, ale pamiętasz, jaka byłam? Pamiętasz mnie ze studiów?

Annie pamiętała, choć wcale tego nie chciała. Terri była małą, słodką Pollyanną, dlatego zostały przyjaciółkami. Terri pozostała niewinna aż do dnia, gdy jej pierwszy mąż, Rom, wrócił do domu z wieścią, że ma romans z córką ich księgowego. Terri została powiadomiona dwadzieścia cztery godziny naprzód, po czym, bach! -zlikwidowano jej rachunek, oszczędności tajemniczo „wyszły”, a praktyka medyczna, którą oboje mozolnie tworzyli, została sprzedana kumplowi za dolara.

Od tej pory Annie zawsze była z Terri, piła z nią wino w środku dnia, a nawet parę razy wspólnie popalały, co doprowadzało Blake'a do szału. „Dlaczego trzymasz się tej taniej nieudacznicy?” - wypytywał ją. „Masz mnóstwo ciekawszych przyjaciółek”. W takich razach Annie wyjątkowo sprzeciwiała się Blake'owi.

- Siedziałaś wtedy ze mną codziennie - rzekła cicho

Terri, ujmując Annie za rękę i lekko ją ściskając. - Przeprowadziłaś mnie przez to, a teraz ja zostanę, żeby ci pomóc. Kiedy tylko będziesz mnie potrzebować. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie miałam pojęcia, że to aż tak boli... Czuję się, jakbym... - Łzy upokorzenia znowu ją paliły. Chciała je powstrzymać, ale okazało się to niemożliwe.

- To tak, jakbyś miała wewnętrzny krwotok... czujesz, że już nigdy nie będziesz szczęśliwa? Znam to.

Annie przymknęła oczy. Nie mogła już znieść współczucia Terri. Nie chciała, by jej przyjaciółka wiedziała tak wiele, nie Terri, która potrafiła utrzymać małżeństwo najwyżej przez kilka lat i nie była dość obowiązkowa, by opiekować się psem czy kotem. Aż strach pomyśleć, że to... normalne.

Jak gdyby utrata dwudziestu lat w ogóle się nie liczyła, po prostu jeszcze jeden rozwód w kraju, w którym rocznie zrywa ze sobą milion par małżeńskich.

- Słuchaj, skarbie, przykro mi to wyciągać, ale nie mam wyjścia. Blake jest sprytnym adwokatem. Musisz się zabezpieczyć.

To miażdżąca rada, z gatunku tych, po których kobieta pragnie zwinąć się w kłębek w środku maleńkiej, pękniętej kuli. Annie próbowała się uśmiechnąć.

- Blake nie jest taki.

- Akurat. Zapytaj samą siebie, jak dobrze go znasz.

Annie nie była w stanie teraz stawić temu czoła. Dość, że cały zeszły rok przeżyła w kłamstwie. Nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad tym, że Blake mógłby stać się dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Wpa-trywała się w Terri z nadzieją, że przyjaciółka zrozumie.

- Chcesz, bym stała się kimś, kim nie jestem, Terri. Co, uważasz, że powinnam pójść do banku, podjąć wszystkie pieniądze, nasze pieniądze? To byłby... koniec wszystkiego. Przyznałabym, że chodzi nam o rzeczy...wyłącznie o rzeczy. Nie mogę tego zrobić Blake'owi. Nie mogę zrobić tego sobie. Nadal mam zaufanie do niego, choć wiem, że to naiwne, wręcz głupie, ale przez większą część mojego życia był moim przyjacielem.

- Ładny z niego przyjaciel.

Annie dotknęła pulchnej dłoni przyjaciółki.

- Kocham cię za to, że się o mnie martwisz, Terri. Naprawdę, ale chyba nie dojrzałam jeszcze do przyjmowania rad. Mam nadzieję... - Jej głos przeszedł w szept. Czuła się straszliwie naiwna, patrząc w smutne, znające życie oczy Terri. - Nadal chyba mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne.

Terri zmusiła się do promiennego uśmiechu.

- Może masz rację. Może przeżywa tylko kryzys wieku średniego i jakoś przez to przebrnie.

Przegadały następnych parę godzin. Raz po raz Annie wyciągała wspomnienie czy anegdotkę ze swego małżeństwa i rzucała nimi, jakby rozmowa o jej życiu, przywoływanie go mogły sprowadzić Blake'a z powrotem do domu.

Terri uśmiechała się i obejmowała ją, lecz nie udzielała już więcej praktycznych rad, za co Annie była jej wdzięczna. Gdzieś tak koło południa zamówiły w Granicie dużą pizzę z jagnięcą kielbasą, usiadły na tarasie i zjadły wszystko co do okruszka. Gdy wreszcie słońce zaszło za błękitnym Pacyfikiem, Annie wiedziała, że Terri niebawem będzie musiała już iść.

Annie odwróciła się do przyjaciółki i zadała wreszcie pytanie, które dręczyło ją przez większą część popołudnia.

- A jeśli on nie wróci, Terri? - zapytała tak cicho, że przez chwilę słowa zdały się przytłumione odległym szumem przyływu.

- Jeśli nie wróci? Annie odwróciła wzrok.

- Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Co zrobię? Dokąd pójdę?

- Wrócisz do domu - rzekła Terri. - Gdybym miała takiego fantastycznego ojca jak Hank, nie zastanawiałabym się ani chwili.

Dom. Po raz pierwszy uderzyło ją, że słowo to jest kruche jak chińska porcelana.

- Dom jest tam, gdzie Blake.

- Och, Annie - westchnęła Terri, ściskając ją za rękę. - Teraz już nie.

Dwa dni później zadzwonił.

Jego głos był najmiłszym dźwiękiem, jaki słyszała w życiu.

- Blake...

- Muszę się z tobą zobaczyć.

Przełknęła z trudem ślinę i poczuła nagłe ukłucie łez. „Dzięki ci, Boże. Wiedziałam, że wróci” - pomyślała, a głośno spytała:

- Teraz?

- Nie. Dzisiaj mam mnóstwo spraw na głowie. Kiedy tylko będę mógł się wyrwać.

Po raz pierwszy od wielu dni Annie odetchnęła swobodnie.

Gdy Blake wpatrywał się w śmigające w górę białe narożniki domu, nieoczekiwanie zdał sobie sprawę ze straty. Ten ich dom był tak piękny, tak oszałamiająco współczesny. Prawdziwa perła na ulicy, gdzie nawet budynek przeznaczony do rozbiórki kosztuje pięć milionów dolarów i nic nie jest zbyt kosztowne.

Annie wymyśliła, stworzyła i urządziła tę rezydencję. Widok - morze, piasek i niebo - przetransponowała na dom, który zdawał się wyrastać z górskiego zbocza. Wybrała każdą płytkę, każdy uchwyt, w całym domu przewijały się dziwaczne głupstewka, dobrane pod wpływem kaprysu - tu aniołek, ówdzie chimera, cienka jak mysi ogonek stara makrama na doniczkę, wisząca w rogu pokoju, w którym boazeria kosztowała dziesięć tysięcy dolarów za metr kwadratowy, rodzinna fotografia w ramce domowej roboty z muszelek. Na każdym skrawku odcisnęła piętno swej bujnej, nieco zwichrowanej osobowości.

Usiłował sobie przypomnieć, jak to było, kiedy ją kochał, ale już nie pamiętał.

Od dziesięciu lat sypiał z innymi kobietami. Uwodził je, szedł z nimi do łóżka, a potem o nich zapominał. Podróżował z tymi damami, spędzał z nimi noc, a przez ten czas Annie siedziała w domu, przygotowując potrawy według przepisów z magazynu „Smakosz”, dobierając farby i próbki oraz wożąc Natalie do szkoły i z powrotem do domu. Powinna była się domyślić,

że już jej nie kocha, ale była tak cholernie ufna. U ludzi widziała tylko najlepsze cechy, a gdy kochała, to ciałem i duszą, na zawsze.

Westchnął, gdyż poczuł nagłe zmęczenie. Dobiegając czterdziestki, zmienił spojrzenie na świat, nie chciał być już uwięziony w małżeństwie bez miłości.

Nim siwizna przeczesła ohydny paluchami jego czuprynę, a pod błękitnymi oczyma zarysowały się zmarszczki, wydało mu się, że posiadał wszystko - zrobił błyskotliwą karierę, miał piękną żonę, kochającą córkę i tyle swobody, ile dusza zapraśnie.

Podróżował ze swoimi kumplami ze studiów dwa razy do roku, jeździł na ryby na odległe wyspy o pięknych plażach, po których przechadzały się jeszcze piękniejsze kobiety, dwa razy w tygodniu grywał w koszykówkę, a w piątkowe noce przesiadywał w barach aż do rana. W przeciwieństwie do swych kolegów miał wyrozumiałą żonę, która zostawała w domu. Idealna żona i matka - wszystko, czego, jak mu się wydawało, pragnął.

Potem poznał Suzannah. To, co początkowo wyglądało na jeszcze jeden podbój seksualny, zmieniło się w coś zupełnie nieoczekiwanego - miłość.

Po raz pierwszy od lat czuł się młody i pełen życia. Kochali się wszędzie, o wszystkich porach dnia i nocy. Suzannah nie obchodziło, co pomyślą sąsiedzi, nie martwiła się też, że w przyległym pokoju śpi dziecko. Była szalona i nieprzewidywalna, a także niezwykle rozgarnięta - w przeciwieństwie do Annie, która uważała, że komitety rodzicielskie mają taki sam wpływ na losy świata jak EWG.

Wolnym krokiem podszedł do frontowego wejścia. Jeszcze zanim sięgnął do dzwonka, drzwi, ręcznie rzeźbione w różanym drzewie, uchyliły się.

Stała na progu, nerwowo zacisnąwszy ręce na biodrach. Kremowa jedwabna suknia przylegała do jej ciała i nie mógł nie zauważyć, że schudła w ciągu ostatnich paru dni - a Bóg świadkiem, że nie mogła sobie na to pozwolić.

Jej drobna twarzyczka w kształcie serca miała niepokojąco błądy odcień, a oczy, zazwyczaj promienne i zielone niczym koniczynka, były przygasłe i przekrwione. Długie włosy ciasno ściągnęła w kucyk, który uwydatniał ostre linie jej kości policzkowych i sprawiał, że wargi wyglądały na spuchnięte. Kolczyki wpięła na chybił trafił, w jednym uchu miała perłę, w drugim brylant, i owa drobna niezgodność uświadomiła mu, jak dotkliwy ból musiała jej sprawić ta zdrada.

- Blake...

Usłyszał w jej głosie drobny zaśpiew nadziei i nagle zdał sobie sprawę, co musiała odczuwać, gdy zadzwonił dziś rano.

Niech to szlag! Jak może być aż tak głupia?

Cofnęła się od drzwi, wygładzając nieistniejącą fałdkę na sukni.

- Wejdz, wejdz. Czy... - Pospiesznie odwróciła się, lecz zdążył jeszcze zauważyć, że przygryzła dolną wargę -nerwowy tik, który miała od młodości. Wydawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili odwróciła się i poprowadziła go przez przedpokój na ogromny, kilkupoziomowy taras, wychodzący na spokojny skrawek plaży Malibu.

Chryste Panie, żałował, że w ogóle przyszedł. Nie chciał patrzeć, jak ból w jej głosie ustępuje nagłej uldze, jak Annie wygładza suknię i wtyka palce we włosy.

Poprowadziła go do stołu, gdzie na eleganckiej srebrnej tacy stał dzban z lemoniadą - jego ulubioną - oraz dwie kryształowe szklanki.

- Natalie powoli się urząda. Rozmawiałam z nią tylko raz... miałam zamiar zadzwonić, ale... cóż... było mi ciężko. Obawiałam się, że coś posłyszysz w moim głosie. I, oczywiście, zapyta o ciebie. Może później... kiedy tu będziesz... zadzwonimy jeszcze raz.

- Nie powinienem był tu przychodzić. - Powiedział to ostrzej, niż zamierzał, ale nie mógł już znieść drżenia w jej głosie.

Podskoczyła jej ręka. Lemoniada rozprysnęła się na brzegu szklanki i rozlała na szary, kamienny stół. Nie odwróciła się ku niemu, z czego się ucieszył. Nie chciał widzieć jej twarzy.

- No więc dlaczego... ?

Coś w jej głosie - rezygnacja, a może udręka - nagle go dopadło. Jego oczy wezbrały łzami, nie mógł uwierzyć, że to naprawdę bolało. Wyciągnął z kieszeni tymczasowy projekt ugody, który sam naszkicował. Bez słowa pochylił się nad jej ramieniem i położył go na stole. Na rozlanej lemoniadzie wylądowała krawędź koperty. Zaczęła się na niej tworzyć ciemna, wzdęta plama.

Nie mógł oderwać od niej oczu. - Tu są dokumenty, Annie...

Nie poruszyła się, nie odpowiedziała, po prostu stała, odwrócona do niego plecami.

Wyglądała żałośnie, z opuszczonymi ramionami i palcami zaciśniętymi na krawędzi stołu. Nie musiał patrzeć jej w twarz, by wiedzieć, co czuje. Widział, jak z jej oczu kapią łzy, jedna za drugą, rozpryskując się na kamiennym blacie niczym krople deszczu.

### 3

- Nie wierzę, że to robisz. - Annie nie miała zamiaru nic mówić, ale słowa same wysnęły się jej z ust. Skoro nie odpowiadał, obróciła się ku niemu. Niestety, po niespełna dwudziestu latach małżeństwa nie mogła znieść spojrzenia jego oczu. - Dlaczego?

Właśnie to chciała zrozumieć. Potrzeby rodziny zawsze przedkładała nad swoje, robiła wszystko, co tylko w jej mocy, by najbliżsi byli bezpieczni i szczęśliwi. Zaczęło się to dawno, nim spotkała Blake'a, jeszcze w dzieciństwie. Matka odumarła Annie, gdy była malutka, i dziewczynka nauczyła się skrywać swój smutek w zakątku serca. Nie mogąc zrozumieć swej straty, skupiła się na bolejącym ojcu. W miarę upływu lat stało się to jej cechą charakterystyczną. Troskliwa Annie, dawczyni miłości. Ale teraz mąż nie pragnął już jej uczucia, nie chciał być częścią rodziny, którą stworzyła i o którą się troszczyła.

- Nie rozdrapujmy tego na nowo - powiedział z ciężkim westchnieniem.

Te słowa uderzyły ją jak policzek.

- Nie rozdrapujmy? Chyba żartujesz. Wyglądał na smutnego i zmęczonego.

- Czy ja kiedykolwiek żartowałem? - Przesunął palcami po znakomicie ostrzyżonych włosach. - Nie zastanawiałem się, co... wywnioskujesz z mojego porannego telefonu. Przepraszam.

„Wywnioskujesz”. Ten chłodny, prawniczy termin rozdzielał ich jeszcze bardziej.

Przysunął się ku niej, lecz uważał, by nie usiąść zbyt blisko.



- Zajmę się tobą. Przyszedłem, żeby ci to powiedzieć. Nie będziesz musiała się martwić o pieniądze ani w ogóle o nic. Zajmę się tobą i Natalie. Przysięgam.

Wpatrywała się weń z niedowierzaniem.

- Dziewiętnasty lutego. Pamiętasz, co to za dzień, Blake?

Opalenizna za milion dolarów zbladła w woskową szarość.

- Daj spokój, Annalise...

- Nie nazywaj mnie Annalise. Dziewiętnasty lutego. Data naszego ślubu. Pamiętasz ten dzień, Blake? Przysięgałeś, że będziesz mnie kochał, póki śmierć nas nie rozłączy. Tego dnia również obiecałeś, że będziesz się mną opiekował.

- To było tak dawno.

- Uważasz, że taka obietnica ma datę ważności, jak karton mleka? Boże...

- Ja się zmieniłem, Annie. Chryste Panie, byliśmy razem ponad dwadzieścia lat, oboje staliśmy się inni. Myślę, że będzie ci lepiej beze mnie. Naprawdę tak uważam. Wreszcie znajdziesz czas, żeby się zająć tym, co cię interesuje. Wiesz... - Odwoławszy się do swej inteligencji, rzucił jej bystre spojrzenie. - Na przykład kaligrafią. Pisaniem tych historyjek. I malowaniem.

Chciała mu powiedzieć, by się zabierał do diabła, ale słowa plątały się ze wspomnieniami i wszystko razem tak bardzo bolało.

Podszedł do niej, stukając i szurając butami po kamiennej podłodze.

- Naszkicowałem plan ugody. Nie oszczędzałem na was.

- Nie pójdzie ci tak łatwo.

- Co?

Z tonu jego głosu zorientowała się, że go zaskoczyła, i nic dziwnego. Lata wspólnego życia nauczyły go, że Annie nie będzie mu się opierać w żadnej sprawie. Uniosła ku niemu wzrok.

- Powiedziałam, że nie pójdzie ci tak łatwo, Blake. Nie tym razem.

- Nie możesz powstrzymać rozwodu w Kalifornii -powiedział cicho, prawniczym tonem.

- Znam prawo, Blake. Zapomniałeś już, że przez lata pracowałam z tobą ręką w rękę, tworząc tę firmę? Czy pamiętasz tylko ten czas, który ty jej poświęciłeś? -Przysunęła się doń, bacząc, by go nie dotknąć. - Gdybyś był klientem, jakiej porady byś udzielił?

Pociągnął za wykrochmalony kołnierzyk koszuli.

- To nieważne.

- Powiedziałbyś sobie, żeby poczekać, trochę ochłonać. Zaleciłbyś separację na próbę. Sama słyszałam, jak to mówiłeś. - Te słowa jeszcze wzmogły jej smutek. - Jezus, Blake, nie dasz nam nawet tej szansy?

- Annalise...

Powstrzymywała łzy, od czasu do czasu tylko biorąc drżący oddech. W tej chwili wszystko wisiało na włosku.

- Obiecaj mi, że poczekamy do czerwca - kiedy Natalie wróci do domu. Porozmawiamy znowu... powiedzmy: po paromiesięcznym niewidzeniu się. Dałam ci dwadzieścia lat, Blake. Możesz dać mi trzy miesiące.

- Niech będzie.

Ogarnęła ją niewysłowiona ulga.

- Co powiemy Natalie?

- Chryste, Annie, przecież nie dostanie zawału. Rodzice większości jej przyjaciół są rozwiedzeni. Na tym między innymi polega nasz problem, zawsze myślisz tylko o Natalie. Powiedz jej prawdę.

Annie po raz pierwszy poczuła iskrę prawdziwego gniewu.

- Nie zwalaj tego na moje macierzyństwo, Blake. Zostawiasz mnie, bo jesteś samolubnym bucem.

- Samolubnym bucem, zakochanym w kimś innym.

Te słowa zraniły ją tak głęboko, jak sobie wykalkulował. Łzy zapiekły ją w oczach, zamgliły wzrok, ale prędzej skona, niż pozwoli im popłynąć. W ogóle nie powinna wdawać się z nim w utarczki - nie ma wprawy, a umiejętność zadawania bólu słowem należała do tajników jego zawodu.

- Skoro tak mówisz...

- No dobrze - powiedział spokojnym, rzeczowym tonem, po którym poznała, że rozmowa dobiega końca. - Co chcesz powiedzieć Natalie i kiedy?

Odpowiedź miała gotową. Może jest do niczego jako żona i kochanka, ale córką potrafi się zająć.

- Na razie nic. Nie chcę popsuć jej tego pobytu. Powiemy jej... tyle, ile będziemy musieli... kiedy wróci do domu.

- Dobrze.

- Dobrze.

- Przyślę jutro kogoś po parę moich rzeczy. Cadillaca zwrócę w poniedziałek.

Rzeczy. Do tego wszystko się sprowadziło po tylu latach. Drobiazgi, które tworzyły ich życie - jego szczoteczka do zębów, jej gorące wałki, jego zbiory albumów, jej biżuteria - stały się przedmiotami, które należy podzielić i popakować w osobne walizki.

Wziął kopertę ze stołu i podał jej.

- Otwórz ją.

- Po co? Żebym się przekonała, jak szlachetnie podzieliłeś nasze pieniądze?

- Annie... Machnęła ręką.

- Nie obchodzi mnie, co kto dostanie.

Zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

- Bądź rozsądna, Annie.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- To samo powiedział mi mój tata, kiedy mu oznajmiłam, że chcę wyjść za chudego dwudziestolatka, który nie ma grosza przy duszy. „Bądź rozsądna, Annie. Nie ma pośpiechu. Jesteś taka młoda”. Ale już nie jestem młoda, co, Blake?

- Annie, proszę cię...

- O co mnie prosisz? Żebym się na tobie nie odgrywała?

- Spójrz na te dokumenty, Annie.

Przysunęła się bliżej i zerknęła nań przez łzy.

- Tylko jednego pragnę, Blake. - Gardło tak jej się ścisnęło, że z trudem mogła mówić. - Serca. Zwróć mi serce w jednym kawałku. Oddajesz mi je w swoich cennych papierach?

Przewrócił oczyma.

- Powinienem się tego spodziewać. Niech będzie. W razie czego mieszkam w domu Suzannah. - Wyciągnął pióro i nabazgrał coś na skrawku papieru, który wyjął z portfela. - Tu masz numer.

Nie chciała tego od niego wziąć. Cisnął papierek, który spadł na podłogę.

Annie leżała absolutnie nieruchomo w olbrzymim łożu małżeńskim, przysłuchując się znajomemu dźwiękowi swego oddechu, słuchając

spokojnego bicia serca. Pragnęła wziąć słuchawkę i zadzwonić do Terri, lecz zbyt często zawracała głowę przyjaciółce. Codziennie rozmawiały całymi godzinami, jakby gadanie mogło ulżyć bólowi serca Annie, a gdy pogaduszki dobiegały końca, czuła się jeszcze bardziej samotna.

Ostatni tydzień minął w oszołomieniu, siedem niekończących się dni, odkąd jej mąż powiedział, że kocha inną kobietę. Każda samotna noc i pusty dzień wydierały coś z jej osobowości. Niebawem stanie się tak mała, że nikt jej nie dostrzeże.

Czasami, gdy się budziła, krzyczała, a koszmar był zawsze ten sam. Znajdowała się w ciemnym pokoju, wpatrując się w poślacane lustro - w którym nie widziała swego odbicia.

Wtedy odrzucała pościel, wychodziła z łóżka i szła do garderoby. Otwierała szufladę, w której trzymała bieliznę, i wyciągała duże, szare pudło. Przyciskając je do piersi, mechanicznie wracała do łóżka. Pod ręką miała zbiór fotografii i pamiątek, kolekcjonowanych przez całe życie, wszystkie ulubione zdjęcia, które pstrykała i chowała przez lata. Oglądała je powoli, rozkoszując się każdym po kolei. Na dnie pudła znalazła mały kompas z brązu, prezent od ojca, który otrzymała dawno temu. Nie było na nim żadnego napisu, ale nadal pamiętała dzień, w którym ofiarował jej ten podarunek ze słowami: „Wiem, że teraz czujesz się zagubiona, ale tak wiecznie nie będzie, a dzięki temu przedmiocikowi zawsze znajdziesz drogę do domu... w którym będę na ciebie czekał”.

Zacisnęła kawałek metalu w dłoni, zastanawiając się, kiedy i właściwie dlaczego w ogóle go odłożyła. Bardzo powoli zawiesiła go sobie na szyi, po czym zajęła się zdjęciami, poczynając od czarno-białych, na których kodakiem utrzymała swoje dzieciństwo. Małe obrazki z zagiętymi rogami na

górze miały odciśniętą datę czarnym stemplem. Było tam mnóstwo zdjęć jej samej, kilka z ojcem i jedno z matką. Jedno jedyne.

Pamiętała dzień, w którym zostało zrobione - razem z mamą piekły wtedy ciasteczka na Boże Narodzenie. Wszystko było umączone: blat, twarzązka Annie, podłoga. Tata wrócił z pracy i śmiał się z nich, mówiąc: Boże drogi, Saro, wystarczyłoby tego dla całej armii, a nas jest tylko troje...

Parę miesięcy później było ich tylko dwoje. Milczący mężczyzna w żałobie i jeszcze bardziej milcząca dziewczynka.

Annie przesunęła palcem po gładkiej powierzchni zdjęcia. Przez te wszystkie lata tak bardzo brakowało jej matki - gdy odbierała świadectwo ukończenia szkoły średniej, w dniu ślubu, gdy urodziła się Natalie - ale nigdy tak bardzo jak teraz. Potrzebuję cię, mamó - pomyślała po raz milionowy. Chcę, żebyś mi powiedziała, iż wszystko będzie dobrze...

Odłożyła tak drogą sercu fotografię z powrotem do pudła i wzięła kolorową, ukazującą Annie, która trzyma na rękach noworodka z plamami na twarzy, owiniętego w różowy kocyk. Był tam też Blake - młody, przystojny i dumny, potężną dłonią otaczał opiekuńczo swoje dzieciątko. Obejrzała jeszcze kilkanaście zdjęć, ukazujących życie Natalie od dzieciństwa do ukończenia szkoły średniej, od grahamkowych krakersów po tusz do rzęs.

Całe życie Natalie zawarte było w tym pudle. Znajdowały się w nim niezliczone zdjęcia błękitnookiej blondyneczki, stojącej obok szeregu pluszowych zabawek, rowerków i domowych zwierzątek. W którymś momencie Blake przestał pojawiać się na rodzinnych fotografiach. Jak to możliwe, że nigdy przedtem Annie tego nie zauważyła?

Ale tak naprawdę wcale nie szukała Blake'a.

Szukała Annie. Prawda dochodziła do niej, klucząc i przyprawiając ją o cierpienie, ale nie dawała za wygraną. Gdzieś w tym pudle, kryjącym uchwytnie wspomnienia jej życia, musi odnaleźć siebie. Oglądała zdjęcie za zdjęciem, odrzucając po kolei jedno za drugim.

Prawie nie było fotografii jej samej. Jak większość matek zawsze trzymała aparat, a gdy wydawało się jej, że wygląda na zmęczoną, tłustą, chudą czy też źle wyszła... przedzierała zdjęcie na pół i wyrzucała je.

Teraz można by sądzić, że wcale jej tam nie było. Jakby w ogóle nie istniała.

Ta myśl tak ją zabolęła, że jednym ruchem zgarnęła wszystkie zdjęcia. Gdy przechodziła przez oszklone drzwi, ujrzała potarganą, zrozpaczoną kobietę w średnim wieku, okrytą męzkowskim szlafrokiem. Staje się żalosna. Nawet jeszcze żłośniejsza niż przedtem.

Jak on śmiał jej to zrobić? Zabrał dwadzieścia lat jej życia, po czym odrzucił ją jak sweter, który już nie pasuje.

Podeszła do szafy, ściągnęła wszystkie jego ubrania z kosztownych wieszaków i wepchnęła je do śmieci. Potem poszła do gabinetu, w którym tak chętnie przesiadywał. Gwałtownym ruchem wysunęła szufladę biurka i wyrzuciła całą jej zawartość.

Z tyłu jednej z szuflad znalazła mnóstwo rachunków za kwiaty, hotele i bieliznę.

Jej gniew przeszedł w prawdziwą furję. Zmiotła wszystko - rachunki, kwity, notki o umówionych spotkaniach, zapiski o książeczkach czekowych - do dużego kartonowego pudła. Wielkimi drukowanymi literami wypisała na nim jego nazwisko i adres kancelarii, a mniejszymi literami dodała: „Robiłam to przez dwadzieścia lat. Teraz twoja kolej”.

Dyszała ciężko, lecz od wielu dni nie czuła się tak dobrze. Rozejrzała się po swym idealnie urządzonej, pustym domu.

Co ma teraz począć? Dokąd pójdzie? Dotknęła kompasu, zwisającego jej z szyi, i już wiedziała.

A może wiedziała przez cały czas.

Wróci do dziewczyny, którą zaledwie parę razy zoczyła na czarno-białych fotografiach... tam gdzie była jeszcze kimś, nie tylko żoną Blake'a i matką Natalie.





## *CZEŚĆ II*

*W środku zimy przekonałem się wreszcie, że jest we mnie  
niezwyciężone lato.*

Albert Camus

### *4*

Po wielu godzinach lotu i jazdy samochodem Annie wprowadziła wreszcie swe wynajęte auto na most pontonowy, łączący półwysep Olympic z resztą stanu Waszyngton. Po jednej stronie mostu gwałtowne fale toczyły grzywy białych pian, po drugiej woda była spokojna i srebrzysta niczym nowo wybita moneta. Annie odkręciła okno i wyłączyła klimatyzację. Słodkie, wilgotne powietrze wdarło się do środka, nawiewając jej na twarz kosmyki włosów.

Kilometr za kilometrem roztaczały się żywe zielenie i błękity świata jej dzieciństwa. Zjechała z nowoczesnej autostrady na dwupasmową szosę, odchodzącą od brzegu morza. Pod purpurową warstwą mgły krył się półwysep, kawał ziemi, okolony z jednej strony wyniosłymi, przykrytymi śniegiem górami, z drugiej zaś dzikimi plażami, po których hulał wiatr. Przyroda była tu jeszcze pierwotna, nieskażona zgiełkiem i pędem współczesnego życia. Odwieczne lasy porastał srebrzysty mech, a urwiste brzegi chroniła przed szalejącym przyplływem wyniosła kurtyna skał. W samym sercu półwyspu mieścił się park narodowy Olympic, liczący bez mała pół miliona hektarów ziemi niczyjej, gdzie królowała matka natura i mity o rdzennych Amerykanach, którzy mieszkali tu na długo przed przybyciem białych pionierów.

W miarę jak Annie zbliżała się do rodzinnego miasta, lasy stawały się gęste i mroczne, wczesną wiosną nadal otulone migotliwą, opalizującą mgłą, która skrywała ząbkowane wierzchołki drzew. O tej porze roku puszcza nadal jeszcze pogrążona była w zimowym śnie, a noc zapadała, zanim rozbrzmiał ostatni dzwonek szkolny. Nikt przy zdrowych zmysłach nie skręcał z głównej drogi aż do początku lata. Wciąż krążyły tutaj legendy o dzieciach, które zapuszczały się w lasy i ślad po nich ginał, a także o człekokształtnych istotach, które nocami buszowały w gąszczach i porywały niczego niepodjezrewających turystów. W najbardziej odległych ostępach leśnych pogoda zmienia się szybciej niż opinie kilkunastoletniego dziewczątka, w okamgnieniu przechodzi od słońca do opadów śniegu, pozostawiając tylko krwistoczerwoną tęczę, na skrajach przybierającą odcień kości słoniowej.

Była to starodawna ziemia, gdzie gigantyczne czerwone cedry śmigwały w niebo na wysokość dziewięćdziesięciu metrów i padały w absolutnej ciszy, by zemrzeć i na nowo wydać nasienie między swymi, ziemia, na której czas odmierzały przyływy i odpływy, przyrosty drzew i wędrówki łososi.

Gdy Annie dotarła w końcu do miasteczka Mystic, zwolniła, napawając się znajomymi widokami. Była to mała społeczność, która swój byt oparła na wyrębie okolicznych lasów. Ukształtowali ją pierwsi, idealistyczni pionierzy z wielkiej dżungli Quinault. Przy głównym trakcie stało zaledwie sześć bloków. Annie nie musiała dojeżdżać do końca, by się zorientować, że na ulicy Wiązów rozjechany asfalt ustępuje miejsca pełnej kałuż, wyboistej zwirowanej drodze.

Śródmieście przywodziło na myśl obszarpanego, zapomnianego przez Boga i ludzi siwowłosego starca, pozostawionego na deszczu. Jedyne,

wymęczone światło regulowało nieistniejący ruch uliczny w bezładnie zabudowanej ulicy handlowej, gdzie mieściły się sklepy, wzniesione z cegły i drewna. Przed piętnastoma laty Mystic było kwitnącym miasteczkiem, którego pomyślność opierała się na rybołówstwie i wyrębie lasów, lecz od tamtej pory najwyraźniej przeżywało ciężkie czasy, które pchnęły kupców do zamożniejszych społeczności, pozostawiając kilka pustych wystaw sklepowych.

Pordzewiałe półciężarówki zaparkowano na skos za trzydziestoletnimi parkomatami, nieliczni osobnicy w spłowiałych kombinezonach i ciężkich zimowych kapotach przemykali się po chodnikach.

Sklepy nosiły dawne nazwy, wymyślone przez właścicieli: „Ucho Igielne”, w którym sprzedawano materiały, „Słodka Dziurka” z paczkami, wysyłkowy sklep z ubraniami „Świat Dziecka”, Bowlingowa Aleja Dwayna Lanesa, salon odzieży damskiej „Listek figowy”, włoska ristorante „Vittoria”. W każdym oknie widniał napis: ***Ta placówka utrzymywana jest dzięki dochodom uzyskiwanym z wyrębu*** - pełne niechęci przypomnienie dalekim politykom, mieszkającym w domach z kolumnami w odległych miastach, że wyrąb drewna decyduje o życiu tego regionu.

Było to podupadłe miasteczko koło poręby, lecz Annie, której wzrok przywykł do stali, betonu i szkła, wydawało się cudowne. Niebo było teraz szare, lecz pamiętała, jak wyglądało bez pokrywy chmur. Tu, w Mystic, niebo leżało jakby zagłębione w bożej dłoni, skąd rozpościerało się jak okiem sięgnąć. To wspaniała ziemia o wysublimowanych krajobrazach, a jej powietrze pachniało igliwem sosnowym, mgłą i deszczem.

Zupełnie inaczej niż w południowej Kalifornii.

Naszła ją niechciana myśl, palące przypomnienie, że jest trzydziestodziewięcioletnią kobietą przed rozwodem, którego nie pragnie. Oraz że wraca do domu, ponieważ nie ma dokąd pójść.

Usiłowała nie myśleć o Blake'u, Natalie ani o tym wielkim, pustym domu, przycupniętym ryzykownie tuż nad plażą. Przypominała sobie za to rzeczy pozostawione bez żalu: upał, który zawsze przyprawiał ją o ból głowy, raka, czającego się w niewidocznych promieniach słońca, smog, który szczypał ją w oczy i piekł w gardle, dni, gdy powietrze było tak złe, że mieszkańcom radzono zostać w domu, lawiny błotne i pożary, które w jedno popołudnie potrafiły pochłonąć całe połacie ziemi.

Annie głęboko zapuściła korzenie w to hrabstwo, a z czasem stały się one szeroko rozgałęzione. Jej dziadek przybył tu przed niespełna siedemdziesięcioma laty - Niemiec o kwadratowej szczęce, spragniony wolności i gotów do zarabiania na chleb piłą. Wykroił z tej ziemi dostatnie życie i wychował jedyne go syna, Hanka, przyuczając go do tego samego zawodu. Annie była pierwszą z rodziny Bourne'ów, która opuściła te okolice, jako pierwsza otrzymała też dyplom wyższej uczelni.

Ulicą Wiązów wyjechała z miasteczka. Po obu stronach drogi ziemia została pocięta na kawałki. Pudełkowate domy tłoczyły się na kwadratach trawy, za podwórkami, gdzie stały uszkodzone samochody i pralki, które pamiętały lepsze czasy. Jak okiem sięgnąć widoczne były ślady wyrębu: ciężarówka, piły łańcuchowe, znak, gdzie dostrzeżono sowę.

Samochód zaczął zwalniać, pnać się krętą ścieżką, wiodącą zboczem na szczyt wzgórza, przebijając się coraz głębiej w las. Jeden po drugim domy oddalały się, ustępując miejsca drzewom. Przez całe kilometry wątle, młode drzewa tłoczyły się za napisami: WYCINKA 1992, ZALESIENIE 1993. Nowy znak pojawiał się co czterysta metrów, różniąc się tylko datą.

W końcu Annie skręciła z głównego traktu na żwirowaną drogę, która wiała się przez sześćohektarowy obszar starodrzewu.

Jako dziecko przeważnie bawiła się w lesie. Całymi godzinami przedzierała się przez pokryte rosą krzewy jagody amerykańskiej, przeskakiwała przez rozpadające się pnie wybujanych niegdyś drzew w poszukiwaniu skarbów: białego grzyba, który wyrasta tylko przy świetle księżyca, nowo narodzonego jelonka, czekającego na powrót matki, galaretowatych zapasów żabich jaj, ukrytych w bagnach.

Dojechała wreszcie do piętrowego, oszalowanego wiejskiego budynku, w którym się wychowała. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała: zakończona szczytami, pięćdziesięcioletnia budowla pomalowana na jasnoperłowy kolor z białym obramowaniem. Pobielona weranda okalała cały dom, a kosze z wiecznie zielonym, cienkim i długim geranium stały na każdym słupie. Dym krętą strużką unosił się z ceglanego komina i niknął w zalegającej nisko, szarej mgle.

Za domem batalion starodawnych drzew strzegł sekretnego, porośniętego na brzegach sosnami stawu. Mech okrył pnie drzew i zwisał koronkowymi szalami z jednej gałęzi na drugą. Trawnik przechodził na dole w srebrzystą wstęgę strumienia, w którym żyły łososie. Wiedziała, że jeśli przejdzie przez trawę, źdźbła wcisną się jej między palce, a szmer strumienia o tej porze roku przywiedzie na myśl starcze chrapanie.

Udało jej się wprowadzić wynajętego mustanga za szopę, gdzie mogła zaparkować, po czym zgasła silnik. Chwyciła torebkę i podeszła do drzwi frontowych.

Prawie zaraz, jak zadzwoniła, ojciec otworzył.

Wielki Hank Bourne - całe sto osiemdziesiąt siedem centymetrów i sto kilogramów - stał przez sekundę, z niedowierzaniem wpatrując się w córkę.

Potem na twarz zaczął mu wypływać uśmiech, zagrzebany głęboko w srebrzystobiałym wąsie i brodzie.

- Annie - wyszeptał tym swoim skrzekliwym głosem, dobywającym się z potężnej piersi.

Rozchylił ramiona, by ją uścisnąć, a ona rzuciła się do przodu, chowając twarz w aksamitnych fałdach jego szyi. Pachniał dymem drzewnym, mydłem Irish Spring i twardymi irysowymi cukierkami, które trzymał w przedniej kieszeni roboczej koszuli. Pachniał jej dzieciństwem.

Znalazła tyle pociechy w ojcowskim uścisku, że aż poczuła uniesienie. W końcu odsunęła się, niezdolna spojrzeć na Hanka, wiedząc, że ujrzał w jej oczach łzy.

- Jak się masz, tato?

- Annie - powtórzył, ale tym razem dosłyszała pytanie, którego nie zadał.

Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy. Dobrze wyglądał na swoich sześćdziesiąt siedem lat. Oczy miał nadal tak promienne i pełne ciekawości jak u młodzieńca, choć wciśnięte były teraz w fałdy czerstwej różowej skóry. Wspomnienie tragedii, które przeżył, wracało tylko sporadycznie i szybko znikало - jego pomarszczoną twarz pokrywał cień, gdy w deszczowy dzień światło zmieniało się na czerwone, albo gdy bezduszny dźwięk syreny karetki pogotowia przecinał mgłę.

Wsunął naznaczoną blizną dłoń - przeciętą dawno temu przez bezlitosną piłę w tartaku - za spłowiały drelichowy kombinezon.

- Sama jesteś, Annie?

Wzdrygnęła się. W tym pytaniu kryło się wiele warstw. Można było na nie odpowiedzieć w przeróżny sposób.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż poczuła się nieswojo, jakby zajrzał w głąb jej duszy, do tego wielkiego domu nad Oceanem Spokojnym, gdzie jej mąż powiedział: „Nie Kocham cię”.

- Natalie pojechała do Londynu - rzekła słabo.

- Wiem. Czekalem, żebyś zadzwoniła i podała mi adres. Myślałem, że coś jej pošlę.

- Mieszka z rodziną o nazwisku Robinson. Codziennie leje jak z cebra, ciągle leci jej na głowę, z tego, co zro...

- Co się dzieje, Anno Wirginio?

Przełknęła resztę zdania w jednym oddechu. Teraz może iść już tylko naprzód.

- On... mnie zostawił, tato.

Wyglądał na kompletnie zbitego z tropu.

- Co takiego?

Chciała się roześmiać i udawać, że nic się nie stało, że jest dość silna, by dać sobie z tym radę, ale znowu poczuła się jak dziecko, które zapomniało języka w gębie i całkiem się zacukało.

- Co się stało? - zapytał cicho.

Wzruszyła ramionami.

- Zwykła historia. On ma czterdziestkę... a ona dwadzieścia osiem.

Na jego szczupłej, pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz prawdziwego zmartwienia.

- Och, Kochanie... - Widziała, że szuka słów, i ujrzała, jak smutek wypełnia mu oczy, gdyż nie potrafił powiedzieć nic pocieszającego. Przysunął się do niej i przycisnął chudą jak papier dłoń do jej twarzy. Na ułamek sekundy powróciła przeszłość i wplotła się w terażniejszość; Annie dałaby głowę, że oboje wspominają ów dzień dawno temu, kiedy Hank

powiedział swej siedmioletniej córce, że wydarzył się wypadek... i że mama poszła do nieba...

„Odeszła, kochanie. I już nie wróci”.

W ciszy, która potem zapadła, Hank tulił córkę w objęciach. Przyłożyła policzek do miękkiej, miłej flaneli jego kraciastej, roboczej koszuli. Chciała go poprosić o jakąś radę, kojącą myśl, którą mogłaby zabrać do swej samotnej sypialni i wtulić się w nią, ale nigdy nie łączyły ich takie więzi. Hank nie szafował ojcowskimi mądrościami.

- Wróci - powiedział cicho. - Mężczyźni są cholernie głupi. Ale Blake zda sobie sprawę z tego, co zrobił, i wróci, błagając o drugą szansę.

- Chciałabym w to wierzyć, tato.

Hank uśmiechnął się, najwyraźniej podniesiony na duchu efektem swoich słów.

- Zaufaj mi, Annie. On cię kocha. Dostrzegłem to za pierwszym razem, kiedy go zobaczyłem. Byłaś za młoda na małżeństwo, ale uważałem, że jesteś rozsądną dziewczyną, i powiedziałem sobie: „Ten chłopak zaopiekuje się moją córeczką”. Wróci. A teraz może ulokujemy cię w twojej dawnej sypialni, a potem przyniesiemy starą szachownicę?

- To byłoby idealnie.

Hank ujął ją za rękę. Razem przeszli przez skąpo ozdobiony salonik, a potem po rozklekotanych schodach na piętro.

Przy drzwiach dawnej sypialni Annie Hank przekręcił gałkę i otworzył drzwi. W pokoju rozchodził się żółtozłoty poblask od tapety, oświetlonej ostatnimi, lawendowymi promieniami gasnącego słońca. Miała kwietny wzór, odpowiedni dla dziewczynki; niegdyś wybrała go jej czuła matka i od tamtej pory pozostał niezmienny. Ani Hankowi, ani Annie nigdy nie przyszło do głowy, by zerwać tapetę, choć inny wzór byłby odpowiedniejszy



dla dorastającej dziewczyny. Naczelne miejsce w pokoju zajmowało białe, żelazne podwójne łóżko, kute z cienkiego metalu i zarzucone wysoko żółtymi i białymi kołdrami. Obok wąskiego, podwójnego okna stał trzcinowy fotel bujany, który zrobił jej ojciec na trzynaste urodziny. „Jesteś już kobietą -powiedział wtedy - będzie ci potrzebny fotel jak dla kobiety”.

W latach młodości spędziła w nim wiele czasu, wpatrując się w bezkresną noc; wycinała fotografie sław z młodzieżowego magazynu muzycznego, pisała pełne uwielbienia listy do Bobby'ego Shermana i Davida Cassidy'ego, snuła marzenia o człowieku, którego niegdyś poślubi.

Wróci. Owinęła się słowami Hanka, tworząc z nich tarczę przeciw innym, mroczniejszym myślom. Rozpaczliwie pragnęła, by ojciec miał rację.

Bo jeśli się myli i Blake nie wróci, Annie nie będzie miała pojęcia, kim jest ani gdzie ma swój dom.

## 5

Noc minęła jej niespokojnie. Annie budziła się parę razy z przestraczem, resztką szłochu, płynącą w ciemności wokół niej, pościelą oklejającą nogi, wilgotną i zalatującą kwaśną wonią. Przez kolejne cztery dni błądziła po tej starej farmie niczym zagubiony duch, czując się niespokojna i poobijana. Rzadko odważała się odejść dalej od telefonu.

„Pomyliłem się, Annie. Tak mi przykro. Kocham cię. Jeśli wrócisz do mnie do domu, już nigdy nie spotkam się z Suzannah”. Przez cały dzień czekała na telefon, a potem, w nocy, niespokojnie przewracała się w pościeli i znowu o tym śniła.

Wiedziała, że powinna coś zrobić, ale nie miała pojęcia co. Przez całe życie miała bliskie kontakty z ludźmi, latami tworzyła idealne tło dla Blake'a i Natalie, a teraz, samotna, czuła się zagubiona.

Spróbuj zasnąć. I o to chodzi. Znowu zakopie się pod ciepłą kołdrę i zaśnie...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Zaraz przyjdę - wymamrotała w odpowiedzi, sięgając po poduszkę.

Drzwi otworzyły się. Na progu stał Hank. Miał na sobie flanelową koszulę w czerwono-niebieską kratę i poplamiony drelichowy kombinezon - ubranie, w którym chodził do tartaku od prawie czterdziestu lat. Trzymał tacę pełną jedzenia. Niezadowolenie wyryło się na jego twarzy, zwęziło oczy. Ostrożnie postawił tacę i przeszedł przez pokój.

- Okropnie wyglądasz.

Jak idiotka wybuchnęła płaczem. Wiedziała, że miał rację. Była chuda, brzydka i brudna - i nikt, a tym bardziej Blake, nie będzie jej chciał z

powrotem. Ta myśl sprawiła, że rozboleł ją żołądek. Przytknęła rękę do ust i pobiegła do łazienki. Czowała się upokorzona, wiedząc, że ojciec słyszy, jak wymiotuje, ale nic nie mogła na to poradzić. Potem umyła zęby i na drżących nogach wróciła do pokoju.

Zmartwienie w oczach Hanka chlastnęło ją jak nóż.

- A więc to tak - rzekł, splatając palce. - Musisz iść do lekarza. Ubieraj się.

Myśl o tym, że ma wyjść, opuścić dom, napełniała ją strachem.

- Nie mogę. Ludzie będą... - Nie miała nawet pojęcia, czego się bała. Wiedziała tylko, że w tym pokoju, w łóżeczku, w którym spała jako mała dziewczynka, czowała się bezpieczna.

- Nadal mogę cię przerzucić przez ramię, dziecino. Albo się ubierasz, albo pojedziesz do miasta w tej piżamie. Ale, tak czy tak, jedziesz ze mną.

Chciała się z nim kłócić, ale wiedziała, że ojciec ma rację, a szczerze mówiąc, przyjemnie jej było, że ktoś się o nią troszczy.

- No dobrze, dobrze. - Powlokła się do łazienki i tam przebrała się w te same zmięte ubrania, w których tu przyjechała. Upięcie włosów przekraczało jej siły, toteż przejechała tylko po nich palcami i przykryła ciemnymi okularami nabiegłe krwią oczy, pod którymi zdążyły już się jej zrobić worki. - No to jedźmy.

\* \* \*

Annie wyjrzała przez uchylone okno furgonetki ojca. Za jej głową pusta siatka na strzelbę stukotała o szkło.

Hank zręcznie prowadził wóz między wybojami na drodze, aż stanął przed przysadzistym budynkiem z cegły. Ręcznie wymalowany szyld głosił: **KLINIKA MEDYCZNA W MYSTIC. DR GERALD BURTON, LEKARZ RODZINNY.**

Annie uśmiechnęła się. Od lat nie myślała o starym doktoru Burtonie. Przyjął ją na świat i przeprowadził przez niemal dwadzieścia lat przeziębień, zapaleń ucha i wypadków dziecięcych. Był taką samą częścią jej dorastania jak aparat na zęby, dziewczęce bale czy pływanie na golasa w jeziorze Crescent.

Hank wyłączył silnik. Stary ford zatrzeszczał, kaszlnął i zamilkł.

- Dziwnie się czuję, przywożąc cię tu z powrotem. Nagle się zląkłem, że zapomniałem o jakiejś szczepionce i nie pozwolą ci rozpocząć szkoły.

Annie się uśmiechnęła.

- Może doktor Burton da mi winogronowego lizaka, jeśli będę grzeczna.

Ojciec odwrócił się do niej.

- Zawsze byłaś grzeczna i dobra, Annalise. Pamiętaj o tym.

Na dźwięk tych słów do jej oczu znowu napłynęły łzy wraz ze wspomnieniem tego dużego domu nad morzem, gdzie mąż powiedział jej, że kocha inną kobietę. Zanim smutek opanował ją zupełnie, rozprostowała ramiona

I otworzyła drzwi.

- Spotkamy się... - Rozejrzała się wokół, ciekawa, jak teraz wygląda okolica.

- W parku nad wodą. Lubiłaś tam chodzić.

- W parku nad wodą - powtórzyła, przypominając sobie wszystkie wieczory, które spędziła nad brzegiem, czołgając się po błocie w poszukiwaniu ikry i ważek. Skinąwszy głową, wysiadła z ciężarówki, zarzuciła torbę na ramię i podeszła po betonowych stopniach do frontowych drzwi kliniki.

W środku starsza pani o niebieskich włosach podniosła na nią wzrok. Na jej identyfikatorze było napisane: CZEŚĆ, MAM NA IMIĘ MADGE.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Annie poczuła nagle, że musi dziwnie wyglądać w pomiętym ubraniu, z oklapniętymi włosami przy twarzy, zupełnie bez życia. Dzięki Bogu, że przynajmniej oczy miała skryte za okularami słonecznymi.

- Nazywam się Annie Colwater. Chciałabym się zobaczyć z doktorem Burtonem. Zdaje się, że ojciec umówił mnie na wizytę.

- Naturalnie, kochanie. Usiądź sobie. Doktor za chwilę cię poprosi.

Gdy Annie wypełniła formularze ubezpieczeniowe, usiadła w poczekalni, przeglądając leniwie magazyn „People”. Najwyżej po kwadransie dr Burton wyłonił się zza rogu i pojawił w poczekalni. Upływ dziesięciu lat widać było w fałdach skóry na szyi i wyraźnej łysinie, ale nadal był starym doktorkiem Burtonem, jedynym człowiekiem w Mystic, który z namaszczeniem wkładał krawat do pracy.

- Kogóż to ja widzę, Annie Bourne, a niech mnie! Uśmiechnęła się do starego znajomego.

- Wiele wody upłynęło w naszej rzece.

- To, to. Chodź ze mną. - Objął ją za ramiona i zaprowadził do najbliższego gabinetu lekarskiego.

Zasiadł w cętkowanym, żółtym, plastikowym fotelu. Szkło okularów, grube niczym butelka coca-coli, powiększało jego oczy do rozmiarów talerzy. Ciekawe, jak dawno temu zaczął tracić wzrok.

- Nie wyglądasz zbyt rewelacyjnie.

Zdobyła się na uśmiech. Najwyraźniej coś jeszcze widział.

- Dlatego tu jestem. Hank powiada, że wyglądam jak straszdyło - uważa, że muszę być chora.

Zarżał ze śmiechu i otworzył papierową teczkę, trzymając pióro w gotowości.

- To cały Hank. Gdy go widziałem w zeszłym tygodniu, miał migrenę, ale był przekonany, że to guz mózgu. Więc co ci dolega?

Trudno jej było zacząć.

- Ostatnio źle sypiam... mam bóle głowy... kłopoty z żołądkiem... takie rzeczy.

- Czy to możliwe, żebyś była w ciąży?

Powinna być przygotowana na to pytanie. Gdyby była, nie bolałoby tak bardzo. Ale minęły całe lata, odkąd jakikolwiek doktor zagadnął ją w tej kwestii. Jej lekarze zbyt dobrze znali odpowiedź.

- Nie ma mowy.

- Uderzenia gorąca, nieregularne miesiączki?

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze miałam nieregularne miesiączki. W zeszłym roku nie miałam ich w ogóle przez dwa miesiące. Szczerze mówiąc, brak miesiączki mnie nie martwi. Owszem, mój ginekolog ostrzegał mnie, że niebawem mogę zacząć przechodzić menopauzę.

- No, nie wiem... jesteś na to trochę za młoda...

Uśmiechnęła się.

- Dzięki.

Zamknął teczkę, położył ją sobie delikatnie na podółku, po czym znowu spojrzął na Annie.

- Czy jest w twoim życiu coś, co prowadziłoby do depresji?

Depresja.

Jakże zwięzłe określenie góry bólu! To jedno słowo kradnie słońce z duszy człowieka i zostawia go zagubionego na zimnej, szarej ziemi, samotnie szukającego czegoś, czego nawet nie potrafi nazwać.

- Może.

- Chciałabyś o tym porozmawiać?

Spojrzała na starego człowieka. Łagodne zrozumienie w jego kaprawych oczach poprowadziło ją długą, krętą drogą, na której końcu miała dwanaście lat i była pierwszą miesiączkującą dziewczynką w klasie. Hank nie wiedział, co powiedzieć, więc zapakował ją w samochód i zawiózł do doktora Burtona, by on zajął się jej obawami.

Łzy zapiekły ją w oczy i spłynęły, niepowstrzymane, po policzkach.

- Niedawno rozstaliśmy się z mężem. Niezbyt dobrze... sobie z tym radzę.

Powoli zdjął okulary, położył je na stosie papierów i zmęczonym gestem potarł mostek haczykowatego nosa.

- Przykro mi, Annie, ostatnio mam zbyt wiele takich spraw. Zdarzają się w małym, starym Mystic równie często, jak i w dużym mieście. Oczywiście jesteś przygnębiona - a depresja bezsprzecznie wyjaśnia bezsenność, brak apetytu, mdłości. Mnóstwo symptomów. Przepiszę ci valium, może zaczniemy kurację prozakiem. To cię uspokoi i powoli dojdiesz ze wszystkim do ładu.

Chciała go zapytać, czy zna kobietę, która doszła ze wszystkim do ładu... albo której mąż zmienił zdanie... ale były to pytania tak osobiste i odsłaniające całe jej cierpienie, że dała sobie z nimi spokój.

Z powrotem wsunął okulary na nos i przyjrzał się jej.

- Teraz powinnaś trząść się nad sobą jak nad małym dzieckiem, Annie. Depresji nie można lekceważyć. A jeśli częściej nie będziesz przesypiała nocy, wróc tu, żebym dał ci receptę.

- Pigułki zamiast kochanka? - uśmiechnęła się ponuro. - Muszą nieźle działać. Może od razu wezmę garść.

Nie uśmiechnął się.

- Nie lubię słowa „garść”, a sarkazm źle brzmi w ustach młodej damy, moja panno. A jak długo masz zamiar tu zostać?

Oblała ją fala wstydu, jakby znowu miała dziesięć lat.

- Przepraszam. Muszę wracać do domu... gdzieś w połowie czerwca. - „Chyba że Blake zadzwoni”. Zadrzała wewnętrznie na tę myśl. - Do tego czasu chyba tu zostanę.

- Do połowy czerwca, tak. No dobrze, w takim razie chcę cię zobaczyć pierwszego czerwca, niezależnie od tego, jak się będziesz czuła. Zapiszę cię na wizytę, dobrze?

Miło jej było, że ktoś troszczy się o jej stan.

- Dobrze, na pewno lepiej się będę wtedy czuła. Odprowadził Annie aż do drzwi kliniki. Poklepując ją

po ramieniu, znowu przypomniał, by dbała o siebie, po czym obrócił się i zniknął w korytarzu.

Annie poczuła się lepiej, opuszczając klinikę i zmierzając przez miasto do parku. Rześkie wiosenne powietrze odmładzało ją, a niebo jaśniało tak promiennym błękitem, że musiała z powrotem włożyć okulary słoneczne. Był to jeden z tych rzadkich wczesnowiosennych dni, kryjących w sobie wszystkie obietnice lata. Minęła olbrzymią statwę łosia, wyciętą piłą łańcuchową, i przeszła przez park, przekopując się przez ostatnie czarne zimowe liście, które przylegały do pokrytej rosą trawy.



Znalazła Hanka na tej samej ławce co zawsze, na brzegu rzeki. Usiadła obok niego.

Wręczył jej styropianową filiżankę parującej, gorącej kawy.

- Założę się, że nie piłaś porządnej kawy od ukończenia szkoły średniej.

Objęła palcami ciepłą filiżankę.

- Naprawdę mam porządny ekspres, tato.

Sączyli kawę w milczeniu. Annie słuchała uspokajającego, znajomego dźwięku płynącej wody.

Wyjął rogalik z papierowej torby i podał go córce. Jej żołądkiem wstrząsnęło na myśl o jedzeniu i odsunęła rogalik.

- Co powiedział lekarz? - zapytał Hank.

- Zdziwisz się... Mam depresję.

- Ciągle jesteś wściekła?

- Zeszłej nocy śniło mi się, że Blake'a zjadają piranie - więc chyba jestem zła, nie sądzisz? - Nie odpowiedział, lecz wpatrywał się w nią aż, ciszej, powiedziała: -Byłam strasznie na niego cięta, ale teraz jestem... zbyt pusta, by się złościć. - Czuła, jak jej oczy wzbierają łzami, których nie mogła powstrzymać. Upokorzona, odwróciła wzrok. - Uważa, że jestem niczym, tato. Spodziewa się, że będę żyła z alimentów i zostanę... niczym.

- A co ty myślisz?

- Myślę, że ma rację. - Mocno zacisnęła powieki. -Poradź mi coś, tato. Udziel mi jakiejś mądrej życiowej rady.

- Życie wysysa siły z człowieka.

Roześmiała się, choć wcale nie było jej do śmiechu. Właśnie tego się po nim spodziewała, a choć jej to nie pomogło, znajome słowa przyniosły pociechę.

- Dzięki, tato. Proszę cię o mądrą radę, a ty wychodzisz z jakimś sloganem.

- A jak myślisz, skąd ludzie biorą slogany? - Pogłaskał ją po ręce. - Wszystko będzie dobrze, Annie. Blake cię kocha i wróci. Ale nie możesz cały czas leżeć w łóżku. Wyjdź z domu. Zrób coś. Zajmij się czymś do czasu, aż Blake wyjmie łeb z portek.

- Albo z jej spódnicy.

- Ładna uwaga ze strony mojej córeczki. Punkt dla ciebie - powiedział z uśmiechem. - Kiedy życie daje ci cytryny, zrób cytrynadę.

Przypomniała sobie dzban cytrynady, jaką przyrządziła dla Blake'a, a potem wielką plamę, która rozlała się na papiery zawierające warunki ugody. - Nie lubię cytrynady.

Teraz miał poważną minę.

- Annie Wirginio, nie wiem, co lubisz, ale już najwyższa pora, żebyś się dowiedziała.

Miał rację, że ją ponaglał. Nie mogła już dłużej wyplakiwać oczu, czatując na telefon, którego nigdy się nie doczeka.

- Musisz podjąć jakieś ryzyko, kochanie.

- Ależ ryzykuję. Nie codziennie czyszczę zęby nitką, a czasami mieszam kwiatki i kratki. Kiedyś włożyłam białe pantofle po Świącie Pracy.

- Chodziło mi o to...

Annie roześmiała się - pierwszym prawdziwym, szczerym śmiechem, odkąd ta cała gówniana historia się zaczęła.

- Obetnę włosy.

- Co?

- Blake zawsze lubił długie fryzury. Hank uśmiechnął się pod wąsem.

- Jednak mimo wszystko jesteś trochę zła. To dobry znak.

Salon Lurlene „Loki i Fioki” nie należał do wytwornych zakładów, które w dawnym życiu odwiedzała Annie. Był to staroświecki, małomiasteczkowy salon piękności, mieszczący się w wiktoriańskim domostwie, pomalowanym na różowo z białą obwódką. Na werandzie, biegnącej wokół frontu domu, stały trzy ocienione trzcinowe fotele bujane.

Annie zaparkowała pod mocno czerwonym szyldem, na którym widniał napis: PARKING ZAREZERWOWANY WYŁĄCZNIE DLA KLIENTÓW LURLENE. OSOBY NARUSZAJĄCE TEN ZAKAZ ZOSTANĄ OSTRZYŻONE I PODDANE TRWAŁEJ ONDULACJI. Gdy kroczyła dróżką z kamieni w kształcie serca do frontowej werandy, z jedyne go głośnika dobiegł ją metaliczny dźwięk piosenki *Mały jest ten świątek*.

Zatrzymała się, nagle przestraszona. Długie włosy miała od zawsze. Co jej przyszło do głowy - że para nożyczek pozwoli jej odzyskać młodość? Uspokój się, Annie. Zaczepnęła powietrza, wydychając z siebie wszystko, co nie było konieczne do zrobienia następnego kroku. Zebrała wszystkie siły, by wejść wreszcie po tych schodach i obciąć sobie włosy.

Już miała postawić nogę na pierwszym stopniu, gdy wtem drzwi gwałtownie się otworzyły i pojawiła się w nich kobieta. Musiała mieć co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i szopę włosów, rudych jak u Lucille Bali, piętrzących się aż do framugi. Ktoś wcisnął jej posągowe ciało w jaskrawoczerwone poliuretanowe spodnie (albo pomalował ją błyszczącą farbą). Obcisły sweter z angory w biało-czarne pasy opinał piersi wielkości Alp. Olbrzymie koła, również przypominające zębę, zwisały z jej uszu.

Kobieta poruszyła się - pełen podniecenia dreszczyk przebiegł przez jej ciało, aż do złotych rannych pantofli w stylu Barbie, okrywających stopy rozmiarów kajaka.

- Annie Colwater, prawda... ? - spytała z południowym akcentem, dobitnym i ciągnącym się niczym syrop klonowy. - Czekałam na ciebie, kochanie! Twój tata powiedział, że chcesz się całkowicie odmienić - żebym tak zdrowa była, nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Odmiana w Mystic! - Stoczyła się po skrzypiących schodach z gracją donicy. - Jestem Lurlene, skarbie. Wielka ze mnie kłępa, ale za to smykałkę do mody mam podwójną. Wejdz, złotko. Dobrze trafiłaś. Zajmę się tobą jak królową. - Poklepała Annie i wzięła ją pod ramię, prowadząc po schodach do jasnego, biało-różowego pokoju, gdzie wisiało kilka lusterek w trzcinowym obramowaniu. Pasiaste różowe zasłony przysłaniały wnętrze, różowy, robiony szydełkiem dywanik przykrywał podłogę z twardego drewna.

- Różowy to mój ulubiony kolor - rzekła z dumą Lurlene. - Dzięki dwóm odcieniom cukierkowego różu i letniego blasku staniesz się osobą niezwykłą, a zarazem poczujesz się bezpieczna. Przeczytałam to w którymś magazynie, i czyż nie napisali świętej prawdy? - Poprowadziła Annie obok dwóch innych klientek, starszych kobiet z różnokolorowymi laseczkami w siwych włosach.

Usta Lurlene nie zamykały się, gdy myła włosy Annie.

- O Bożeż ty mój, takiej czupryny nie widziałam, odkąd dostałam Barbie Disco. - Gdy Lurlene okryła ramiona Annie pelerynką w kolorze fuksji i posadziła niecodzienną klientkę wygodnie przed lustrem, zajrzała jej przez ramię. - Na pewno chcesz ściąć tak krótko? Większość żon oddałaby lewe jajo męża za takie włosy.

Annie postanowiła nie poddawać się nerwowemu trzepotaniu, które umiejscowiło się gdzieś w okolicach żołądka. Dość kompromisów.

- Zetnij je - powiedziała, a głos jej nawet nie zadrżał.

- Widać, że jesteś pewna - rzekła Lurlene, ukazując w uśmiechu wszystkie zęby. - Może tak mniej więcej do ramienia...

- Wszystko.

Umalowana szczeka Lurlene opadła.

- Całkiem? Na zero?

Annie skinęła głową.

Lurlene szybko doszła do siebie.

- Ach, skarbie, będziesz ukoronowaniem mojej kariery.

Annie starała się nie myśleć o tym, co zrobiła. Jedno spojrzenie na kredowo białą, ściągniętą twarz w lustrze, z włosami odgarniętymi z chudej twarzy, wystarczyło, by przymknęła powieki... i więcej ich nie otwierała.

Czuła, jak Lurlene ciągnie ją za włosy, potem usłyszała trzask stalowych ostrzy i szelest pukła spadającego na podłogę.

Trzask-prask, trzask-prask.

- Zdziwiłam się jak diabli, kiedy twój tata zadzwonił. Od lat słyszałam opowieści o tobie. Kathy Johnson - pamiętasz ją? Otóż razem z Kathy Johnson chodziłyśmy razem do szkoły fryzjerskiej. Oczywiście Kathy nigdy jej nie ukończyła - coś jej nie szło z nożyczkami - ale się zaprzyjaźniłyśmy. Opowiadała mi niezliczone historie o tobie, jeszcze z dzieciństwa. Zdaje mi się, że były z was niezłe wariatki.

Kathy Johnson.

Annie nie słyszała o niej od lat. *Kathy i Annie, dwa serca związane, klucz rzucony w morze, nic nas nie rozłączy.* To napisały w swoich pamiętnikach, to obiecały sobie pod koniec roku szkolnego.

Annie zawsze pragnęła utrzymać tę więź, zachować kontakt z przyjaciółką, ale jakoś jej się to nie udawało. Jak wiele dziecinnych przyjaźni i ta rozwiązała się z czasem. Przez parę lat przysyłały sobie kartki z

życzeniami na Boże Narodzenie, a potem także to się urwało. Annie od lat nie miała żadnych wiadomości od Kathy. Ich stosunki zaczęły się rwać przed końcem szkoły średniej, gdy Kathy oświadczył się Nick.

Nick.

Annie nadal pamięta dzień, w którym go pierwszy raz ujrzała. Przedostatni rok nauki angielskiego. Wszedł bardzo pewny siebie, niebieskie oczy rzucały wyzwanie wszystkim w klasie. Miał na sobie postrzępione levisy i sprany biały podkoszulek, z kieszeni kurtki wystawała paczka papierosów. Nie widziała jeszcze chłopaka o tak potarganych, długich, czarnych włosach, który całą swoją postawą ostrzegał: „Tylko mi nie podskakuj!” Annie natychmiast się w nim zakochała, podobnie jak reszta dziewcząt w klasie, w tym jej przyjaciółka, Kathy.

Ale wybrał Kathy i wtedy właśnie Annie poznała gorycz złamanego serca.

Uśmiechnęła się do tego wspomnienia, jakże odległego i wyblakłego. Może pójdzie ich odwiedzić, spróbuje odnowić dawne więzi - jakże miło byłoby mieć tu przyjaciół. Mogliby chociaż pośmiać się ze starych czasów.

- A jak idzie Nickowi i Kathy?

Nożyczki nagle przestały ciąć.

- Nie słyszałaś?

- O czym?

Lurlene pochyliła się, otoczona chmurą różanych perfum.

- Kathy zmarła przed ośmioma miesiącami.

Annie otworzyła oczy. Błada twarz o kredowym odcieniu i przystrzyżonych włosach wpatrywała się w nią z owalnego lustra. Znowu zacisnęła powieki. Gdy wrócił jej głos, brzmiał cienko i cicho.

- Co...

- Pomagałam, jak mogłam, siedziałam przy dziecku, ale ta jego mała, Isabella, cóż... zaczęła mieć trochę nie po kolei w głowie. Wczoraj wyrzucili ją ze szkoły. Masz pojęcie? Wyrzucić sześciolatkę ze szkoły? To się w głowie nie mieści. A oni wszyscy wiedzą o jej mamie. Mogliby się nad nią zlitować. Nick szuka dla niej niani, ale żadna mu nie odpowiada.

- Jak to się stało? - Głos Annie przeszedł w szept.

- Po prostu wezwali ją do gabinetu dyrektora i powiedzieli: „Dziecko, już nie jesteś uczennicą tej szkoły”. -Lurlene syknęła z dezaprobatą. - Ta mała już drugi raz została odrzucona. To nie w porządku. Ale tak naprawdę potrzebuje ojca. Królik byłby lepszym rodzicem niż on teraz - a one przecież zjadają swoje małe. Chciałabym więcej dla nich zrobić, ale Buddy - to znaczy mój mąż -powiada, że wychował swoje dzieciaki, wszystkich pięcioro, ze swą byłą żoną Earthą - znasz ją? Mieszka koło Forks. W każdym razie Buddy nie chce przechodzić przez to drugi raz, znaczy nie chodzi o małżeństwo z Earthą, ale wychowywanie dzieci. A ja nigdy nie miałam dzieci, więc co mogę o nich wiedzieć? Chętnie ją szykownie obetnę i zrobię jej trwałą, a nawet pomaluję paznokietki, ale na niczym więcej właściwie się nie znam. Mogłabym jej przypilnować po szkole - zresztą bardzo mi tutaj pomaga - ale prawdę mówiąc, ona mnie przeraża, z tymi jej problemami i w ogóle.

Wszystko to spadło na Annie tak nagle. Właściwie jeszcze nie całkiem do niej dotarło. Kathy.

Jak to możliwe, że Kathy nie żyje? Jeszcze wczoraj były przyjaciółkami, bawiły się razem w czasie przerwy na dziedzińcu w szkole podstawowej, chichocząc z chłopców z gimnazjum i umawiając się na randki z chłopcami z liceum. Były przyjaciółkami tak, jak mogą być nimi tylko dziewczęta - nosiły nawzajem swoje ubrania, nocowały u siebie i

dzieliły się każdym, nawet najmniejszym sekretem. Przysięgły, że na zawsze zostaną przyjaciółkami.

Nie poświęciły jednak dość czasu i energii, by podtrzymać kontakt, gdy ich drogi się rozeszły... a teraz Kathy nie żyje. Annie nie chciała zapominać przyjaciółki, ale ich znajomość się urwała. Poszła na Uniwersytet Stanforda, spotkała Blake'a i zamieniła przeszłość na przyszłość.

- Nick się rozsypuje, zwyczajnie i po prostu - powiedziała Lurlene, strzelając wielką bańką gumy do zucia. - Kupili z Kathy stary dom Beauregarda nad jeziorem Mystic...

Dom Beauregarda. Annie ujrzała jego obraz, owinięty w cieniutką bibułkę słodko-gorzkich wspomnień.

- Znam go. Ale nadal nie powiedziałaś mi, w jaki sposób Kath...

Włączyła się nagle suszarka, zagłuszając dalszy ciąg pytania Annie. Wydawało się jej, że Lurlene nadal coś mówi, ale nie zdołała rozróżnić słów. Potem, po kilku minutach, suszarka się wyłączyła. Lurlene z głośnym kliknięciem odłożyła nożyczki na blat z płytek ceramicznych.

- Boże ty mój, ale pięknie wyglądasz! - Lurlene ścisnęła ją za ramię. - Otwórz oczy, złotko, i sama zobacz.

Annie usłuchała, po czym ujrzała w lustrze obcą osobę. Jej brązowe włosy były tak krótkie, że nie ostał się ani jeden loczek. Fryzura na rekruta wydobyła bladość jej ściągniętej skóry, a zapadnięte zielone oczy wydawały się zbyt duże wobec jej drobnych rysów. Usta bez uśmiechu i śladu szminki tworzyły bezbarwną, białą krechę. Wyglądała jak modelka Kate Moss koło pięćdziesiątki, po gwałtownym zetknięciu z kosiarką.

- O mój Boże...

Lurlene skinęła głową w lustrze, uśmiechając się jak pies tkwiący w tylnym oknie samochodu.



- Wyglądasz jak ta młoda dziewczyna, która złapała Warrena Beatty'ego. Wiesz, o kogo mi chodzi - tę z *Amerykańskiego prezydenta*.

- Annette Bening - podpowiedziała jedna z kobiet, siedzących po przeciwnej stronie sali.

Lurlene sięgnęła po automatyczny aparat fotograficzny.

- Zrobię ci zdjęcie i wyślę je do magazynu „Nowoczesne Fryzury”. Jak nic wygram wycieczkę do Reno. -Przykucnęła przed Annie. - Uśmiechnij się.

Zanim Annie zdążyła pomyśleć, Lurlene pstryknęła fotkę i wyprostowała się, żując szkarłatny koniuszek akrylowego paznokcia.

- Założę się, że nawet sto kobiet na świecie nie doceni tego ostrzyżenia, złotko, ale ty na sto procent.

Annie chciała tylko wydostać się z tego zakładu, nie wybuchając płaczem.

- Wszystko wróci do normy, odrosną - mówiła sobie, ale mogła myśleć tylko o Blake'u, co na to powie, kiedy - jeżeli - do niej wróci. Drżącą ręką sięgnęła po torebkę. - Ile ci jestem winna?

- Nic, złotko. Wszyscy mamy złe dni.

Annie odwróciła się do Lurlene. W mocno umalowanych oczach dojrzała prawdziwe, szczere zrozumienie.

Gdyby Annie nie było tak niedobrze, pewnie zdobyłaby się na uśmiech.

- Dzięki, Lurlene. Może kiedyś będę mogła ci się odwdziaczyć.

Lurlene uśmiechnęła się, ukazując wszystkie zęby, aż na jej makijażu pojawiły się rysy.

- To jest Mystic, kochanie. Jeśli siedzisz tu dość długo, przysługi same się proszą. - Pochyliła się i podniosła stojące w rogu duże zielone pudło po

sprzęcie rybackim. Z trzaskiem uderzyło w ceramiczny blat, aż odskoczyła pokrywka. Wewnątrz było dość środków do makijażu, by zmienić Robina Williamsa w Courtney Love. Lurlene uśmiechnęła się. - Gotowa jesteś na całkowitą przemianę?

Annie z trudem schwyła oddech. Mogła to sobie wyobrazić - swą twarz bardziej kolorową niż paleta Benjamin Moore'a.

- Nnie, dziękuję. Strasznie się spieszę. - Skoczyła na nogi i tyłem odsuwała się od fotela.

- Ale, ale... spod mojej ręki wyszłabyś jak wykapana...

Annie wymamrotała pospieszne podziękowania i pobiegła do drzwi. Uciekła do wynajętego mustanga i zapuściła silnik, wytaczając się z podjazdu pośród chmury dymu. Ujechała prawie półtora kilometra, nim poczuła kłujące igielki łez.

Dopiero niespełna kwadrans później, mijając róg boiska golfowego Celną Piłeczka, z ręką zaciśniętą na kierownicy, aż zbieleły jej kłykcie, i z twarzą zalaną łzami, przypomniała sobie pytanie, które pozostało bez odpowiedzi.

Co się przytrafiło Kathy?

Annie objechała Mystic, krążyła po rozmiękłych od deszczu koleinach na bocznych drogach, wjeżdżała na puste wzgórza, z których już skoszono zboże, aż łzy na jej policzkach zmniejszyły się do cienkich srebrzystych strużek. Wiedziała, że na widok ojca powinna przybrać radosny wyraz twarzy. Wreszcie, gdy odzyskała już nieco panowanie nad sobą, wróciła do domu.

Hank siedział w jednym ze starych, maślanożółtych foteli koło kominka. Na podolku trzymał otwarty zbiór krzyżówek. Gdy Annie weszła,

uniósł wzrok. Uśmiech z jego twarzy opadł szybciej niż ciasto, gdy zatrząskuje się drzwiczki piecyka.

- A niech mnie - wyrzekł z wolna. Annie musiała się roześmiać.

- Zostałam zaangażowana do drugiej części *G. I. Jane*. Śmiech Hanka stawał się coraz szybszy i głośniejszy.

- Wyglądasz... dobrze, kochanie.

- Dobrze? Chciałam się odmłodzić, ale nie cofać aż do wieku dziecięcego.

Hank podniósł się na nogi i rozwarł ramiona. Magazyn, trzepocząc kartkami, spadł na podłogę.

- Chodź, kochanie.

Annie podeszła doń i dała się uściskać. Gdy ojciec się cofnął, z kieszeni kurtki wyjął mały cukierek w papierku. Irysa. Zawsze był przekonany, że te cukierki pomogą Annie przetrwać złe chwile. Dał jej irysa, gdy umarła matka. „Proszę, kochanie, zjedz iryska”. Wiele lat później, kiedy tylko czuła zapach iryska, rozglądała się, szukając Hanka.

Z uśmiechem wzięła cukierek, rozwinęła go i włożyła sobie do ust. Okręcił się jej wokół języka, smakując słodyczą i wspomnieniami.

Dotknął jej policzka.

- Prawdziwe piękno kryje się wewnątrz.

- Tak się pocieszają kobiety, tato. Uwierz mi, że mężczyźni to nie przekonuje.

Hank uśmiechnął się krzywo.

- Mnie przekonuje, a jak patrzyłem na siebie ostatnio, jestem mężczyzną. I uważam, że masz fantastyczną fryzurę. Tylko trzeba się trochę przyzwyczaić.

- W każdym razie czuję się odnowiona, a o to mi przecież chodziło.

- Oczywiście, że tak. - Poklepał ją po ramieniu. - A może byśmy zegrali w scrabble?

Annie wpatrywała się w siedem gładkich drewnianych kwadratów, usiłując znaleźć słowo, od którego można by zacząć grę.

- Ale, tato, nie opowiedziałeś mi o Kathy Johnson. Nie podniósł wzroku.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że pisałem ci o tym. A może mówiłem ci, kiedy przyjechałem do was na Boże Narodzenie?

- Nie.

Wzruszył ramionami, a ona wiedziała, że ojciec nie podniesie wzroku.

- No tak. Ale teraz, zdaje się, już wiesz. Lurlene trzepie językiem na całe Mystic. Przykro mi, że dowiedziałaś się o tym w ten sposób.

Annie zorientowała się, że Hank czuje się nieswojo. Pociągał kołnierzyk, choć nie zapiął go nawet na szyi, i wpatrywał się w litery, jakby były oryginalnymi Dziesięcioma Przykazaniami. Nie był typem człowieka, który lubiłby rozprawiać o śmierci. Niczyjej. A z pewnością nie o przedwczesnej śmierci kobiety, którą znał od dziecka.

Annie nie poruszała już więcej tego tematu. Zmuszając się do uśmiechu, wyciągnęła cztery litery i rozpoczęła grę. Wszystko, co chciałyby wiedzieć o śmierci Kathy czy o jej życiu, będzie musiała poznać z innego źródła.

## 6

Nick Delacroix stał na podwórku przed swoim domem w strugach deszczu, ze wzrokiem wbitym w wątle, obwisłe, na pół zwiędłe wiśniowe drzewo, które posadził w zeszłym roku. Powoli upadł na kolana w błotnistej trawie i pochylił głowę.

Nie płakał na pogrzebie żony ani wczoraj, kiedy jego córkę wyrzucono ze szkoły, ale teraz poczuł cholerną chęć do płaczu, i to z powodu tego głupiego drzewka, które nie chciało rosnać. Odwrócił się od ogrodu i znużonym krokiem poszedł w stronę domu.

Gdy znalazł się w środku i zatrzasnął za sobą drzwi, nie mógł jednak wyrzucić z pamięci tego diabelnego drzewa.

I to wszystko z powodu wczorajszych wydarzeń - to był zły dzień, a przez ostatnich osiem miesięcy zdołał zyskać skalę porównawczą.

Jego Izzy wyrzucono ze szkoły.

Na samą myśl znowu wstrząsnął nim gniew. Gdy złość opadła, pozostał tylko wstyd.

Wczoraj Izzy stała w gabinecie dyrektora, mając brązowe oczy zalane łzami, jej pełne dziewczęce usteczka drżały. Różowa sukienka była poplamiona i podarta, a on z rozpaczą zdawał sobie sprawę, że tak samo wyglądała, gdy Izzy ją wkładała. Długie, czarne włosy - niegdyś jej duma i radość - tworzyły skłębione ptasie gniazdo, gdyż nie uczesała ich matczyzna ręka.

Zdziwił się przelotnie, nedorzecznie, co stało się z tymi wszystkimi ślicznymi wstążkami, które niegdyś nosiła.

„Nie może już dłużej być uczennicą naszej szkoły, panie Delacroix. Zapewne sam pan to widzi?"

Izzy stała tam, bez ruchu. Nie odezwała się - ale, w końcu, nie przemówiła słowa od miesiący. Między innymi dlatego właśnie ją wypędzono... a także z powodu znikania. Od paru miesięcy zaczęło się jej wydawać, że znika, paluszek po paluszk. Teraz na lewej ręce nosiła czarną rękawiczkę - tej ręki nie widziała już ani nie mogła jej używać. Od niedawna zaczęła niezdarnie posługiwać się prawą ręką, jakby uważała, że niektóre palce również zmarły.

Nie uniosła wzroku, nie napotkała spojrzenia Nicka, ale po jej policzku spłynęła łza. Patrzył, jak się toczy, spływa na sukienkę i znika, zamieniając się w małą, szarą plamkę.

Chciał coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia, jak pocieszyć dziecko, które straciło matkę. Potem, jak zawsze, zezłościł się na siebie, że nie umie dodać córce otuchy. Przyszło mu na myśl, że powinien się napić - kieliszek dla uspokojenia nerwów. A ona przez cały czas tam stała, zbyt cicha i spokojna jak na sześciolatkę, patrząc nań z rozczarowaniem smutnego, dorosłego człowieka.

Ostrożnie kroczył po bawialni, przestępując przez pojemniki po potrawach, przyniesionych zeszłego wieczoru. Samotna mucha brzęczała leniwie nad resztkami. W jego uszach brzmiało to jak ryk kosiarki.

Spojrzał na zegarek, mrugając, póki jego wzrok znowu nie nabrał ostrości. Pół do dziewiątej.

A niech to szlag! Spóźni się po Izzy. Znowu.

Na myśl o tym, że przed nią stanie, znowu ją zawiedzie, a jeszcze będzie musiał patrzeć na tę czarną rękawiczkę...

Może gdyby się napił. Tylko szklaneczkę...

Zadzwoił telefon. Jeszcze zanim odebrał, wiedział już, że to Lurlene, która chce się dowiedzieć, gdzie on się podziewa.

- Cześć, Lurl - powiedział przeciągle, ze znużeniem opierając się o ścianę. - Wiem, wiem, spóźniłem się. Właśnie wyjeżdżałem.

- Nie ma pośpiechu, Nicky. Buddy wyszedł dziś z chłopcami i póki nie skoczysz mi do gardła, Izzy nic nie będzie.

Westchnął z ulgą, aż do tego momentu nie zdając sobie sprawy, że był spięty.

- Nie wściekasz się, że jestem spóźniony, z Izzy wszystko w porządku, więc o co chodzi?

Zniżyła głos do teatralnego szeptu.

- Właściwie dzwonię, żeby ci opowiedzieć ciekawą ploteczkę.

- Boże święty, Lurl! Guzik mnie obchodzą...

- Poznałam dziś twoją starą przyjaciółkę - to cię zainteresuje, prawda? I muszę powiedzieć, że wygląda całkiem inaczej, niżbym się spodziewała. Bo jak się posłucha ciebie i Kath - o rany! - przepraszam, nie miałam zamiaru jej wspominać. W każdym razie była słodka jak miód. W ogóle bym się nie domyśliła, że jest bogata. Zachowywała się tak zwyczajnie. Jak panna Sissy Spacek. Widziałam ją któregoś dnia w programie Oprah i człowiek mógłby pomyśleć, że jest taka sama jak wszyscy.

Nick usiłował podtrzymać rozmowę, ale wymknęła mu się spod kontroli.

- Sissy Spacek była dzisiaj w twoim zakładzie? O to chodzi?

Melodyjny śmiech Lurlene przebiegł całą gamę.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. To jest Mystic, nie Aspen. Mówię o Annie Bourne. Przyjechała w odwiedziny do ojca.

Nick pomyślał, że się przesłyszał.

- Annie Bourne jest tutaj?

Lurlene trajkotała o strzyżeniu, swetrach z kaszmiru i brylantach wielkości winogron. Nick nie mógł się skupić. Annie Bourne.

Bąknął coś - sam nie wiedząc co - i odłożył słuchawkę.

Jezus, Annie Bourne. Nie przyjeżdżała tu od lat. Dobrze wiedział, gdyż Kathy na próżno oczekiwała telefonu od swej starej, dobrej przyjaciółki.

Omijając starannie śmieci rozrzucone na podłodze w bawialni, podszedł do kominka i wziął fotografię z gzymsu. Widział ją codziennie, lecz tak naprawdę nie patrzył na nią od lat. Nieco spłowieła, kolory zbladły z upływem czasu, wypalone promieniami słońca. Na zdjęciu, zrobionym podczas wakacji przed ostatnim rokiem liceum, widniała ich trójka: Annie, Kathy i Nick. Upiorne towarzystwo.

Stał w środku, obejmując obie dziewczyny. Wyglądał na beztroskiego i szczęśliwego młodzieńca - zupełnie innego niż chłopak, który zaledwie przed paroma miesiącami mieszkał w ciasnym, brudnym samochodzie. Tego wspaniałego lata, gdy po raz pierwszy zakosztował słodkiego jak wiosenny deszcz eliksiru, zwanego normalnym życiem, zrozumiał wreszcie, co znaczy mieć przyjaciół i być przyjacielem.

I zakochał się.

Zdjęcie zrobiono późnym popołudniem, gdy niebo miało odcień głębokiego, nieskażonego błękitu. Spędzili dzień nad jeziorem, piszcząc i śmiejąc się, gdy ze skał nurkowali do wody. Tego dnia po raz pierwszy zrozumiał, że to nie może tak trwać, że prędzej czy później będzie musiał dokonać wyboru między dwiema dziewczynami, w których był zakochany.

Właściwie wiedział, którą wybierze. Annie złożyła już podanie o przyjęcie na uniwersytet Stanforda, a biorąc pod uwagę jej oceny i wyniki



egzaminów, pewne było, że zostanie studentką tej uczelni. Otwierała się przed nią wielka kariera. Lecz nie przed Kathy. Kathy była spokojną, małomiasteczkową panią, którą często opadały melancholijne nastroje... dziewczyną, która rozpaczliwie musiała kochać i być kochaną.

Nadal pamiętał, co powiedział Annie tego dnia. Po życiu, jakie wiódł ze swoją matką, wiedział, czego pragnie: szacunku i stabilizacji. Chciał mieć wpływ na życie innych ludzi, tworzyć taki system prawny, który zainteresowałby się śmiercią samotnej młodej kobiety, mieszkającej w swym samochodzie.

Powiedział Annie, że marzy o tym, by zostać policjantem w Mystic.

- Och nie, Nicky - wyszeptała, przewracając się na kocu, by spojrzeć mu w twarz. - Możesz pójść wyżej. Jeśli lubisz prawo, pomyśl o poważnej karierze... naprawdę wielkiej... możesz zostać sędzią Sądu Najwyższego, albo nawet senatorem.

Zraniły go te słowa, ciche, niezamierzone podważenie jego marzeń.

- Nie chcę zostać sędzią Sądu Najwyższego. Roześmiała się tym cichym, wibrującym śmiechem, który zawsze budził w nim tęsknotę.

- Przymierz się do czegoś większego, Nick. Sam jeszcze nie wiesz, kim chcesz być. Kiedy zaczniesz studiować...

- Studia to nie dla mnie, mądralino. Nie dostanę stypendium, tak jak ty.

Widział w jej oczach, jak powoli świta w nich zrozumienie, że on nie pragnie tego co ona, że nie sięga tak wysoko. Nie dostawało mu odwagi, by snuć śmiało marzenia. Pragnął tylko pomagać ludziom i być potrzebny, tyle wiedział i to potrafili by robić naprawdę dobrze.

Ale Annie tego nie rozumiała. Bo i skąd? Nie wiedziała, przez jakie bagno przedzierał się w życiu.

- Och - powiedziała tylko, lecz w tym słowie kryło się bogactwo nowej wiedzy, drobne wahanie w głosie, czego przedtem nigdy nie słyszał. Potem leżeli obok siebie na szorstkim, zielonym kocu, wpatrując się w chmury, ale ich ciała były od siebie nieskończenie odległe.

Tak łatwo było wówczas się wycofać. Kochał Annie... ale Kathy go potrzebowała, a był to potężny wabik.

Poprosił Kathy o rękę parę miesięcy przed ukończeniem liceum, co nie miało znaczenia, gdyż Annie się tego spodziewała. Po zaręczynach próbowali utrzymać dawną przyjaźń, ale nieuchronnie ich drogi zaczęły się rozchodzić. Nick i Kathy stali się parą, Annie zaś osobą postronną. Gdy wyjechała na studia, po złożeniu sobie obietnic, że zawsze będą trzymać się razem, Nick wiedział, że ich przyjaźń nie przetrwa, że takich dwojga jak ich troje nie będzie nawet jednego.

Gdy wrócili od Lurlene, było niemal pół do dziesiątej. Sześciolatka już dawno powinna być w łóżku, lecz Nick nie miał serca od razu kazać jej pójść spać.

Izzy siedziała po turecku na podłodze przed zimnym, czarnym kominkiem. Zawsze było to jej ulubione miejsce w domu, przynajmniej niegdyś, kiedy buzujący ogień gorącą falą żaru pieścił jej plecy. W jednej ręce trzymała swoją szmacianą lalkę, pannę Tońcię - tylko to mogła robić od czasu, gdy zaczęła „znikać”. Pokój ogarnęła cisza, tak przenikająca wszystko jak kurz na meblach.

Ten widok rozszarpywał Nicka na bezradne strzępy. Usiłował nawiązać rozmowę z córką, lecz wszelkie jego wysiłki wpadały w czarną studnię milczącego świata Izzy-

- Przykro mi z powodu szkoły, Izzy, misiaczku - powiedział niezgrabnie.

Uniosła wzrok, spoglądając nań boleśnie suchymi, brązowymi oczyma, zbyt dużymi jak na mleczną bladość jej malutkiej twarzyczki.

Od razu się zorientował, że powiedział coś nie tak. Nie było mu przykro tylko dlatego, że Izzy spotkała nieprzyjemność w szkole. Było mu przykro w ogóle. Z powodu śmierci, życia, wszystkich tych lat oddalenia i rozczarowania, które doprowadziły ich do tak żalosego punktu. Najbardziej żałował tego, że okazał się fujarą, bo nie miał pojęcia, co robić dalej.

Z wolna podniósł się i podszedł do okna. Przebłysk księżycowej poświaty migotał po czarnej powierzchni jeziora Mystic, a przymglona żarówka na werandzie rzucała żółtawą sieć na dwa bujane fotele, na których od miesięcy nikt nie siadywał. Deszcz spadał srebrnymi strugami z dachu, uderzając w drewniane stopnie.

Wiedział, że Izzy czujnie go obserwuje, czekając i martwiąc się, co za chwilę zrobi. Niestety, znał to uczucie oczekiwania z zapartym tchem, jaki numer za chwilę wytnie rodzic. Wiedział, jak wywraca to wnętrzości i zostawia ledwo tyle tlenu, by zaczerpnąć oddechu.

Zamknął oczy. Wspomnienie przyszło ku niemu łagodnie, niezamierzenie, zamknięte w perkusyjnej symfonii deszczu, szarpiącego dźwięku wody, uderzającej o drewno. Przypomniało mu to odgłos z dawnych lat, gdy podobny deszcz grzmocił w zardzewiały dach starej impali jego matki.

Liczył sobie wówczas piętnaście lat, był wysokim, spokojnym chłopcem, mającym zbyt wiele tajemnic. Stał na rogu ulicy, czekając, aż matka zabierze go ze szkoły. Dzieciaki miały go niczym roześmiana, rozgadana stonoga, w błękitnych dzinsach, z plecakami i w psychodelicznych podkoszulkach. Z zazdrością patrzył, jak wsiadali do żółtych autobusów, czekających przy krawężniku.

Po jakimś czasie autobusy odjeżdżały; wydmuchując chmurę dymu i zmieniając biegi, zdążyły do sąsiednich dzielnic, których Nick nigdy nie widział. Na dziedzińcu szkolnym zapadała cisza. Szare niebo łkało. Samochody z piskiem śmigały ulicą, przymglone za zasłoną deszczu. Żaden z kierowców nie zwracał uwagi na chudego, czarnowłosego chłopca w poszarpanych, dziurawych dżinsach i białym podkoszulku.

Przed wszystkim pamiętał, że był straszliwie zziębnięty. Nie starczało pieniędzy na zimowe ubranie, toteż po ciele przebiegały mu mrówki z zimna, a ręce drżały.

*Przyjedź, mamo.* Tę modlitwę powtarzał raz po raz, nie bardzo w nią wierząc.

Nienawidził czekania na matkę. Gdy tak stał, sam, z brodą pochyloną ku piersi, by się ogrzać, zżerały go wątpliwości. Jak bardzo się upije? Czy będzie to jeden z miłych, dobrych dni, gdy pamiętała, że go kocha? Czy też nadszedł akurat mroczny, straszny dzień, kiedy wódka zmieniała ją w skrzeczącą, potykającą się wariatkę, która ze wszystkich sił nienawidziła swego jedynaka? Często trafiały się tylko fatalne dni, matka myślała wyłącznie o tym, ile straciła. Rozpaczała, że czeki z pomocy społecznej nie starczą na dzin, i załamywała ręce, że muszą mieszkać w samochodzie - a stąd już tylko krok do bezdomności.

Natychmiast odgadywał jej nastroje. Błada, brudna twarz i załzawione, rozbiegane oczy świadczyły, że udało jej się skombinować pełną butelkę. A choć co dzień starannie szukał wódki w samochodzie, tak jak inne dzieci bobrują po domu, by znaleźć jajko wielkanocne, wiedział, że nie powstrzyma jej przed piciem.

Przestępował z nogi na nogę, usiłując wydobyć z siebie nieco ciepła, lecz uderzały weń krople deszczu, wślizgujące się lodowatymi, krętymi strugami pod koszulę. No przyjeźdź już, mammo.

Nie przyjechała tego dnia. Ani następnego. Nocą błąkał się po ciemnych, niebezpiecznych dzielnicach Seattle, aż wreszcie zasnął w zaśmieconym wejściu do zburzonej chińskiej restauracji. Rankiem przepłukał usta, wyciągnął ze śmietnika wyrzuconą torbę ciasteczek i poszedł do szkoły.

Policja przyszła do niego w południe, dwóch poważnych mężczyzn w niebieskich mundurach, którzy poinformowali go, że matkę zakłuto nożem. Nie powiedzieli, co robiła w momencie popełnienia zbrodni, ale Nick wiedział. Usiłowała sprzedać swe chude, niemyte ciało za setkę dzinu. Policjanci dodali, że nie ma żadnych podejrzanych, co Nicka nie zdziwiło. Nikt, z wyjątkiem syna, nie troszczył się o nią, gdy żyła, nikogo nie obchodziło, że zamordowano jeszcze jedną wychudzoną, bezdomną pijaczkę, przedwcześnie postarzałą przez wódkę i zdradę.

Nick zagrzebał to wspomnienie w czarnym, rozmiękłym bagnie swych rozczarowań. Pragnął wyrzucić je z pamięci, ale, oczywiście, przeszłość była teraz blisko. Czuł jej oddech na karku od czasu śmierci Kathy.

Ze znużonym westchnieniem odwrócił się, stając twarzą w twarz z nieodzywającą się ani słowem córką.

- Czas do łóżka - powiedział łagodnie, usiłując zapomnieć też, że dawniej, a przecież w końcu nie tak dawno, stanowczo zaprotestowałyby przed pójściem spać, bez poświęcenia - jak to nazywała - „czasu dla rodziny”.

Teraz podniosła się, trzymając lalkę w dwóch „widzialnych” palcach prawej dłoni, i odeszła od niego. Nie obejrząwszy się ani razu, rozpoczęła

długą, powolną wspinaczkę na piętro. Kilka stopni skrzypnęło pod jej chuchrowatym ciałkiem, a każdy dźwięk uderzał w Nicka niczym cios. Co on teraz, do diabła, pocznie, skoro Izzy wyrzucono ze szkoły? Nie ma dokąd pójść, nikt się nią nie zajmie. Nie może rzucić pracy, by zostać z nią w domu, a Lurlene ma własne życie.

Co on, do licha, ma zrobić?

Dwukrotnie tej nocy Annie budziła się w pustym łóżku i przemierzała pokój. Śmierć Kathy przypomniła jej, jak cenny jest czas, jak ulotny. Jak niekiedy życie okrawa dobre intencje i nie daje człowiekowi ponownej okazji, by powiedział to, co jest naprawdę ważne.

Nie chciała pamiętać o mężu - „kocham ją, Annie” -lecz te myśli były ciągle wokół niej, krążyły w powietrzu, strzelały niczym grzmot w ciemności pokoju. Wpatrywała się w swą twarz w lustrze, spoglądała na nową fryzurę i starała się dojść, kim jest i gdzie przynależy. Gapiła się na siebie tak długo, aż obraz zmieniał się, wichrował i szarzał, ona sama zaś gubiła się w mglistym odbiciu kobiety, której nie znała.

Oprócz Blake'a nie miała nikogo, kto dałby świadectwo ostatnim dwudziestu latom jej życia. Poza Hankiem nikt nie pamiętał, jaka była w wieku dwudziestu pięciu czy trzydziestu lat ani z kim dzieliła swe utracone marzenia.

Przestań.

Spojrzała na budzik przy łóżku. Była szósta rano. Przycupnęła na skraju łóżka i nakręciła numer Natalie, ale córka już wyszła. Potem spróbowała z Terri.

Terri odebrała po piątym dzwonku.

- Mam nadzieję, że to ważne - rzekła przeciągle.

Annie zaśmiała się.

- Niestety, to tylko ja. Dzwonię za wcześnie?

- Ależ nie. Uwielbiam wstawać przed Panem Bogiem. Wszystko w porządku?

Annie nie wiedziała, czy cokolwiek w ogóle będzie w porządku, ale odpowiedziała mniej więcej tak jak zawsze.

- Jakoś sobie radzę.

- Sądząc po godzinie, o której dzwonisz, nie sypiasz zbyt dobrze.

- W każdym razie niewiele.

- Przez pierwsze trzy miesiące, odkąd ten gówniarz Rom mnie zostawił, płakałam i tłukłam się z kąta w kąt. Musisz się czymś zająć.

- Jestem w Mystic i wybór mam dość ograniczony. Chyba mogłabym się zająć zdobieniem puszek piwa. Ten towar bardzo dobrze tu idzie. Albo może nauczę się zabijać za pomocą łuku i strzały, a potem wypychać własne zdobycze.

- Cieszę się, że możesz się jeszcze śmiać.

- To lepsze niż płacz.

- Poważnie, Annie. Musisz się do czegoś zabrać. Do czegoś, co wyciągnie cię z łóżka albo wrzuci do czyjś innego. Idź na zakupy. Spraw sobie parę nowych ciuchów. Coś, co zmieni twój wygląd.

Annie potarła swe ostrzyżone włosy.

- Zmieniłam się, i to jak. Wyglądam jak Bruce Lee, mistrz karate.

Rozmawiały jeszcze przez pół godziny, a gdy Annie odłożyła słuchawkę, poczuła się nie tyle silniej, ile w każdym razie nieco lepiej. Wstała z łóżka i wzięła długi, gorący prysznic.

Ubrawszy się w biały kaszmirowy sweter z dekoltem w łódkę i również białe, wełniane, zimowe spodnie, zeszła na dół i zrobiła Hankowi ogromne śniadanie, składające się z jajecznicy, soku pomarańczowego,

naleśników i bekonu z indyka. Niebawem te smakowite zapachy ściągnęły ojca.

Wszedł do kuchni, zaciskając szary bawełniany pasek wokół sięgającego mu do kostek szlafroka. Podrapał się po swej kłaczastej, siwej brodzie i wpatrzył się w Annie.

- Wstałaś. Zamierzasz pochodzić dłużej czy tylko dopóki ból głowy zupełnie cię nie rozłoży?

Przenikliwość tego pytania uświadomiła Annie, że jej ojciec wie, co to tragedia, a depresję znał nie tylko przelotnie. Wyciągnęła parę porcelanowych talerzy ze starego dębowego bufetu w rogu kuchni i szybko postawiła dwa nakrycia na przygotowanym do śniadania stole.

- Nie mam zamiaru do końca życia tkwić w tym dole psychicznym. Wydobywam się z niego. Od zaraz. Usiądź.

Wyciągnął krzesło, które zaszurgotało na zniszczonym, żółtym linoleum.

- Nie wiem, czy nakarmienie mężczyzny to taki wielki krok naprzód.

Uśmiechnęła się krzywo i usiadła naprzeciw niego.

- Właściwie pomyślałam sobie, że pójdę na zakupy.

- W Mystic? Jeśli nie szukasz idealnej przynęty na pstrąga, to nie jestem pewien, czy wiele znajdziesz.

Annie wpatrzyła się w swoje jajka. Chciała jeść - naprawdę - ale widok potraw wywoływał u niej lekkie mdłości. Miała nadzieję, że ojciec tego nie zauważy.

- Spróbuję kupić parę książek. To chyba dobra okazja, żeby nadgonić zaległe lektury. Może w wolnej chwili uda mi się przebrnąć przez *Moby Dicka*. A ubrania, które przywiozłam, tutaj się nie nadają.



- Taak, biały to nie bardzo praktyczny kolor w błotnistej okolicy. - Kapnął sobie trochę keczupu obok jajek i popieprzył całość. Sięgając po widelec, zerknął przez stół na Annie. Widziała, że ze wszystkich sił stara się powstrzymać uśmiech. - Brawo, Annie Wirginio. - A potem dodał ciszej: - Brawo.

Mystic drzemało w jasnym wiosennym słońcu. W mieście panował dziś ożywiony ruch, farmerzy, gospodynie domowe i rybacy pędzili tam i siam po betonowych chodnikach, by pozłatwiać swoje sprawy, gdy chmurki były jeszcze małe i rozpościerały się wysoko pod bladoniebieskim niebem. Wszyscy wiedzieli, że te same chmury mogą zebrać się razem, niczym grupa szkolnych bysiów znęcająca się nad młodszymi uczniami, i lunąć potokiem takiego deszczu, że nawet dorosły orzeł nie da rady wzlecieć.

Annie szła główną ulicą, zaglądając do różnych sklepów, kilka razy wpychając się przez półotwarte drzwi. Nieodmiennie nad jej głową dzwonił dzwoneczek, po czym rozlegał się głos: „Dzień dobry, panienko. Piękny mamy dzionek, co?” W kawiarni zamówiła podwójną mokkę z mlekiem i sączyła ją, idąc ulicą.

Mijała sklepy, sprzedające błyskotki dla turystów, narzędzia, materiały i sprzęt rybacki. Ale nie znalazła ani jednej księgarni. W dużym magazynie natrafiła na najnowszy bestseller Pat Conroy, ale poza tym nie widziała niczego interesującego. Nie było wielkiego wyboru. A szkoda, bo potrzebowała podręcznika na resztę życia.

W końcu stanęła przed sklepem z odzieżą „Raj Ewy”. Z wystawy uśmiechał się do niej manekin, odziany w jaskrawożółtą kurtkę deszczową i pasujący do niej kapelusz. Niezgrabnie zgiętym łokciem przytrzymał szyld z napisem: „Już wiosna w powietrzu”. Wielobarwne jedwabne kwiaty

wychylały główki z konewek stojących przy botkach manekina, a o jedną ze ścian oparte były grabie.

Annie przeszła przez szklane drzwi. Gdy wchodziła, nad jej głową zadźwięczał dzwoneczek. Skądś dobiegł ją pisk kobiety:

- Nie może być!

Annie rozejrzała się w poszukiwaniu właścicielki głosu. Molly Block, jej nauczycielka angielskiego jeszcze z liceum, przetoczyła się przez labirynt stojaków, wymachując pulchnymi rękoma.

- Annie? - zapytała z uśmiechem. - Annie Bourne, to ty?

- To ja, pani Block. Jak się pani miewa? Molly oparła dłonie na szerokich biodrach.

- Pani Block. Nie rób ze mnie takiej staruszki, Annie. Kiedy uczyłam waszą klasę, byłam praktycznie dzieckiem. - Znowu się uśmiechnęła i podciągnęła wyżej na nos okulary w stalowej oprawie. - Miło cię znowu widzieć. To już kopa lat.

- Ja też się cieszę z naszego spotkania, Molly.

- Co cię sprowadza w nasze lasy? Słyszałam, że wyszłaś za rozrywanego prawnika i prowadzisz wygodne życie w zadymionej Kalifornii.

- Wszystko się zmienia - westchnęła Annie.

Molly przechyliła głowę na lewo i przyjrzała się Annie.

- Dobrze wyglądasz, oddałabym wszystko, żeby się tak ostrzyc, choć w tej fryzurze wyglądałabym jak balon napełniony helem. Ale ten biały kaszmir nie na długo ci posłuży w naszej okolicy. Jedna porządna burza i będzie ci się wydawało, że wyszłaś z domu, mając na sobie zdechłego królika.

- To prawda - roześmiała się Annie. Molly poklepała ją po ramieniu.

- Chodź za mną.

Godzinę później Annie stała przed dużym lustrem. Miała na sobie dzinsy za dziewiętnaście dolarów (nigdy by nie przypuszczała, że produkuje się jeszcze dzinsy w tej cenie), bawełniane skarpetki i workowatą bluzę w praktycznym szarym kolorze.

W tym stroju poczuła się inną kobietą. Nie wyglądała na trzydziestodziewięciolatkę, która niebawem rozwiedzie się z wziętym kalifornijskim prawnikiem, sprawiała wrażenie zwykłej kobiety z małego miasteczka, takiej, która może trzyma konie i musi je karmić, albo maluje werandę. Kobiety, która ma własne życie. Po raz pierwszy fryzura prawie zaczęła się jej podobać.

- Dobrze ci w tym - rzekła Molly, krzyżując swe mięsiste ramiona i kiwając głową. - Wyglądasz jak nastolatka.

- W takim razie biorę wszystko.

Podliczając ceny, Molly cały czas trajkotała o życiu w Mystic, kto z kim śpi, kto zbankrutował, ponieważ nie udało mu się odnaleźć sowy w biało-brązowe cętki, kto kandyduje do rady miejskiej.

Annie wyjrzała przez okno. Słuchała jednym uchem miejskich ploteczek, ale nie mogła się skupić. Słowa Lurlene ciągle wracały do niej, krążyły w myślach. „Kathy zmarła przed ośmioma miesiącami”. Odwróciła się do Molly.

- Słyszałam... o Kathy Johnson... Delacroix.

Molly urwała, jej pulchne palce ciągnęły za metkę z ceną.

- To straszne nieszczęście. W liceum byliście ze sobą bardzo blisko. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Pamiętam, jak ty, Nick i Kathy wystawiliście burleskę na pokazie młodych talentów - wszyscy śpiewaliście jakąś głupiutką piosenkę z *Południowego Pacyfiku*. Nicky miał na sobie

niesamowity stanik z orzechów kokosowych i w środku piosenki wybuchnęliście takim śmiechem, że nie mogliście skończyć.

- Pamiętam - rzekła cicho, zastanawiając się, jak to możliwe, że na śmierć zapomniała o takiej hecy. - Jak się wie dzie Nickowi, odkąd... no wiesz? - Nie mogła zmusić się do wypowiedzenia tego słowa.

Molly syknęła i nożyczkami odcięła metkę z dzinsów.

- Nie mam pojęcia. Robi obchody i przypuszcza, że załatwia wszystko, co do niego należy - wiesz, że jest policjantem, co? Nie uśmiecha się już, a z tego, co słyszałam, jego córka jest w kiepskim stanie. Założę się, że dobrze by im zrobiły odwiedziny starej przyjaciółki.

Gdy Annie zapłaciła za nowe ubrania, podziękowała Molly za pomoc i zaniósła zakupy do samochodu. Tu siedziała przez chwilę za kierownicą, rozmyślając i wspominając.

Wiedziała, że nie powinna iść do niego, nie teraz, ot, tak sobie. Trzeba to przemyśleć. Nie można za pierwszym impulsem pakować się do życia obcego człowieka, tym bowiem dla niej był - obcym. Nie widziała Nicka od lat.

A ponadto sama była załamana i zmaltrretowana. Co by z niej przyszło dawnemu towarzyszowi młodości, który niedawno stracił żonę?

Ale mimo wszystko odwiedzi go. Z chwilą gdy Lurlene wspomniała jego imię, stało się to nieuniknione. Nieważne, że te sentymenty nie mają sensu, nieważne, że prawdopodobnie jej nie pamięta. Liczy się tylko, że kiedyś był jej przyjacielem, a jego żona - jej przyjaciółką. I że prócz niego nie ma dokąd pójść.

Zapadał już zmrok, gdy Annie zebrała się na odwagę, by odwiedzić Nicka. Kręta wstęga brązowej drogi prowadziła do domu Beauregarda. Po obu stronach porośnięta była wyniosłymi, starymi drzewami, ich pnie za-

słaniały dziko rosnące krzewy jagody amerykańskiej. Od czasu do czasu poprzez czarny skraj lasu przeblyskiwało srebrzyste odbicie jeziora. Kilka ostatnich promieni szarego słonecznego światła spłynęło, niczym mgła przez ciężkie, obrośnięte mchem gałęzie.

Nie padało, ale na szybie zaczęły się pojawiać maleńkie kropelki rosy. Na tej ziemi dziesięciu tysięcy wodospadów powietrze było zawsze ciężkie od wilgoci, a jeziora miały odcień akwamaryny, niczym blok lodowca. Niektóre jeziora, na przykład Mystic, okazały się tak głębokie, że miejscami nie znajdowano ich dna, i tak odległe, że czasami przy odrobinie szczęścia można było znaleźć parę dużych łabędzi, która zatrzymała się na jednym z nich w swej wędrówce. Tu, wciśnięte w dziki, rozmokły róg tej tajemniczej ziemi, na pewno będą bezpieczne.

Droga skręcała i wiła się, aż dobiegła końca na dużym, okrężnym podejździe ziemnym. Annie zaparkowała obok policyjnego wozu patrolowego, wyłączyła silnik i wpatrzyła się w piękny, stary dom, zbudowany na przełomie wieku, gdy drewno było solidne, a detale rzeźbili mistrzowie rzemiosła, dumni ze swej pracy. W oddali słyszała ryk potężnej rzeki Quinault i wiedziała, że o tej porze roku jej wody będą podmywać brzegi, gdy wezbrane potoczą się ku odległemu Oceanowi Spokojnemu.

Bładożółta mgła skrywała pół domu, unosząc się niewidzialnymi prądami nad jeziornym powietrzem. Pełzła dziwacznie po pobielonych stopniach werandy i okręcała się wokół rzeźbionych słupków.

Annie pamiętała noc, gdy dom ten błyszczał w świetle gwiazd. Był wtedy opuszczony, każde stłuczone okno zatrzymywało ułamki cienia i światła. Wraz z Nickiem dojechali tu na rowerach, położyli je przy jeziorze i wpatrywali się w wielką drewnianą ruinę.

- Któregoś dnia to będzie moje - powiedział do niej, a połyskujący księżyc pocałował jego przystojną twarz w ostre kąty. Nie zdawała sobie sprawy, że Nick zamierza ją pocałować, nie była na to przygotowana, lecz gdy dotknął ustami jej warg, tak delikatnie i nieobowiązująco jak muśnięcie skrzydła motyla, rozpląkała się.

Cofnął się, zmarszczywszy brwi. „Annie?”

Nie wiedziała, co się właściwie stało, dlaczego wybuchnęła łzami. Czuła się głupia i rozpaczliwie naiwna. To był jej pierwszy pocałunek i spaprała go.

Potem odwrócił się od niej. Skrzyżował ramiona i długi czas z nieodgadniętym wyrazem twarzy wpatrywał się w jezioro. Podeszła do niego, ale odepchnął ją, mamrocząc coś, że musi wracać do domu. Wtedy pocałował ją po raz pierwszy i ostatni.

Odrzuciła od siebie tamto wspomnienie i starała się myśleć wyłącznie o chwili obecnej.

Nick i Kathy doprowadzili do porządku stary dom -szyby zostały wstawione, a wszystko pomalowano słonecznożółtą farbą. Każde okno obramowane było okiennicą w kolorze myśliwskiej zieleni, a jednak całe to gospodarstwo sprawiało wrażenie... zaniedbanego.

Zeszłoroczne geranium i lobelia nadal stały w skrzynkach na kwiaty jako powiędły, trzeszczący pęk brązowych badyli. Trawa wyrosła o wiele za wysoko i mech zaczynał pokrywać ceglana ścieżkę. Brudny cementowy zbiornik, przeznaczony do kąpieli dla ptactwa, leżał na boku pośród gargantuicznych rododendronów.

Ale mimo wszystko było to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie zdarzyło się jej widzieć. Młoda wiosenna trawa miała odcień szmaragdowozielony i gęstość szynszyłowego futra; odsuwając się od

domu, łagodnie falowała w stronę błękitnej krawędzi jeziora. Za domem nabrzmiące chmury wisiały na niebie kolorem przypominającym polerowaną stal.

Annie wcisnęła torebkę pod ramię i powoli przeszła przez świszczący pod jej stopami mokry trawnik, a potem po schodach na werandę. Przystanąła pod dębowymi drzwiami, zaczerpnęła głęboko oddechu i zastukała. Cisza.

Już miała się odwrócić, gdy usłyszała wolne, szurające kroki. Nagle drzwi otworzyły się i stanął przed nią Nick.

Poznałaby go wszędzie. Był nadal wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, lecz czas uszczuplił bułowate ramiona piłkarza do mięsnych jak postronki. Nie miał koszuli, a ciemne, pofałdowane mięśnie brzucha schodziły do pary spranych lewisów, co najmniej o dwa numery za dużych. Wyglądał na twardego i żyłastego jak stara skóra, czas zdążył wyźłobić już zmarszczki w zapadniętych policzkach o bladej cerze. Włosy miał zmierzwione i zaniebane, a coś - upływ lat lub żaloba - wyszło z nich kolor, pozostawiając srebrzysty odcień pięciocentówki, gdy padnie na nią promień słońca.

Ale to jego oczy - niesamowite, błękitne w odcieniu wody w basenie - przyciągnęły i przykuły uwagę Annie. Obrzucił ją wzrokiem, okiem policjanta, któremu nie ujdzie żaden szczegół, ani nowa, trzpiotowata fryzura czy świeżo zakupione małomiasteczkowe ciuchy. A już z pewnością nie diament wielkości buicka na jej lewej ręce.

- Annie Bourne - powiedział cicho, bez uśmiechu. - Lurlene mówiła mi, że wróciłaś do miasta.

Zapadła niezręczna cisza, gdy Annie głowiła się, co by tu powiedzieć. Przeszła nerwowo z nogi na nogę.

- Przykro mi... z powodu Kathy.

Zbladł nieco, słysząc te słowa.

- Taak - odparł. - Mnie też.

- Wiem, jak bardzo ją kochałeś.

Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, a ona czekała, wychylona do przodu, ale w końcu się nie odezwał, po prostu przechylił głowę na bok i szerzej otworzył drzwi.

Weszła za nim do domu. Było ciemno - nie paliło się żadne światło, nie płonął ogień na kominku - a w powietrzu rozchodził się lekki zapaszek stęchlizny.

Coś kliknęło. Jaskrawe białe światło buchnęło z nieosłoniętej kloszem lampy. Było tak jasne, że Annie przez chwilę nic nie widziała. Potem jej wzrok przyzwyczaił się.

Bawialnia wyglądała, jakby ktoś rzucił na nią bombę. Obok kanapy leżała butelka szkockiej albo bourbona, kropla alkoholu zebrała się przy szyjce. Otwarte pudełka po pizzie zalegały podłogę, ubrania leżały w stertach na ziemi albo wisiały na oparciach krzesel. Pognieciona niebieska koszula policyjna leżała rzucona na telewizor.

- Nie spędzam zbyt wiele czasu w domu - rzekł w niezręcznej ciszy. Schylił się, podniósł z podłogi spłowiałą flanelową koszulę i włożył ją.

Czekała, żeby powiedział coś jeszcze, lecz skoro milczał, rozejrzała się wokół. Podłoga rozległej bawialni wyłożona była pięknymi dębowymi deskami, centralne miejsce zajmował w niej duży murowany kominek, poczerniały od wieku i dymu. Wydawało się, że na palenisku już od bardzo dawna nie rozniecano ognia. Nieliczne meble - spłowiała, brązowa skórzana kanapa, stojący obok niej stolicek z pnia drzewa, fotel klubowy z regulowanym oparciem - porozstawiane były przypadkowo po całym pokoju i pokryte cienką warstewką kurzu. Łukowate wejście z kamienia prowadziło



do jadalni, gdzie Annie ujrzała owalny klonowy stół i cztery porozrzucone krzesła, obite białą, pasiastą materią. Przypuszczała, że zamknięte zielone drzwi prowadzą do kuchni. Z lewej dębowe schody przyciskały się do ściany obitej jaskrawą tapetą i prowadziły na przyciemnione piętro.

Annie czuła na sobie spojrzenie Nicka. Nerwowo wyrwała niewidoczny kłębuszek zmechaconego materiału z rękawa i zastanawiała się, jak by tu zagadnąć.

- Słyszałam, że masz córkę.

Powoli skinął głową.

- Izzy. Isabella. Ma sześć lat.

Annie zacisnęła ręce, by nie poruszać nimi nerwowo. Spojrzeniem powędrowała na fotografię na gzymsie. Ostrożnie omijając śmieci na podłodze, dotknęła zdjęcia.

- Takich dwojga jak nas troje nie ma nawet jednego - rzekła z uśmiechem. - To pamiętam.

Zatopiona we własnych wspomnieniach, Annie jednym uchem usłyszała, że Nick, człapiąc, wychodzi z pokoju. Wrócił po chwili.

Stanął za nią tak blisko, że czuła na karku ciepło jego oddechu.

- Napiałabyś się czegoś?

Odwróciła się od kominka i stwierdziła, że stoi tuż przy niej, trzymając w rękach butelkę wina i dwie szklanki. Przez chwilę poczuła strach, potem przypomniała sobie, że są już dorośli i że zaproponowanie szklaneczki wina to uprzejmy sposób przyjęcia gościa.

- Bardzo chętnie. A gdzie jest twoja córka? Mogę ją poznać?

Przez jego oczy przemknął nieodgadniony wyraz.

- Nocuje dziś u Lurlene. Mają obejrzeć jakieś przedstawienie w teatrze Rose, w którym wezmą udział córki Buddy'ego. Usiądźmy nad jeziorem.

Zdjął koc z kanapy i wyprowadził Annie z domu. Razem, niezbyt blisko siebie, usiedli na kocu.

Annie sączyła wino, które nalał jej Nick. Zmrok zapadał łagodnie, śląc krwistoczerwone smugi poprzez drzewa. Błady półksiężyc wschodził z wolna, rozsnuwając błękitnobiałą zasłonę na powierzchni jeziora. Drobne, srebrzyste grzebienie fal pluskały o brzeg, chlupocząc na kamienistym gruncie. Wspomnienia rozsnuwały się w powietrzu, padając na ziemię wokół nich niczym deszcz. Przypomniała sobie, jak niegdyś było im dobrze razem, gdy obserwowali zawody sportowe, patrząc, jak Kathy przy bocznej linii pobudza publiczność do większego entuzjazmu, jak po meczu cisnęli się razem w budkach z laminatu, by zjadać ociekające tłuszczem hamburgery i frytki. Wtedy umieli ze sobą rozmawiać - nie pamiętała już, o czym - ale kiedyś była przekonana, że może powiedzieć mu wszystko.

A teraz, po tylu latach, gdy ich życie potoczyło się oddzielnymi, wyboistymi drogami, nie wiedziała, jak z pojedynczej nici utkać materiał do rozmowy.

Westchnęła, sącząc wino. Piła więcej, niż powinna, i do tego szybciej, ale pomagało jej to wywikłać się z kłopotliwej sytuacji. Pojawiło się kilka gwiazd, szpileczek światła, wyzierających z purpurowoczerwonego podwieczornego nieba.

Nie mogła już wytrzymać tej ciszy.

- Piękny...

- Ładne gwiazdy - jednocześnie odezwali się oboje. Annie zaśmiała się.

- Gdy nie jesteś pewien, co powiedzieć, wspomnij o pogodzie albo o widoku.

- Możemy zrobić coś lepszego - rzekł cicho. - Życie jest za krótkie na błahe pogaduszki.

Gdy się do niej odwrócił, zobaczyła, że wokół jego błękitnych oczu wyłobila się sieć zmarszczek. Wyglądał na smutnego, zmęczonego i niewypowiedzianie samotnego. To ta samotność sprawiła, że poczuła się, jakby znowu byli kumplami, ofiarami podobnej wojny, toteż dała sobie spokój z próbą pogawędki, nie chciała już plądrować kopalni wspólnie spędzonych młodych lat, lecz od razu zagłębiła się w ich życie prywatne.

- W jaki sposób umarła Kathy?

Wypił swoje wino do końca i nalał sobie następną szklanę. Połyskujący złoty płyn chlapnął na brzeg szklanki i rozlał się, oblewając mu nogawkę.

- Zabiła się.

Annie wpatrzyła się w Nicka, zbyt oszołomiona, by odpowiedzieć.

- Sama nie wiem... - Nie mogła zdobyć się na formułkę: „Strasznie mi przykro”. Słowa te wydawały jej się zbyt puste, wręcz nieprzyzwoicie oklepane. Przełknęła duży łyk wina.

Nick najwyraźniej nie zauważył, że się nie odezwała, a może był jej za to wdzięczny. Ciężko wzdychając, wpatrywał się w jezioro.

- Pamiętasz, jakie miewała zmienne nastroje? Już wtedy miotła się na skraju rozpacz - przez całe życie i nikt z nas tego nie zauważył. Przynajmniej ja niczego nie dostrzegłem, póki... naprawdę nie zaczęło się z nią źle dziać. Im była starsza, tym bardziej jej stan się pogarszał. Maniakalno-depresyjny. Taka była oficjalna diagnoza. Zaczęła mieć pierwsze objawy tuż po dwudziestych urodzinach, zaledwie sześć miesięcy po wypadku samochodowym, w którym zginęli jej krewni. Przez parę dni była słodka jak miód, potem coś ją nachodziło... płakała i zamykała się w pokoiku. Przeważnie nie chciała brać lekarstw, mówiła, że czuje się wtedy, jakby oddychała przez galaretkę. - Głos mu się załamał i przełknął potężny łyk wina. - Pewnego dnia, gdy wcześniej wróciłem do domu z pracy, zastałem ją w łazience, jak stała, płacząc i uderzając głową o ścianę. Odwróciła się do mnie, z twarzą wymazaną łzami i krwią, po czym powiedziała: „Jak się masz, kochany? Przygotować ci coś do jedzenia?”

Kupiłem ten dom, by była w nim szczęśliwa, w nadziei, że przypomni sobie, jak kiedyś wyglądało nasze życie. Myślałem, że jeśli znajdzie schronienie, bezpieczne miejsce, w którym wychowa dzieci, wszystko będzie dobrze. Chryste, chciałem jej tylko pomóc...

Głos znowu mu się załamał, i wypił jeszcze jeden łyk wina.

- Przez jakiś czas tak było. Włożyliśmy nasze serca, dusze i oszczędności w to stare mauzoleum. Potem Kathy zaszła w ciążę. Początkowo po urodzeniu Izzy wszystko szło dobrze. Kathy brała lekarstwa i próbowała... strasznie się starała, ale nie potrafiła dać sobie rady z dzieckiem. Zaczęła nienawidzić tego miejsca - ogrzewanie prawie nie działało, rury świszczwały. Jakiś rok temu w ogóle przestała przyjmować lekarstwa... a potem wszystko się zawaliło.

Skończył drugą szklanekę wina i nalał sobie następną. Potrząsając głową, rzekł cicho:

- I mimo wszystko do głowy mi nie przychodziło, że to się może tak skończyć.

Nie chciała już dłużej tego słuchać.

- Nick, nie oskarżaj...

- Pewnej nocy wróciłem z pracy do domu z litrowym pudełkiem lodów z karmelem i orzechami oraz pożyczonym wideo i znalazłem ją. Strzeliła sobie w głowę... z mojej broni.

Palce Annie zacisnęły się wokół krawędzi szklanki.

- Nie musisz o niej mówić.

- Ale chcę. Nikt inny o nią nie pytał. - Zamknął oczy i oparł się na łokciach. - Kathy jakby pochodziła z tego dziecięcego wierszyka: gdy była dobra, była bardzo, bardzo dobra, lecz gdy wpadała w złość, człowiek chciałby zwiewać do Nebraski.

Annie odchyliła się i spojrzała w gwiazdy. Wino szumiało jej w głowie, lecz dzięki temu zacierały się ostre tony jego słów.

Przesłał jej zmęczony uśmiech.

- Jednego dnia kochała mnie całym sercem i duszą, następnego w ogóle nie chciała się do mnie odzywać. Najgorzej było w nocy, czasami całowała mnie, a kiedy indziej odwracała się do ściany. Gdybym jej choćby dotknął w taką noc, wrzasnęłaby, żebym sobie poszedł. Zaczęła opowiadać nieprawdopodobne historie - że ją biję, że Izzy to w gruncie rzeczy nie jej córka, że jestem oszustem, który z zimną krwią zamordował jej prawdziwego męża. Doprowadzało mnie to... do szaleństwa. Im bardziej się ode mnie odsuwała, tym usilniej starałem się do niej zbliżyć. Wiedziałem, że jej nie pomagam, ale nie mogłem się powstrzymać. Ciągle myślałem, że gdybym dość mocno ją kochał, przyszłaby do siebie. Teraz, gdy jej już nie ma, myślę tylko o tym, jaki byłem samolubny, głupi i naiwny. Powinienem był posłuchać tego lekarza i odesłać ją do szpitala. Przynajmniej by żyła...

Bez namysłu Annie wyciągnęła do niego rękę, delikatnie dotknęła jego twarzy.

- To nie twoja wina.

Spojrzał na nią ponuro.

- Gdy żona strzela sobie w głowę w moim łóżku, z dzieckiem śpiącym piętro niżej, uwierz mi, że, jej zdaniem, jest to moja wina. - Wydał z siebie cichy, przytłumiony dźwięk, niczym skomlenie bitego szczeniaka. -Boże, ależ musiała mnie nienawidzić...

- Tak naprawdę wcale w to nie wierzysz.

- Nie. Tak. Czasami. - Gdy mówił, usta mu drżały. -A najgorsze jest to, że chwilami ja też jej nienawidziłem. Nienawidziłem Kathy za to, co robiła mnie i Izzy. Coraz bardziej przypominała moją matkę... i gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że nie zdołam jej uratować. Może przestałem się starać... Sam nie wiem.

Jego ból poruszył ją do głębi, nie mogła się odeń odwrócić. Wzięła mężczyznę w ramiona, głaszcząc go, jakby uspokajała dziecko.

- Już dobrze, Nick...

Gdy w końcu przyciągnął ją do siebie i popatrzał na nią, oczy miał zalane łzami.

- Jest jeszcze Izzy... moja dziewczynka. Od miesiący nie odezwała się ani słowem... a teraz wydaje się jej, że znika. Z początku chodziło o palec lewej ręki, potem kciuk. Gdy zniknęła ręka, zaczęła nosić czarną rękawiczkę i przestała mówić. Ostatnio zauważyłem, że używa tylko dwóch palców prawej ręki - pewnie myśli, że ta ręka również znika. Bóg wie, co robi, gdy... - Usiłował się uśmiechnąć. Widziała nadludzki wysiłek, do którego się zmuszał, by po prostu mówić, ale mu się nie udało. Widziała, jak Nick traci panowanie nad sobą, które odrywa się jak kawałek mokrej papierowej chusteczki. - Co mogę poradzić? Moja sześciolatnia córka schowała się któregoś dnia pod łóżko, bo usłyszała hałas. Chciała pójść do mamy, by ją uściskała, ale, Bogu dzięki, nie zrobiła tego. Wtedy właśnie jej mama przyłożyła sobie pistolet do głowy i rozwalila sobie mózg. Gdyby Izzy przeszła się tej nocy po holu, zobaczyłaby kawałki swojej matki na lustrze, na podglówku, na poduszce... - Łzy pociekły mu po nieogolonych policzkach.

Czuła jego smutek, zmieszany gdzieś w ciemności z jej własnym bólem. Pragnęła powiedzieć Nickowi, że wszystko się ułoży, że to przeżyje, ale słowa nie wypływały z jej ust.

Nick popatrzał na nią, a ona wiedziała, że wszystko zrozumiał mimo zasłony łez. Dotknął jej policzka, objął za szyję i przyciągnął do siebie.

Wiedziała, że ta chwila zostanie z nią na zawsze, choć będzie chciała o niej zapomnieć. Może zacznie się zastanawiać, co ją tak poruszyło - czy

blask gwiazd na wodzie, czy też odbicie księżycowego światła na jeziorze, które opromieniło łzy Nicka, sprawiając, że jego oczy wyglądały jak łuski stopionego srebra? A może własna samotność, przenikająca Annie do głębi, jakby do jej złamanego serca przyciśnięto twardą kostkę lodu.

Cicho wyszeptała jego imię, co w ciemności zabrzmiało jak błaganie albo modlitwa.

Pocałunek, który wycisnęła na jego wargach, miał być mu pociechą, okazaniem łagodnego współczucia sercu, którego uczucia się rozumie. Jednak gdy ich wargi przywarły do siebie, miękkie, chętne i słone od łez, wszystko się zmieniło. Pocałunek stał się gorący, pełen pożądania, rozpaczliwy. Myślała o Blake'u i wiedziała, że Nick ma przed oczyma Kathy, ale to już nie było ważne. Liczyła się rozkosz połączenia.

Niezdarnie rozpiniała mu guziki koszuli, czym prędzej wsunęła ręce pod znoszoną flanelę i rozpostartymi dłońmi przesuwiała po szorstkich, kręcących się włosach na jego piersi. Niepewnie głaskała go po ramieniu, a potem pieściła nagie plecy mężczyzny. Dotykając Nicka, czuła, że robi coś tajemnego, zabronionego i niebezpiecznego, co sprawiło, że zapragnęła...

Z jękiem ściągnął z siebie koszulę i cisnął ją na ziemię. Obok wylądowało ubranie Annie. Jej szara bluza i stanik pozęgłowały po mokrej trawie niczym flagi poddańcze.

Zimne nocne powietrze musnęło jej nagą skórę. Zamknęła oczy, zawstydzona siłą swego pożądania. Jego ręce były wszędzie, dotykając jej, pocierając, głaszcząc, ściskając, przesuwając się po krzywiźnie pleców. W jakimś odległym zakątku umysłu czuła, że ją ponosi, że to kiepski pomysł, ale czuła się wspaniale. Od bardzo dawna nikt jej tak strasznie nie pożądał. Może nigdy...



Stali się dzikim, namiętym kłębem nagich członków i łapczywych ust. Annie poddawała się wszelkim bolesnym pieścizotom - twardym odciskom jego palców na swej twarzy, piersiach, pomiędzy nogami. Dotykał ją w zaskakujących miejscach, w sposób nie do pojęcia, aż jej ciało znalazło się na pulsującej granicy między bólem i rozkoszą. Oddychała urywanymi, nierównymi falami, aż zaczęła błagać o powietrze i uwolnienie.

- Proszę cię, Nick - zawodziła.

Przylegała doń, czując mokrą wilgoć łez na policzkach, i nie wiedziała, czy płynęły z jego oczu, czy z jej, a może były ich połączeniem. Kiedy w nią wszedł, przeżyła oszalamiającą, rozpaczliwą chwilę, gdy wydawało jej się, że zaraz zacznie krzyczeć...

Orgazm wstrząsnął Annie. Nick przywarł do niej, jęczał, a gdy wyczuła, że i on wznosi się na szczyty namiętności, znowu się podnieciła, wśród szlochów wykrzykując jego imię, opadając na wilgotną, owłosioną pierś. Wziął Annie w ramiona, głaskał po włosach, mrużąc do ucha ciche, kojące słowa. Lecz serce waliło jej tak mocno i puls bił tak silnie w uszach, że nie miała pojęcia, co mówił.

Powrotowi Annie na ziemię, pośród nawały gwiazd, towarzyszył głuchy łomot. Leżała naga obok Nicka, oddychając urywanie. Niebo nad jej głową było czarne jak smoła, usiane gwiazdami, a noc pachniała rozlanym winem i zaspokojoną żądzą.

Bardzo powoli Nick oderwał od niej rękę. Bez ciepła jego uścisku jej skóra była lepka i zimna.

Chwyliła jeden koniec koca i przykryła nim nagie piersi, odsuwając się od Nicka.

- O mój Boże - wyszeptała. - Co myśmy zrobili?

Skulił się, chowając twarz w dłoniach.

Przeczołgała się przez mokrą trawę i schwyciła spódnice, przyciągając ją ku sobie. Musi się stąd wydostać, teraz, zaraz, zanim całkiem się rozpadnie.

- To się nie stało - powiedziała szeptem, niepewnym głosem. - To się wcale nie stało.

Nie spojrział na nią, zgarniając swe ubrania, które pospiesznie włożył. Gdy znowu poczuł się uzbrojony, wstał i odwrócił się do niej plecami.

Drżała i ubierając się, robiła wszystko, co w jej mocy, by nie płakać. Przymuszalnie porównywał ją z Kathy, przypominając sobie, jak piękna była jego żona, i dziwił się, co też, u diabła, zrobił, uprawiając seks z tą wychudzoną, postarzałą, zbyt krótko obciętą kobietą, która pozwoliła zrobić z siebie takie nic...

Wstała wreszcie. Wpatrywała się w swe stopy, pragnąc, by ziemia się pod nią zapadła.

- Może raczej wróć - chciała powiedzieć „do domu”, ale nie miała domu, w którym czekałby na nią mąż. Przełknęła z całej siły i powiedziała coś całkiem innego. - Do domu taty. Będzie się martwił...

W końcu Nick odwrócił się do niej. Twarz miał po-brużdżoną zmarszczkami, ściągniętą, a smutek w jego oczach odczuła jak policzek. O Boże, jak bardzo chciała zniknąć...

- Nigdy nie spałem z nikim, prócz Kathy - powiedział cicho, unikając jej wzroku.

- Och - na tyle tylko mogła się zdobyć, lecz jego ciche wyznanie poprawiło jej samopoczucie. - Dla mnie też to pierwszy raz.

- Chyba rewolucja seksualna nas pominęła.

Kiedy indziej mogłoby to ją rozbawić. Kiwnęła w kierunku samochodu.

- Chyba powinnam już jechać.

Bez słowa ruszyli do jej wozu. Uważała, by nie dotknąć Nicka, lecz przez całą drogę myślała o jego rękach na swym ciele, o żarze, jaki w niej wzniecił, w miejscu, które od tak dawna było zimne i puste...

- A więc - powiedział po niezręcznej chwili milczenia - rozumiem, że Bobby Johnson kłamał, gdy mówił, że cię dopadł po meczu z Sequin?

Stanąła jak wryta, z całych sił starając się nie wybuchnąć nawet dla niej niespodziewanym śmiechem.

- Dopadł mnie?

Z uśmiechem wzruszył ramionami.

- On to powiedział, nie ja.

- Dopadł mnie? - Potrząsnęła głową. - Tak powiedział Bobby Johnson?

- Nie przejmuj się - uznał, że byłaś dobra. I wcale nie dawał do zrozumienia, że zrobiłaś mu cygaro.

Tym razem naprawdę się roześmiała i nieco opadło z niej napięcie. Szli dalej po mokrej trawie do jej samochodu. Otworzył jej drzwi, a ją zdumiał ten nieoczekiwany przejaw rycerskości. Od lat nikt nie otwierał przed nią drzwi.

- Annie? - powiedział cicho jej imię.

Uniosła ku niemu wzrok.

- Tak?

- Nie żałuj tego, co się stało. Proszę.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Na parę chwil Nick sprawił, że czuła się piękna i godna pożądania. Jakże może tego żałować? Chciała znowu wyciągnąć do niego rękę, zrobić cokolwiek, co by odeгнаło zimną samotność, która znowu ją ogarnie, gdy wsiądzie do wynajętego samochodu i zatrzaśnie drzwi.

- Lurlene powiedziała, że szukasz niani dla... dla Isabelli... Mogłabym ją przypilnować... w ciągu dnia... gdybym w ten sposób mogła ci ulżyć...

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego miałabyś się dla mnie poświęcać?

To pytanie ją zasmuciło, przebijało zeń niedowierzanie, płynące z rozczarowań całego życia.

- To mnie by ulżyło, Nick. Naprawdę. Pozwól, że ci pomogę.

Długo się w nią wpatrywał tym czujnym spojrzeniem policjanta. Potem powoli, z namysłem, uniósł jej rękę.

W bladym świetle księżyca trzykaratowy diament zabłysnął zimnym ogniem.

- Czy twoje miejsce nie jest gdzie indziej?

Teraz się dowie, jaką poniosła porażkę, dlaczego po tylu latach wróciła do Mystic.

- Ostatnio żyjemy z mężem w separacji... - Chciała powiedzieć więcej, dorzucić beztronską wymówkę na koniec tego porażającego, gorzkiego wyznania, choć paliły ją łzy w oczach.

Puścił jej rękę, jakby go parzyła.

- Jezus, Annie. Zachowałem się jak skomlący dupek, jakby nikt inny na świecie nie miał kłopotów. Nie powinnaś mi na to pozwolić. Trzeba było...

- Naprawdę nie chcę rozmawiać na ten temat. - Ujrzała, że się wzdrygnął, i natychmiast pożałowała swego tonu. - Przepraszam. Ale dość już tego wyplakiwania się, jak na jedną noc.

Skinął głową, odwracając na chwilę wzrok. Wpatrzył się w dom.

- Izzy z pewnością przydałaby się dobra przyjaciółka. Ja na nic jej się nie zdaję.

- Mnie też by to pomogło. Czuję się teraz trochę... zagubiona. Chciałabym być komuś potrzebna.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Lurlene przyda się przerwa od opieki na dzieckiem. Chciała razem z Buddym pojechać do Branson, a ponieważ Izzy nie chodzi do szkoły... - Westchnął. - Jutro muszę zabrać Izzy od Lurlene. Może spotkalibyśmy się u niej - mieszka w Raintree Estates - pamiętasz, gdzie to jest? Różowy dom z krasnoludkami na podwórku. Trudno go przeoczyć.

- Jasne. O której?

- Powiedzmy: o pierwszej? Spotkam się tam z tobą w czasie przerwy na lunch.

- Doskonale. - Wpatrywała się weń jeszcze przez całą długą minutę, po czym odwróciła się i otworzyła drzwi samochodu. Wsiadła, włączyła silnik i z wolna odjechała. W tylnym lusterku zdążyła jeszcze dostrzec postać Nicka, odprowadzającego ją wzrokiem.

Jeszcze długo po jej odejście Nick stał na skraju trawnika, wpatrując się w ciemniejącą drogę. Z wolna ruszył do domu, zatrzasnął za sobą obite siatką drzwi. Podszedł do kominka i znowu podniósł fotografię ich trojga. Długo się w nią wpatrywał, po czym ze znużeniem wszedł po skrzypiących schodach do starej sypialni. Zebrawszy siły, otworzył drzwi. Ostrożnie wszedł do środka, lecz wzrok szybko przyzwyczał się do ciemności. Dojrzał wielkie, niepościelone łóże, porozrzucone wszędzie ubrania. Widział też lampę, którą Kathy zamówiła u Spiegła, i bujany fotel, zrobiony własnoręcznie, gdy urodziła się Izzy.

Podniósł podkoszulek z podłogi, zatrzasnął za sobą drzwi i po nalaniu sobie mocnego trunku położył się na tapczanie. Wiedział, że niebezpiecznie

jest zalewać się, by zagłuszyć ból, a w ciągu ostatnich paru miesięcy coraz częściej sięgał po tę złudną pociechę.

Ułożywszy się wygodnie, pociągnął długi, kojący łyk. Gdy opróżnił szklanekę, nalał sobie następną.

To, co robili dziś wieczorem z Annie, niczego nie zmieniło. Musi o tym pamiętać. Tylko na ulotną chwilę obudziła w nim życie. Niebawem odjedzie, a on znów zostanie sam, wdowiec z dzieckiem, które ma problemy. Tylko on może znaleźć sposób na przebrnięcie przez resztę życia.

Gdy Annie podjechała pod dom ojca, w bawialni paliło się światło. Skrzywiła się na myśl o rozmowie z nim akurat teraz, o drugiej w nocy, gdy jej ubranie było tak pogniecione i wilgotne. Boże, pewnie pachniała seksem.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę domu. Tak jak się spodziewała, Hank czekał na nią w bawialni. Ogień trzaskał radośnie na kominku, śląc aksamitno-żółty płomień w głąb mrocznego pokoju.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Hank uniósł wzrok znad książki, którą czytał.

- No, no - powiedział, zsuwając z oczu dwuogniskowe szkła.

Annie z zakłopotaniem wygładziła zmięte ubranie i przejechała ręką po swych zbyt krótkich włosach, mając nadzieję, że nie przyłgnęło do nich źdźbło trawy.

- Nie musiałeś na mnie czekać.

- Doprawdy? - zamknął książkę.

- Niepotrzebnie się o mnie martwiłeś. Już dawno skończyłam szesnaście lat.

- Ależ wcale się nie martwiłem, skoro już zadzwoniłem na policję i do szpitala.

Annie usiadła na skórzanym fotelu obok kominka.

- Przepraszam, tato. Nie przywykłam, żeby ktoś się o mnie troszczył. Blake'a zupełnie nie obchodziło... -Przygryzła język, żeby powstrzymać gorzkie wyznanie,

I zdobyła się na blady uśmiech. - Odwiedziłam starego przyjaciela. Powinnam była zadzwonić.

- Owszem, powinnaś. A u kogóż to spędziłaś wieczór?

- U Nicka Delacroix. Pamiętasz go?

Krótkie, grube palce Hanka zabębniły po okładce książki.

- Powinienem się spodziewać, że tam wylądujesz. Wasza trójka w liceum była nierozłączna. Słyszałem, że nie idzie mu najlepiej.

Annie pomyślała, że Nick stanowi smakowity kąsek dla miejscowych plotkarzy.

- Chcę mu trochę pomóc, zająć się jego córką, kiedy on jest w pracy, coś w tym rodzaju. Chyba potrzebna mu chwila oddechu.

- Czy wyście ze sobą nie kręcili w liceum? - Rzucił jej pytające spojrzenie. - Czy też chcesz się odegrać na Blake'a?

- Oczywiście, że nie - odparła zbyt szybko. - Sam mi powiedziałeś, że powinnam coś zrobić, czekając, aż Blake się ocknie.

- Nick, to jedno wielkie nieszczęście, Annie Wirginio. Tonie i może pociągnąć cię za sobą.

Annie uśmiechnęła się łagodnie.

- Dzięki, że się o mnie martwisz, tato. Kocham cię za to. Ale ja po prostu chcę się zaopiekować jego córką, i tyle.

- I tyle? - Nie było to pytanie.

- Powiedziałeś mi, że muszę postarać się o jakieś zajęcie. A niby co ja mam robić - leczyć raka? Jestem żoną i matką. Nikim więcej. - Pochyliła się do przodu, zawstydzona, że nie może mu wyznać całej prawdy: że nie

zniesie dłużej tej samotności. Powiedziała więc coś, co było mniej bolesne. - Tato, jestem zbyt stara, by się okłamywać i by się zmieniać, a jeśli się czymś nie zajmę, po prostu wybuchnę. Tu akurat coś znalazłam. Nick i Izzy potrzebują mojej pomocy.

- Osobą, która w tej chwili potrzebuje pomocy, jesteś ty sama.

Odpowiedziała mu zrezygnowanym, słabym, ledwo słyszalnym śmiechem.

- Przyznasz, że nigdy sobie z tym nie radziłam, co?

RS



## 8

Annie odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka, spowita jeszcze przejrzystym jak mgiełka koszmarem snu. Zmora z dzieciństwa znowu zaczęła ją prześladować. Annie śniła, że została uwięziona w potężnym gmaszysku, o setkach pustych pokojów, skąd rozpaczliwie pragnęła się wydostać.

Gdy się budziła, zaczynała od razu myśleć o Blake'u. Ale, oczywiście, nie leżał przy niej w łóżku. To jedna z wielu rzeczy w jej życiu, do których musi przywyknąć. Już nikt jej nie przytulił po przeżyciu koszmaru.

Coraz trudniej przychodziło jej uwierzyć, że Blake kiedyś do niej wróci, a utrata tej ulotnej nadziei sprawiła, że czuła się pusta niczym trzcina wysuszona letnim upałem.

Łzy paliły ją w oczy. Zeszłej nocy po raz pierwszy w życiu złamała małżeńską przysięgę wierności. Przestała być wierną jednemu mężczyźnie, którego kochała. I, co najgorsze, guzik go to obchodziło.

\* \* \*

Nick właśnie zamierzał wpisać się na przerwę na drugie śniadanie, gdy zadzwonił telefon - kłótnia rodzinna na Old Mill Road.

Dom Weaverów.

Z westchnieniem zawiadomił dyspozytorkę i poprosił, by dała znać Lurlene. Nici ze spotkania z Annie i Izzy.

Włączywszy syrenę i światła, popędził wyżłobionym koleinami asfaltem, który prowadził z miasta. Jechał Old Mill Road wzdłuż ostrych zakrętów, wijących się obok lasu Simpson, przez betonowy most ponad burzliwymi, srebrzystymi wodospadami rzeki Hoh, aż wreszcie znalazł się

na podejździe. Przekrzywiona, powyginana skrzynka na listy, zardzewiała na brunatny kolor, zwisała niepewnie nad spróchniałym, łukowatym kawałkiem drewna, jakby wyrzuconym przez fale. Skręcił ostrożnie w krętą dróżkę, wyciętą ręcznie w gęstym, czarnym lesie, porastającym okolice. Tu, w głębi puszczy, słońce nie przedzierało się poprzez gałęzie drzew, roślinność miała ciemny, złowrogi odcień nawet w środku dnia. Na krańcu błotnistej alejki wznosiło się wzgórze, porośnięte gęstymi, wiecznie zielonymi drzewami. Na jego zboczu rozciągała się polanka wielkości ćwierci hektara. W jej tylnym rogu rozkraczyła się w błocie rozchwierutana przyczepa mieszkalna. Przy wejściu Nicka powitały skomlące i szczekające psy.

Nick znowu połączył się przez radio z dyspozytornią, by zawiadomić ją o swoim przyjeździe, po czym wybiegł z samochodu. Opierając jedną rękę na kolbie rewolweru, rozbryzgiwał kałuże, którymi usiany był podjazd, aż wskoczył na drewniane skrzynki, służące jako stopnie frontowe. Już miał zastukać, gdy z przyczepy dobiegł go krzyk.

- Policja! - ryknął, wpadając przez drzwi. Odemknęły się gwałtownie do środka i trzasnęły w ścianę. Przez cały pokój przebiegło drżenie.

- Sally? Chuck?

Psy na zewnątrz szalały. Wyobraził sobie, jak naprężają łańcuchy, warcząc na siebie, ze wszech sił pragnąc powstrzymać intruza.

Starał się dojrzeć możliwie jak najwięcej w mrocznym wnętrzu. Wytarte dywany w zielonkawym kolorze, zaśmiecone puszkami po piwie i popielniczkami, tłumili ciężkie dudnienie jego kroków, gdy ostrożnie posuwał się naprzód.

- Sally?

W odpowiedzi usłyszał skrzeczenie.

Nick przebiegł przez brudną kuchnię i pchnął zamknięte drzwi sypialni.

Chuck przyspilił żonę do boazerii ze sztucznego drewna. Krzyczała pod jego ciężarem, usiłując osłonić twarz. Nick schwycił Chucka za kark i odrzucił go na bok. Pijany mężczyzna sapnął ze zdziwienia i potknął się, padając z trzaskiem na deskę do prasowania. Nick określił się, znowu chwycił Chucka i zakuł go w kajdanki.

Chuck mrugnął doń, najwyraźniej usiłując skupić spojrzenie.

- Do diabła, to Nicky - wyskomlał niskim, niewyraźnym głosem. - Co ty wyprawiasz, do cholery? Mieliśmy małe małżeńskie nieporozumienie.

Nick powściągnął nagłą, gwałtowną chęć, by walnąć pięścią w mięsistą twarz Chucka.

- Nie ruszaj się stąd, do cholery! - krzyknął i cisnął nim tak mocno, że pijaczyna rozplaszczył się na podłodze, pociągając za sobą tanią lampę Kmarta. Żarówka pękła, pogrążając maleńki pokój w ciemnościach.

Nick, trzymając dłoń na palce, ostrożnie ruszył ku Sally. Opierała się teraz o ścianę, jej podarta, poplamiona sukienka zbryzgana była krwią. Dolną wargę miała nierówno porozcinaną, a na jej szczękę już wypełzał purpurowy siniec.

Nie pamiętał, ile razy już tu interweniował, ilekroć powstrzymywał Chucka przed zabiciem żony. Ich małżeństwo to była wredna sprawa jeszcze na długo przed zwolnieniem Chucka z fabryki, ale od tego czasu przerodziło się w koszmar. Chuck cały dzień spędzał w tawernie Zoe, sącząc piwo, na które nie mógł sobie pozwolić, i wściekając się. Gdy spełzał z krzesła przy barze i potykając się, ruszał do domu, był złośliwy niczym sparszywiaty pies podwórzowy, a kiedy zajeżdżał swą zdezelowaną ciężarówką na podjazd, rozpierała go chęć rozróbby.

Jedyną osobą, na której mógł wyrzeć swą złość, była Sally.

Nick dotknął jej ramienia. Odetchnęła głośno i skuliła się.

- Nie...

- Sally, to ja, Nick Delacroix.

Z wolna otworzyła oczy, a wówczas ujrzał bezmiar jej rozpacz i wstydu. Przyłożyła drżącą, posiniaczoną rękę do twarzy i usiłowała odgarnąć z policzka zlepione krwią włosy. Łzy napłynęły do jej podkrążonych oczu i pociekły po poobijanych policzkach.

- Och, Nick... Czyżby Robertowie znowu cię wezwali? - Odsunęła się od niego i wyprostowała, usiłując sprawić wrażenie, że wszystko toczy się normalną kolejną rzeczą, a ona panuje nad sytuacją. - Nic takiego się nie stało, naprawdę, Chuckie po prostu miał zły dzień, i tyle. Wytwórnia papieru nie szuka nowych pracowników...

Nick westchnął.

- To nie może tak dalej trwać, Sally. Któregoś dnia cię zabije.

Spróbowała się uśmiechnąć, lecz była to niezdarna, sromotna porażka, która rozdarła Nickowi serce. Jak zawsze Sally przywodziła mu na myśl matkę i wymówki, którymi przez lata usprawiedliwiała alkohol.

- Och nie, nie mój Chuckie. Po prostu bywa trochę przygnębiony, i tyle.

- Tym razem przymknę go, Sally, ale chcę, żebyś złożyła formalną skargę.

Chuck chwiejnym krokiem wychynął z kąta, potykając się o łóżko.

- Nie robi mi tego, nieprawdaż, skarbie? Dobrze wie, że nie chciałem jej skrzywdzić. Po prostu czasami doprowadza mnie do szału. Nie miałem co wziąć do ust, kiedy wróciłem do domu. Mężczyzna musi czasem coś zjeść, mam rację, Nick?

Sally ze zmartwioną miną spojrzała na męża.

- Strasznie cię przepraszam, Chuckie. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

Porażka przygarbiła Nicka i przebiegła po nim niczym zimna fala.

- Pozwól, że ci pomogę, Sally - rzekł cicho, pochylając się ku niej.

Poklepała go po ramieniu.

- Nie potrzeba mi żadnej pomocy, Nick. Ale dzięki, że przyjechałeś.

Nick stał przed nią, wpatrując się w jej postać. Kurczyła się i marniała pod jego wzrokiem. Poszarpana bawełniana sukienka wydawała się na nią za duża, zwisała z jej szczupłych ramion i opadała fałdziejście na chude ciało. Wiedział z taką pewnością, jak znał własne nazwisko, że któregoś dnia odbierze jeszcze jeden podobny telefon, tyle że Sally będzie już zakatowana na śmierć.

- Sally...

- Proszę cię, Nick - rzekła drżącym głosem, z oczyma wypełnionymi łzami. - Proszę, nie...

Nick odwrócił się. W żaden sposób nie mógł jej pomóc. Ta świadomość zaboląła go do głębi, aż zaczął się zastanawiać, po jakiego diabła właściwie wykonuje tę robotę. Nie przynosiła mu satysfakcji, a w każdym razie bardzo niewiele. Nie mógł nic zrobić z Chuckiem, póki Chuck nie zabije żony, a wtedy, naturalnie, będzie za późno.

Przestąpił kosz na brudną bieliznę i chwycił Chucka za kołnierz.

- No dalej, Chuck. Odeśpisz na mieście.

Nie zwrócił uwagi na skomlenia Chucka i nie chciał znowu patrzeć na Sally. Nie musiał. Sally pójdzie za nimi, szepcząc słowa przeprosin do męża, który połamał jej kości, przyrzekając, że „się poprawi”, gdy mąż

wróci do domu, i przysięgając na wszystkie świętości, że odtąd obiad będzie czekał gotowy na stole.

Jej zachowanie nie doprowadzało Nicka do mdłości. Niestety, rozumiał Sally. W młodości był do niej podobny, łąził za matką jak wygłodniały psiak, błagając o odrobinę miłości, rzucając się na wszelkie uczuciowe ochłapy, które czasami ciskała w jego stronę.

Tak, aż za dobrze rozumiał, dlaczego Sally została z Chuckiem. I wiedział też, że to się źle skończy dla nich obojga. Ale nie mógł nic zrobić, by im pomóc. Co najwyżej wrzucić Chucka do celi, by wytrzeźwiał, i czekać na następne wezwanie z powodu awantury w domu na Old Mill Road.

Izzy Delacroix leżała ciasno skulona na gościnnym łóżku Lurlene. Poduszka cuchnęła, i to okropnie. Prawie co wieczór pobudzało to Izzy do płaczu. Odkąd jej mama poszła do nieba, wszystko cuchnęło - pościel, poduszki, a także ubrania Izzy.

Nawet panna Tońcia nie pachniała tak, jak należało.

Izzy przycisnęła lalkę do piersi, gładząc jej śliczne, jasne włosy dwoma palcami, które zostały jej na prawej dłoni - kciukiem i palcem wskazującym.

Z początku trochę się przeraziła, gdy sobie uświadomiła, że stopniowo znika. Sięgając po kredkę, nagle zauważyła, że jej różowy paluszek jest jakiś niewyraźny i szary. Następnego dnia stał się niewidoczny. Powiedziała o tym tacie i Lurlene, a z ich spojrzeń odczytała, że oni też się przestraszyli. I ten okropny doktorek -przez te palce patrzył na nią, jakby była robalem.

Wpatrywała się w dwa palce, które pozostały na jej prawej dłoni.

„Gdzieś się zapodziejają, mamusiu”.

Czekała na odpowiedź, ale niczego nie usłyszała.

Mnóstwo razy wyobrażała sobie, że mama jest tuż obok i może z nią rozmawiać, po prostu wypowiadając słowa w myśli.

Pragnęła, by zdarzyło się jej to właśnie teraz, ale takie szczęście spotykało ją tylko niekiedy - o sinawej godzinie między dniem i nocą.

Chciała porozmawiać ze swoją mamą o wszystkim, co się stało pewnego dnia. To było takie straszne. W jednej chwili patrzyła na obrazki w swojej książce, a za moment usłyszała w sobie krzyk. Wiedziała, że nie należy krzyczeć w szkole - inne dzieci już uważały, że jest stuknięta -ale naprawdę próbowała, za wszelką cenę starała się trzymać buzię na kłódkę. Zwijała mocno dłonie w pięści i tak ciasno zaciskała powieki, że widziała gwiazdy w ciemności.

Czuła się tak przerażona i samotna, że nie mogła swobodnie oddychać. Wrzask zaczął się od zwykłego skomlenia, które jej się wysnęło. Przycisnęła dłoń do ust, ale na nic to się nie zdało.

Wszystkie dzieciaki gapiły się na nią, wytykały ją palcami i się zaśmiewały.

A z jej ust wydobył się krzyk. Głośny, coraz głośniejszy, aż już nie można było tego wytrzymać. Przycisnęła obie ręce do uszu, aby go nie słyszeć. Zdawała sobie sprawę z tego, że z oczu ciekły jej łzy, ale nie była w stanie ich powstrzymać.

Nauczycielka uchwyciła jej dłoń w rękawiczce, zaciskając rękę wokół całej tej nicości. Izzy wrzasnęła jeszcze głośniejsze, tak by już nic nie mogła czuć.

- Och, skarbenku, to nie jest niewidzialne - powiedziała cicho pani Brown, po czym wzięwszy Izzy delikatnie za drugą rękę, poprowadziła ją korytarzem.

A Izzy nie przestawała krzyczeć.

Wrzeszczała, idąc korytarzem, aż do gabinetu dyrektora. Widziała, jak patrzą na nią dorośli - jakby zwariowała - ale nie mogła nic na to poradzić. Liczyło się tylko, że zanika co chwila jeden palec, ale najwyraźniej nikogo to nie obchodziło.

Krzyk, tak niespodziewanie jak na nią naszedł, równie szybko ucichł. Była wstrząśnięta i czuła się dziwnie, stojąc na środku gabinetu dyrektora, gdy wszyscy się na nią gapili.

Wsunęła się do kącika, wciskając się między ohydną zieloną kanapę i okno. Głosy dorosłych nadal dźwięczały, gdy mówili o niej szeptem...

Wszyscy martwili się tylko tym, że przestała mówić, nic więcej ich nie obchodziło. Ten doktor Schwaabe zastanawiał się jedynie, dlaczego się nie odzywa. Izzy słyszała też Lurlene i Buddy'ego. Zachowywali się, jakby była głucha, tylko dlatego, że nie mówiła. Lurlene przez cały czas nazywała ją biedactwem, a za każdym razem, gdy wypowiadała to słowo, Izzy przypominała sobie ową straszną rzecz i pragnęła, by Lurlene zamilkła.

Po czym, niczym rycerz z bajek, które opowiadała mama, do gabinetu dyrektora wszedł tata. Wszyscy dorośli zamilkli i odsunęli się na bok.

Nie pojawiłby się w szkole, gdyby nie zaczęła krzyczeć, i przez chwilę poczuła zadowolenie, że wrzasnęła. Nawet jeśli uważano ją za złą dziewczynkę, cieszyła się, że ma przy sobie tatusia.

Zapragnęła rzucić mu się w ramiona, powiedzieć: „cześć, tato”, takim tonem jak zawsze, lecz wyglądał tak smutno, że nie mogła się ruszyć.

Był niesamowicie przystojny, mimo że po tej strasznej rzeczy jego włosy zmieniły kolor, dalej był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Pamiętała, jak dźwięczał jego śmiech i jak pobudzał ich razem do chichotu...

Ale tak naprawdę nie był już jej tatusiem. Nie czytał swojej córeczce bajek na dobranoc, nie podrzucał jej w górę, aż zaczynała się śmiać. A



czasami w nocy jego oddech pachniał lekarsstwami i poruszał się niczym któraś z jej niepewnie kroczących zabawek.

- Izzy? - powiedział cicho, podchodząc do niej.

Przez chwilę jej serce przestało bić, pomyślała bowiem, że tata chce jej dotknąć. Wypełzła z kąta i potoczyła się jak niemowlę. Oparła się o niego tylko troszeczkę, ale na tyle, by dać mu poznać, jak bardzo go potrzebuje.

Westchnął ciężko i zwrócił się twarzą do dorosłych.

- Co tu się dzieje, Bob?

Izzy przez chwilę zapragnęła, by krzyk powrócił, ale czuła tylko kłującą ciszę i gdy spuściła wzrok, kolejny palec zniknął. Na prawej ręce widziała tylko kciuk i palec wskazujący.

Dorośli gadali jeszcze i gadali, mówiąc coś, czego ona nie słuchała. Potem tata poszedł sobie, a Izzy wróciła z Lurlene. Znowu.

- Izzy, kochanie, jesteś tam?

Głos Lurlene dochodził do niej przez zamknięte drzwi sypialni.

- Wyjdź, chcę, żebyś kogoś poznała.

Izzy próbowała udawać, że nie słyszy, ale zdawała sobie sprawę, że to nie ma sensu. Miała tylko nadzieję, że Lurlene nie przygotowała jej następnej kąpieli - woda była zawsze za zimna i mydło dostawało się jej do oczu.

Panno Tońciu, musimy iść - pomyślała, wzdychając.

Chwyła lalkę zdrową ręką i wytoczyła się z łóżka. Gdy przechodziła koło toaletki, zobaczyła samą siebie w lustrze. Niska, chuda dziewczynka, o brudnych czarnych włosach i do tego jednoręka. Oczy miała ciągle podpuchnięte od płaczu.

Mama nigdy nie pozwoliłaby jej tak się zapuścić.

Drzwi do sypialni otworzyły się. Lurlene stała w progu, wielkie stopy miała ściśnięte obok siebie, ciało pochylone w talii.

- Dzień dobry, słonko. - Wyciągnęła rękę i zawinęła lok Izzy za ucho.

Dziewczynka wpatrzyła się w nią.

- Chodź, skarbeczku.

Izzy bez słowa poszła za nią holem.

Annie stała na skrawku różowego chodniczka przy wejściu do potrójnej przyczepy Lurlene i Buddy'ego.

Mąż Lurlene, Buddy - „fajno cię poznać” - leżał wyciągnięty na pokrytej ciemnoczerwonym aksamitem kanapie, z uniesionymi stopami, na piersi miał rozłożony „Ilustrowany Przegląd Sportowy”, prawą dłoń owinał wokół puszki piwa Miller. Uważnie przyglądał się Annie.

Ona zaś przestępowała z nogi na nogę, starając się nie myśleć o tym, że nie jest wszak psychiatrą ani że uraz dziecka to ciemna, bezdenna studnia, ani że sama czuje się zagubiona.

Wiedziała, że miłość jest ważna - być może najważniejsza - lecz w ciągu ostatnich tygodni nauczyła się, że nie należy traktować jej jak magicznego eliksiru. Nawet Annie nie była tak naiwna, by wierzyć, że każdy problem można rozwiązać, otulając go miłością. Niektóre cierpienia dadzą się ukoić, ale pewnych urazów nic nie przezwycięży. Wiedziała to od dnia, w którym umarła jej matka.

- Nick nie przyjdzie. Lurlene powiedziała ci o tym? Annie zmarszczyła brwi i spojrzała na Buddy'ego.

- O, nie. W ogóle nie miałam o tym pojęcia.

- Nigdy się nie pojawia, kiedy komuś na tym zależy. -Pociągnął długi łyk piwa, obrzucając Annie spojrzeniem znad pogiętej krawędzi puszki. -

Podemujesz się cholernej harówki. Ta Izzy jest pokręcona jak przepalona żarówka.

- Nick powiedział mi, że przez jakiś czas się nie odzywała... no i wiesz... o znikających palcach.

- Nie o to chodzi. Dzieciak cierpi tak, że wciąga całkiem niewinnych ludzi i pogrąża ich do cna.

Innymi słowy, nie poradzisz sobie z tym, kobito z miasta. Annie zdawała sobie sprawę, że tak musi wyglądać w jego oczach, w tanich dzinsach, na których nadal widniały fabryczne zagniecenia, i w białych jak śnieg tenisówkach. Z przyzwyczajenia chciała wsunąć lok za ucho, ale nie było tam ani jednego dłuższego włoska. Zażenowana, zmusiła się do uśmiechu.

- Ten wczorajszy deszcz przywołał wiosnę. W domu mojego taty żonkile kwitną wszędzie. Pomyślałam sobie, że może...

- Annie?

Tym razem usłyszała głos Lurlene. Annie odwróciła się z wolna.

Lurlene pojawiła się na krańcu holu, ubrana w połyskujący zielony sweter i obcisłe rajstopy w węzowaty wzorek. Absolutnie nie pasowała do tego domu.

Do jej boku przyłgnęło dziecko, mała dziewczynka o brązowych oczach i włosach koloru nocy. Miała na sobie za małą różową sukienkę, która pamiętała lepsze czasy. Cienkie nóżki wystawały spod ubrania niczym dwa bliźniacze strączki fasoli. Skarpetki nie od pary - jedna różowa, druga żółta - obwisały na kostkach i znikały w brudnych tenisówkach.

Mała dziewczynka. Żaden wyjątkowy problem psychologiczny, nie była to ofiara urazu psychicznego czy też uczennica mająca kłopoty z

zachowaniem dyscypliny. Po prostu niezbyt ładna, zwykła dziewczynka, która tęskniła za matką.

Annie uśmiechnęła się. Może nie miała wielkiego pojęcia o niemocie spowodowanej wstrząsem, ani jak zdaniem lekarzy, specjalistów i uczonych ksiąg należy ją leczyć. Ale знаła strach i wiedziała, jak to jest, gdy matki znikają pewnego dnia i nigdy już nie powracają. Powoli, wyciągnąwszy rękę, ruszyła ku dziewczynce.

- Jak się masz, Izzy? - powiedziała cicho.

Izzy nie odpowiedziała, czego zresztą Annie wcale się nie spodziewała. Wiedziała, że Izzy odpowie wtedy, kiedy będzie miała ochotę. Do tej pory Annie musi zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku. A może po tym, co przeszła Izzy, milczenie stanowiło najnormalniejszą rzecz na świecie.

- Mam na imię Annalise, ale takie imię może zatkać buzię. Mów do mnie po prostu Annie. - Przyklękła przed dziewczynką, wpatrując się w największe, najsmutniejsze brązowe oczy, jakie w życiu widziała. - Byłam dobrą przyjaciółką twojej mamy.

W oczach Izzy pojawił się błysk reakcji. Annie uznała to za zachętę.

- Poznałam twoją mamę pierwszego dnia w przedszkolu. - Uśmiechnęła się do Izzy, po czym wstała i zwróciła się do Lurlene: - Może już iść?

Lurlene wzruszyła ramionami, po czym wyszeptała:

- Kto to wie? Biedny dzieciak. - Pochyliła się. - Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Pani Annie zajmie się tobą na razie, póki twój tata pracuje. Będiesz dla niej grzeczna, prawda?

- Absolutnie nie musi być grzeczna - odparła Annie, mrugając do Izzy.  
- Może się zachowywać, jak chce.

Oczy Izzy się rozszerzyły.

- Och - Lurlene wstała i uśmiechnęła do Annie. -Niech cię Bóg za to błogosławi.

- Uwierz mi, Lurlene, dla mnie to też wiele znaczy. Zobaczymy się później.

Annie spojrzała na Izzy.

- No cóż, dziecko, ruszamy w drogę. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć twoją sypialnię. Założę się, że masz mnóstwo wspaniałych zabawek. Uwielbiam bawić się z Barbie w różnych strojach.

Poprowadziła Izzy do samochodu, posadziła ją na fotelu pasażera, po czym zapięła pas. Dziewczynka usadowiła się wygodnie, mocno przypięta, przechylając głowę na bok niczym pisklę, z oczyma utkwionymi w szybę.

Annie uruchomiła silnik i wyjechała z podjazdu, mijając ostrożnie tłum glinianych krasnoludków. W czasie drogi przez cały czas mówiła, mijając indiański rezerwat Quinault, przydrożne stragany, na których sprzedawano wędzone łososie i świeże kraby, oraz kilkanaście pustych stoisk ze sztucznymi ogniami. Zagadywała niemal o wszystkim: o ważności starych drzew, żywotności pantomimy jako formy sztuki, najładniejszych kolorach, swych ulubionych filmach, obozie harcerskim, na który pojechały z Kathy i wydobyły z ogniska straszliwy, duszący dym - a przez cały ten czas Izzy wpatrywała się w szybę nieruchomym wzrokiem.

Jadąc krętą ścieżką wokół jeziora, pomiędzy górującymi nad nim drzewami, Annie miała wrażenie, że cofa się w czasie. Ta pełna kolein, zwirowa droga, usiana plamami cienia, sprawiała wrażenie traktu prowadzącego bezpośrednio w przeszłość. Gdy dotarły do końca, Annie nie mogła się ruszyć. Siedziała za kierownicą, wpatrując się w stare domostwo Beauregarda. Obecny dom Nicka.

„Kiedyś ten dom będzie należał do mnie”.

Wówczas brzmiało to dla Annie niczym mrzonka, odłamek szkiełka, które obracał w ręce młodzieniec, pragnąc powiedzieć cokolwiek, zanim zdobył się na odwagę, by w gwiazdzistą noc pochylić się i pocałować siedzącą u jego boku dziewczynę.

Teraz, oczywiście, dopatrywała się w tym czarów, aż poczuła ranę w sercu. Czy w tak młodym wieku miała w ogóle jakieś marzenia? Jeśli nawet, to w ogóle ich nie pamiętała.

Wjechała na wysypany żużlem podjazd i zaparkowała obok stosu narąbanych drewn. Dom stał przed nią na polanie. Słońce, blade i wodniste niczym przedwczorajszy rosół, pomalowało koniuszki bujnej trawy i oświetliło żółciutką jak żonkile farbą z boku oszalowania. Ta wielka dama wiktoriańskiej architektury nadal wyglądała na porzuconą i opuszczoną. Tu i ówdzie łuszczyła się farba. Z zakończonych szczytami dachu spadło kilka gontów, a rododendrony aż krzyczały, by je przyciąć.

- Założę się, że był tu kiedyś fort - rzekła Annie, wypatrując parę połamanych desek w gałęziach wyschłej olchy. -Twoja mama i ja bawiłyśmy się w dziewczynskie gry, by...

Pas bezpieczeństwa Izzy odpiął się z głośnym trzaskiem. Metalowa klamra uderzyła o szkło. Dziewczynka otworzyła drzwi, pobiegła do jeziora i poślizgnąwszy się, stanęła przed otoczonym palikami terenem pod potężnym, omszałym klonem.

Annie poszła za Izzy po miękkim, wilgotnym trawniku i stanęła obok dziewczynki. Stary, biały płot okalał przepiękny kawałek ziemi, nie tak zarośnięty i zapuszczony jak reszta posiadłości.

- To był ogród twojej mamy - powiedziała cicho. Izzy stała nieruchomo, ze spuszczoną głową.

- Ogrody to bardzo szczególne miejsca, prawda? Nie są takie jak ludzie... Zapuszczają mocne korzenie głęboko w ziemię, a jeśli człowiek jest cierpliwy, dba o nie i nie ustaje w pracy, odradzają się.

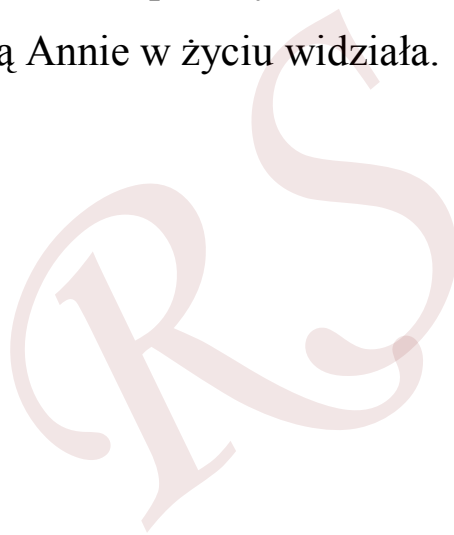
Izzy obróciła się z wolna, przechyliła głowę i uniosła wzrok ku Annie.

- Możemy uratować ten ogród, Izzy. Chciałabyś?

Bardzo powoli Izzy wyciągnęła rękę. Kciuk i palec wskazujący zacisnęła wokół martwej łodygi stokroci. Pociągnęła tak mocno, że wyrwała roślinę z korzeniami.

Potem wręczyła ją Annie.

Ten wyschnięty pęd, o spletanych, włochatych korzeniach, był najpiękniejszą rzeczą, jaką Annie w życiu widziała.



## 9

Izzy chwyciła pannę Tońcię mocno pod pachę - tyle tylko mogła zrobić, nie mając palców. Wlokła się za tą śliczną, krótko ostrzyżoną panią.

Cieszyła się, że wróciła do domu, ale długo tu nie zostanie. Gdy ta śliczna pani zobaczy, jak straszliwie tata zapaścił ten dom, pewnie jej się odechce. Dorosłe dziewczęta nie lubią brudnych miejsc.

- Chodź, Izzy! - zawołała pani z frontowej werandy. Izzy wpatrzyła się w drzwi wejściowe. Zapragnęła, by

pojawił się w nich tata, zbiegł po skrzypiących, starych stopniach werandy, chwycił Izzy w wielkie, silne ramiona, okręcił ją wokół, aż zacznie chichotać, i pocałował w takie łaskotliwe miejsce na karku.

Tak się jednak nie stanie. Izzy pragnęła tego od wielu miesięcy i wiedziała, że dlatego jej marzenie nigdy się nie spełni.

Pamiętała, jak tata przywiózł je tu pierwszy raz. Włosy miał wtedy czarne jak wronie skrzydło i nigdy nie wracał do domu, cuchnąc jak te paskudne miejsca.

Za pierwszym razem było jak w bajce. Uśmiechał się, głośno śmiał i trzymał ją w ramionach.

- Widzisz to, Kath? Zasadzimy tu sad... a na tej werandzie ustawimy fotele bujane - w sam raz na letnie wieczory... na trawie będziemy urządzać pikniki... - Pocałował Izzy w policzek. - Podobałoby ci się to, słoneczko? Piknik z kurczakiem, napojami mlecznymi i galaretką owocową?

- O tak, tato - powiedziała, ale nigdy nie zrobili pikniku, ani na trawie, ani nigdzie indziej...



Drzwi frontowe otworzyły się ze skrzypieniem, a Izzy przypomniało się, że pani na nią czeka. Niechętnie wgramoliła się po stopniach werandy. Pani - Annie - musi pamiętać, że pani ma na imię Annie - zapaliła lampę koło kanapy. Promienie światła padły na bałagan, który narobił ojciec. Wszędzie leżały porozrzucone butelki, pudełka po pizzach, brudne ubrania.

- Jak powiedziałaaby Bette Davis: „Co za nora!” Twój ojciec z pewnością nie uzyskałby nagrody za najlepiej utrzymane gospodarstwo.

Izzy zamrugała. A więc to tak. Musi wracać do Lurlene na kanapki z pieczenią wołową...

Ale Annie nie odwróciła się i nie odeszła. Przystąpiła przez śmieci i odsunęła zasłonę, wznosząc kłęby kurzu. Słońce wlało się przez dwa wielkie okna wykuszowe.

- To już lepiej - rzekła, rozglądając się wokół. - Nie wiesz chyba, gdzie są miotły i śmietniczki. Przydałby się buldożer. I lampa lutownicza.

Serce Izzy zaczęło gwałtownie uderzać, a w piersi poczuła miłe łaskotania. Annie mrugnęła do niej.

- Zaraz wrócę - powiedziała, po czym wybiegła z bawialni i zniknęła w kuchni.

Izzy stała zupełnie nieruchoma, prawie nie oddychając, nasłuchiwała tylko trzepotania swego serca.

Annie wróciła do bawialni, niosąc czarny wór na śmieci, szczotkę i kubek z wodą i mydłem.

To dziwne uczucie w piersi Izzy zaczęło narastać, aż prawie nie mogła oddychać. Powoli ruszyła ku Annie, czekając, aż kobieta podniesie ręce do góry i powie: „W życiu nie przerobimy tej roboty, Nick” - tak jak zwykła mówić jej matka.

Ale Annie nie powiedziała niczego podobnego. Schyliła się natomiast i jeden po drugim podnosiła śmieci, wrzucając je do czarnego worka.

Izzy ostrożnie przysunęła się bliżej.

- To tylko nieporządek, Izzy. Żadna katastrofa. Nie stało się tu nic, czego nie można by odkręcić. Identycznie wyglądał zawsze pokój mojej córki, a była słodką nastolatką. - Mówiła bez przerwy, a choć Izzy nie odpowiadała, z każdym zdaniem robiło się jej lżej na duszy. -Pamiętam ten dom, gdy byłam mała. Twoja mama, tata i ja zaglądaliśmy w nocy przez okna i wymyślaliśmy historie o ludziach, którzy tu niegdyś mieszkali. Zawsze myślałam, że była to piękna, bogata para z dalekiego wschodu, pan chodził w smokingu, pani w wieczorowych sukniach. Twój tata uważał, że ten dom należał do hazardzisty, który stracił wszystko w jednym rozdaniu. A twoja mama - właściwie już nie pamiętam, co sobie myślała. Pewnie coś romantycznego. - Umilkła na moment, by uśmiechnąć się do Izzy. - Może gdy będzie cieplej, zrobimy sobie piknik na trawniku.

Izzy poczuła niesamowitą chęć do płaczu. Chciała powiedzieć: „Możemy wziąć napoje mleczne i galaretki owocowe”, ale się nie odezwała. Nie potrafiłaby, nawet gdyby bardzo się postarała. A zresztą uważała to za jedną z tych obietnic dorosłych, których nawet nie mają zamiaru dotrzymać.

- Właściwie - rzekła Annie - mogłybyśmy dzisiaj urządzić sobie maleńki piknik. Kiedy posprzątam bawialnię, przyniesiemy ciastka z rodzynkami i poncz. Nieźle, co? „Tak, Annie, uważam, że to będzie rrrrewelacja” - mówił mój Tygrys Tony. Natalie - to moja córka, już prawie dorosła - uwielbiała lukrowane płatki kukurydziane. Założę się, że ty też.

Izzy powściągnęła niespodziewany uśmiech. Podobało się jej, że Annie nie czeka na odpowiedź, dzięki czemu Izzy nie czuła się już taka

inna, jakby nie mówiąc, nie różniła się wcale od innych dzieci, które mówiły.

Kroczek po kroczeniu posuwała się w kierunku kanapy. Gdy do niej dotarła, nie zważała na kłęby kurzu, które się wzbijały. Po troszku śmieci znikwały i po pewnym czasie pokój zaczynał wyglądać jak prawdziwy dom.

Annie zastukała lekko w drzwi sypialni Izzy. Bez odpowiedzi. W końcu pchnęła je i weszła do środka. Pokój był mały i ciemny, wciśnięty pod okap dachu. Urocze okno mansardowe wychodziło na zewnątrz, chwytając ostatki różowego światła dziennego za bladymi, zniszczonymi koronkowymi firankami. Ściany wyłożono tapetą o paskach w pięknym kolorze lawendy, a narzuta w dopasowany kwietny wzór pokrywała łóżko. Na białym nocnym stoliku stała lampka, której abażur ozdobiono wzorkami w misie puchatki.

Nick i Kathy prawdopodobnie zaplanowali ten pokój i oszczędzali nań, pragnąc urządzić idealne miejsce dla swego dziecka. Annie pamiętała marzenia, jakie snuła w ciąży, i niezliczone, pełne nadziei szczegóły. Wiele z nich zaczynało się od pokoju dzieciennego.

Annie nie wiedziała wiele o stanach maniakalno-depresyjnych, ani jak pokreśliły one i zmieniły Kathy, ale nie miała wątpliwości, że jej przyjaciółka kochała córkę. Każda rzecz w tym pokoju dobrana została z miłością, od lampki w kształcie Małej Syrenki po podpórki przypominające króliczki.

Przeszła do łóżka po zarzuconej ubraniami drewnianej podłodze. Delikatny profil Izzy wyglądał jak piękna kamea na spłowiałej żółtej powłoczce z malunkiem wielkiego ptaka. Puszystym purpurowym kocem ciasno owinęła ramiona i delikatnie przytrzymała go brodą. Lalka - panna Tońcia, jak poinformowała ją Lurlene - leżała rozciągnięta na podłodze,

czarne oczka z guzików wpatrywały się w sufit. Ręka Izzy w małej, czarnej rękawiczce wyglądała niczym plama na pościeli z lawendowej koronki.

Annie z najwyższą niechęcią budziła śpiącą dziewczynkę, ale głęboko wierzyła w znaczenie uregulowanego trybu życia. Dzieci muszą znać określone granice i postępować według ustalonych reguł. Położyła Izzy na małą drzemkę o pół do trzeciej i była zdumiona tym, że dziewczynka rzeczywiście zasnęła. Teraz, o czwartej, czas, by się obudziła.

Pochyliła się i trąciła ją w ramię.

- Pora wstawać, śpiochu.

Z ust Izzy dobył się cichy, miaukliwy dźwięk, po czym głębiej wsunęła się w pościel.

- O nie, nie ma mowy. Chodź, Izzy.

Jedno brązowe oko otworzyło się, Izzy użyła dwóch palców prawej ręki, by odciągnąć pościel. Mrugając i ziewając, usiadła.

- Myślałam, że chciałabyś się wykapać, nim twój tata wróci do domu. - Annie uśmiechnęła się i wyciągnęła torbę prezentów, które ze sobą przywiozła. - Kupiłam ci trochę nowych ubrań i parę niespodzianek. Lurlene powiedziała mi, jakie nosisz rozmiary. No chodź.

Pomogła Izzy wyjść z łóżka i zaprowadziła ją do łazienki, gdzie szybko naląła wody do wanny. Potem uklękła przed dzieckiem. Izzy przyglądała się jej czujnie. Annie spojrzała na dłoń Izzy w rękawiczce.

- Pewnie nienawidzisz tego znikania po kawałku? No, a teraz podnieś rękę.

Izzy posłusznie uniosła prawą rączkę. Lewe ramię zwisało bezwładnie z jej boku, palce w czarnej rękawiczce były zupełnie bezwolne. Annie przysiadła na piętach.

- No więc jak rozbierzemy niewidzialne części? Chyba że ściągniesz piżamę... - Powoli zsunęła rękaw wzdłuż „niewidzialnego” ramienia. Potem sięgnęła po rękawiczkę.

Izzy wydała dźwięk, jakby się dławiła, i wyrwała rękę z dłoni Annie.

- Przepraszam. Rękawiczka nie chce zejść?

Dziewczynka wpatrywała się intensywnie w jakieś miejsce za lewym uchem Annie.

- Rozumiem. Nie ma żadnej rękawiczki, prawda, Izzy?

Izzy przygryzła dolną wargę. Nadal nie patrzyła na Annie.

Annie wstała. Ostrożnie ująwszy Izzy za ramiona, podprowadziła ją do wanny i pomogła wejść do ciepłej wody. Izzy przyłgnęła do tej strony wanny, przy której lewe, bezwładne ramię mogła przerzucić przez krawędź.

- Nie jest za gorąca, prawda? - spytała Annie. - Nie, Annie, akurat w sam raz. Właśnie taka, jak lubię.

Mała wpatrzyła się w nią.

- Umiem rozmawiać sama ze sobą - uśmiechnęła się Annie. - Gdy byłam dziewczynką - też jedynaczką - cały czas to robiłam.

Annie naląła płynu do kąpieli do leżącej wody. Izzy patrzyła, najwyraźniej zdjeta podziwem, jak wokół niej kłębią się białe pęcherzyki piany.

Tymczasem Annie zapaliła trzy świece zapachowe, które znalazła w kuchni. W powietrzu rozszedł się słodki aromat wanilii.

- Czasami dziewczyna potrzebuje romantycznej kąpieli - sama dla siebie. No dobrze. - Sięgnęła do swej brązowej torby. - Popatrz na moje skarby. Kupiłam szampon dla dzieci Johnsona, mydło Pocahontas, ręcznik Dzwonnika z Notre Dame oraz grzebień Pięknej i Bestii. I takie śliczne ubranie do zabawy, w kolorze lawendowym z małymi żółtymi kwiatkami -

takie jak ogród twojej mamy w przyszłości - i żółty kapelusz, który będzie do niego pasował.

Przez cały czas nieprzerwanie gawędziła, zadawała pytania i sama na nie odpowiadała, myjąc długie włosy małej, namydając i oplukując jej ciało, a w końcu pomogła Izzy wyjść z wanny. Owinęła małą dziewczynkę ogromnym ręcznikiem i zaczęła rozczesywać jej włosy.

- Pamiętam, kiedy moja córka, Natalie, była w twoim wieku. Filigranowa jak laleczka. Serce mnie bolało, jak na nią patrzyłam. - Zaplotła włosy Izzy w dwa równusieńkie warkocze francuskie, a na końcach zawiązała dwie żółte satynowe wstążki. - Obróć się.

Izzy posłusznie okręciła się dookoła.

Annie ubrała ją w nową bawełnianą bieliznę i pomogła włożyć lawendową bluzkę i dres. Gdy skończyła, zaprowadziła Izzy do sięgającego aż do podłogi lustra w rogu.

Dziewczynka bardzo długo wpatrywała się w swe odbicie. Potem niezmiernie powoli podniosła prawą rękę i wskazującym palcem dotknęła satynowych wstążek. Jej usteczka jak pączek róży drżały z niepewności. Mocno przygryzła dolną wargę. Łza pociekła po jej zarumienionym z wrażenia, różowym policzku. Tylko jedna jedyna.

Annie rozumiała. Przynajmniej po części starała się osiągnąć taki efekt. Aby Izzy ujrzała siebie taką, jaką była.

- Założę się, że zawsze tak wyglądałaś, prawda, Izzy?

Ucałowała ją delikatnie w czoło. Dziecko pachniało szamponem dla niemowląt i nowym mydłem. Jak wszystkie małe dziewczynki.

Potem Annie przykucnęła przed Izzy i wpatrzyła się jej w oczy.

- Wiesz, że jeśli dzielisz się zabawkami z kolegą, zabawa jest lepsza, niż gdybyś bawiła się sama. Czasami tak samo bywa ze smutkiem. Gdy się nim z kimś podzielisz, mija.

Izzy nie odpowiedziała. Annie uśmiechnęła się.

- A teraz przydałaby mi się jakaś pomoc w kuchni. Zaczęłam robić obiad, ale nigdzie nie znalazłam talerzy. Mogłabyś ich poszukać?

Izzy zamrugwała.

Annie uznała to za odpowiedź twierdzącą.

Razem zeszły do kuchni. Izzy posłusznie podeszła do stołu i usiadła przy nim. Jej małe stópki dyndały w powietrzu.

Annie mówiła przez cały czas, robiąc kluski, mieszając ciasto i wlewając je do pyrkoczącej na ogniu potrawki z kurczaka.

- Umiesz nakryć stół? - spytała, przykrywając wielki metalowy garnek.

Izzy nie odpowiedziała.

- To się na nic nie zda, panno Izzy. - Annie wyciągnęła łyżkę i wręczyła ją dziewczynce. - Proszę - to dla ciebie.

Izzy ujęła rączkę kciukiem i palcem wskazującym. Wpatrzyła się w nią, po czym z nachmurzoną miną spojrzała na Annie.

- Jedno potrząśnięcie łyżką oznacza „tak”. Dwa potrząśnięcia - „nie”. W ten sposób możemy rozmawiać, posługując się czymś w... rodzaju kodu. Nie będziesz musiała nic mówić na głos. A teraz myślisz, że możesz mi pokazać, gdzie są talerze?

Izzy bez mrugnięcia okiem straszliwie długo wpatrywała się w łyżkę. Potem bardzo powoli potrząsnęła nią raz.

\* \* \*

- Hej, Nicky, słyszałam, że córka Hanka Bourne'a wróciła do miasta.

Nick uniósł wzrok znad swojego drinka. W środku głowy czuł pulsujący ból, a spojrzenie miał zmętniałe. Męczyło go to, odkąd odniósł porażkę w domu Weaverów. Spisał protokół z całego zajścia i wrzucił Chucka do celi, ale Sally przyszła na posterunek, by się upewnić, że przeciw mężowi nie zostaną wysunięte żadne zarzuty. Powiedziała już dyżurnemu sierżantowi, że spadła ze schodów.

Nick pomyślał, że jeśli wpadnie do Zoe na jednego szybkiego - po prostu, żeby uspokoić nerwy - dojdzie do siebie na tyle, że zdoła w domu stawić czoło Annie i Izzy. Ale, jak zawsze, za jednym kieliszkiem poszedł drugi, potem jeszcze jeden i jeszcze...

To, co ujrzał w oczach Sally, otworzyło w jego duszy ranę, mroczne, wstrętne miejsce, kipiące bolesnymi wspomnieniami.

Zacisnął palce wokół szklanki i pociągnął kolejny, kojący łyk szkockiej.

- Coś takiego, Zoe.

Joel Dermot przysunął się do niego bliżej.

- Pamiętam Annie Bourne. Ona i moja córka Suki były razem w harcerstwie.

Nick zamknął oczy. Nie chciał myśleć o tamtych dniach, dawno temu, gdy stanowili trójkę najlepszych przyjaciół. Kiedy wracał do tych chwil sprzed lat, pamiętał, jak bardzo zależało mu na Annie, a na koniec zjawiało się wspomnienie poprzedniej nocy, gdy znalazła się w jego ramionach, naga i namiętna, powolna wszystkim fantazjom, jakie sobie zamarzył. To wspomnienie nieodmiennie popychało go na długą i zdradziecką drogę, drogę, która podważała wszelkie wybory, jakie uczynił do tej pory. Jak wybrał Kathy, ponieważ go potrzebowała... jak ją zawiódł i jak miłość do niej zniszczyła go. Potem zaczął mieć mroczne, niebezpieczne pomysły - na



przykład: jak potoczyłoby się jego życie, gdyby wybrał Annie, albo co by było, gdyby zechciała zostać w Mystic. Cudza żona.

Nick podniósł się niepewnie, spiesząc, by ubiec tę myśl. Rzucił na ladę dwudziestodolarowy banknot i wypadł z zadymionej knajpy. Wskoczył do swego wozu patrolowego i ruszył do domu. Gdy dotarł na swój podjazd, był tak zmaltretowany, jakby przemierzył dwa tysiące kilometrów po wyboistej drodze. Czuł ucisk w sercu, bolała go głowa i tęsknił za więcej niż jednym drinkiem, by łatwiej mu poszło.

Co, do diabła, powie Annie teraz, po tym, co między nimi zaszło?

Powoli wysiadł z samochodu, przeszedł przez wysypany żużlem podjazd, po zapadających się schodkach werandy i wszedł do środka.

Annie leżała wyciągnięta na kanapie. Gdy drzwi z trzaskiem zamknęły się za nim, usiadła, a w jej zaczerwienionych oczach pojawił się uśmiech.

- Och - rzekła. - Chyba usnęłam.

Przez chwilę zaniemówił na widok jej urody. Cofnął się o krok, starając się zachować między nimi jak najwięcej przestrzeni. Odwrócił wzrok.

- Przepraszam za spóźnienie. Miałem zajrzeć do Lurlene, ale otrzymaliśmy nagłe wezwanie i... no cóż...

Odrzuciła koc i wstała. Ubranie miała pomięte, a na jej prawym policzku odcisnęła się siateczka różowych pajęczków.

- Nie ma sprawy. Spędziłyśmy dziś z Izzy przyjemny dzień. Chyba razem świetnie nam się ułoży.

Chciał powiedzieć coś, co złagodziłoby trochę jego poczucie winy i poprawiło jej mniemanie o nim. Ni z tego, ni z owego zapragnął porozmawiać z nią o tym, co się zdarzyło wczoraj, zwierzyć się innej ludzkiej istocie, że jest wstrząśnięty, że coś dziś zeń uleciało i nie wie, jak to

odzyskać ani wstawić na dawne, właściwe miejsce. Ale ten rodzaj zażyłości był mu tak obcy, że nawet nie wiedział, od czego zacząć.

Podniosła torebkę ze stolika. Starła się nie przypatrywać Nickowi zbyt długo.

- Jeśli chcesz, jutro wieczorem przygotuję tobie i Izzy wspaniałą kolację. Chyba byłaby zadowolona.

- Bardzo byśmy się cieszyli. Wrócę do domu o szóstej.

Minęła go, lecz przystanęła przy drzwiach i odwróciła się.

- Od tej pory... byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał zadzwonić i uprzedzić, że masz zamiar przyjść później.

- Naturalnie. Przepraszam.

Uśmiechnęła się po raz ostatni i wyszła z domu.

Stał w oknie, patrząc, jak odjeżdża. Gdy maleńkie, czerwone kropeczki tylnych świateł samochodu zniknęły za zakrętem, powoli wszedł po schodach do pokoju gościnnego, do którego wprowadził się przed ośmioma miesiącami. Nadal z niego korzystał, gdy nie zdołał usnąć na tapczanie. Zdjął niebieski mundur, włożył znoszony dres i zmęczonym krokiem przeszedł przez hol. Zatrzymał się przed drzwiami Izzy i odczekał chwilę, zbierając siły.

Maleńka lampka nocna przytwierdzona była do ściany obok jej łóżka. Mordka Kubusia Puchatka wibrowała w jaskrawej żółci. Wziął jej ulubioną książkę *Gdzie się podziały dzikie zwierzęta?* i z wolna usiadł na krawędzi łóżka. Zastygł, gdy materac ugiął się pod jego ciężarem. Izzy przekreśliła się, ale spała twardo.

Otworzył książkę, wpatrując się w pierwszą stronę. Dawniej, gdy czytał jej co wieczór przed pójściem do łóżka, ufnie obracała ku niemu swe

małe ciało i unosiła uśmiechniętą twarzyczkę: „Tatusiu, co mi dziś poczytasz, tatusiu?”

Zacisnął mocno oczy. Dawno już nie słyszał słowa „tatusiu” na początku i na końcu zdania. Pochylił się z wolna i delikatnie pocałował jej miękkie czółko. Owionął go zapach małej dziewczynki, przypomniał mu, jak robił jej kąpiele w pianie...

Powoli głęboko zaczerpnął oddechu. Teraz, gdy spała, przeczytał kilka stron z jej ulubionej książki. Miał nadzieję, że jego słowa przeniknęły do śpiącego umysłu. To marny, głupawy sposób przekazania córeczce, że ją kocha. Jednakże nie znał już innego.

Czytał książkę cichym, śpiewnym głosem, a potem ostrożnie odłożył ją na nocny stolik.

- Dobranoc, Izzy, misiaczku - wyszeptał, składając ostatni pocałunek na jej czole.

Gdy znalazł się z powrotem na dole, wszedł do kuchni i nalał sobie dużego drinka. Kopnięciem otworzył drzwi frontowe i opadł na leżak na werandzie.

Naszło go to, czego się i tak spodziewał. Nagle wionął nań zapach domu Weaverów, bekonu, lizolu i cienkiego pasemka linoleum, łuszczącego się na krawędzi podłogi w kuchni. Przypomniał sobie siniak na policzku Sally, który już się rozszerzał, przesiąkając jak kropla krwi przez bibułę.

Kiedyś, dawno temu, wierzył, że zdoła uratować takie osoby jak Sally. Myślał, że gdy włoży mundur, będzie niepokonany. Boże, był takim idiotą, że wierzył w słowa, które dziś prawie nic nie znaczą: honor, szacunek, sprawiedliwość. Naprawdę sądził, że zdoła ocalić ludzi, którzy nie chcieli zostać ocaleni.

Ale życie wiele go nauczyło. Praca i Kathy spowodowały, że zarzucił swój idealizm, ździebko po ździebku, aż pozostały tylko zardzewiałe okrawki. Bez tamtych wartości nie mógł się odnaleźć.

Pociągnął długi łyk i ułożył się wygodnie na fotelu, patrząc na rozgwieżdżone niebo. Na chwilę przeraziła go myśl, że w przestrzeni wszystko jest tak spokojne, jak powinno. Jezioro nadal lśniło w świetle księżyca. Noc opadała łagodnie na szczyty gór i lasy. Niebawem nadejdzie świt, wypędzając ciemność ku odległym zakątkom ziemi.

Kiedyś obserwował takie zjawiska ze zdziwieniem. W owych czasach myślał, że jego potrzeby są proste i można je zaspokoić bez trudu. Pragnął tylko rodziny, pracy, domu. Wyobrażał sobie, że zestarzeje się w tym budyneczku, bujając się na fotelu, patrząc, jak dzieci dorastają i wyprowadzają się. Myślał wówczas, że wiek pozbawi jego włosów czerni i że zajmie mu to lata. Nie wiedział jeszcze, że smutek i poczucie winy posrebrzą mu czuprynę w ciągu kwartału.

Pił, póki nie zaczęło mu się kręcić w głowie, a wzrok nie zmętniał. Pusta butelka prześlizgnęła się przez jego odrętwiałe palce i potoczyła się, stukocząc na każdym stopniu, aż cicho wylądowała w trawie.

\* \* \*

Następnego ranka Izzy obudziła się na dźwięk głosu mamy. Odrzuciła kołdrę i usiadła, mrugając oczami.

- Mamo?

Z początku słyszała tylko ulewę. Dawniej - zanim stała się ta straszna rzecz - uwielbiała jej poszum, klekotanie o dach. Wyjrzała przez okno, lecz, zawiedziona, nie dostrzegła nic prócz różowożółtego słońca. Ani kropli deszczu.

- Mamo?

Żadnej odpowiedzi, tylko skrzypienie domu. Izzy włożyła swe ulubione kapcie z futerkiem i cichcem wysunęła się z sypialni. Bezszelestnie zeszła ze schodów, by nie obudzić tatusia. Spał na tapczanie, z jedną ręką przerzuconą przez stoliczek i gołymi stopami, wystającymi spod niebieskiego koca.

Przeszła obok niego na paluszkach, a serce waliło jej w piersi, gdy otworzyła drzwi frontowe i zamknęła je cicho za sobą. Stała na werandzie, wypatrując. Różowa mgła unosiła się nad jeziorem.

- Mamusiu?

Przeszła po trawie nad brzeg jeziora. Mocno zacisnęła powieki i wyobraziła sobie mamę. Gdy otworzyła oczy, mama stała w wodzie, zbyt daleko, by Izzy zdołała jej dotknąć.

Mama nie poruszyła się, lecz ni stąd, ni zowąd znalazła się obok Izzy, tak blisko, że dziewczynka poczuła zapach jej perfum.

„Już dobrze, Izzy”. Głos mamy mieszał się z wiatrem. Zaskrzeczał ptak, po czym wyfrunął z krzewu i z rozpostartymi skrzydłami poszybował ku niebu.

Zaczęło padać naprawdę, drobny, siąpiący kapuśniaczek całował włosy Izzy i padał na jej usta. Dostrzegła, że deszcz był barwny, milion tęczyowych kropelek, kapiących na powierzchnię jeziora. Ale na drugim brzegu nie mżyło.

„Już dobrze” - powtórzyła mama. „Muszę iść”.

Izzy ogarnęła panika. Czuła się, jakby znowu traciła matkę. „Nie idź, mamo. Znikam najszybciej, jak mogę”.

Ale mamy już nie było. Wielobarwne krople przestały zacinać i mgła się roziała.

Izzy czekała i czekała, ale nic się nie stało. W końcu wróciła do domu. Przeszedłszy przez bawialnię, skierowała się do kuchni i zaczęła robić sobie śniadanie. Sama wyjęła lukrowane płatki i naląła mleka.

Usłyszała, że w pokoju obok tata się budzi. Widziała to już mnóstwo razy i zawsze było gorzej, gdy zasypiał w bawialni. Najpierw siadał na kanapie, potem chwycił się za głowę i cicho jęczał. Gdy wstawał, zawsze uderzał podbródkiem w mały stoliczek i kłął. Dziś było tak samo.

- A niech to szlag!

Izzy pospiesznie nakryła stół różowym obrusem -tym, który mama zawsze kładła do śniadania. Chciała, by ojciec docenił, jaka jest bystra, jaka dorosła. Może wreszcie spojrzy na nią, dotknie jej... może nawet powie: „Cześć, słoneczko, jak spałaś?” Zawsze tak ją witał rano i gdyby się do niej tymi słowami odezwał, porozmawiał z nią, może wydałaby z siebie głos i odpowiedziała: „Świetnie się czuję, tatku” - i znowu by się roześmiał. Brakowało jej śmiechu ojca.

A właśnie tego naprawdę pragnęła. Przestała już zwracać uwagę na mnóstwo rzeczy, które niegdyś miały dla niej znaczenie. Nie obchodziło ją, czy tata mówi, że ją kocha. Nieważne, czy całował ją w czoło na dobranoc, zabierał na pikniki, czy też ścisnął w dużych, silnych ramionach, aż piszcziała. Chciała, by spojrzał na nią tak jak dawniej, jakby była najważniejszą osobą na świecie.

Teraz ledwo na nią zerkał. Czasami odwracał wzrok tak szybko, że się przerażała i myślała, iż całkiem zniknęła. Ale to nieprawda, istniała jak najbardziej, w każdym razie większość jej, z wyjątkiem ręki i paru palców. Po prostu już nie lubił na nią patrzeć.

Wtoczył się do kuchni i stanął na niepewnych nogach.

- Izzy, co ty wyprawiasz?

Aż zamrugała ze zdziwienia. „Nie możesz mi tego zrobić” - pomyślała. „Po prostu mu odpowiedz. Przygotowuję ci śniadanie, tato”. Ale słowa uwięzły jej w gardle i zniknęły.

- Lukrowane płatki - zauważył z bladym uśmiechem. - Annie to uwielbia. - Podszedł do lodówki i nalał sobie szklanekę soku pomarańczowego.

Podszedł do niej. Serce zamarło jej na moment, gdy zamarzyła, że poklepie ją po ramieniu i powie, iż naprawdę ślicznie nakryła stół. Albo że pięknie wygląda tak jak zawsze, z zaplecionymi warkoczami. Nawet lekko się o niego oparła.

Ale minął ją i musiała powstrzymać łzy.

Znowu spojrzał na stół. Nie na nią.

- Nie mam czasu na śniadanie, Izzy, misiaczku. - Dotknął swego czoła i zamknął oczy.

Wiedziała, że boli go głowa - tak jak bolała go zawsze, odkąd mama poszła do nieba. Myśl o tym przerażała ją. Zawsze była przerażona, widząc, jak schorowany wygląda rankami jej ojciec. Chciała mu powiedzieć, że jeszcze bardziej się postara być grzeczną dziewczynką, że przestanie znikać i zacznie rozmawiać, jeść warzywa i w ogóle zdrowo się odżywiać.

Tatusz się uśmiechnął - ale nie był to prawdziwy uśmiech, tylko zmęczony, drżący grymas, który wykrzywiał wargi siwowłosego tatusia - tego, który nigdy na nią nie patrzył.

- Dobrze się bawiłaś wczoraj z Annie?

Izzy próbowała ze wszystkich sił, ale nie mogła odpowiedzieć. Widziała, jak tata na nią spojrzał, jakby miał zamiar się rozpłakać, i sama się zawstydziała.

Westchnął wreszcie.

- Wezmę prysznic. Annie powinna zaraz tu przyjechać.

Odczekał sekundkę - jakby w nadziei, że odpowie -ale się nie odezwała. Nie była w stanie. Stała tylko, trzymając dwie miski, i patrzyła, jak odchodzi.

Później, długo po jego wyjściu do pracy, Izzy siedziała na kanapie, ze ściśniętymi kolanami i panną Tońcią śpiącą na jej podołku. Annie, pełna energii, przyszła wcześniej i zaczęła od nowa sprzątać dom. Przez cały czas, gdy pracowała, rozmawiała z Izzy. Mówiła tak dużo, że czasami dziewczynka nie mogła nadążyć.

Izzy podobał się dom, tak jak go Annie teraz wyczyściła, bo czuła się w nim bezpiecznie.

Zamknęła oczy, słuchając kojącego dźwięku szczotki. Przypominało jej to dawne czasy, gdy Izzy siedziała sama, patrząc na książkę, a mama sprzątała dom.

Zanim zdążyła się zorientować, z jej ust wydobył się dźwięk. Był to słaby hałas *szk-szk*, taki sam, jaki czyniła szczotka na podłodze.

Otworzyła szeroko oczy. Po tylu dniach wstrząsnęło ją brzmienie własnego głosu. Nawet jeśli nie były to słowa, wydobyły się z jej gardła. Dotychczas myślała, że część jej - ta mówiąca - uschła i zniknęła, podobnie jak jej ręka i ramię. Nie chciała przestać mówić, ale po wizycie u lekarza nie wydobył się z niej dźwięk. Ani jeden.

Przeraziła się, zwłaszcza gdy zdała sobie sprawę, że nie może nic na to poradzić. W końcu wszyscy zaczęli traktować ją jak niemowlaka i udawali, że Izzy również nie słyszy. Sposób, w jaki na nią patrzyli, pobudzał ją do płaczu, lecz nawet płakała bezgłośnie.

Annie była inna. Annie nie patrzyła na Izzy jak na lalkę, którą należy wyrzucić na śmietnik.



Annie patrzyła na nią jak mama i jak kiedyś tata.

Izzy uśmiechnęła się i znowu wydała ten dźwięk, cichy, niewiele głośniejszy od własnego oddechu. *Szk-szk-szk.*

RS

Budynek sądu okręgowego postawiono przed stu laty, gdy Mystic robiło majątek na przemyśle drzewnym, a okoliczne zatoczki zatkane były kilometrami ściętych pniaków, czekających w kolejce, aż władują je na pociągi towarowe, o bezrobociu zaś nikt nie słyszał. Siedziba sądu była imponującą budowlą z ręcznie ciętego szarego kamienia, od frontu lśniąca dziesiątkami podwójnych okien. Stała pośrodku płaskiego, zielonego trawnika, otoczona starannie przyciętymi rododendronami i azaliami, okalającymi wyłożone cegłą ścieżki. Flaga stanu Waszyngton trzepotała na wiosennym wiatyku.

Nick stał na schodach sądu, opierając się o jeden z kamiennych filarów po bokach potężnych dębowych drzwi. Kartkował niewielki notatnik, przypominając sobie okoliczności aresztowania, które miało miejsce ponad miesiąc temu. Składanie zeznań należało do jego obowiązków, ale nie lubił tej części swojej pracy, zwłaszcza w sądzie rodzinnym, gdzie wszystko sprowadzało się do rozbitych rodzin i zagubionych dusz.

Dziś na wokandzie znalazła się sprawa Giny Piccolo. Znał Ginę, gdy jeszcze była małą dziewczynką. Pamiętał ją też sprzed paru lat, gdy grała główną rolę w szkolnym przedstawieniu musicalu *Oklahoma!* Była bystrą, pogodną dziewczyną o kruczoczarnych włosach i błyszczących oczach. Ale w zeszłym roku zaczęła trochę za bardzo szaleć. Jako czternastolatka wpadła w niewłaściwe towarzystwo i nie była już dziewczyną o błyszczących oczach. Stała się ponurą, zgryźliwą kobietą, chodzącą w workowatych ubraniach. Używała języka drwali i wręcz pragnęła napisać sobie biedy. Jej rodzice ze zmartwienia odchodzili od zmysłów, zwłaszcza gdy niedawno

zaczęła spotykać się z siedemnastolatkiem. Wymówki rodziców nie robiły na niej żadnego wrażenia.

A więc Nick stał tu, przygotowując się do złożenia przed sądem zeznania w sprawie Giny. Spojrzał na zegarek. Sąd miał wznowić posiedzenie za dziesięć minut. Jeszcze raz przejrzał notatki, ale trudno mu było się skupić.

Ten kłopot trapił go przez ostatnie cztery dni - tak naprawdę, odkąd Annie Bourne znowu pojawiła się w jego życiu.

Stan Izzy już zaczął się poprawiać. Naturalnie, jeszcze nie mówiła i ciągle wierzyła, że znika, ale Nick dostrzegał zmiany. Nie unikała już ludzi, słuchała, uśmiechała się... a powody tego były oczywiste.

Przy Annie wszyscy tak niesamowicie dobrze się czuli. Na tym polegał problem, przynajmniej dla Nicka. Wszędzie nachodziły go wspomnienia ich miłostnego zbliżenia, a Annie fascynowała go - mrużąc oczy, gdy się uśmiechała, kiedy zakładała za uszy nieistniejące włosy, czy jak wzruszała bezradnie ramionami, gdy coś sknociła.

Przeważnie odwracał od niej wzrok w obawie, że w jego oczach pojawi się pożądanie.

Z westchnieniem przekartkował notatnik i ruszył do budynku sądu, do sali numer sześć.

Gina czekała przy drzwiach, ubrana w workowate czarne dżinsy i zbyt dużą bluzę, która zwisała jej niemal do kolan. Czarne niegdyś włosy miały teraz różowe i purpurowe pasma, a nos przekłuła srebrnym kolczykiem.

Gdy go ujrzała, jej oczy zwęziły się.

- Chrzanię cię, Delacroix - rzekła. - Przyszedłeś im powiedzieć, żeby mnie zapuszkowali.

Skąd bierze się w nich tyle gniewu? Westchnął.

- Przyszedłem, by zrelacjonować sędziemu McKinleyowi wydarzenia z dwudziestego szóstego lutego.

- Akurat wiesz, co się wtedy stało - albo czym ja podpadłam. Wrobili mnie. To nie była moja koka.

- Ktoś ci ją włożył do kieszeni?

- Zgadza się.

- Rozumiem, że chcesz w ten sposób pograć, Gino. Ale gdybyś uczciwie się do wszystkiego przyznała, lepiej byś na tym wyszła.

Nerwowo poklepała się po udzie.

- Akurat dużo wiesz o uczciwości. Na widok glin robi mi się niedobrze.

- Jesteś młoda, Gino.

- Odpieprz się.

- I jak wszystkim małodatom wydaje ci się, że odkrywasz coś nowego, pierwsza trafiasz na wielki nieznany ład. Ale ja cię znam. Byłem tam, dokąd zmierzasz, i uwierz mi, nie znalazłem nic ciekawego.

- Gównu wiesz o prawdziwym świecie. Jesteś glina... w Mystic. - Wyciągnęła papierosa i zapaliła go. Jej wzrok padł na wiszącą za nią tabliczkę zakazującą palenia i wyszczerzyła zęby, prowokując Nicka, by coś zrobił.

Ujrzał wyzwanie w jej oczach, gdy wydmuchiwała chmurę dymu. Kiwnął głową w stronę otwartych drzwi.

- Chodź za mną.

Nie oglądając się, przeszedł przez hol i znalazł się na zewnątrz. Był nieco zdziwiony, widząc, że Gina poszła za nim. Usiadł na górnym stopniu. Przysiadła po turecku parę metrów od niego.

- No i czego?

- Kiedy byłem w twoim wieku, żyłem na ulicy.

Prychnęła.

- Patrzcie państwo. A ja jestem jedną ze Spice Girls.

- Moja mama była alkoholiczką, która prostytuowała się za wódę. To było fantastyczne życie... normalka dla nałogowej pijaczki bez żadnego wykształcenia i bez zawodu. Wyleciała ze szkoły w wieku szesnastu lat, kiedy zaszła w ciążę, bo nosiła mnie w brzuchu. Jej stary od razu wyrzucił ją z domu, a potem nie miała dokąd iść.

Gina zeszywniała. Papieros opadł na jej pomalowane na czarno wargi.

- Nie ma mowy - powiedziała, tym razem raczej bez przekonania.

- Nie mieliśmy pieniędzy na czynsz - to jeszcze jedna rzecz, do której prowadzi nałóg. Pozbawia cię on i forsy, i godności. Zaraz przestaje cię obchodzić, że mieszkasz w jakichś slumsach i że twój syn nie ma ubrania na zimę. Liczy się tylko, żeby być na haju albo się schlać. Śpisz pod gazetami na ławce w parku i nawet nie wiesz, kiedy zamarzniesz w środku nocy albo cała się za-rzygasz.

- Próbujesz mnie zastraszyć.

- Jasne, że tak. Gino, droga, którą idziesz, zaprowadzi cię w trzy miejsca - na ławkę w parku, pod celę albo do trumny. Przemyśl to.

Z wolna podniosła wzrok ku jego oczom. Widział, że była przerażona. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że poprosi o pomoc.

„No dalej, Gina” - pomyślał. „Poradzisz sobie”. Wręczył jej swoją wizytówkę.

- Zadzwoń do mnie.

- Hej, Gina, o czym gadasz z tym niebieskim świrem?

Gina odsunęła się jak uządlona i chwiejnie podniosła się na nogi. Biała wizytówka sfrunęła na szare schody u jej stóp. Odwróciła się i pomachała

chłopcu o zielonych włosach, który w podskokach sunął po stopniach sądu. Łańcuchy dźwięczały w jego uszach i kieszeniach, a cienka srebrna obręcz lśniła mu w brwiach. Wsunął rękę pod ramię Giny i przyciągnął ją do siebie. Wyjął papierosa z ust dziewczyny, zaciągnął się mocno i z wolna wypuścił dym.

- Przywlokłeś się tu, żeby zamknąć Ginę, zgadza się? Nick wpatrzył się w chłopaka. Drew Doro. Diabelskie

nasienie. Po raz pierwszy popadł w konflikt z prawem, gdy miał dziesięć lat, kiedy spalił rodzinny garaż. Przed dwoma laty jego rodzice, bez rozgłosu, załamani psychicznie, porzucili wobec niego wszelką nadzieję. To, kiedy chłopak wylądował w więzieniu Monroe, było tylko kwestią czasu. Z nim pierwszym Gina chodziła na stałe.

- Przyszedłem tu, by wyrazić przed sądem rodzinnym swoją opinię. Tylko tyle. To nie jest rozprawa. -Zerknął na Ginę. - W każdym razie jeszcze nie.

Gina zrobiła krok w stronę Nicka. Niepewność w jej oczach przypomniła mu, że pod grubą warstwą czarnego tuszu i pozorami zarozumiałości ciągle jeszcze kryje się przerażone dziecko, usiłujące znaleźć swoje miejsce w zagmatwanym świecie.

- I co nagadasz sędziemu?

Żałował, że nie może jej nakłamać, powiedzieć tego, co pragnęła usłyszeć.

- Powiem, że stanowisz zagrożenie dla siebie i dla innych. Nie mam wyjścia.

W jej oczach w miejsce niepewności pojawiła się czysta nienawiść.

- Chrzanię cię, Delacroix. To nie była moja koka. Nick powoli podniósł się na nogi.

- Gdybyś potrzebowała pomocy, Gino... wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- A po kiego diabła jej twoja pomoc? - roześmiał się Drew. - Ma mnóstwo przyjaciół, którzy naprawdę o nią dbają. Jesteś po prostu marnie opłacanym gliną na tym zadupiu. Nadajesz się tylko do sprowadzania kotów z drzew. Idziemy, Gina.

Nick patrzył, jak odchodzą. Nie spodziewał się, że Gina go posłucha. Miał tylko pewną nadzieję - ów naturalny przypływ wiary, który przeżerał złowieszczo całe jego życie. Nie mógł całkiem z niego zrezygnować.

Przez lata prowadził te same rozmowy z dziesiątkami nastolatków i nikt go nie posłuchał. Żaden się nie zmienił. Większość zmarła młodo gwałtowną śmiercią, z dala od rodzin, które ich kochały.

Choć raz - pomyślał z przygnębieniem. Miło byłoby kogoś uchronić i oddać mu przysługę. Choćby raz.

Ujrzał Ginę, która wałęsała się przed frontowymi drzwiami, dopalając papierosa.

- Pamiętaj o tej ławce w parku! - krzyknął.

Za odpowiedź Giny posłużył aż nazbyt znajomy gest.

Gdy Nick w końcu wrócił do domu po pracy - późno, jak zwykle - Annie była wykończona. Pojechała do siebie i z trudem wgramoliła się do łóżka. Prawie od razu zapadła w głęboki sen, ale nagle, w środku nocy, obudziła się i wyciągnęła rękę do Blake'a.

Potem nie mogła już znowu zasnąć. Był to nieszczęsny objaw jej depresji, z powodu której ciągle czuła się zmęczona, ale rzadko dobrze spała.

Jak zwykle przed świtem starała się nie myśleć o dużym, pustym domu nad Pacyfikiem ani o mężczyźnie, który tak długo stanowił część jej życia. O mężczyźnie, który powiedział: „Kocham ją, Annie”.

Poszła do kuchni i zjadła miskę owsianki, po czym wzięła słuchawkę i zadzwoniła do Natalie, nie zamówiwszy przedtem rozmowy. Przez parę minut słuchała opowieści córki o Londynie, a potem spokojnie opowiedziała jej o przeprowadzce do Mystic. „Żeby zobaczyć się z Hankiem i pomóc staremu przyjacielowi” - powiedziała.

Natalie zadała tylko jedno pytanie:

- A co na to tata?

Annie zmusiła się do nerwowego śmiechu, który nawet w jej uszach zabrzmiał fałszywie.

- Wiesz, tata po prostu chce, żebym była szczęśliwa.

- Doprawdy?

Annie poczuła się nagle niewypowiedzianie stara, tak podziałało na nią pojedyncze słowo, proste pytanie, które świadczyło, że Natalie wie za dużo. Potem rozmawiały prawie przez godzinę, aż Annie poczuła, że znowu wraca do siebie. To zbliżyło ją do córki, przypomniało, że nie wszystko spała w swoim życiu.

Pod koniec rozmowy upewniła się, że Natalie ma numer telefonu Hanka w razie jakiegoś nagłego wypadku, i się rozłączyła.

Przez następną godzinę leżała w łóżku i patrzyła przez okno w ciemność, aż w końcu słońce odpędziło bolesną noc.

Myśl o Izzy dawała Annie siłę, by wstać z łóżka, ubrać się i cokolwiek zjeść. To dziecko stało się celem jej życia. Dziewczynka poruszyła coś podstawowego w świadomości kobiety, co tkwiło w niej bardzo głęboko, toteż Annie wcale nie potrzebowała psychoanalitka za dwieście dolarów za godzinę, by zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Gdy patrzyła w przerażone, brązowe oczy małej, widziała odbicie samej siebie.



Wyczuwała, jak los obszedł się z Izzy. Nie ma nic gorszego niż utrata matki, bez względu na wiek dziecka, ale maluchowi, a zwłaszcza dziewczynce, zmienia to spojrzenie na świat. W ciągu lat, które upłynęły od śmierci jej mamy, Annie nauczyła się mówić o tym prawie normalnie, niemal tak, jak rozmawia się o pogodzie. „Moja matka umarła, kiedy byłam mała... odeszła... zginęła... w wypadku... tak naprawdę jej nie pamiętam... ” Czasami te słowa nie bolały, a niekiedy cierpienie paraliżowało ją. Bywało, że gdy poczuła woń perfum, przesycony wanilią zapach piekących się słodkich ciasteczek albo ostatnią zwrotkę piosenki Beatlesów w radiu, ta dorosła kobieta stawała na środku pokoju i płakała jak mała dziewczynka.

Sierota bez matki.

Trzy małe słówka, a jednak krył się w nich bezmiar bólu i poczucia straty, bezustanna żałoba z braku pieśczoć, którymi nigdy jej nie obdarzono, z ust najbliższej osoby nie usłyszała mądrości życiowych ani rad na przyszłość. Żadne słowa nie wystarczą, by należycie opisać utratę matki. Brakowało ich w słownictwie Annie, nie wspominając już o Izzy. Nic dziwnego, że dziewczynka wybrała milczenie.

Annie pragnęła opowiedzieć o tym wszystkim Nickowi, by zrozumiał, co czuje jego córka, ale za każdym razem, gdy zaczynała mówić, miała obezwładniające wrażenie, że staje się arogancka. Kiedy patrzyła w bładoniebieskie oczy Nicka albo na jego posiwiałe ze zmartwienia włosy, wiedziała, że rozumiał wszystko aż nazbyt dobrze.

W dalszym ciągu czuli się w swoim towarzystwie nieswojo. Niepewnie. Dla Annie przynajmniej wspomnienie ich niedawnej chwili namiętności kryło się w każdym spojrzeniu, każdym ruchu Nicka, a jeśli rozmawiała z nim bardziej poufnie, nie bardzo mogła równo oddychać. On

również tchórzyl w jej obecności, toteż krążyli wokół siebie, często obdarzając się fałszywymi uśmiechami i prowadząc bezcelowe rozmowy.

Z wolna jednak sytuacja zaczęła się normować. Wczoraj dziesięć minut stali przy blacie kuchennym, sącząc kawę, podczas gdy Izzy jadła śniadanie. Rozmowa krążyła wokół ich dawnej znajomości, zanurzając się od czasu do czasu w głębię wspomnień. Pod koniec się uśmiechali.

Ta chwila odnowionej przyjaźni dodała Annie sił, więc dzisiaj wjechała na podjazd pół godziny wcześniej. Chwyliła torbę z francuskimi rogalikami, które kupiła w piekarni, oraz mnóstwem niespodzianek dla Izzy, wysiadła z samochodu i mocno zastukała we frontowe drzwi.

Po dłuższej chwili Nick wreszcie otworzył, mając na sobie szary, zniszczony dres. Chwiejąc się lekko, wpatrzył się w nią przekrwionymi oczyma.

Wyciągnęła torbę.

- Myślałam, że zechcesz coś zjeść na śniadanie. Cofnął się, by ją wpuścić, i wtedy zauważyła, że poruszał się niepewnie.

- Nie jadam śniadań, ale w każdym razie dzięki. Weszła za nim do domu. Zniknął w łazience i wyłonił

się z niej po paru minutach, ubrany w mundur policyjny. Odgarnął srebrne włosy z czoła, lecz i tak wyglądał na człowieka chorego i słabowitego. Zmarszczki wryły mu się głęboko pod oczami, jakby zostały tam namalowane.

Bez namysłu wyciągnęła do niego rękę, dotknęła czoła.

- Może powinieneś zostać w domu...

Zastygł i dostrzegła, że przeraziła go czułość jej dotyku. Gwałtownie cofnęła rękę, a na jej policzki z zażenowania wypełznął rumieniec.

- Przepraszam, nie powinnam była...

- Ależ nie - odparł cicho. - Nie mogłem usnąć, to wszystko.

Niewiele brakowało, by wyszła mu wtedy naprzeciw, rozpoczynając rozmowę, której nie powinna wszczynać. Ale zmieniła temat. Pogawędki na temat Izzy zawsze były najbezpieczniejsze.

- Wrócisz do domu na kolację?

Odwrócił się, a ona wiedziała, że myślał o dwóch ostatnich wieczorach. Za każdym razem się spóźnił.

- Mój rozkład dnia...

- Izzy strasznie na tym zależy.

- Myślisz, że nie wiem? - Odwrócił się ku Annie, a ona w jego oczach dojrzała czarną rozpacz, która omotała jej serce. - Przykro mi... - Potrząsnął głową i wyciągnął rękę, jakby chciał się odgradzić od niej. - Wrócę - rzekł, po czym przecisnął się obok i wyszedł.

Ich wspólne dni toczyły się wedle bardzo wygodnych, stałych zasad. Annie przyjeżdżała wcześniej i spędzała dzień z Izzy - bawiły się razem, czytały, spacerowały po lesie. Wczesnym wieczorem robiła dla nich gorącą kolację, a potem grały w gry planszowe albo oglądały wideo, aż nadchodził czas, by dziewczynka położyła się do łóżka.

Co wieczór Annie otulała Izzy kołdrą i całowała ją na dobranoc.

Nick uporczywie nie przychodził na kolację, zapominał uprzedzić o tym telefonicznie i pojawiał się koło dziewiątej wieczór, zionąc dymem tytoniowym i wódką. Nawet gdy obiecywał, że przyjedzie w porę, a przyrzekał niemal każdego wieczoru, nigdy nie dotrzymywał słowa.

Annie usprawiedliwiała go przed Izzy, ale stawało się to dla niej coraz bardziej męczące. Znowu nadchodziła pora, by kłaść się spać, i to piękne dziecko miało pójść do łóżka bez ojcowskiego pocałunku.

Spojrzała na dziewczynkę, która stała przy wykuszowym oknie, wpatrując się w zapadającą noc. Tkwiła tam już niemal pół godziny, niewątpliwie nasłuchując pomruku patrolowego wozu ojca.

Podeszła do Izzy i uklękła obok niej na drewnianej podłodze. Starannie dobierała słowa:

- Kiedy byłam mała, moja mama umarła. Wtedy przez długi czas tata i ja niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Tata, widząc mnie, myślał tylko o mojej mamie i czuł wtedy taki ból, że przestał na mnie patrzeć.

Brązowe oczy Izzy napęłniły się łzami. Dolna warga tak jej drżała, że aż ją przygryzła.

Annie wyciągnęła rękę i końcem palca strąciła jedną jedyną łzę.

- Jednak mój tata do mnie wrócił. Trochę to trwało, ale wrócił, bo mnie kochał. Tak jak twój tata kocha ciebie.

Annie nie doczekała się odpowiedzi Izzy. W końcu uśmiechnęła się i wstała. Pod wpływem nagłego ruchu strzeliło jej w kolanach. - Chodź, skarbenku. Położę cię do łóżka. - Zaczęła iść ku schodom.

Izzy szła z nią krok w krok. Annie zwolniła, by dziewczynka zdążyła za nią. W połowie drogi na górę Izzy przysunęła się bliżej i włożyła rękę w dłoń Annie. To był pierwszy raz, kiedy jej dotknęła.

Annie uchwyciła małe paluszki i lekko je uścisnęła. „Świetnie, Izzy... Wyciągaj do mnie rękę. Nie pozwolę ci upaść”.

Na górze, gdy Izzy umyła zęby, uklękły razem przy łóżku. Annie odmówiła „Aniele Boży, strózu mój”, po czym otuliła Izzy kołdrą i pocałowała ją w czoło. Po chwili podeszła do bujanego fotela przy oknie i usiadła na nim.

W zetknięciu z drewnianą podłogą fotel wydawał cichy dźwięk „ka tump, ka tump”. Annie przesunęła spojrzenie od Izzy do okna. Wpatrywała

się w lśniące, oświetlone księżycową poświatą jezioro, nasłuchując powolnego oddechu śpiącej dziewczynki.

Jak się często zdarzało, ten wieczorny rytuał budził w Annie wspomnienia. Gdy jej matka umarła, ona też była o wiele za młoda, by poradzić sobie z tym smutkiem. Wiedziała tylko, że jednego dnia jej świat był jasny, promienny i przepojony miłością, a następnego krajobraz stał się ponury, smutny, nabrzmiały łzami. Nadal pamiętała swe przerażenie na widok płaczącego ojca.

Wówczas to nakreślony został schemat jej życia. Stała się grzeczną dziewczynką, która nigdy nie płakała, nigdy się nie skarżyła, nie zadawała niewygodnych pytań.

Smutek trawił ją całe lata. W pierwszym roku z dala od domu czuła się niewiarygodnie samotna. Uniwersytet Stanforda nie był odpowiednim miejscem dla córki pracownika tartaku z małego miasteczka. Pokazał jej – po raz pierwszy – że jest biedna, a jej rodzinie brak wykształcenia.

Miłość do Hanka była jedynym powodem, dla którego pozostała na tej wielkiej, nieprzyjaznej uczelni. Wiedziała, ile to dla niego znaczy – była pierwszą osobą z rodziny Bourne'ów, która poszła na studia. Toteż chodziła ze spuszczoną głową, przygarbiona i robiła, co mogła, by się dostosować. Ale samotność często była przytłaczająca.

Pewnego dnia, gdy zapuściła motor samochodu, dźwięk silnika coś w niej poruszył. Wspomnienie było równie nieoczekiwane jak burza śnieżna w lipcu. Nagle poczuła, że matka siedzi obok niej, a volkswagen Annie, „garbus”, staje się kombi, które niegdyś mieli, starym modelem oklejonym paskiem o wzorze słoików drzewnych. Nie wiedziała, dokąd jechały we dwie ani o czym rozmawiały, i z nagłym, ostrym spazmem bólu uświadomiła sobie, że nie pamięta już głosu matki. Im bardziej usiłowała wślizgnąć się w

tę chwilę, zagłębić w owo wspomnienie, tym bardziej stawało się ono płaskie i jednowymiarowe.

Dotychczas wierzyła - naiwnie - że zdołała przezwyciężyć śmierć matki, ale tego dnia, ponad dziesięć lat od owej godziny, gdy trumnę matki wkładano do zimnej, ciemnej ziemi, Annie się załamała. Oplakiwała wszystkie utracone chwile - pocałunki na dobranoc, niespodziewane uściski, radość, która już nigdy nie będzie pełna. Najbardziej żal jej było zaprzepaszczonej dziecięcej niewinności, którą bez ostrzeżenia odebrano jej w deszczowy dzień, zostawiając dorosłą kobietę w ciele dziecka, dziewczynę, która wiedziała, że życie jest niesprawiedliwe i miłość może złamać człowiekowi serce, a przede wszystkim, że nie ma nic gorszego niż zostać opuszczonym przez kochanego człowieka.

Minęło kilka dni, zanim zdołała stłumić żal, i nawet wówczas ledwo nad nim panowała; był jak warstewka kruchego lodu na zimnej, czarnej tafli wody. Nic dziwnego, że niemal natychmiast potem zakochała się. Była chodzącą raną samotności, a pustkę w duszy potrafiła zapełnić jedynie czułością. Gdy poznała Blake'a, obsypała go całą nagromadzoną tęsknotą i miłością, którą w sobie kryła.

Podniosła się powoli z fotela i na palcach podeszła do łóżka. Izzy spała spokojnie. Annie zastanawiała się, czy dziecko doznaje błogosławieństwa snów, w których pojawia jej się Kathy. Annie rzadko spotykało takie szczęście.

Była już w połowie drogi ze schodów, gdy zadzwonił telefon. Przeskoczyła przez ostatnich parę stopni i rzuciła się do aparatu, podnosząc słuchawkę przy trzecim dzwonku.

- Nick?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym kobiecy głos powiedział:

- Nick?

Annie zamrugnęła nerwowo.

- Jak się masz, Terri?

- O, co to, to nie, ani mi się waży zachowywać, jakby to była normalna rozmowa. Kim, do diabła, jest Nick i gdzie ty w ogóle jesteś? Zadzwoiłam do Hanka i podał mi ten numer.

Annie opadła na kanapę i podwinęła nogi pod siebie.

- To naprawdę nic takiego. Pilnuję dziecka starego przyjaciela, a on się spóźnia.

- Miałam nadzieję, że się zmieniłaś. Przynajmniej choć odrobinę.

- Jak to?

- Przez dwadzieścia lat czekałaś, żeby mężczyzna wrócił do domu - a teraz czekasz na innego? To obłąd.

Rzeczywiście był to obłąd. Dlaczego Annie sama tego nie dostrzegła? Nagle się zezłościła, bo wyraźnie straciła już zdolność wpadania w prawdziwy szal, a ponadto pozwoliła, by Nick traktował ją tak jak Blake, co też przyjmowała bez protestu. Wymówki i kłamstwa.

- Taak - wymamrotała bardziej do siebie niż do Terri. - Muszę po prostu pogodzić się z tym, że mężczyźni, których kocham, mają mnie gdzieś.

- No tak, to odpowiedź na moje następne pytanie. Ale co...

- Muszę pędzić, Terri. Zadzwoię do ciebie później. -Annie nadal słyszała głos Terri, gdy odkładała słuchawkę. Potem nacisnęła inny numer.

Lurlene odpowiedziała po trzecim dzwonku.

- Halo?

- Lurlene? Tu Annie.

- Coś się stało?

- Nie, nic, ale Nick nie wrócił jeszcze do domu.

- Wpadł pewnie do Zoe na jednego - albo na dziesięć. Annie skinęła głową. Też to podejrzewała.

- Mogłabyś przez chwilę posiedzieć przy Izzy? Chcę z nim porozmawiać.

- Nie będzie zachwycony.

- Wszystko mi jedno, jadę.

- Będę za dziesięć minut.

Gdy Annie odłożyła słuchawkę, poszła na górę i jeszcze raz zajrzała do Izzy, po czym pospieszyła na dół i nerwowo przemierzała bawialnię. Zgodnie z przyrzeczeniem Lurlene pojawiła się po dziesięciu minutach, ubrana w obszerny szlafrok kąpielowy z różowego kordonku i zielone plastikowe chodaki.

- Jak się masz, złotko? - przywitała się cicho, wchodząc do domu.

- Dzięki, że przyjechałaś - powiedziała Annie, chwytając torebkę ze stolika. - Długo mi to nie zajmie.



# 11

Annie stała przed przekrzywionym, różowym neonem, który głosił: „Chcesz się zabawić? Wpadnij do Zoe”. Neon trzaskał i lekko buczał.

Kurczowo ściskając torebkę, weszła do środka. Knajpa była większa, niż się spodziewała, duża prostokątna sala z drewnianym barem, ciągnącym się wzdłuż prawej ściany. Bładoniebieskie światło sączyło się z rurek umieszczonych nad długim lustrem. Dziesiątki reklam piwa migotały niebieskimi, czerwonymi i złotymi odblaskami. Mężczyźni i kobiety siedzieli ciężko na stołkach barowych, pijąc, rozmawiając i paląc. Od czasu do czasu rozlegało się głucho uderzenie szklanki o blat.

W kręgu mocnych świetlówek stały dwa stoły bilardowe, nad którymi pochylali się grający, otoczeni gronem kibiców. Gdy ktoś rozbił piramidkę kul, w ciemności rozległ się głośny trzask.

Trzymając się bocznej ściany, Annie wślizgiwała się chyłkiem w głąb knajpy, aż zobaczyła Nicka. Stał przy stoliku w tylnym rogu. Przebiła się przez tłum.

- Nicku?

Gdy ją ujrzał, poderwał się na równe nogi.

- Czy Izzy... ?

- Nic jej nie jest.

- Bogu dzięki.

Chwiejąc się, odsuwał się od niej. Potknął się, padł na krzesło i jednym haustem wychylił swego drinka.

- Idź sobie, Annie - powiedział cicho. - Nie chcę... Przykucnęła obok niego.

- Czego nie chcesz?

Mówił tak cicho, że musiała nateżać słuch, by go usłyszeć.

- Nie chcę, żebyś mnie oglądała... w takim stanie.

- Wiesz, że Izzy każdego wieczoru nasłuchuje, czy nie przyjeżdżasz, Nick? Siada przed drzwiami, póki oczka się jej nie zamkną, i czeka, by usłyszeć twoje kroki na werandzie.

- Nie rób mi tego...

Serce jej wyrywało się ku niemu, lecz nie chciała zamilknąć, nie teraz, kiedy wreszcie znalazła odwagę, by zacząć.

- Wróć do niej do domu, Nicku. Zajmij się swoją córeczką. Jeszcze możesz spędzać z nią czas... ale wiesz, jak on szybko upływa. Zanim się obejrzyysz, będziesz pakował jej walizki i patrzył, jak wsiada do samolotu, by polecieć hen, daleko od ciebie.

Rzucił jej smutne, pełne beznadziei spojrzenie.

- Nie mogę się nią zająć, Annie. Nie zorientowałaś się jeszcze? Nikim nie mogę się zająć. - Niezgrabnie się poderwał. - Ale pojedę do domu i będę udawać. Robiłem to przez ostatnich osiem miesięcy. - Nie patrząc na nią, rzucił dwudziestodolarowy banknot na stół i wyszedł z baru.

Ruszyła za nim i przepychając się przez tłum, cały czas zastanawiała się, co mu powiedzieć. Przy krawężniku na zewnątrz przystanął wreszcie i spojrzał na nią.

- Oddasz mi jeszcze jedną przysługę?

- Wszystko, co zechcesz.

Widząc, jak po jego twarzy przebiega szybki wyraz niezadowolenia, Annie zdziwiła się, dlaczego przypuszczał, że mu odmówi. Dlaczego nie mógł uwierzyć, że naprawdę chce mu pomóc?

- Odwieszisz mnie do domu? Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Następnego ranka Annie przyjechała do domu Nicka godzinę wcześniej. Wślizgnęła się przez otwarte drzwi i cichcem przemknęła po schodach. Zajrzała do Izzy, przekonała się, że mała śpi spokojnie, po czym weszła do sypialni Nicka. Była pusta. Zeszła do holu, do pokoju gościnnego i otworzyła drzwi na oścież.

Firanki były zaciągnięte i ani jeden promień światła nie przedzierał się przez ciężkie zasłony w indiańskie wzory. Przy jednej ścianie stało staroświeckie łóżko z baldachimem. Ledwo dojrzała postać Nicka pod górą czerwonych wełnianych koców.

Powinna była się domyślić, że nie będzie już sypiał w pokoju gospodarza domu.

Annie zdawała sobie sprawę, że wejście do jego pokoju staje się dla niej niebezpieczne, ponieważ nie była tu domownikiem, ale nie mogła się oprzeć pokusie. Podeszła do łóżka Nicka i stanęła przy nim. We śnie wyglądał młodo i niewinnie, bardziej jak chłopiec, którego znała przed laty, niż mężczyzna, spotkany tak niedawno.

Do wtóru jego równego, spokojnego oddechu coś w niej cicho szeptało, że niegdyś tak bardzo go kochała...

Aż do owego wieczoru, kiedy ujrzała, jak całuje Kathy.

„Potrzebuję mnie, Annie, nie widzisz tego?” - powiedział później.  
„Pasujemy do siebie”.

„Ja też mogę się do ciebie dopasować, Nick” - błagała czule.

„Nie”. Dotknął policzka dziewczyny tak delikatnie, że łzy napłynęły jej do oczu. „Nie potrzebujesz takiego faceta jak ja, Annie Bourne. Jesienią wyjeżdżasz na Uniwersytet Stanforda. Podbijesz świat”.

- Co ty tu robisz tak wcześniej?

Z nagłym przestraszeniem Annie zdała sobie sprawę, że Nick nie śpi i przypatruje się jej.

- Tak sobie myślałam... że możesz mnie potrzebować.

Usiadł z grymasem niezadowolenia. Kołdra spadła z jego ciała, odsłaniając klatkę piersiową, porośniętą gęstym, czarnym włosom.

Czekała, by coś powiedział, ale on tylko tak siedział z zamkniętymi oczyma. Jego skóra miała żółtawy, woskowy odcień, jeszcze bardziej rzucający się w oczy przez kontrast ze srebrzystobiałą grzywą włosów i czernią rzęs. Lekka warstewka potu wystąpiła mu na czoło i górną wargę.

Przyciągnęła krzesło i usiadła obok łóżka.

- Nicku, musimy pogadać.

- Nie teraz.

- Postaraj się trochę zadbać o Izzy. Wreszcie na nią spojrział.

- Nie wiem, jak jej pomóc, Annie. Przeraza mnie. - Powiedział to cicho, a jego słowa przepełnione były bólem. - Chcę wypić z chłopakami jednego drinka po pracy, ale kiedy zaczynam myśleć o powrocie do domu... do pustej sypialni i znikającej córki, jedna szklaneczka zmienia się w dwie...

- Wszystko byłoby w porządku, gdybyś przestał pić.

- Nie. Wobec kobiet, które kocham, zawsze zachowywałem się jak gówniarz. Wystarczy zapytać Kathy.

Annie powściągnęła nieoczekiwaną chęć, by odgarnąć mu włosy z twarzy - chciała zrobić cokolwiek, by wiedział, że nie jest tak samotny, jak mu się wydaje.

- Nie możesz już jej pomóc, Nick.

Wyglądał, jakby uszły z niego wszelkie siły. Z ust wyrwało mu się ciche, znużone westchnienie.

- Wolałbym teraz o tym nie mówić. Marnie się czuję. Potrzebuję...

- Izzy cię kocha, Nicku. Rozumiem, że masz złamane serce - na tyle, na ile w ogóle można to zrozumieć - ale pieszczanie się ze sobą to luksus. Jesteś jej ojcem. Nie masz prawa się załamywać. Ze względu na nią musisz być silny. Ale nade wszystko potrzebuje twojej obecności.

- Wiem o tym - powiedział cicho, a ona usłyszała rozdzierający ból w jego głosie, ciche przyznanie się do własnej porażki. - Przyjdę do domu w piątkowy wieczór na rodzinny obiad. To na początek, dobrze? Czy tego ode mnie oczekujesz?

Annie zdawała sobie sprawę, że padło kolejne kłamstwo, obietnica, która nie zostanie dotrzymana. Nick stracił wiarę w siebie, a bez niej znajdzie się na wzburzonym morzu bez poczucia kierunku, czekając, aż prąd znowu wciągnie go w głębiny.

- Nie chodzi o to, czego ja od ciebie oczekuję, Nicku - rzekła cicho, a widząc głęboki smutek w jego oczach, pojęła, że zrozumiał.

Jeżeli Izzy stała nieruchomo, ale to kompletnie nieruchomo, czuła obecność taty w domu. W powietrzu unosił się jego leciusieńki zapach, woń dymu, która zawsze pobudzała Izzy do płaczu.

Przycisnęła pannę Tońcie do piersi i wysunęła się z sypialni. Słyszała głosy dochodzące z nowego pokoju taty i przez ułamek sekundy wydawało się jej, że brzmią jak kiedyś, zanim stała się ta straszna rzecz.

Ale to nie mama z nim rozmawiała.

Mama była w niebie z aniołami i na dole w ziemi, a skoro człowiek znajdzie się w tych dwóch miejscach, nie ma już powrotu. Tak jej powiedział tata.

Przemknęła się cichutko po przyciemnionym holu i zeszła na dół.

Wszystko wyglądało tak ślicznie, w wazonie na stole stały świeże kwiaty, a okna były otwarte. Mamusi podobałby się obecny wygląd domu.

Otworzyła wielkie drewniane drzwi frontowe i wyszła na werandę.

Różowe słońce wisiało tuż nad koronami drzew i wiedziała, że wkrótce wzniesie się ono na błękitne niebo.

Ale na to było jeszcze za wcześnie, a warstwa delikatnej, zwiewnej mgiełki snuła się nad brzegami jeziora i wyzierała spomiędzy drzew. Serce zaczęło jej bić szybciej i ledwo mogła oddychać.

Rzuciła szybkie spojrzenie do środka, by sprawdzić, czy przypadkiem nikt jej nie obserwuje, po czym przemknęła przez obite siatką drzwi. Ptaki ćwierkały na wysokich gałęziach wielkiego, starego drzewa, gdy kroczyła przez mokrą trawę.

Schowała się do swej kryjówki w lesie i usilnie wpatrywała się w mgłę.

„Mamusi?”

Nasłuchiwała bardzo, bardzo uważnie. Po paru chwilach usłyszała odpowiedź, wyszeptaną cichutkim głosem jej mamy.

„Hej, Izzy, misiaczku, jesteś zajęta?”

Otworzyła oczy jak najszerzej. W falującej szarej mgłę ujrzała zarys sylwetki kobiety o złotych włosach.

„Znikam, mamusi, tak jak ty”.

Mama wydała westchnienie, które zabrzmiało jak wietrzyk. Dziewczynka czuła jej dotyk, delikatne muśnięcie włosów.

„Och, Izzy, misiaczku... ”

Po raz pierwszy głos jej mamy zabrzmiał smutno, jakby nie cieszyła się widokiem córki. Izzy wpatrzyła się w mgłę i przez jej szarość dostrzegła głęboko błękitne oczy mamy. Kapały z nich łzy czerwone, niczym kropelki krwi.

„Coraz trudniej mi się z tobą widywać”.

Izzy ogarnęła fala paniki.

„Ale przychodzę najszybciej, jak mogę”.

Poprzez chłodny wietrzyk znowu poczuła miękki dotyk matczynej ręki.

„Nic z tego nie będzie, Izzy, misiaczku. Nie możesz pójść za mną”.

Łzy paliły oczy dziewczynki, zaćmiły jej wzrok, tak że nie widziała już nic. Strząsnęła je z rzęs. Mgła odsuwała się od niej.

Pobiegła za nią, goniąc bladą chmurę aż do brzegu jeziora.

„Mamusiu, nie odchodź, mamusiu, już będę grzeczna... obiecuję ci, że od tej pory będę grzeczna. Posprzątam pokój, zawsze wyczyszczę zęby i pójdę spać bez jednego słowa... mamusiu, proszę...”

Ale światło słoneczne padło już na powierzchnię wody i przedarło się przez mgłę, aż mama całkiem zniknęła.

Izzy uklękła na grobowo zimnym brzegu i płakała.

Nick, powłócząc nogami, wyszedł z sypialni. Włożenie munduru zabrało mu nieskończenie dużo czasu, a zapięcie kołnierzyka wydawało się prawie niemożliwością. Opierając się jedną ręką o ścianę, dotarł do holu. Kurczowo trzymał się śliskiej drewnianej poręczy, by zejść ze schodów, a każdy stopień czuł w kościach.

Ciało miał kruche niczym zimowy liść. Krople potu ściekały mu z czoła i pełzły po grzbiecie zimnymi, mokrymi strużkami.

To cud, że dotarł na dół, nie spadając ze schodów. Ani razu też nie rzygnął. Cały czas kurczowo trzymając się poręczy, przystanął, gwałtownie wciągając powietrze i usiłując powstrzymać wymiociny, wzbierające mu w gardle. Od tego wysiłku poczuł łzy w oczach.

Zamrugął i zwalczył mdłości.

Gdy ponownie rozwarł powieki, zauważył zmiany, jakich w jego domu dokonała Annie. Ogień igrał i tańczył na kominku, wyłożonym szarym, rzeczonym kamieniem. Dwa skórzane fotele zostały wyczyszczone do połysku, a teraz stały naprzeciw kanapy, natomiast znajdujący się pomiędzy nimi, z grubsza obciosany drewniany stoliczek błyszczał pięknym, czerwonawobrazowym blaskiem. Na stoliczku Annie umieściła wypolerowany srebrny wazon, wypełniony liśćmi paproci i białymi pąkami kwiatów.

Często marzył o takim pokoju, wypełnionym kaskadami śmiechu... zamiast stłumionej ciszy i nagłych wybuchów gniewu czy wesołości Kathy.

Z ciężkim westchnieniem odsunął się od schodów.

I wtedy właśnie ujrzał Izzy. Stała obok wielkiego okna, skąd rozpościerał się widok na jezioro, złotawy poblask słońca tworzył aureolę wokół jej głowy. Czas zatrzymał się na chwilę, pozostawiając Izzy taką, jaka była niegdyś, ślicznie ubraną porcelanową laleczką z atłasową wstążką w splecionych włosach.

Popatrzyła nań szeroko otwartymi oczyma z drugiego końca pokoju.

- Hej, Izzy - rzekł, próbując się uśmiechnąć. - Wyglądasz rewelacyjnie. Zamrugła i nie poruszyła się.

Zwilżył zeschnięte wargi. Kropelka potu spłynęła mu po skroni.

Właśnie wtedy z kuchni wyszła Annie z dzbankiem parującej kawy i jakimś daniem. Na jego widok przystanęła.

- Nick! To cudownie, że możesz zjeść z nami śniadanie.

Na myśl o jedzeniu żołądek mu się wywrócił.

- Izzy, pomóż tacie wyjść na werandę, gdzie dochodzi słońce. Zaniosę tam śniadanie. Postawię jeszcze jedno nakrycie na stole.



Widocznie nie wiedziała, że zbierało mu się na wymioty. Po prostu bez przerwy mówiła - nie miał pojęcia, o czym - i krążyła pomiędzy kuchnią i werandą. Jej gadanina buzowała mu w uszach jak szum chmary komarów.

- Annie, proszę...

- Izzy - powtórzyła. - Pomóż tatusiowi. Nie czuje się dobrze. - A potem znowu pospieszyła do oblanego słońcem kąta na werandzie.

Izzy popatrzyła nań, gdy zostali sami. Jej piwne oczy pełne były niepewności.

- Nie potrzebuję pomocy, Izzy - rzekł. - Naprawdę czuję się dobrze.

Przypatrywała mu się jeszcze przez chwilę, po czym z wolna przysunęła się do niego. Pomyślał, że przejdzie obok, ale w ostatniej sekundzie przystanąła i spojrzała nań.

Z przerażeniem dostrzegł strach w oczach córki, a czarna rękawiczka omal go nie dobiła. Annie miała rację. Musi być lepszym ojcem. Dość topienia smutków w wódzcie i osładzania sobie porażek. Musi się zająć swoim dzieckiem. Czując się nieswojo i niepewnie, uśmiechnął się do niej.

- Dobrze, Izzy, misiaczku. Idziemy.

Powoli przykrył jej jedną, gołą rękę swą większą, stwardniałą dłonią. Razem zmierzali ku nasłonecznionej części werandy. Szli krok w krok. Między córką, która przestała mówić, i ojcem, nie mającym pojęcia, co powiedzieć, panowało smutne milczenie.

Annie rozpromieniła się, gdy weszli. Oblany słońcem kącik wyglądał jak ilustracja z magazynu dla kobiet. Rozchwierutany stolik przykryty był jasnoniebieskim obrusem, a na środku w glinianym wazonie stały gałązki czarnej jagody i derenia. Obok trzech pustych talerzy znalazły się szklanki z mlekiem i sokiem pomarańczowym.

- Siadajcie - powiedziała Annie i pomogła Izzy usadowić się na krześle, po czym przysunęła je do stołu.

Nick usiadł powoli, starając się nie zwracać uwagi na walenie w głowie.

- Dla mnie tylko kawa - zaskrzeczał. - Jestem taki upiep... - Spojrzał na Izzy. - Źle się czuję. Ale tylko boli mnie głowa.

Wzrok Izzy powiedział mu, że mała doskonale orientuje się, jaka jest przyczyna bólu głowy tatusia. Poczul się straszliwie winny i okropnie zawstydzony.

Sięgnął po dzbanek z sokiem pomarańczowym, ale nie trafił. Pięścią wywrócił wazon, aż zleciał ze stołu. Woda rozprysnęła się wokół, zielone gałązki plusnęły na jajka, ochlapując je drobnymi kropelkami. Wazon spadł na podłogę z głośnym trzaskiem.

Nick mocno zacisnął powieki.

- Kurde - jęknął, kryjąc w dłoniach pulsującą głowę.

- Ależ absolutnie się tym nie przejmuj. Każdemu zdarzają się takie wypadki - prawda, Izzy? - Annie wstała i wytarła mokre plamy swoją serwetką.

Odwrócił się do Annie, chcąc jej powiedzieć, że już na niego pora i musi się, do diabła, stąd wynosić, lecz jej uśmiech go powstrzymał. Wyglądała na tak cholernie... pełną nadziei. Nie mógł jej zawieść. Przełknął wielką gulę w gardle i drżącą ręką otarł warstewkę potu z czoła.

Annie przesłała mu szeroki uśmiech i zaczęła nakładać jedzenie. Włożyła sobie jajecznicę jak dla chłopca do kosy i taką górę naleśników, że drwal nie zdołałby tego przejeść.

Usiłował skupić się na tej górze jedzenia, by zapomnieć o bólu głowy i drzeniach, które wstrząsały jego członkami.

- Zamierzasz to wszystko pochłonać? Roześmiała się.

- Jestem z Kalifornii. Od piętnastu lat nie jadłam jajek, a ostatnio żrę jak świnia. Ciągłe chodzę głodna. -Nadal uśmiechając się, polala syropem nieprzytomną górę jedzenia, po czym jadła i gadała, gadała i jadła.

Nick otoczył trzęsącymi się rękami filiżankę z grubej porcelany. Gdy doszedł do wniosku, że da już radę to uczynić, uniósł filiżankę do ust i z wdzięcznością, niespiesznie pociągnął długi łyk. Gorąca kawa ukoila jego rozedrgane nerwy i nieco złagodziła ból głowy. Powoli, bardzo powoli odchylił się w fotelu i dał się ponieść kojącemu dźwiękowi głosu Annie. Po dłuższej chwili zdołał przełknąć kęs nałożonego mu jedzenia. Przez cały czas Annie mówiła, śmiała się i w ogóle zachowywała tak, jakby byli rodziną, która każdego dnia zjada razem śniadanie, nie zaś milczącym, „znikającym” dzieckiem i skacowanym ojcem. Udawała, że Nick i Izzy funkcjonują całkiem normalnie.

Nie mógł oderwać oczu od Annie. Za każdym razem, gdy rozlegał się jej śmiech, ten dźwięk przeszywał go drzeniem tęsknoty, aż zaczął się zastanawiać, kiedy to on ostatnio się śmiał, kiedy roześmiała się Izzy... od jak dawna z czegoś się śmiali albo wspólnie przeżywali chwilę radości.

- Tak sobie pomyślałam, że podjedziemy dzisiaj do sklepu ogrodniczego i kupimy trochę narzędzi i roślin - ciągnęła Annie promiennym głosem. - To akurat odpowiednia pora, żeby zająć się grządkami. Jeżeli we trójkę zabierzemy się do roboty, pójdzie nam to mi-giem.

Uprawianie ogrodu. Nick uświadomił sobie, jak bardzo lubił obsiewać grządki, wkopywać świeże pędy, grabić liście, ścinać obumarłe róże z ciernistych krzewów. Uwielbiał patrzeć, jak rośliny, które zasadził, podlewał i pielęgnował, rzeczywiście rosną. Zawsze z radością oglądał pierwsze

wiosenne pąki, lecz w tym roku nawet ich nie zauważał. Widział tylko rachityczne drzewko wiśniowe, które zasadził po pogrzebie Kathy. Nigdy nie pojawiła się na nim ani jedna wisienka.

- Jak sądzisz, Izzy? - przerwała Annie ciężką ciszę. -Powinniśmy pomóc tacie?

Izzy podniosła łyżkę - trzymając ją w dwóch palcach, które jakoby dziewczynce zostały - i potrząsnęła nią tak mocno, że walnęła o stół.

Annie spojrzała na Nicka zza kwiatów.

- To znaczy, że twoja córka uwielbiałaby pielęgnować z tobą ogród, Nicku Delacroix. Może liczyć na ciebie?

Nick chciał udawać, że w ogóle nie ma sprawy, wystarczy kilka słów przy porannym stole i znowu wszystko będzie w porządku. Ale już od bardzo dawna nie był tak naiwny. Nawet jeśli skinął potakująco głową, wiedział, że to kłamstwo. Jeszcze jedna obietnica mężczyzny, który z rzadka ich dotrzymywał.

## 12

Nick siedział w swym wozie patrolowym na przedmieściu Mystic. Tuż za sześcioma niskimi blokami góra Olimp wznosiła się jak zjawą z bajki, zaśnieżony szczyt na tle napuchłego od szarych chmur podbrzusza nieba. Liście sunęły po betonowym chodniku, pędzone zimnym wiatrem. Jak zwykle miasteczko wyglądało na opuszczone przez Boga i ludzi, zapomniane i zniszczone na krańcach. Niekończący się kłęb białoszarego dymu płynął z komina odległego tartaku, roznosząc w powietrzu cierpki, ciężki zapach drewna.

Niegdyś uwielbiał patrolowanie tych uliczek. Znał doskonale ludzi, których przysięgał chronić; wiedział, kiedy ich córki wychodzą za mąż, a synowie przygotowują się do obrządku bar micwy, kiedy dziadkowie odchodzą do domu starców, a dzieci idą do przedszkola. Zawsze był dumny, że tak dobrze wykonuje swoją pracę; zdawał sobie sprawę, że kontrolując tych ludzi na co dzień, poprawia ich poczucie bezpieczeństwa.

Wiedział też, że teraz wszystkie ważne sprawy wymykają mu się z rąk, lecz myśli o tym, że znowu ma o nie zadbać, napełniała go przerażeniem. A jeśli zawiedzie Izzy? Ta brązowooka dziewczynka tyle od niego wymaga, a on miał wstrętny zwyczaj rozczarowywania osób, które kochał. Nawet gdy bardzo się starał. Doskonale wiedział, iż on sam ponosi winę za to, że Izzy znika, że nie czuje się bezpieczna ani kochana. Gdyby był silniejszym, lepszym człowiekiem, pomógłby jej przeżyć żałobę, ale nie potrafił kiwnąć palcem. Do diabła, nie był w stanie nawet pomóc sobie, a już z pewnością nie zdołał nic zrobić dla Kathy.

Trudno będzie odnaleźć się z powrotem, lecz Annie ma rację: nadeszła najwyższa pora. Pierwszy raz od miesiący poczuł iskrę nadziei.

Wysiadł z samochodu i zrobił pierwszy, ostrożny krok w kierunku dawnego życia. Wtopił się niepostrzeżenie w tłum dokonujący popołudniowych zakupów. Wszędzie wokół ludzie spieszyli się, pędzili do sklepów, wychodzili z papierowymi torbami i paczkami. Doszły doń dźwięki codzienności: trzaskanie zamykanych drzwi samochodów, dźwięk klaksonów, brzęk monet wciskanych do parkomatów.

Kto go spotykał, machał doń i mówił: „Cześć, Nick”, a za każdym pozdrowieniem Nick odzyskiwał wiarę w siebie. Czuł się niemal jak za dawnych dni, jeszcze przed śmiercią Kathy, gdy mundur miał zawsze czysty i wykrochmalony, a dłonie nigdy mu nie drżały.

Przechodził koło sklepów, witał się z właścicielami. Mijając sklep z dziecięcymi ubrankami, ujrzał na wystawie śliczną różową sukieneczkę. W sam raz dla Izzy. Gdy otworzył drzwi, u góry zadźwięczał dzwonek.

Susan Frame, która siedziała przy kasie, pisnęła na jego widok i ruszyła niczym szarżujący byk, machając pulchnymi, różowymi dłońmi.

- Boże drogi, nie mogę uwierzyć, że to ty. Uśmiechnął się.

- Cześć, Susan. Dawno się nie widzieliśmy.

Poklepała go po ramieniu i zaśmiała się, aż zadrgał jej potrójny podbródek.

- Od wieków cię tu nie było.

- No cóż...

- I jak ci leci?

- Już lepiej. Zobaczyłem tę sukieneczkę na wystawie... Plasnęła pulchnymi dłońmi.

- O tak, to śliczna rzecz. Idealna dla panny Isabelli. Ile ma teraz lat?

- Sześć.

- Ooch, dam głowę, że rośnie jak kwiatuszek. Nie widziałam Izzy, odkąd jej mama... - Urwała nagle i wzięła go pod ramię, prowadząc przez sklep. Pozwolił się ponieść jej nieustającemu, pełnemu pogody potokowi słów. Zdawała sobie sprawę, że jej nie słuchał, lecz to się nie liczyło. Najwyraźniej wyczuwała, że samo wejście do tego sklepu wiele dla niego znaczyło.

Ściągnęła sukienkę z wieszaka. Była w białoróżową kratkę z koronkową halką i bladoniebieskim karczkiem, haftowanym w maleńkie, bladoróżowe kwiatki. Przypominała ogród Kathy...

„Popatrz tylko, Nicky - tulipany rozkwitają...”

To wspomnienie uderzyło go jak cios. Zamrugął i mocno zacisnął powieki. „Nie myśl o kwiatkach... w ogóle o niej nie myśl...”

- Nick? Nic ci nie jest?

Nieco niepewnie wyciągnął dwudziestodolarówkę z kieszeni spodni i położył ją na ladę.

- Ta sukieneczka jest idealna, Susan. Możesz ją zawinąć?

Odpowiedziała, ale nie słuchał. Myślał wyłącznie o tym, że jeden - tylko jeden - kieliszek u Zoe uśmierzy drżenie jego dłoni.

- Proszę bardzo, Nick.

Wydawało się, że minęła zaledwie sekunda, gdy znowu była przy nim, machając mu przed nosem wielką paką, zawiniętą w papier koloru lawendy. Zwilżył językiem wyschłe wargi i usiłował się uśmiechnąć.

Susan dotknęła jego ramienia.

- Nick, nic ci nie jest?

Potrząsnął głową, choć nawet ten zwykły gest najwyraźniej zabrał mu zbyt wiele czasu.

- Nie, absolutnie nic. Dzięki. - Chwycił paczkę

I przez szklane drzwi wyszedł na zewnątrz.

Zaczęło padać. Krople wielkie jak monety kapały mu na twarz. Tęsknie spojrzał w kierunku knajpy Zoe.

Nie. Nie pójdzie tam. Skończy obchód i wróci do domu. Izzy i Annie czekają, a on nie chce ich zawieść. Wziął głęboki oddech, rozprostował ramiona, po czym ruszył ulicą, opierając lekko rękę na pałce. Z każdym krokiem czuł się lepszy, silniejszy.

Wrócił do wozu patrolowego i wsiadł do środka, chroniąc się przed ulewą. Sięgnął po radio, ale nim zdołał cokolwiek powiedzieć, nadszedł sygnał.

Awantura domowa na Old Mill Road.

- Cholera jasna! - Odpowiedział na wezwanie, włączył syrenę i wyjechał z miasta.

Gdy znalazł się na drodze do Weaverów, wiedział już, że źle się tam dzieje. Poprzez rześisty deszcz i zasłonę drzew widział odległe, żółtoczerwone, mgliste światła. Gnał po wyboistej drodze, a serce biło mu tak, że nie mógł złapać tchu.

Przyczepę otaczały samochody - dwa wozy patrolowe i karetka.

Nick wcisnął się pomiędzy nie i wyskoczył. Pierwszą osobą, jaką ujrzał, był kapitan Joe Nation, człowiek, który przed laty zaproponował Nickowi tę posadę.

Joe wychodził z przyczepy, potrząsając głową. Długie czarne włosy, przetykane siwizną, które nosił splecione w warkoczyki, drgały mu lekko przy każdym ruchu. Dostrzegł Nicka na podjeździe i się zatrzymał.

- Joe? - zagadnął Nick już bez tchu.

Joe położył ciężką, żyłastą rękę na przedramieniu Nicka.



- Nie wchodź tam, Nicholasie.

- Nie...

- Już nic nie poradzisz. Nikt nie może nic pomóc. Nick przemknął obok Joego i pobiegł po błotnistym

podjeździe, ochlapując się w kałużach. Drzwi odpadły pod jego naporem i roztrzaskały się o ścianę.

W środku kręciło się kilkoro ludzi, szukając śladów w zielonej, włochatej wykładzinie. Nick przebiegł obok nich i wpadł do sypialni, gdzie Sally leżała na łóżku. Jej letnia sukienka w kwiecisty wzór podciągnięta była wysoko, odsłaniając cienkie jak patyki nogi, a twarz miała tak zakrwawioną, że prawie nie dało się rozpoznać rysów. Czerwonoczarna plama krwi sączyła się przez jej klatkę piersiową i ściekała na zgniecioną, szarą pościel, tworząc na niej mulistą kałużę.

Nick stanął jak wryty. Czuł, jakby rozpadał się na kawałki. Wiedział, że chwieje się niczym stara sosna na silnym wietrze, ale nie potrafił się opanować. Nagle przeniósł się w inny czas, inne miejsce, kiedy sam musiał zidentyfikować podobnie pobite ciało.

- Do diabła, Sally - wyskrzeczwał szorstkim, łamiącym się głosem.

Podszedł do niej, uklęknął obok łóżka i odgarnął jej z twarzy zakrwawione, zmierzwione włosy. Skórę nadal miała ciepłą w dotyku i prawie wierzył, że nagle się obudzi, uśmiechnie i powie mu, że nic się nie stało.

- Niech pan jej nie dotyka - upomniał go ktoś. - Dowody...

Nick odsunął drżącą dłoń i niezgrabnie się podniósł. Chciał obciągnąć kobiecie sukienkę - nadać jej przynajmniej to ostatnie znamię godności, ale nie mógł. Nikt nie był już w stanie zrobić niczego, co miałyby jakiegokolwiek

znaczenie dla Sally. Teraz nadeszła pora działania detektywów, fotografów i patologów.

Nick, zamknawszy oczy, odsunął się od łóżka, przeszedł przez zatłoczoną przyczepę i wynurzył się na deszcz, gdzie wszystko wyglądało tak samo jak dziesięć minut temu, ale wiedział, że już nic nie będzie takie jak przedtem.

Joe podszedł doń i odciągnął od przyczepy. Miał to samo dziwne uczucie, którego doznał przed wieloma laty, gdy na przystanku autobusowym w Port Angeles natknął się na chudego, zmarzniętego piętnastolatka.

- Nic nie mogłeś poradzić, Nicholasie - rzekł. - Nie chciała naszej pomocy.

Nick poczuł, jak z wolna, nieubłaganie, uchodzi z niego życie. Zapomniane obrazy podobnej nocy, nie tak znowu odległej, wypływały na sam środek jego umysłu, obrazy również zbrukane krwią, przemocą i tragedią. Przez osiem miesięcy uciekał od wspomnień owej nocy, wpychając je głęboko w podświadomość, ale teraz znowu powróciły, dobijając go.

- Tego już za wiele - powiedział, potrząsając głową. Joe poklepał go po plecach.

- Wracaj do domu, Nicholasie. Wracaj do swojej dziewczynki, która cię kocha, do swego pięknego domu nad jeziorem i zapomnij o tym.

Nie mogąc się ruszyć, Nick stał jak wmurowany. Ściskając kolbę rewolweru i moknąc na deszczu, wiedział, że teraz tylko jedna rzecz może mu pomóc.

\* \* \*

Nick znowu nie pojawił się na kolacji.

Annie usiłowała udawać, że nic się nie stało. Ze względu na Izzy starała się zachowywać bardzo beztrosko, ale wiedziała, że mała się na to nie nabierze. Żadna liczba paczków ani niezliczone żarciki nie powstrzymały Izzy przed ciągłym wyglądaniem przez okno...

Annie posadziła sobie dziewczynkę na kolanach, delikatnie kołysząc ją na bujanym fotelu. Nuciała cichutką piosenkę i gładziła Izzy po jedwabistych włosach.

Czuła, jak ciało dziewczynki drży, i wsłuchując się bardzo, bardzo pilnie, wyczuwała niezadane pytania w urywanych oddechach małej.

- Twój tata niedługo wróci, Izzy - rzekła jej do ucha, modląc się, by była to prawda. - On cię bardzo kocha.

Izzy nie poruszyła się ani nie odpowiedziała.

- Czasami dorośli czują się zagubieni... tak jak dzieci. A twój tata właśnie teraz nie może się odnaleźć. Wydaje mu się, że nie ma swojego miejsca na świecie, ale jeśli okażemy mu cierpliwość, damy trochę czasu, chyba się pozbiera. Wiem też, że trudno być cierpliwą. Zwłaszcza gdy czekanie jest takie bolesne.

Głos Annie zawisnął. Zamknęła oczy i oparła się o tył fotela, nasłuchując rytmicznego stukotu drewna o drewno oraz echa deszczu pluszczącego o dach werandy.

- Kocha cię, Izzy - powiedziała wreszcie bardziej do siebie niż do milczącego dziecka. - Wiem, że cię kocha.

Po chwili Annie zorientowała się, że z ust dziewczynki dobiega cieniutki jak trzcina, cichusieńki szept, brzmiący jak „ping, ping, ping”.

Naśladowała dźwięk deszczu uderzającego o ocynkowany dach.

Annie uśmiechnęła się.

Izzy usiłowała znaleźć powrotną drogę do życia.

Izzy czuła, że wrzask znowu powraca. Tkwił gdzieś w niej w głębi, w mrocznym miejscu, w którym czaiły się koszmary. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała Kathy i pamiętała słowa mamy. „Nie możesz iść za mną... nie możesz iść za mną... nie możesz. ”

A jeśli to prawda? Jeżeli zniknie we mgle i mimo wszystko nie odnajdzie mamy? Z jej ust wydobył się cichy, jękliwy okrzyk.

Była przerażona. Trwała jedna z owych nocy, gdy w jej snach nie zdarzało się nic dobrego i budziła się ze łzami na policzkach. Ciągłe śnił jej się ów doktor o spiczastym nosie i w grubych szklach, który jej powiedział, że musi zacząć mówić, bo inaczej nie pogodzi się ze śmiercią mamy. Te słowa dorosłych, które ledwo rozumiała, śmiertelnie ją wystraszyły. Po raz ostatni odezwała się właśnie do niego. „Nie chcę pogodzić się ze śmiercią mamy”...

Całe jej ciało drżało.

Nie chciała znowu krzyczeć.

Odrzuciła kołdrę, wyslizgnęła się z łóżka i podeszła bosą do zamkniętych drzwi. Tu się zatrzymała. Wpatrzyła się we własną rękę, w całą tę nicość wokół kciuka i palca wskazującego. Nagle zapragnęła, by przestała znikać, by mogła wyciągnąć dłoń do tej starej gałki u drzwi i mocno ją przekręcić.

Z westchnieniem dwoma palcami przekręciła gałkę. Zajęło jej to trochę czasu, ale w końcu zdołała otworzyć drzwi.

Wysunęła głowę i ujrzała ciemny hol.

Pokój taty był na lewo, za ledwie troje drzwi stąd, ale wiedziała, że go tam nie zastanie. Słyszała, jak Annie rozmawia z Lurlene. Myślały, że jej nie ma w pobliżu, ale była. Kryła się po kątach, nasłuchując.

Tatuś przebywał w tym strasznym miejscu, po którym cuchnął papierosami, chociaż nie palił. Wracał potem z przeraźliwym spojrzeniem i z trzaskiem zamykał drzwi sypialni. Kiedy przychodził z tego okropnego miejsca, jakoś dziwnie się poruszał.

Ześlizgnęła się do holu, a gdy wyjrzała przez barierkę, zobaczyła, że Annie śpi na kanapie.

Annie, która trzymała Izzy za rękę, czesała jej włosy i zachowywała się tak, jakby to, że dziewczynka nie mówi, nie miało najmniejszego znaczenia. Annie też chciała doprowadzić ogród mamy do porządku.

Dziewczynka bardzo powoli zeszła ze schodów. Jej bose stopy zmarzły na zimnych stopniach, aż zaczęła się trząść, ale to się nie liczyło. Gdy zaczęła iść, poczuła się lepiej. Wrzask wsunął się z powrotem w mroczne miejsce.

Nieomal zapragnęła coś powiedzieć, może zawołać Annie po imieniu, ale już od tak dawna nie chciała się odzywać, że poczuła się dziwnie. Nie pamiętała już nawet dźwięku własnego głosu.

Na paluszkach podeszła do kanapy. Annie spała z otwartymi ustami. Krótkie włosy opadły jej na bok z jednej strony i sterczały z drugiej.

Izzy nie wiedziała, co zrobić. Gdy była mała, wspinała się do łóżka mamy i taty, gdy tylko czuła strach, i było wtedy tak dobrze, tak ciepło. Mama zawsze tuliła ją w ramionach i owijała obie kocem, a Izzy spokojnie zasypiała.

Annie chrapnęła cicho i wyprostowała się, zostawiając akurat tyle miejsca wzdłuż brzegu kanapy, by dziewczynka mogła się obok niej położyć.

Izzy ostrożnie odsunęła szorstki niebieski koc i ochoczo wpełzła na łóżko.

Leżała sztywno na boku, ledwo śmiać oddychać. Obawiała się, że Annie się obudzi i odeśle ją na górę. Ale nie chciała tkwić sama w sypialni. Bała się panującej tam ciemności.

Annie ponownie cicho chrapnęła i potoczyła się ku Izzy.

Mała wstrzymała oddech i zamarła.

Annie opiekuńczo otoczyła dziewczynkę ramieniem i przyciągnęła ją do siebie.

Izzy poczuła, że cała się rozplywa. Po raz pierwszy od miesięcy mogła prawidłowo oddychać. Wtuliła się w Annie, wciskając pupę w zagłębienie jej ciała, tak że leżały niczym dwie przyciśnięte do siebie łyżeczki.

Z cichym, pełnym szczęścia westchnieniem zamknęła oczy.

Wczesnym rankiem Annie obudził zapach szamponu dla dzieci oraz dotyk małego, ciepłego ciała, które się do niej przytulało. Opadła ją fala wspomnień o dawnych dniach i dziecku, które teraz jest daleko i już dawno wyrosło z niemowlęctwa. Delikatnie pogłaskała spocone włosy Izzy i pocałowała jej małe, różowe uszko.

- Śpij smacznie, księżniczko.

Izzy przytuliła się mocniej. Annie odpowiedział cichy dźwięk, tak cichy, że nie dosłyszałyby go, gdyby były na dworze, padałby deszcz albo jeśliby rozmawiały.

We śnie Izzy się zaśmiała.

Annie zerknęła na zegar na krawędzi kominka. Wskazywał pół do szóstej rano. Bardzo łagodnie odsunęła koc i ominęła Izzy. Obejmując się ramionami, by ochronić się przed porannym chłodem, podeszła do okna i spojrzała na jezioro. Świt rzucał różowy poblask na ciemno rysujące się korony drzew.

- Niech cię szlag trafi - wyszeptwała.

Tym razem Nick w ogóle nie wrócił na noc do domu.

## 13

Telefon zadzwonił za piętnaście szósta rano. Annie wyciągnęła rękę nad ciałkiem Izzy i zapytała cicho:

- Halo?

- Halo? Chciałem mówić z Annie Bourne. Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, do kogo należy ten męski głos.

- Jestem przy telefonie.

- Tu kapitan Joseph Nation z policji w Mystic.

Annie ścisnęło w żołądku. Odsunęła się od śpiącego dziecka i usiadła na zimnej podłodze.

- Czy Nick...

- Miał wypadek zeszłej nocy.

- O mój Boże, czy...

- Nic mu nie jest. Prócz paru siniaków i... potwornego kaca wszystko z nim w porządku. Jest w szpitalu w Mystic.

- Czy prowadził?

- Nie. Miał dość rozumu, by oddać kierownicę komuś innemu, ale ten drugi też nie był trzeźwy.

- Czy komuś coś się stało? Kapitan Nation westchnął.

- Nie. Uderzyli w drzewo na Old Mill Road. Kierowca wyszedł z tego bez najmniejszego draśnięcia, a Nick porządnie walnął się w głowę. Doznał lekkiego wstrząsu. Miał szczęście... tym razem. Dzwonię, bo ktoś musi go przywieźć ze szpitala.

Annie zerknęła na Izzy, śpiącą tak spokojnie na kanapie. Ciągle pamiętała, jak dziewczynka czekała na tatusia, który nie wrócił do domu, bo znowu się zapił. Ale dosyć tego. Z wolna odpowiedziała:

- W porządku, przywiozę go.

\* \* \*

Nick jęknął i usiłował się przewrócić na drugi bok, ale przykrycie miał owinięte wokół nóg tak ciasno, że nie mógł się ruszyć. Powoli, by nie urazić jeszcze bardziej głowy, w której i tak mu pulsowało, uniósł się na łokciach i rozejrzał wokół. Światła przeszywały mu oczy i gdzieś ryczało radio.

Leżał na wąskim łóżku o metalowych krawędziach. Jarzeniówki krzyżowały się na suficie, zsyłając na biało pomalowany pokój jaskrawy blask. Jasnożółta zasłona, oddzielająca go od reszty pacjentów, zwisała w fałdach od sufitu do podłogi.

Zamknął oczy i opadł z powrotem na łóżko, osłaniając twarz ramieniem. Czuł się koszmarnie. W głowie mu dudniło, nie mógł patrzeć na oczy, suszyło go, a żołądek wyskrobano mu chyba zardzewiałym skalpelem. Drżał na całym ciele i nie był w stanie się ruszyć.

- No i co, Nicholasie? Wróciłeś pomiędzy żywych?

Nieprzyjemnie obudzić się na szpitalnym łóżku, widząc obok siebie szefa. Co gorsza, szef był mu bliski jak rodzony ojciec.

Joe ofiarował Nickowi pierwszy w jego życiu prawdziwy dom. Nick był młody, przerażony i gotów do ucieczki; matka wcześniej go nauczyła, że policjant to wróg. Nie miał zresztą dokąd pójść. Matka zmarła, a służby społeczne mu nie pomogły.

- To ty pewnie jesteś Nicholasem - powiedział Joe owego dnia. - Mam wolny pokój... może byś u mnie zamieszkał na jakiś czas. Moje wszystkie córki wyszły za męża, toteż oboje z Louise, moją żoną, czujemy się trochę



samotni. - I dzięki tym kilku słowom powitania Joe wskazał Nickowi pierwsze, ułamkowe perspektywy nowego życia.

Nick znowu podniósł się na łokciach. Bolało go przy każdym ruchu, do diabła, ledwo mógł oddychać.

- Jak się masz, Joe?

Joe stał spokojnie przy łóżku, wpatrując się w Nicka smutnymi oczyma, z których wyzierało rozczarowanie. Głębokie zmarszczki poryły mu czoło i przecięły okrągłe, ciemnoskóre policzki. Długie czarne włosy, przyprószone siwizną, zwisały w dwóch cienkich warkoczykach, zakręcając się na poliestrowej koszuli w niebieską kratkę.

- Wczoraj w nocy miałeś wypadek. Pamiętasz? Joel prowadził.

Nicka oblał zimny pot.

- Chryste Panie! Potrąciliśmy kogoś?

- Tylko ciebie... tym razem.

Nick opadł z ulgą na łóżko. Potarł drżącą dłonią twarz, marząc o prysznicu. Śmierdział wódką, dymem i wymiocinami. Ostatnią rzeczą, jaka utkwiała mu w pamięci, było wypicie drinka u Zoe, chyba czwartego. W ogóle nie przypominał sobie, by wsiadał do wozu Joela.

Z ostrym skrzypieniem metalu o linoleum, co niemal ogłuszyło Nicka, Joe przyciągnął krzesło i usiadł obok łóżka.

- Pamiętasz dzień, w którym się spotkaliśmy?

- Daj spokój, Joe. Nie teraz.

- Teraz. Ofiarowałem ci wszystko, co mogłem: dom, rodzinę, przyjaźń - i to dajesz mi w zamian? Mam patrzeć, jak się zapijasz? Gdyby Louise - niech Bóg ma ją w swojej opiece - dożyła tej chwili, to by ją zabiło. Wiesz, że padłeś?

Nick zamrugał. O kurczę!

- Gdzie? - Było to głupie pytanie, ale dla niego ważne.

- U Zoe.

Nick opadł z powrotem na łóżko. Publicznie, stracił przytomność w miejscu publicznym.

- Jezu Chryste - jęknął. Mogłoby mu się to przytrafić w obecności Izzy.

Wolał o tym nie myśleć. Odrzucił przykrycie i usiadł. W tym momencie żołądek wywrócił mu się na drugą stronę i poczuł, że głowa mu pęka. Ukrył twarz w ramionach i pochylił się do przodu, wpatrując się w podłogę piekącymi oczyma, aż znowu zdołał schwycić oddech.

- Nicholasie, nic ci nie jest?

Z wolna uniósł wzrok. Powoli, kawałek po kawałku, to do niego wracało. Sally Weaver... tyle krwi... zawroźnienie Chucka: „To nie moja wina...”

- Pamiętasz, jak namówiłeś mnie, żebym wstąpił do akademii, Joe? Powiedziałeś, że będę mógł pomóc takim ludziom jak moja matka...

- Wszystkich nie uratujesz, Nicholasie - westchnął Joe.

- Nie mogę już dłużej, Joe. Nie pomagamy ludziom. Wycieramy tylko plamy krwi. Nie mogę... już nie.

- Jesteś fantastycznym glina, ale musisz się nauczyć, że nie uratujesz wszystkich...

- Nie pamiętasz już, jaki widok zastałem, kiedy wróciłem do domu w zeszłym roku? Do diabła, Joe, nikogo nie mogę uratować. I nie mam zamiaru próbować aż do usranej śmierci. - Wygramolił się z łóżka. Stał jak idiota, chwiejąc się i słaniając, lecz za wszelką cenę starał się utrzymać na nogach. Żołądek wywinął mu fikołka, szukając jakiegokolwiek wymówki, by

wyrzucić swoją treść. Uchwycił się metalowej ramy łóżka sflaczałymi, spoconymi palcami. - Jutro wręczone ci moją rezygnację.

Joe podniósł się. Łagodnie położył rękę na ramieniu Nicka.

- Nie przyjmę jej.

- To mnie dobija, Joe - powiedział cicho.

- Zgodzę się na urlop - tak długi, jak będziesz potrzebował. Wiem, przez co przechodzisz, i nie musisz być z tym sam. Ale musisz przestać pić.

Nick westchnął. Wszyscy to powtarzali. „Wiem, przez co przechodzisz”. Ale nie mieli o tym pojęcia, bo i skąd? Żaden z nich nie wrócił do domu do zbryzganej krwią sypialni. Nawet Joe, który był skończonym alkoholikiem przed ukończeniem osiemnastego roku życia i który wyrósł w mrocznym, bagnistym cieniu ojca pijaka. Nawet Joe nie mógł tego w pełni zrozumieć.

- Nie masz racji, Joe. W sumie wszyscy jesteśmy samotni.

- Właśnie przez takie myślenie wkopałeś się w ten dół. Znam zasady postępowania dziecka alkoholika: nic nie mów, nikomu nie wierz. Ale komuś musisz zaufać, Nicholasie. Całe nasze miasteczko troszczy się o ciebie, a masz jeszcze małą córeczkę, która uważa, że potrafisz dać jej gwiazdkę z nieba. Przestań myśleć o tym, co straciłeś, zajmij się tym, co ci zostało. Chcesz skończyć jak twoja matka, siedząc zagłodzony na ławce w parku i czekając, aż cię wykończą? A może bardziej ci odpowiada mój los - ojca dwóch pięknych córek, które przeprowadziły się na wschodnie wybrzeże, byle być jak najdalej od wiecznie zalanego tatusia? - Wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją Nickowi. - Kiedy będziesz chciał wytrzeźwieć, zadzwoń pod ten numer. Pomogę ci, wszyscy ci pomożemy, ale to ty musisz zrobić pierwszy krok.

- Wyglądasz jak kupa rozgotowanego gówna. Nick nie spojrział nawet na Annie.

- Wytworny język. To tego uczą w Stanford?

- Nie, ale nauczyli mnie, żebym nie jechała po pijaku. Rozejrzał się, przesunął drżącą ręką po brudnych, zmierzwionych włosach.

- Gdzie jest Izzy?

- Ach, więc pamiętasz o niej?

- Do diabła, Annie...

- Obie - twoja córka i ja - martwiłyśmy się o ciebie zeszłej nocy. Ale ciebie to nic nie obchodzi, zgadza się?

Nagle poczuł się zmęczony, tak zmęczony, że już nie mógł ustać na nogach. Minął ją i chwiejnym krokiem wyszedł ze szpitala. Jej mustang był zaparkowany w strefie dostawczej, przed elektronicznymi szklanymi drzwiami. Omal nie runął na ziemię, ale uchwycił się zimnej metalowej rączki w drzwiach i stał tak z zamkniętymi oczyma, usiłując schwycić oddech.

Słyszał, jak idzie za nim. Jej tenisówki cicho szurały po cemencie. Gwałtownym gestem otworzyła drzwiczki samochodu, wsiadła i zatrasnęła je. Zastanawiał się tępo, czy Annie zdaje sobie sprawę, jak głośno zabrzmiało to w uszach człowieka, któremu głowa tykała niczym bomba, gotowa w każdej chwili eksplodować.

Nacisnęła klakson, boleśnie przeszywając mu bębunki w uszach. Otworzył drzwi i z żalnym jękiem opadł na czerwone winylowe siedzenie.

Samochód toczył się po koleinach. Nick nie miał wątpliwości, że przyspieszała przy każdym wyboju i dziurze w drodze. Przywierał do klamki zbielełymi, spoconymi kłykciami, jakby miało mu to uratować życie.

- Kiedy się ubierałaś, rozmawiałam z twoim kapitanem policji, panem Nationem. Powiedział mi, że bierzesz urlop ze służby. Wspomniał też, że straciłeś przytomność.

- Fantastycznie.

- A co tu widzę na przodzie twojej koszuli? - Gwizdnęła cicho. - Wymiociny? Musiałeś się nieźle bawić. Bóg mi świadkiem, że to o wiele lepsze niż siedzieć w domu z córką.

Mrugnął i poczuł, jak wstyd przenika go do głębi. Przypomniały mu się słowa Joego: „Chcesz skończyć jak twoja matka? A może wolisz mój los?” Pomyślał o Izzy, o tym, jakim go zapamięta i dokąd jego mała pójdzie, jeśli trafi się okazja... co zrobi, jeśli córka go opuści.

Spojrzał z ukosa na Annie. Siedziała zupełnie prosto, z rękami ułożonymi na kierownicy w pozycji za dziesięć drugą, wzrok miała utkwiony w pustą drogę przed sobą.

- Zrobiłabyś coś dla mnie, Annie?

- Oczywiście.

- Zawieź mnie do motelu „Kryjówka” na szosie numer siedem - rzekł cicho. - I przypilnuj Izzy przez parę dni.

Skrzywiła się z niezadowoleniem.

- Do „Kryjówki”? Przecież to nora, dlaczego... Poczuł się, jakby stąpał po powierzchni głębokiego

basenu, wypełnionego gęstą, mroczną wodą. Nie mógł wdawać się w dyskusje, nie w tej chwili.

- Proszę, nie kłóć się ze mną. Potrzebuję trochę... czasu. Rzuciła mu szybkie, zmartwione spojrzenie, po czym

znowu zwróciła wzrok na drogę.

- Ale Izzy...

- Proszę... - powiedział cichym, nabrzmiałym, nie-męskim głosem, ale nie potrafił przybrać innego tonu. -Mogłabyś z nią zostać, póki się nie pozbiaram? Wiem, że to cię będzie sporo kosztować...

Nie odpowiedziała i po raz pierwszy w tej ciszy poczuli się nieswojo. Po przejechaniu półtora kilometra włączyła kierunkowskaz i skręciła z autostrady. Nim się obejrzał, zatrzymała się na parkingu przed motelem „Kryjówka”. Przez okno widać było mrugający neon. WOLNE POKOJE - głosił. To zdecydowało.

- Jesteśmy na miejscu, Nick. Czy aby na pewno...

- Nie ma to jak w domu - odparł, uśmiechając się słabo.

Wówczas odwróciła się ku niemu, a w jej twarzy dojrzał czułość, jakiej się nie spodziewał. Pochyliła się i delikatnie odgarnęła mu włosy z oczu.

- Pomogę ci. Ale tym razem nie schrzań tego, Nicky. Twoje piękne dziecko nie może również stracić ojca.

- Na miłość boską, Annie - wyszeptał z udręką.

- Wiem, że ją kochasz, Nick. - Pochyliła się bliżej. -Razem sobie z tym poradzimy. Uwierz mi. Albo, lepiej, uwierz w siebie.

Jakiś głos szeptał, że znowu mu się nie uda, ale się tym nie przejął. Potrzebował drugiej szansy, którą Annie mu ofiarowała. Był zmęczony, tak strasznie zmęczony wieczną samotnością i strachem. Słowa: „Chcę spróbować” miał na końcu języka, ale nie starczało mu sił, by je wypowiedzieć. Tyle razy pragnął, by dano mu szansę... Pamiętał też, jak często jego matka powtarzała: „Uwierz mi, Nicky, tym razem mówię poważnie”. Już od dawna przestał wierzyć ludziom.

Wysiadł z samochodu i stał, patrząc, jak Annie odjeżdża. Gdy zniknęła mu z oczu, wsadził ręce w kieszenie i ruszył do motelu. Wyjął kartę kredytową, wpisał się do książki meldunkowej i wynajął pokój na noc.

Pokój był mały, ciemny i śmierdział moczem. Brudne brązowe ściany okalały idealnym kwadratem zapadające się, podwójne łóżko. Szara tkana narzuta zakrywała pełen górki i dołków materac. Pozbawione firanek okno wychodziło na ścianę sąsiedniego budynku z cementowych kostek. Żłotawy, wyleniały chodnik, gdzieś wytarty na tyle, że odsłaniał bąbelkową niebieską piankę, leżał, rzucony na cementową podłogę.

Widział łazienkę wielkości szafy za plastikowymi drzwiami, udającymi surowe drewno, które zwisały niezgrabnie z połamanymi zawiasów. Nie musiał wchodzić do środka, by wiedzieć, że znajduje się tam biały plastikowy prysznic i beżowa toaleta oraz że metalowy odpływ umywalki otaczają kółka rdzy.

Usiadł na łóżku ze znużonym westchnieniem. Przez te wszystkie lata przeżył niespełna połowę życia, a teraz nawet ta połowa, której się tak trzymał, przesypywała mu się przez drżące, odrętwiałe palce niczym pokruszone zimowe liście. Wiedział, że wódka to nieszczęście, że gdy po raz pierwszy sięgnął po butelkę wkroczył na złą drogę. Alkohol wysysał zeń wszystko, a kiedy go całkiem wykończy, zostanie chudym, przemarzniętym staruszką, wysiadującym na ławce w parku...

Na przeciwległej ścianie karaluch przebiegł wzdłuż brązowego plastikowego karnisza, po czym zniknął za oprawnym obrazem góry Olimp.

W końcu po ośmiu miesiącach bezwolnego unoszenia się na fali życia rzuciło go o ścianę. Teraz może zrobić tylko jedno. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartkę, którą dał mu Joe.

Annie starała się, by Izzy była zajęta przez cały dzień, lecz gdy zaczął zapadać wieczór, nie mogła już dłużej udawać. Po kolacji przeczytała jej bajkę do snu, po czym wzięła dziewczynkę w ramiona.

- Muszę ci coś powiedzieć, Izzy - rzekła cicho, usiłując znaleźć właściwe słowa. - Twój tata... na jakiś czas wyjechał. Jest chory. Ale wróci. Kocha cię najbardziej na świecie i dlatego wróci.

Izzy nie odpowiedziała. Annie nic nie przychodziło do głowy, żadne słowa, które mogłyby złagodzić sytuację. Tuliła dziewczynkę długo, bardzo długo, nucąc jej piosenki, głaszcząc po głowie, aż wreszcie westchnęła: -No, pora spać. - Oderwała się od Izzy i wstała. Zaczęła iść w stronę drzwi, lecz Izzy chwyciła ją za rękę.

Annie spojrzała w smutne, przerażone brązowe oczy i znowu poczuła ból w sercu.

- Nigdzie nie idę, skarbie. Zostanę przy tobie.

Izzy trzymała ją za rękę przez cały czas, gdy szły po schodach, holem i do łazienki. W sypialni nadal nie chciała jej puścić. Annie spojrzała w ogromne, piwne oczy dziewczynki.

- Chcesz, żebym przy tobie spała?

Szybki uśmiech przemknął po twarzy Izzy. Mocniej ścisnęła rękę Annie i skinęła przytakująco.

Annie weszła do małego, podwójnego łóżka Izzy, nie przejmując się tym, że powinna umyć zęby i przebrać się. Zostawiła zapaloną lampkę w kształcie Małej Syrenki i mocno przytuliła Izzy.

Annie gładziła miękki policzek dziewczynki, gdy przypomniała sobie nagle, że kiedyś bardzo brakowało jej rozmów o mamie. Po wypadku nikt nigdy o niej nie wspominał, jakby w ogóle nie istniała, toteż dzień po dniu



Annie zaczynała o niej zapominać. Zastanawiała się, czy nieszczęsną, milczącą Izzy dręczą te same obawy.

Przypomniała sobie wszystko, co pamiętała o Kathy, wyteńczyła umysł tak, że ją zobaczyła, jak siedzi na starym fotelu bujanym na werandzie.

- Twoja mama miała najpiękniejsze blond włosy na świecie, koloru dojrzałego kłosa zboża. I takie miękkie. Gdy byłyśmy małe, całymi godzinami splatałyśmy sobie warkocze. Oczy miała prawie czarne, tak ciemne jak niebo o północy, a gdy się uśmiechała, marszczyła jej się skóra w kącikach ust, jak kotu. Pamiętasz to?

Annie uśmiechnęła się. To zabawne, ile rzeczy potrafi sobie przypomnieć po tylu latach.

- Żółty był jej ulubionym kolorem. Przez całe lata fotografowała się w żółtym na szkolnych zdjęciach. A na pierwszej potańcówce - to było w ósmej klasie - miała na sobie żółtą bawełnianą sukienkę z ciemnoniebieską falbaną, którą sama uszyła. Była najładniejszą dziewczyną w szkole.

Izzy odwróciła się, by spojrzeć na Annie. W oczach miała łzy, lecz się uśmiechała.

- Nigdy jej nie zapomnisz, Izzy. Pamiętasz, jak się śmiała? Jak się zanosila pod koniec, po czym zaczynała prychać? A perfumy, które lubiła? I dotyk jej dłoni, gdy brała cię za rękę? Pamiętasz, co czułaś, gdy sadzała cię na kolanach, tuliła i jak czytała ci bajki przed snem? To cała twoja mama. Moja mama odeszła bardzo dawno temu, ale nadal myślę o niej, gdy czuję zapach wanilii. Nadal rozmawiam z nią w nocy i wierzę, że mnie słyszy. - Odgarnęła lok czarnych włosów z poważnej twarzyczki Izzy. - Słyszysz cię, kochanie, choć nie może ci odpowiedzieć. Ale to nieważne. Przytul się tylko pod kocem do panny Tońci, zamknij oczy i przypomnij sobie jedną rzecz o twojej mamie - tylko jedną - a zaraz znajdzie się w łóżku obok ciebie.

Poczujesz, że robi ci się coraz cieplej, albo że księżyc jaśniej świeci, wiatr świszcząc nieco głośniejszy, i już będziesz wiedziała. Na swój sposób ci odpowiada. - Annie ujęła buzię Izzy w obie dłonie i uśmiechnęła się do niej. - Zawsze jest przy tobie.

Mocno przytuliła Izzy i mówiła, mówiła, mówiła, od czasu do czasu wybuchając śmiechem, to znowu ocierając łzę. Wspominała dziewczęce psoty, miłości utracone i odnalezione, śluby, dzieci, które rodziły się i dorastały, a także dzieciństwo Natalie. Opowiadała też o Nicku, jaki był niegdyś silny i przystojny, jak bardzo kochał Kathy i jak czasami smutek popycha człowieka w niezgłębioną, zimną ciemność, z której nie ma ucieczki.

Umilkła dopiero, kiedy zapadła noc i pogrzyła pokój w ciemności, gdy rozległ się równomiernie sapiący oddech Izzy, która zapadła w głęboki, spokojny sen.

Wiosenne słońce nie pozostawiło już ani śladu po zimie, zdobiąc puszcę barwnymi kolorami. Delikatne krokusy, hiacynty i żonkile rozkwitały na grządkach, wzdłuż alejek i na słonecznych polankach na wilgotnym, pokrytym igłami leśnym podłożu. Powracające ptaki zbierały się na drutach telefonicznych i nurkowały w poszukiwaniu smakowitych kąsków. Czarne jak węgiel wrony skakały po trawniku i krakały głośno do siebie, używając podjazdu jako lądowiska.

Mimo zdecydowanego sprzeciwu ojca Annie spakowała walizeczkę i przeniosła się do domu Nicka. Okazało się to błogosławieństwem, bo choć samotne noce nadal się dłużyły, miała teraz kogoś, kto pomagał jej przebrnąć przez te godziny. Nie była już sama. Gdy budziła się pośrodku nocy, z sercem bijącym od znajomych koszmarów, wchodziła do łóżka Izzy i mocno ją przytulała.

Z Izzy spędzała całe dni. Jeździły razem do miasta, piekły ciasteczka i robiły pudełka na biżuterię z opakowań do jajek. Przygotowywały paczki z zapasami dla Natalie i wysyłały je co parę dni. Przerabiały książeczki z przedszkola i podręczniki z pierwszej klasy, by przygotować Izzy do powrotu do szkoły. I co wieczór Nick dzwonił, żeby powiedzieć im dobranoc.

Dziś Annie miała specjalny plan. Nadeszła pora, by przywrócić do życia ogród Kathy.

Z Izzy u boku stanęła przy białym, chwiejącym się drewnianym płocie. Gleba o ciemnobrunatnym odcieniu była rozmiękła w dotyku po wieczornej ulewie. Tu i tam kałuże połyskiwały srebrzystym blaskiem.

Postawiła na ziemi wielkie kartonowe pudło i zaczęła wyciągać narzędzia: łopaty, szufle, rydło, nożyce.

- Szkoda, że nie przyglądałam się pilniej pracy ogrodników w moim domu - rzekła, spostrzegając mnóstwo brązowych gałązek, które wyglądały obiecująco. - Coś z tego będzie albo znalazłam największą w życiu kupę chwastów. Zobacz, jak rosną w kępach, to z pewnością dobry znak. Myślę, że należy je poobcinać - tak przynajmniej powiedział Hector ze sklepu ogrodniczego. Chodź, Izzy. - Poprowadziła ją przez przejście ułożone z ciągu kamieni, tworzących kręty szlak przez duży ogród. Przystanąły przy grządce zwiędłych roślin.

Annie przyklękała. Czowała, jak wilgoć przesącza się z ziemi w jej spodnie, oblepiając skórę zimną i lepką powłoką. Włożyła rękawiczki, po czym chwyciła wystającą z ziemi martwą część i wyciągnęła ukorzenioną bulwę. -Cebulki - rzekła z triumfującym uśmiechem. - Wiedziałam.

Zadowolona, obróciła się ku Izzy.

- Cały czas byłam pewna, że to kwiat. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, o nie!

Oddzieliła cebulki i wkopała je na nowo w ziemię, po czym nożycami odcięła martwe łodygi bylin, równając je aż do ziemi.

- Wiesz, co najbardziej lubię przy uprawie ogrodu? Zapłacić komuś, żeby zrobił to za mnie. - Roześmiała się z własnego dowcipu i pracowała dalej. Wyrwała wszystko, co wyglądało na chwasty, oraz porozdzielała i wsadziła na nowo każdą cebulkę. Na koniec zajęła się różami, starannie przycinając cierniste łodygi. Przy pracy nuciała. Usiłowała przypomnieć sobie jakąś piosenkę, którą Izzy by знаła, ale przychodził jej do głowy tylko śpiewany alfabet, a więc zaśpiewała drżącym głosem, okropnie przy tym fałszując: „A-B-C-D-E-F-G... H-I-J-K... L-M-N-O-P”.

Zachmurzyła się nagle i spojrzała na Izzy, unikając widoku małej, czarnej rękawiczki.

- O Boże, zapomniałam alfabetu, ale nie ma się czym przejmować. To tylko piosenka i na pewno zaraz ją sobie przypomnę. „L-M-N-O-P”. No i znowu utknęłam na P!

Izzy z wolna sięgnęła po rydel. Szło jej to dość opornie, bo podnosiła go tylko dwoma palcami. Po pierwszej, niezdarnej próbie Annie nie mogła dłużej znieść tego widoku.

Śpiewała dalej:

- H-I-J-K... L-M-N-O-P... a niech to. Dalej nie mogę sobie przypomnieć. No cóż, chyba na razie przerwiemy. Umieram z głodu. Co powiesz na to, żebyśmy...

- Q.

Łopata wypadła z rąk Annie i z trzaskiem uderzyła o ziemię. Annie spojrzała na Izzy, która nadal klęczała na grządce, niezgrabnie pieląc ją

dwoma „widzialnymi” palcami, jakby nic się nie stało. Chwila ta rozkwitła, pełna piękna i nieskończonych możliwości.

Izzy przemówiła.

Annie z wolna, cicho odetchnęła. „Tylko spokojnie, Annie”. Postanowiła zachowywać się tak, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego.

- Chyba masz rację. L-M-N-O-P... Q-R-S.

- T-U-V.

- W-X-Y... i Z.

Annie czuła, że rozsadza ją duma i miłość. Zmusiła się, by pielić jeszcze przez parę minut. Chciała pisać ze szczęścia i wziąć Izzy w ramiona, ale się nie odważyła. Bała się, że ją wystraszy, i dziewczynka znowu zaniemówi.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Na razie wystarczy. Ręce mi odpadają. Jean-Claude, mój osobisty trener z Kalifornii, byłby ze mnie dumny. Zawsze miał pretensje, że się nie pocę. Mówiłam mu, że gdybym się chciała pocić, nie nosiłabym kolorystycznie dobranych ubrań, które kosztują majątek... - Otarła brudną dłońią błyszczące czoło. - Mam lemoniadę w lodówce i resztki wczorajszego kurczaka. A może urządzimy sobie tutaj piknik? Zrobiłabym koktajle mleczne...

Gdy Izzy uniosła ku niej wzrok, w oczach miała łzy. Wreszcie Annie wzięła dziewczynkę w ramiona.

Dym papierosowy zwijał się w kłęb gęstej błękitnej mgły pod sufitem z brudnych płytek dźwiękoszczelnych.

Nick stał w otwartych drzwiach długiej, wąskiej sali w pozbawionej okien suterenie kościoła luterańskiego. Dwa drewniane stoły, pokryte laminatem, przylegały do tylnej ściany. Stały na nich maszynki do kawy, plastikowe kubki i pudła, wypełnione paczuszkami cukru i śmietanki do kawy. Przy automacie z colą kłębił się tłum, a jeszcze więcej osób zgromadziło się przy dzbanku do kawy. Jej zapach mieszał się z ostrym odorem papierosów.

Ludzie siedzieli na składanych metalowych krzesłach, jedni wyciągnęli się wygodnie, inni przycupnęli nerwowo na brzeżku. Prawie wszyscy palili papierosy.

Nie był pewien, czy da radę przez to wszystko przebrnąć, czy wejdzie do owego zadymionego pomieszczenia, by rzucić swoje słabości na któryś z tych tandetnych stolików, żeby jacyś obcy wzięli je pod lupę...

- Za pierwszym razem to trudne jak diabli. Napięcie jak przy seksie, ale uciechy żadnej.

Gdy Nick się odwrócił, ujrzał stojącego za nim Joego. Twarz starszego mężczyzny o barwie skórzanych brązowych butów marszczyła się w pełnym ulgi uśmiechu.

- Miałem nadzieję, że się pojawisz. To dla mnie prawdziwy szok po tylu latach, które przeżyłem w nadziei, że nigdy nie będziesz musiał tu przychodzić.

- Przepraszam, że cię rozczarowałem, Joe - rzekł Nick.

Joe położył dłoń na ramieniu Nicka i lekko je uściśnął.

- Jestem z ciebie dumny, Nicholasie. Nie rozczarowany. Życie miałeś strasznie pokręcone - kogoś słabszego by to zmiażdżyło. Jestem z ciebie dumny, jakbyś był moim synem. Gdyby Louise tu była, powiedziałyby: „Uściskaj tego chłopaka, Josephie” i chyba to zrobię.

Joe uściśkał go po raz pierwszy w życiu - Nick nie bardzo wiedział, jak zareagować. Odkąd bowiem pamiętał, zawsze było z nim coś nie tak, w jego naturze brakowało jakiegoś zasadniczego elementu i przez całe życie czekał, aż ktoś zerwie z niego maskę. Osłaniał się przed ludźmi, których kochał: Kathy, Izzy, Louise i Joem -z obawy, że gdy ujrzą prawdziwego Nicka, odsuną się od niego. Ale Joe poznał prawdę, widział wszystkie jego słabości i porażki, a mimo to był przy nim, traktując go jak syna.

Gdy Joe się odsunął, jego czarne oczy były wilgotne.

- Będzie ci ciężiej, zanim się polepszy. Właśnie wskoczyłeś na głęboką wodę i myślisz, że toniesz. Ale będę tu, żeby przytrzymać ci głowę na powierzchni.

- Dzięki, Joe. - Nie powiedział: „za wszystko”, ale widział, że ten go rozumie.

- Chodź - rzekł Joe. - Usiądźmy.

Ruszyli w głąb sali. W ciągu następnych paru minut pojawiło się jeszcze więcej ludzi, jedni rozmawiali między sobą, inni pograżyli się w głębokim milczeniu.

Nick kręcił się na krześle i nerwowo tupał w podłogę. Ten powtarzający się dźwięk jedynie zwiększał jego niepokój.

- Wszystko będzie dobrze, Nicku - odezwał się cicho Joe. - Weź sobie kawy.

- Masz rację.

- Nick poderwał się i przemierzył pokój. Wyciągnął z kieszeni kilka ćwierćdolarówek, wziął colę, chwycił kubeczek i wypił zachłannie. Czując się nieco lepiej, wrócił na miejsce i spotkanie się rozpoczęło.

Wystąpił jakiś mężczyzna:

- Cześć, mam na imię Jim. Jestem alkoholikiem. Tłum ludzi odpowiedział niczym dobrzy katolicy na niedzielnej mszy:

- Cześć, Jim.

Jim stanął na przodzie sali i zaczął opowiadać. Najpierw odmówił *Akt nadziei*, potem informował o spotkaniach, dwunastu krokach, a zakończył paroma zdaniami na temat spokoju ducha.

Nagle podniosła się młoda kobieta. Była wysoka i chuda jak patyk, o tlenionych, białozółtych włosach i woskowej cerze. Wyraźnie się trzęsąc, przeszła przez rząd krzeseł i zatrzymała się z przodu.

Wyglądała, jakby nie jadła od roku, a Nick dość długo był policjantem, by rozpoznać, że od dawna musiała brać narkotyki. Bez wątpienia ślady igły biegły łańcuszkiem po wewnętrznej stronie jej chudych ramion. Zaciągnęła się głęboko papierosem, wydmuchując chmurę dymu.

- Mam na imię Rhonda - rzekła, nerwowo spoglądając na zebranych. - Jestem alkoholiką i narkomanką.

- Cześć, Rhonda - odpowiedzieli zgromadzeni jak na dany znak.

Znowu zaciągnęła się aż po pepek.

- Dziś nie piję już siódmy dzień.

Jej wyznanie wzbudziło powszechny aplauz.

- Tak trzymaj, Rhonda! - krzyknęła gromadka ludzi.

Rhonda uśmiechnęła się blado i zgasiła papierosa w stojącej przed nią popielniczce.



- Próbowałam już tego przedtem - mnóstwo razy. Ale teraz będzie inaczej. Sędzia powiedział, że jeżeli wytrzymam bez picia przez rok, pozwoli mi znowu zobaczyć synka. - Urwała i otarła oczy, zostawiając na białym policzku smugę czarnego tuszu. - Kiedyś byłam normalną dziewczyną, chodziłam do liceum, pracowałam w wolnych chwilach w zwykłej restauracji.

Potem poznałam jednego faceta, Cheta, i zanim się zorientowałam, chlałam tequilę i poprawiałam ją górami koki. - Westchnęła, wpatrując się tępo w otwarte drzwi. - Zaszłam w ciążę i dalej piłam. Mój Sammy urodził się mały i uzależniony, ale przeżył. Powinnam była zająć się nim, ale myślałam tylko o tym, by się napić i naćpać. Mój synek nie wystarczył, żebym przestała pić i wachać. - Dolna warga zaczęła jej drżeć, aż ją przygryzła. - I do tego musiałam prowadzić po pijanemu. Musiałam kogoś potraścić. - Mocno pociągnęła nosem, co trochę ją uspokoiło. - No więc jestem tutaj i tym razem już się zawzięłam. Zrobię wszystko, żeby zobaczyć mojego synka. Rzucam te świństwa i już nigdy sobie nie przyładuję.

Gdy Rhonda skończyła, zaczął mówić ktoś inny, potem jeszcze drugi i następny. Używali różnych słów, ale opowieści były takie same - historie utraty, bólu i gniewu. Życiorysy ludzi, których dotknęło nieszczęście albo mieli pecha i przeszli piekło na ziemi.

Nick był jednym z nich, przekonał się o tym pod koniec spotkania, a świadomość, że nie jest jedynym człowiekiem na świecie, który zmagają się z butelką, o dziwo, dodała mu otuchy.

Izzy nie mogła zasnąć. Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Wszystko było ciemne i wyglądało przerażająco. Mrok rozjaśniały tylko małe, białe plamki na czarnym jeziorze. Annie powiedziała, że to gwiazdy, które spadły z nieba.

Odwróciła się od okna. Przez cały tydzień, odkąd Annie powiedziała jej, że tata nie wraca do domu, była przestraszona. Wczoraj długo stała przy oknie i czekała. Tak długo, że Annie przyszła do niej.

„Nie wiem, kiedy wróci do domu, Izzy” - powiedziała. „Pamiętasz, jak ci mówiłam, że twój tata jest chory? Lekarze powiadają, że potrzebuje trochę czasu...”

Ale Izzy знаła prawdę o lekarzach. Mama odwiedzała wielu i żaden jej nie pomógł.

Tata też dzięki nim nie poczuje się lepiej.

Izzy płakała bezustannie. „Tęsknię za tatusiem” - powiedziała tylko Annie, ale mnóstwa rzeczy jej nie zdradziła. Nie mówiła, że tęskni za nim już od bardzo dawna, ani że mężczyzna ze srebrnymi włosami tak naprawdę nie jest jej tatą - bo jej tata nigdy nie chorował i ciągle się śmiał. Nie wspomniała ani słowem, że wedle niej prawdziwy tata umarł razem z mamą i że już nigdy nie wróci.

Izzy cichutko zeszła ze schodów i wymknęła się na dwór. Pokapywało, a mgła unosząca się nad trawą była tak gęsta, że dziewczynka nie widziała własnych stóp.

- Mamusiu? - wyszeptała, obejmując się ramionami. Zamknęła oczy i skupiła się ze wszystkich sił. Gdy rozchyliła powieki, ujrzała mamę stojącą na brzegu jeziora. Wizja była migotliwa i niewyraźna. Mama miała ugięte ramiona i głowę przechyloną pod dziwnym kątem, jakby nasłuchiwała kroków albo głosu ptaka, nawołującego w środku nocy. Deszcz przybierał różne kolory: czerwony, żółty, różowy i niebieski.

„Powinnaś spać, maleńka”.

- Tata znowu jest chory.

Mama wydała cichy dźwięk, a może był to poszum wiatru, wiejącego nad taflą wody. „Wyzdrowieje. Przynurzę ci”.

- Tęsknię do ciebie, mamo. - Izzy wyciągnęła do niej rękę. Na koniuszkach palców poczuła szelest czegoś bezcielesnego, tchnienie żaru. Zamknęła dłoń wokół... niczego.

„Już nie będziesz mnie mogła dotknąć, skarbulku”.

- Mamusiu, kocham cię, mamusiu.

„Przykro mi Izzy, misiaczku. Boże, tak mi przykro... ” Izzy wyciągnęła rękę, ale było za późno. Mama zniknęła.

Przez hrabstwo Jefferson przeszła niesłychana fala upałów. Kwiaty rozwijały się i sięgały ku niebu w poszukiwaniu cennego słonecznego światła. Piskłeta skrzeczały w gniazdach, uwitych pośród zielonych pąków drzew. Nadal padało każdej nocy, lecz rankiem świat mienił się niczym pozłacany klejnot.

Annie dokładała wszelkich starań, by Izzy była przez cały czas zajęta. Malowały jajka na Wielkanoc, piekły ciasteczka i rysowały obrazki dla Nicka jako prezenty powitalne na dzień jego powrotu. Robiły sprawunki na Głównej Ulicy, gdzie dla zgrywu kupowały Natalie na prezenty wyroby z darów lasu: pióra ozdobione stateczkami, książki kucharskie dla leniuchów, pocztówki znad jeziora Mystic. Czytały dwa razy tyle co przedtem, póki Annie nie nabrała pewności, że Izzy może już wrócić do szkoły. Lecz gdy jej o tym wspomniała, dziewczynka się przeraziła. „Nie chcę wracać. Będą się ze mnie wyśmiewali”. Annie nie poruszała więcej tego tematu, wiedząc, że decyzja i tak nie należy do niej. Miała nadzieję, że gdy Nick się pojawi, namówią Izzy, by wróciła do szkoły.

Ale na razie ustalony codzienny tryb życia sprawiał im radość. Izzy mówiła normalnie, z łatwością odnajdywała w pamięci słowa. Obydwie wspierały się nawzajem.

Annie nauczyła się wreszcie spać sama. Wiedziała, że nie jest to imponujące osiągnięcie, ale dla niej wiele znaczyło. Czasami, gdy zostawiała Izzy i wsuwała się do swego pustego łóżka, nie myślała nawet o mężczyźnie, który z nią sypiał, czasami przez całe dni w ogóle nie powracała do niego pamięcią. Oczywiście nadal czuła ból i samotność, lecz z dnia na dzień coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że przeżyje bez niego. Nie chciała, lecz teraz miała pewność, że sama da sobie radę.

W każdy poniedziałek, jak w zegarku, dzwoniła do Londynu, by się dowiedzieć, co nowego przydarzyło się Natalie. W głosie córki słyszała rosnącą dojrzałość, która napełniała ją dumą. Natalie nie była już dzieckiem, a gdy dowie się o rozwodzie, potrafi stawić temu czoło.

A sama Annie wreszcie zrozumiała, że ona również się z tym upora. Zeszłego wieczoru, gdy zadzwoniła Terri, a po dziesięciu minutach maglowania Annie, co to za facet, ten Nick, i dlaczego się do niego przeprowadziła, zamilkła w końcu i wysłuchała Annie, na zakończenie rozmowy przyjaciółka przyznała cicho: „Oczywiście, że sobie poradzisz, Annie. Tylko tobie jednej wydawało się, że to będzie koniec świata”.

Niedziela wielkanocna zasnuta była chmurami i przesiąknięta deszczem, lecz Annie nie chciała dopuścić, by pogoda zrujnowała jej plany. Ubrała Izzy ciepło i zawiozła do Hanka, gdzie we trójkę pochłonęli ogromne śniadanie i pobili rekord świata w poszukiwaniu przemyślnie ukrytych czekoladowych jajek wielkanocnych. Potem poszli do kościoła na mszę. Po mszy obie odjechały do domu, gdzie Annie dała dziewczynce mały, zapakowany prezencik.

- Wesołego jajka, Izzy.

Izzy próbowała otworzyć paczuszkę dwoma sprawnymi palcami, a widząc, że jej się to nie udaje, Annie aż za-kłuło w sercu.

- Pozwól, że ci pomogę, kochanie. Trudno jest to robić bez paluszków.

Annie rozpakowała lśniący papier, po czym położyła pudełeczko na stoliku.

Powstrzymując uśmiech, Izzy otworzyła paczuszkę. W środku, na podłożu z białej bibułki, znajdował się medalion z brązu wielkości ćwierćdolarówki, spoczywający na zwoju srebrnego łańcuszka. Widząc grymas Izzy, Annie wyjęła kompas z pudełka i położyła go na dłoni dziewczynki.

- Kiedy byłam mała, ciągle miałam stracha, że się zgubiłam. Wtedy tata dał mi ten kompas i powiedział, że jeśli go będę nosić, zawsze się zorientuję, gdzie jest moje miejsce na ziemi. - Annie westchnęła cicho. Nie nosiła kompasu, więc gdy pojechała aż do Kalifornii, znowu straciła poczucie kierunku. Gdybyż istniał jakiś wewnętrzny mechanizm, który bezbłędnie wskazywałby nasz wewnętrzny biegun północny! W życiu tak strasznie łatwo się zagubić. - Czy chcesz się dowiedzieć, jak on działa? - zapytała w końcu.

Izzy skinęła głową.

- Wiedziałam, że cię zainteresuje. Dobrze, wkładaj kalosze, płaszcz od deszczu, a ja ci wszystko pokażę.

Po twarzy Izzy przebiegł uśmiech. Pobieгла do szafki, skąd wyciągnęła jeszcze wilgotny płaszcz i kapelusz. Po chwili obie miały już na sobie ubrania przeciwdeszczowe, gumowe botki i kapelusze z wielkim, opadającym rondem. Annie szybko wyjaśniła Izzy działanie kompasu, a gdy

upewniła się, że dziewczynka wie, jak się nim posługiwać, włożyła go małej na szyję.

- Ruszajmy na wyprawę.

Pogoda na dworze była straszna. Huraganowe podmuchy wiatru smagały tafłę jeziora, pędząc srebrzyste falki na żwirowaty brzeg. Brylantowe kropelki drżały na koniuszkach płatków żółtych żonkili i tulipanów, które porastały ścieżkę i pojawiły się kępami w skrzynkach na kwiaty.

Odeszły od jeziora, ustaliły kierunek marszu i ruszyły szerokim, usłanym igłami traktem, który prowadził do lasu. Po obu stronach trzymały straż drzewne olbrzymy, przechwytyjąc większość strug deszczu na swe rozłożyste, liściaste barki. Chłodna mgła wiła się w kłębach na leśnym podłożu, w niektórych miejscach tak gęsta, że Annie nie widziała dołu swych gumowców. Przy każdym zakręcie Izzy przystawała i sprawdzała kierunek na kompasie.

Do wczesnego popołudnia nauczyła się już wyczuwać północ i nabrała spokojnej pewności siebie, która towarzyszy znajomości rzeczy.

Poszły jednym szlakiem, potem następnym i jeszcze kolejnym. Nagle drzewa rozstały się i obie poszukiwaczki przygód znalazły się na zarośniętej polance, w głębi najstarszej części puszczy. Stała tam wciśnięta w róg stara strażnica, najwyraźniej porzucona od lat. Dachówki porósł mech, a szary grzyb wychylał się ze szpar między kłodami, z których była zbudowana. Na drzwiach, wypadłych z zawiasów, widniały zadrapania od niedźwiedzi pazurów.

Izzy mrugnęła do Annie.

- Możemy tu wejść?

Annie z powątpiewaniem spojrzała na chatkę. Niestety, jej instynkt macierzyński był chyba o wiele silniejszy niż pasja badawcza. Ale gdy ujrzała podniecenie w oczach Izzy, nie mogła jej odmówić.

- No dobrze, ale wchodź powoli... i nie dotykaj żadnego paskudztwa.

Izzy z okrzykiem pomknęła do chatynki. Annie pospieszyła za nią. Razem weszły przez wypaczone drzwi.

Wewnątrz, zasnutę gazową siecią pajęczyn i kurzu, znajdowały się dwa podwójne łóżka, przykryte spleśniałymi kocami, rozchwierutany, ręcznie zbity stół i dwa krzesła, a także czarny żelazny piecyk na drewno - z tamtej epoki.

Annie poczuła się niczym dawny leśny człowiek. Podeszła do starego piecyka i podniosła zakurzoną puszkę po kawie, przewracając ją do góry dnem. Izzy pisnęła i wyjęła coś spod łóżka.

- Popatrz tylko! - zawołała, wyciągając rękę ku Annie. Była to srebrna moneta z 1899 roku.

- O rany! - zdziwiła się Annie, dotykając krążka. - To prawdziwy skarb. Powinnaś dobrze go ukryć.

Izzy zmarszczyła brwi, po czym z bardzo poważną miną spojrzała na Annie. Bez słowa podała jej monetę.

- Należy do ciebie, Izzy. Nie dawaj jej mnie.

- Annie? Zawsze tu będziesz, prawda, Annie? Zostaniesz tu na zawsze, prawda, Annie? Jesteś tu bezpieczna.

Annie wiedziała, że powinna delikatnie wcisnąć ten kawałek srebra w rączkę Izzy. Powinna ofiarować jej dar uczciwości. „Nie jestem bezpieczna, Izzy. W gruncie rzeczy nie. Przecież nie tak ma wyglądać moje życie... ”

Ale gdy spojrzała w sarnie, piwne oczy Izzy, poczuła się zagubiona.

- Zawsze to strasznie długo, Izzy. Nie będę ci tyle czasu potrzebna, ale zatrzymam monetę do chwili, gdy będziesz mogła dać ją tatusiowi, dobrze?

- Dobrze. Tylko jej nie zgub. - Izzy uśmiechnęła się, skinęła głową i pobiegła do drzwi. W połowie drogi poślizgnęła się, zatrzymała i odwróciła. Wpatrywała się w swoją prawą dłoń.

- Izzy, o co chodzi?

Z wolna Izzy stanęła twarzą do Annie. Zmarszczywszy brwi, wyciągnęła prawą dłoń w powietrze.

- Znowu widzę wszystkie palce na tej ręce.

- Och, Izzy... - Annie podeszła do dziewczynki i uklękła przy niej, biorąc ją w ramiona. Ale Izzy stała sztywno, niezgrabnie i wyraźnie nie mogła oderwać oczu od swojej dłoni.

Dziewczynka zaczęła płakać.

- Powiedziała, że nie mogę za nią iść.

Annie pogładziła mięciutki policzek Izzy i się uśmiechnęła.

- Kto to powiedział?

- Mamusia. Ja... - Przygryzła drżącą dolną wargę i odwróciła wzrok.

- Opowiedz mi o tym, Izzy - poprosiła cicho Annie. - Nikomu nie powtórzę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Izzy długo przypatrywała się Annie w milczeniu, po czym wyszeptała cicho:

- Czasami... widzę ją we mgle. Znikałam, żeby z nią być... ale ostatnim razem, kiedy ją widziałam... - Wielkie łzy zakręciły się w oczach dziewczynki i spłynęły, tocząc się po jej różowych policzkach. - Ostatnim razem powiedziała, że nie mogę za nią iść.



Serce Annie ścisnęło się niczym piąstka. Wzięła Izzy za rękę i wyprowadziła ją na dwór. Usiadły obok siebie na spróchniałej, porośniętej mchem werandzie chatki.

- Nie możesz pójść ze swoją mamą, Izzy, a wiesz dlaczego?

Izzy odwróciła się ku niej.

- Dlaczego?

- Bo to by ją bardzo zasmuciło. Jest teraz w niebie i chce widzieć, jak rośniesz. Chce, żebyś przyjemnie spędzała czas, miała przyjaciół i chodziła do szkoły - jednym słowem, robiła wszystko to, co i ona, gdy była małą dziewczynką. Chce, żebyś w dzień swojego ślubu włożyła śliczną białą sukienkę, a później trzymała w ramionach swoje dziecko. - Annie westchnęła. - Pragnie dla ciebie tak wiele, Izzy.

- Skąd wiesz, że na mnie patrzy? Annie uśmiechnęła się do niej.

- Sama dobrze o tym wiesz. W głębi serca. Dlatego widzisz ją we mgle. Wiesz, że cię strzeże, a gdy pada... wtedy za tobą tęskni. Deszcz to jej łzy, a słońce to jej uśmiech.

Izzy długo wpatrywała się w drzewa.

- Ja też za nią tęsknię.

Annie objęła ręką wąskie ramiona Izzy i przytuliła ją.

- Wiem, dziecińko.

Długo tak siedziały. Deszcz rozmył świat w stłumione błękity i zielenie obrazu Moneta. Aż wreszcie Annie uśmiechnęła się promiennie i poklepała prawą rączkę Izzy.

- Rzeczywiście, chyba masz rację, panno Izzy. Widzę te palce jak słońce na niebie. Może wypijemy za twoje zdrowie.

- Zdrowe rzeczy przeważnie są niesmaczne. Annie się roześmiała.

- Mam bardzo smaczną lemoniadę. A jeśli zaraz czegoś nie zjemy, zacznę żuć twoją monetę. Chyba pora wracać.

Izzy roześmiała się, a był to tak czysty, wzruszająco piękny dźwięk, że Annie zapomniała na chwilę o trapiącym ją zmartwieniu.

W każdym razie przywróciła Izzy głos i uśmiech... a teraz jedna ręka znowu jest widoczna. Może jutro zdejmie rękawiczkę z lewej dłoni.

Na razie to wystarczy.



Deszcz lał w dniu, w którym Nick wrócił do domu. Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł z samochodu, patrząc, jak odjeżdża jedyna taksówka w miasteczku.

Postawił kołnierz kurtki Levisa i skulił ramiona, by osłonić się przed ulewą. Pod pachą ścisnął postrzępiony, pomarszczony tobołek z ubraniami i przyborami toaletowymi, które kupił na czas pobytu poza domem. Pakunek przemiekł, ale nie było na to rady. Dzień właśnie przechodził w bladoczerwony wieczór i w powietrzu panował już lekki chłód. Żwirowana droga prowadząca do domu liczyła koło czterystu metrów, po czym skręcała ostro wokół trójkątnej kępy sosen. Dalej znikwała w mglistych, fiołkoworóżowych cieniach nad jeziorem.

Mógł podjechać taksówką pod sam dom, ale potrzebował czasu, by zbliżyć się doń powoli.

Mrugając oczami, zalanymi strugami wody, rozpoczął długą wędrówkę ku domowi. Z lewej widział odbicie zmierzającego nieba na jeziorze. Połyskliwe zielone liście, rododendrony, azalie, lilie i krzewy jagody amerykańskiej rosły po obu stronach drogi, tworząc cienisty tunel, prowadzący go coraz bliżej domu.

Wreszcie skręcił za róg. Łagodne, złote światło wpadało w okna jego domu. Z komina kłęby dymu płynęły w purpurowe niebo. Tak to sobie zawsze wyobrażał...

Ten dom od razu go pociągnął. Nadal pamięta wieczór, w którym Annie go tu przywiozła. Kathy miała grypę, tak że Nick i Annie sami poszli

na zabawę, a potem zabrała go tutaj, do „nawiedzonego” domu nad jeziorem.

Gdy ujrzał go po raz pierwszy, spojrzął na niego jej marzycielskimi oczyma. Tamtego wieczoru rozpałała w jego duszy ogień, a ten stary dom stał się fizycznym ucieleśnieniem owego marzenia. Idealny dla chłopaka, który przez dwa lata mieszkał w samochodzie i wyszukiwał na śniadanie resztki ze śmietnika.

Oszczędzał latami, lecz w końcu zebrał dość pieniędzy, by go kupić. Gdy podpisał papiery i wpłacił zaliczkę, było lato, sierpień. Lecz nawet w najgorętszy dzień roku ta droga była chłodna i ocieniona, a na brzegu jeziora wiał wietrzyk. Patrzył z oddali na górę Olimp, która wyglądała niczym olbrzymi granitowy trójkąt, wyrzucony wysoko, wysoko w niebo błękitne jak jajeczko rudzika, i tylko cienka warstewka śniegu pokrywała jego urwisty szczyt.

To wspomnienie było tak ostre jak kawałek rozbitego szkła. Pospieszył, by przywieźć tu Izzy i Kathy, ale zapadła już noc i na balustradzie werandy kładły się gęste, mroczne cienie.

Chwycił Kathy za rękę i ciągnął ją przez ciemne, zatechłe wnętrza.

„Nie widzisz, Kathy? To miejsce jest najbardziej nasłonecznione - tu będziemy jeść śniadanie... a tutaj jest kuchnia - nie robi się już takich pieców... i spójrz na kominek - założę się, że ma ze sto lat... ”

Jego ożywiała nadzieja, widział tu cichą przystań, wspaniałe perspektywy.

Ona wyczuwała stęchliznę, brud i harówkę.

Jakże mógł tego nie zauważyć? I dlaczego nie przestał tokować, by zasięgnąć jej opinii? Dlaczego wydawało mu się po prostu, że żona „ma któryś z rzędu zły dzień”, i tyle?

Ze znużonym westchnieniem wyprostował ramiona, przemierzył trawę, wszedł po schodach na werandę i zastukał do drzwi frontowych. Mokry tobołek z niepotrzebnymi już rzeczami upadł, zapomniany, na podłogę u jego stóp.

Usłyszał pospieszny tupot nóg za drzwiami, stłumione „chwileczkę”, po czym drzwi się otworzyły i stanęła przed nim Annie.

Cisza, która pomiędzy nimi nastąpiła, była ogłuszająca. Wszystkie dźwięki - rytmiczne kapanie deszczu na rozrośnięte liście, ciche uderzenia falek o żwir - wydawały się wzmacnione.

Chciał się uśmiechnąć, ale dręczyła go obawa. Odwrócił wzrok, zanim zdołała dostrzec nagłą tęsknotę w jego oczach.

- Nick. - Był to ledwo słyszalny szept, wyobrażał sobie, że czuje wilgotny żar jej oddechu na karku. Powoli, bardzo powoli uniósł ku niej wzrok.

Stała tak blisko, że widział drobniutką sieć piegów na jej czole, gdzie zaczynały się włosy, i maleńką białą bliznę, przedzielającą jedną brew.

- Chodziłem na spotkania Anonimowych Alkoholików dwa razy dziennie - powiedział szybko, nie bąknąwszy nawet: „Jak się masz?” - Nie piłem, odkąd zostawiłaś mnie przed motelem.

- Och Nick, to cudownie. Nie...

Naraz chyba zorientowała się, jak blisko siebie stoją. W bladym świetle latarni na werandzie dostrzegł uroczy rumieniec, wypływający jej na policzki.

Odwróciła od niego wzrok i odchrząknęła, dla przyzwoitości odsuwając się o parę kroków.

- Izzy jest w bawialni. Malowałyśmy. Wejść do środka.

- Malowałyście. Chyba dobrze się bawicie. Nie chciałbym...

- Owszem, chodź, Nick. - Wzięła mężczyznę za rękę - jej uścisk był mocny i dodający otuchy - po czym wciągnęła go do środka. Drzwi się za nim zatrzasnęły.

Dom pachniał czystością i gdzieś grało radio, lecz nie miał czasu zauważyć zmian, jakie poczyniła. Poprowadziła go wzdłuż holu.

„Bawialnią” to pokój, który Nick zwykł nazywać bajzlarnią. Niegdyś, prawdopodobnie w latach pięćdziesiątych, ktoś usiłował przebudować go za niewielkie pieniądze. Boazeria ze sklejki zasłaniała ściany z bali, a wykładzina w musztardowym kolorze zakrywała podłogę z desek. Jediną ładną rzeczą w tym pokoju był wielki, stary murowany kominek, w którym Annie rozpałała ogień.

Oszklone drzwi, prowadzące na werandę od tyłu, stały otworem. Chłodny wieczorny wietrzyk poruszał przejrzystymi firankami, a deszcz spuścił srebrzystą zasłonę między domem i zapadającą nocą. Stolik do kart zastawiony był różnokolorowymi słoiczkami i pędzlami. Rozpryskana farba tworzyła barwne plamki na gazecie osłaniającej dywan.

Izzy stała odwrócona do nich plecami, ręka w rękawiczce zwisała jej bezwładnie z lewego boku. Przed nią wznosiły się ogromne sztalugi, do których przypięty był arkusz białego papieru. Widział plamy farby na papierze, lecz jej figurka zasłaniała obraz.

Uzmysłowił sobie nagle, że nie ma przy nim Annie. Rękę miał zimną i pustą. Obróciwszy się lekko, ujrzał ją w holu. Szybko uniosła kciuk do góry i zniknęła.

Westchnął. Zwrócił się znowu w stronę pokoju i ostrożnie wszedł do środka. Oczekiwał, że Izzy się odwróci i zobaczy go, lecz dywan tłumił jego kroki, toteż malowała dalej.

- Izzy - powiedział cicho, jakby znizony głos mógł złagodzić zaskoczenie.

Upuściła słoik po potrawie dla dzieci, pełen niebieskiej farby. Kolorowy płyn rozprysnął się na gazecie. Powoli, ściskając pędzel, obróciła się.

Wyglądała jak aniołek. Miała na sobie poplamiony farbą żółty kombinezon, lecz buzia i włosy były czyste. Kruczoczarne włosy Annie splotła jej w dwa równe warkoczki i przewięzała żółtą wstążką.

Wyglądała tak jak kiedyś.

To właśnie ta myśl, bardziej niż cokolwiek innego, pchnęła go do środka. Kolana miał miękkie, w żołądku czuł zimny węzeł, ale szedł ku swej dziewczynce, która stała spokojnie koło sztalug, utkwivszy w jego twarzy wielkie, piwne oczy.

Ukląkł przy niej. Spodnie na kolanach przemieęły mu od farby.

Spojrzała nań, nie mrugnawszy okiem, różowe usta miały poważny wyraz.

Jeszcze przed paroma laty rzuciłaby mu się w ramiona i obsypała pocałunkami. Nawet gdy miał kaca albo pokłócił się z Kathy, Izzy zawsze go uwielbiała. Nigdy nie patrzyła na niego tak jak teraz - czujnym, zmartwionym okiem zwierzęcia, gotowego uciekać przy najmniejszym sygnale niebezpieczeństwa.

Z nagłym skurczem serca uzmysłowił sobie, jak bardzo brakowało mu jej pocałunków... słodkiego zapachu jej włosów... dotyku miękkiej, delikatnej rączki, którą wsuwała w jego dłoń.

- Hej, słoneczko - powiedział, odwracając wzrok od czarnej rękawiczki, która była dowodem jego porażki i jej złamanego serca.

Tak ją pieśczośliwie nazywał - od pierwszego dnia, gdy się uśmiechnęła, a on powiedział, że jej uśmiech przypomina mu błysk słońca po deszczu. Już od dawna tak do niej nie mówił. Od śmierci Kathy, a pewnie nawet jeszcze wcześniej.

Pamiętała. Kąciki jej ust rozciągnęły się w przelotnym uśmiešku.

Mógłby jej teraz powiedzieć tyle rzeczy, złożyć tak wiele obietnic, lecz wiedział, że w sumie byłyby to tylko słowa. Złamał już zbyt wiele przyrzeczeń, by mu uwierzyła.

Jednodniowa perspektywa - tego bez wątpienia nauczyli go AA.

Tak stracił córkę - coś obiecał i nie dotrzymał, potem jeszcze raz. Teraz poznał jedyny sposób, by ją odzyskać.

Nie mógł prosić, by mu wierzyła, chociaż pewnie znowu zaufałyby swemu tatusiowi bez zastrzeżeń, ale Nick musi na to zapracować. Byle tylko dotrzymać jednego przyrzeczenia, potem przyjdzie kolej na następne. Koniec końców, nie złożył jej żadnych obietnic.

- Co malujesz? - zapytał tylko.

Pochyliła głowę ku arkuszowi papieru i cofnęła się. Była to barwna mazanina zakrętasów i kropel spadającej farby. Ponieważ już wcześniej widział jej malunki, zorientował się, że jest to autoportret Izzy: przedstawiał małą, wielkogłową figurkę w rogu z sięgającą podłogi kaskadą kruczonych włosów. Ktoś - pewnie Annie, sądząc po nastroszonych, kasztanowatych włosach - stał obok z szerokim uśmiechem, namalowanym śmiałym pociągnięciem pędzla. Ponad dwoma sztywnymi figurkami jaskrawo świeciło żółte słońce, okolone wijącymi się, czerwonymi promieniami.

Nick chwycił czysty pędzel z karcianego stolika i zanurzył go w słoiku z brązową farbą. Starając się jej nie rozpryskać - choć nie wiedział, dlaczego tak mu na tym zależało - ostrożnie przyłożył pędzel do arkusza.



- Mogę tu coś dodać?

Wpatrzyła się w niego, po czym skinęła przyzwalająco.

Szybkim ruchem namalował niekształtne kółko przy Annie. Jeszcze cztery machnięcia pędzlem i powstało coś na kształt człowieczka.

- To tatuś - wyjaśnił, nie patrząc na nią. Potem dodał oczy, nos i płaską linię ust. - Nie muszę malować włosów, są prawie tego samego koloru co papier. Po prostu je sobie wyobrazimy. - Opuścił pędzel i spojrzał na córeczkę.

Patrzyła spokojnie, nie mrugnawszy okiem. Dwa zbyt duże przednie zęby - jedyne stałe - przygryzały nerwowo dolną wargę.

- Mogę wrócić do domu, Izzy?

Czekał, zda się, całe życie na jej odpowiedź, skinienie głową, mrugnięcie, cokolwiek, ale ona po prostu stała, wpatrując się weń smutnymi, dorosłymi oczyma, wyzierającymi z dziecinnej buzi. Dotknął delikatnie jej aksamitnego policzka.

- Rozumiem, słoneczko. Zaczął się podnosić. Chwyciła go za rękę.

Powoli z powrotem opadł na kolana. Wpatrywał się w córeczkę, tonąc spojrzeniem w jej czekoladowobrazowych oczach, które kiedyś były dla niego całym światem. W tym momencie przypomniał sobie wszystko -jak spacerował z nią po przystani, oglądając łódki, jak snuli marzenia, że któregoś dnia opłyną ziemię dookoła... jak czuł się, trzymając ją za rękę, śmiejąc się z nią i huśtając ją w ramionach w piękny, słoneczny dzień.

- Kocham cię, Izzy - powiedział, wspominając, jakie to było niegdyś proste.

Nick stał na werandzie z rozstawionymi nogami i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Z jego światem łączyła go postrzępiona nitka, której kurczowo się trzymał. Kolacja przebiegła w napięciu, beztroski

szczebiot Annie przerywały chwile niezręcznej ciszy. Zauważył, że Izzy znowu posługuje się prawą ręką - nie tylko tymi żalonymi dwoma paluszkami.

Za każdym razem, gdy spoglądał na swą córkę, oblewała go gorąca fala wstydu i musiał z całej siły panować nad sobą, by się nie odwrócić. Ale dziś nie zachował się jak tchórz i tu odniósł już pewien triumf. Patrzył Izzy prosto w oczy, a jeśli wzdragał się, widząc czujność w jej wzroku, nie pokazywał tego po sobie.

Za nim obite siatką drzwi otworzyły się z chrzęstem, po czym zamknęły z hukiem.

W ciągu sekundy zebrał się na odwagę, by się obejrzeć. Zobaczył tam Annie obok starego fotela na biegunach, który ofiarował Kathy, gdy urodziła się Izzy.

Annie lekko przesuwiała palcami po poręczy, a jej pierścionek błyszczał w pomarańczowym świetle latarni. Rozmiar diamentu jeszcze raz uświadomił Nickowi przepaść dzielącą ich dwa światy. Jakby trzeba mu było o tym przypominać.

Trzymała małą, luksusową walizeczkę.

- Izzy umyła zęby. Czeka, żebyś ją otulił przed snem. - Głos miała tak miękkiej i chłodny jak wiosenny deszcz, kojący jego zszarpane nerwy.

Stała tuż przy nim z rękami opuszczonymi po bokach. Nawet ostrzyżona na rekruta wyglądała pięknie. Zniszczona szara bluza i za duże, workowate dzinsy nie zdołały skryć jej ciała. Nagle przypomniał ją sobie nagą, oczyma duszy ujrzał, jak unosi ręce i ściąga koszulę... gdy w świetle księżycy całował jej piersi...

- Nick? - postąpiła ku niemu krok. - Dobrze się czujesz?

Zmusił się do słabego uśmiechu.

- Tak jak pijak, który właśnie przestał pić.

- Uda ci się. - Wyciągnęła ku niemu rękę, a on z lekka się ku niej pochylił, potrzebując jej dotyku bardziej niż powietrza, lecz w ostatniej chwili cofnęła się. - Niełatwo jest zaczynać od nowa. Wiem...

Dojrawszy spłoszony wyraz jej oczu, zaczął się zastanawiać, co takiego zrobił Annie ten facet, który wsunął na palec jej lewej ręki diament wielkości kurzego jaja. Chciał ją zapytać, ale uznał, że rozdrapywanie ran Annie byłoby niewłaściwe, aroganckie.

- Uratowałaś mi życie. Nie wiem, jak ci dziękować. Uśmiechnęła się.

- Zawsze wiedziałam, że wrócisz dla niej. To nie było takie wielkie ryzyko. Nie miałam wątpliwości, że bardzo ją kochasz.

- Jesteś wielką optymistką. - Spojrzał na pogrążone w mroku jezioro. - Kathy też kochałem i popatrz, co się stało. - Westchnął i oparł się o poręcz werandy, wpatrując się w podwórze. - Wiesz, co mnie prześladowuje? Nigdy tak naprawdę nie rozumiałem swojej żony. Najsmutniejsze jest to, że rozumiem ją teraz. Wiem, co znaczy brak nadziei. Przedtem też sądziłem, że wiem, o co jej chodzi, ale to było bardzo powierzchowne. Mówiła mi, że nie czuje już słońca, nawet gdy w nim stała ani kiedy jego żar padał jej na policzki. - Nick sam się zdziwił, że może tak swobodnie mówić o swojej żonie. Po raz pierwszy przypomniał sobie ją samą, nie chorobę czy trwający przez parę ostatnich lat rozkład małżeństwa, lecz Kathy, swoją Kathy, promienną dziewczynę o wielkim sercu, w której się zakochał. - Nie chciała dłużej żyć w ciemności...

Gdy się odwrócił, ujrzał, że Annie płacze. Poczuł, że zachował się niezręcznie i samolubnie w obliczu jej własnego smutku.

- Przepraszam... Nie chciałem wytrącać cię z równowagi.

Uniosła ku niemu wzrok.

- Jesteś szczęściarzem.

- Co takiego?

- Nieważne, co czułeś do Kathy pod koniec czy po jej śmierci. Na pewno ją kochałeś. Bez względu na to, co zrobiła i dlaczego, musiała o tym wiedzieć. - Jej głos zniżył się do gardłowego szeptu. - Większość ludzi nigdy w życiu nie zaznaje takiej miłości.

Wiedział, że zada to pytanie, choć nie powinien. Podeszedł do niej, o jedno uderzenie serca bliżej, niż to było bezpieczne.

- A ty? Zaznałaś takiej miłości?

Przez jej twarz przebiegł smutny uśmiezek, po czym odwróciła wzrok.

- Nie. Kochałam mocno... ale czy byłam kochana... chyba nie.

- Zaslugujesz na coś więcej.

Skinęła głową potakująco i lekceważącym gestem otarła oczy.

- A inni nie?

Zapadła cisza, krępująca i nieprzyjemna.

- Annie...

Zatrzymała się i obróciła ku niemu.

- Tak?

- Może przyjechałabyś jutro - spędziła dzień z nami?

- Bardzo chętnie - odparła szybko, odwracając wzrok.

- Dzięki - powiedział miękko, po czym zbliżył się tak blisko do pocałunku, na ile tylko starczyło mu śmiałości.

- Ależ proszę, Nicky. - Znowu poczuli się nieswojo, gdy wpatrzyła się weń. - Powinieneś wiedzieć, że podczas twojej nieobecności Izzy zaczęła mówić.

Nick się nachmurzył.

- Do mnie się nie odezwała.

Annie dotknęła jego ramienia gestem krótkiej, przelotnej pieszczoty.

- Zacznie z tobą rozmawiać. Daj jej trochę czasu. Nie chcąc napotkać wzroku Annie, wpatrzył się w jezioro.

Przestępowała nerwowo z nogi na nogę, po czym odezwała się:

- Na mnie już pora.

- Do zobaczenia jutro.

Skinęła i szybkim krokiem przeszła obok niego. Pomachała mu pospiesznie, wsiadła do swego mustanga i odjechała.

Nick wpatrywał się w tylne światła samochodu - dwie czerwone kropki w mroku lasu - póki nie skręciła za róg i zniknęła. Niechętnie wrócił do domu i wszedł po schodach. Przed pokojem Izzy przystanął i zastukał.

„Odpowiedz, dziecko. Potrafisz”.

Ale nie usłyszał najmniejszego dźwięku. Powoli przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

Siedziała na łóżku, prawą ręką tuląc pannę Tońcię. Czarna rękawiczka na lewej dłoni stanowiła maleńką plamkę na tle białolawendowej kołdry obszytej koronką.

Podszedł do łóżka i usiadł obok niej. Cisza zaległa pomiędzy nimi, a każde uderzenie serca nadszarpywało i tak już kruchą pewnością siebie Nicka.

- Pomyślałem, że przeczytam ci bajkę na dobranoc. Puściła pannę Tońcię, wyciągnęła książkę spod kołdry i wręczyła ją ojcu.

- Ach, *Szalone stworki*. Ciekawe, jak się wiedzie Maksowi. Pewnie zmienił się w guźca.

Izzy wydała cichy dźwięk, przypominający czkawkę. Pewnie miał to być powstrzymywany śmiechek.

Objąwszy drobne ramionka dziewczynki, przyciągnął ją do siebie. Trzymał otwartą książkę na kolanach i czytał. Wkładał w to całą duszę, starając się modulować głos tak, jak Izzy najbardziej lubiła.

A gdy odczytywał znajome słowa, po raz pierwszy pomyślał, że może ma jakąś szansę.

Ale nie było to takie proste. Przez pierwszy tydzień Nick był roztrzęsiony, nerwowy i obawiał się, że jeśli zrobi choć jeden niewłaściwy ruch, znowu wyląduje na stołku przy barze Zoe. Codziennie każda chwila wystawiała jego siłę woli na ciężką próbę.

Wstawał rano, pragnąc się napić, po czym wychodził, by rąbać drwa, nadal dręczony tęsknotą za kieliszkiem. Całymi godzinami machał siekierą, oblany potem, zastanawiając się, Czy przypadkiem dzisiaj się nie załamie.

Annie przyjeżdżała każdego ranka, z uśmiechem na ustach, mając zaplanowane zajęcia na cały dzień. Dzięki swej niezłomności powoli z ich trójki kleiła rodzinę. To właśnie ta więź skłaniała Nicka do codziennego uczęszczania do klubu AA. Prędzej go szlag trafi, niż zawiedzie Annie i Izzy.

Teraz jechał na spotkanie na czwartą. Po Głównej Ulicy pełznął jak ślimak, zacisnąwszy ręce na kierownicy. Przed pięcioma minutami zaczęło padać i ta nagła burza zagnała przechodniów pod dach, sprawiając, że w miasteczku zapanowała cisza deszczowego dnia. Tylko kilka samochodów tu i ówdzie zajmowało miejsca na parkingach.

Z wyjątkiem knajpy Zoe. Stał przed nią równiutki rząd samochodów. Wiedział z doświadczenia, że każdy stół przy barze będzie zajęty. Wpatrywał się w mroczne okna tawerny, słysząc w głowie brzęk szklanek i bryzg whisky na kostkach lodu.

Oblizwał wyschnięte wargi i przełknął z trudem, starając się nie myśleć, jak wybornie smakowałby teraz łyk trunku. Nadal nie wyobrażał sobie życia bez czegoś mocniejszego, ale kiedyś mu się to uda.

Nacisnął gaz i przyspieszył. Gdy przejeżdżał obok Zoe, każdy centymetr drogi wprawiał w drżenie jego napięte nerwy, lecz kiedy dotarł do kościoła luterańskiego, nie trząsał się już tak bardzo, a pot przeszedł w zimny, wysychający na skórze strumyczek.

Wjechał na brukowany parking za kościołem i zatrzymał się za tablicą reklamową piwa Rainier. Przez chwilę zbierał siły, po czym wsunął kluczyki do kieszeni i wszedł do środka.

Teraz sala pełna była znajomych twarzy i przekraczając otwarte drzwi, poczuł niespodziewany przyływ otuchy.

Joe uśmiechnął się i gestem wskazał mu miejsce. Nick skinął głową, szybko wziął sobie puszkę coli i zajął wolne krzesło obok Joego.

- Nicholasie, nic ci nie jest? Wyglądasz bardzo blado.

- Sam nie wiem - odparł, czując pewną wdzięczność dla AA za to, co mu ofiarowali, a mianowicie, że po raz pierwszy w życiu zdobył się na uczciwość. Ta sala, wypełniona obcymi, przyjaznymi ludźmi, była jedynym miejscem, gdzie swe urazy i porażki mógł z zakamarków duszy wywlec na światło dzienne, by zostały poddane drobiazgowej analizie. Wiedział teraz, że daje to pewną pociechę. Uczciwość pomaga. A jeszcze bardziej przyznanie się, że nałóg jest silniejszy od niego.

W domu jego przyszłość wisiała na włosku. Gdziekolwiek się obrócił, cokolwiek powiedział, czuł na sobie spojrzenie Izzy. Czekwała na jego nieuchronną porażkę.

Dotychczas nie odezwała się ani słowem, a teraz jej milczenie znosił tym trudniej, że rozmawiała z Annie, choć nigdy tego nie słyszał. Ani razu nie doszedł go słodki głosik córeczki.

Nie zawsze też udawało mu się przebrnąć przez posiłki. Czasami, gdy sięgał po widelec, ręka trzęsała mu się tak strasznie, że udając ból głowy, pospiesznie szukał samotności w mroku swej sypialni.

Uśmiechnął się słabo do Joego.

- O wiele trudniej jest próbować niż nie próbować, wiesz coś o tym?

- Zawsze tak jest, Nicholasie. Jestem tu ze względu na ciebie - tak jak i my wszyscy.

Nick przyjął to oświadczenie za dobrą monetę i był za nie wdzięczny.

- Wiem.

Spotkanie rozpoczęło się. Zebrani - ci, którzy chcieli podzielić się swoim ciężarem - jeden po drugim opowiadali o swych rocznicach i porażkach, nadziejach i marzeniach. Jak zawsze doszli wreszcie do Nicka.

Rozmyślał, czy się nie odezwać. „Cześć, mam na imię Nick. Jestem alkohikiem. Nie piłem od dwudziestu trzech dni”.

Ale w końcu, jak i poprzednimi razy, nie mógł się na to zdobyć.



Dni biegły ustalonym trybem. Od poniedziałku do piątku Annie, promiennie uśmiechnięta, wczesnym rankiem zjawiała się w domu Nicka. Przygotowywała na śniadanie naleśniki i jajka, a potem wszyscy troje spędzali dzień razem. Bez względu na pogodę wychodzili na dwór - łowili ryby na zwietrzałym, skalistym brzegu, jeździli na rowerach po ścieżkach wytyczonych wokół jeziora albo oglądali wystawy na Głównej Ulicy. Dziś zapuścili się w głąb Doliny Wrózek i teraz, po kilku godzinach i wielu kilometrach, wszyscy byli wykończeni. Biedna Izzy zasnęła niemal przed przyłożeniem głowy do poduszki.

Annie schyliła się i pocałowała dziewczynkę w czoło, szeptem życząc jej dobrej nocy.

- Dobranoc, Annie - wymamrotała Izzy z zamkniętymi oczyma.

Annie odsunęła się. Tej pory tygodnia nienawidziła najbardziej. Piątkowy wieczór. Nie zobaczy Nicka i Izzy aż do poniedziałku, a choć lubiła spędzać czas z Hankiem, nie mogła się doczekać, żeby tu wrócić w poniedziałek rano. Z rzadka pozwalała sobie na snucie rozważań, jak bardzo lubi Nicka i Izzy albo czy słusznie robi, przebywając z nimi. Takie myśli naprowadzały Annie na mroczną i krętą ścieżkę, która ją przerażała, toteż odpychała je od siebie, zagrzebywała w ciemnym zakamarku, w którym kryła wszystkie swe wahania. Doszła do smutnego wniosku, że Blake nie zmieni zdania, a więc nie zadzwoni do niej z przeprosinami, o czym marzyła przez całe tygodnie. Bez tej wątlej ułudy nie widziała celu w życiu. Czasami pośród pięknego wiosennego dnia potykała się o swój strach, a nagły przypływ tego uczucia wywoływał w niej wstrząs i przerażenie.

W takich chwilach szukała pociechy u Hanka, lecz jego uspokajające słowa: „Wróci, kochanie, nie martw się, wróci” nie przynosiły już jej ukojenia. Nie wierzyła w nie i z jakichś powodów ta niewiara bolała ją jeszcze bardziej niż zawiedziona wiara. Jedynie Terri ją rozumiała i tylko telefon do przyjaciółki, często późną nocą, przynosił jej ulgę.

Zaczęła się odwracać, gdy zauważyła coś za oknem, jakiś ruch. Odsunęła wzorzyste, koronkowe zasłony.

Nick stał nad jeziorem, jego cień padał długą smugą na marszczące się, srebrzyste falki. Jak zwykle pomógł jej sprzątnąć ze stołu, przeczytał Izzy bajkę na dobranoc, po czym wyskoczył, by zostać sam.

Był równie samotny jak ona. Widziała to cały czas w jego oczach, smutek krył się w nich nawet wtedy, gdy się uśmiechał.

Tak bardzo się starał. Wczoraj przez dwie godziny grał z Izzy w „Słodki świątek”, pochylając z trudem swe długie ciało nad wielobarwną planszą. Za każdym razem, gdy Izzy się uśmiechała, Nick wyglądał, jakby miał się rozplakać.

Annie nigdy z nikogo nie była tak dumna jak z niego. Usiłował wszystko robić jak należy - nie pił, nie przeklinał, dotrzymywał obietnic. Uśmiechał się tylko łagodnie, ze smutkiem i spędzał mnóstwo czasu z małą dziewczynką, która nadal czujnie mu się przypatrywała i nie odzywała się do niego ani słowem.

Często w ciągu dnia Annie przypominała sobie o Blake'a, zastanawiając się, jakim był ojcem. Nie uczestniczył w wychowaniu córki ani fizycznie, ani emocjonalnie, na pierwszym miejscu stawiając własne sprawy, co uważał za rzecz zupełnie naturalną. Po części zawiniła sama Annie; dostrzegła to teraz. W znacznej mierze stała się taka jak jej małżeństwo. Z zamkniętymi oczyma robiła wszystko, o co Blake ją prosił.

Wszystko. Dała z siebie tak wiele -zrezygnowała z własnych dążeń i marzeń bez słowa protestu... dlatego że tak bardzo kochała Blake'a.

Jej życie, jej dusza stopiły się z jego osobą, po trosze, niepostrzeżenie, przy okazji podejmowania kolejnych decyzji. Drobiazgi... same w sobie nic nieznaczące...

Nie obcięła włosów, ponieważ Blake lubił długie loki żony, nie kupiła sukienki, która jej się podobała, gdyż uważał, że czerwony to kolor w sam raz dla ulicznicy.

Robiła to, na co „wspólnie przystali”. Została w domu w willowej dzielnicy i była idealną żoną i matką, a w cichym dążeniu do doskonałości dopuściła do tego, że Blake stał się złym mężem i złym ojcem. A ona przez cały czas żyła w przekonaniu, że jako żona jest bez zarzutu. Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo się myliła: poświęcała się nie ze względu na swą wewnętrzną siłę

I przepelniającą ją miłość, lecz z poczucia słabości, bo bezpieczniej i łatwiej jest podążać za kimś. Nadała swemu życiu taki kształt, jaki zamierzała, a teraz wstydziła się swych wyborów. Lecz nadal nie uświadamiała sobie, jaki powinien być jej następny krok.

Samotna. Tylko tyle wiedziała. Jakikolwiek będzie jej następny krok, zrobi go jako samotna kobieta w średnim wieku.

Zazdrościła Nickowi siły, chęci, by odepchnąć swe obawy i spróbować na nowo.

Delikatnie dotknęła szyby, wyczuwając pod palcami chłodną gładź.

- Uda ci się, Nick. I wierzyła w to.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i zeszła na dół. Wzięła torebkę z kanapy i skierowała się ku drzwiom. Na dworze chłodny wietrzyk owiał jej policzki.

Ponad pograżonym w mroku trawnikiem wpatrywała się w Nicka. W takiej godzinie, w ciszy kończącego się dnia, nachodziły ją wspomnienia ich miłości. Na chwilę zamknęła oczy i przypomniała sobie dotyk jego rąk na swej nagiej skórze... miękkość jego warg...

- Annie?

Gwałtownie podniosła powieki. Stał przed nią, a gdy na niego spojrzała, była pewna, że ta nieskrywana, rozpaczliwa tęsknota za bratnią duszą i czułością jest widoczna w jej oczach. Obawiała się, że jeśli powie choć słowo i w odpowiedzi usłyszy jego miękki głos, będzie zgubiona. Czuła się teraz tak bezbronna, tak bardzo pragnęła, by objął ją i dotknął mężczyzna... nawet jeśli to nie ten... nawet jeśli Annie nie jest kobietą, której on naprawdę pożąda.

Zmusiła się do przelotnego, nerwowego uśmiešku.

- Cześć, Nick... do widzenia, Nick. Muszę pędzić. Zanim zdołał odpowiedzieć, pobiegła do auta.

Ale dwa kilometry dalej, samotna w samochodzie, słuchając chrypliwego głosu Roda Stewarda, który śpiewał o swym sercu, duszy i czysto fizycznym pożądaniu, nadal wspominała...

\* \* \*

W sobotni poranek Izzy stała na werandzie w jaskrawym nowym kombinezonie i gumowych botkach, przypatrując się tatusiowi. Klęczał na podwórzu, obok drzewa, które zasadzili w dzień pogrzebu mamy. Rachityczna wiśnia nie chciała się zazielenić, nawet teraz, gdy wszystko wokół kwitło. Była martwa, tak jak mama.

Tatuś, zgarbiony niczym postać z którejś z jej książeczek, miał na sobie brudne rękawice, przypominające niedźwiedzie pazury. Wyrywał

zielsko wokół drzewka i podśpiewywał piosenkę, której Izzy od dawna nie słyszała.

Naraz uniósł wzrok i ujrzał ją. Uśmiechnął się szeroko i odgarnął srebrzyste włosy z twarzy. Rękawica zostawiła wielką smugę brązowego błota na jego czole.

- Hej, Izzy, misiaczku - powiedział. - Pomożesz mi pielić?

Z wolna poszła ku niemu, mijając rząd pierwiosnków, które Annie zasadziła w zeszłym tygodniu. Gdy stanęła obok niego, nadal się uśmiechał.

Myślała tylko o tym, że tatuś wrócił, i najbardziej na świecie pragnęła, żeby ją przytulił, ale się bała. A nuż znowu odejdzie? O mały włos by się odezwała, otworzyła nawet usta i próbowała.

- O co chodzi, Izzy?

Słowa nie chciały wyjść z jej warg. Stłoczyły się w gardle za wielką, starą gulą. No dalej, Izzy - mówiła sobie - powiedz tylko: „Cześć, tatusiu, tęskniłam za tobą”.

Ale nie mogła. Wyciągnęła tylko rękę i wskazała na leżący na ziemi rydel. Pochylił się i podniósł spore narzędzie, po czym powoli podał je Izzy.

- W porządku, słoneczko - rzekł cicho. - Rozumiem. „Kocham cię, tatusiu”. Łzy piekły ją w oczy, była

smutna i zakłopotana, że nie może zmusić się do wypowiedzenia tych słów. Mocno zacisnęła powieki, żeby nie dojrzał głupich, dziecinnych łez. Potem wzięła rydel i stanęła obok ojca. Zaczął mówić, o pogodzie, kwiatach i jaki piękny dzień nastał. Mówił długo, aż zapomniała o swym zakłopotaniu, smutku i że jest głupiutką małą dziewczynką, która nie może już rozmawiać ze swoim tatą.

Niedziela była dniem, który podstępnie skłaniał ludzi do wyjazdu w ten wilgotny, rozmokły zakątek świata. Dniem, w którym turystom

trafiającym do puszczy zapierało dech w piersiach z zachwytu, po czym z wolna jechali swymi wynajętymi samochodami do agencji nieruchomości. Niemal bezwiednie sięgali po ulotki informujące o domkach na sprzedaż i dzwoniли do rodzin w odległych miejscowościach, by opowiedzieć im o najwspanialszej okolicy, jaką kiedykolwiek widzieli.

Gdy Nick rozsunął zasłony bawialni i wyjrzał przez okno, poczuł się równie zadziwiony jak jakiś przybysz. Jaskrawożółte słońce rozświetliło korony drzew i przydało im przejrzystego, nieziemskiego blasku. Jezioro Mystic wchłonęło okoliczne krajobrazy i ukazało je na tle błękitnej tafli wody. Na przeciwległym brzegu samotna szara czapla stała na jednej nodze, z dumą rozglądając się po swym królestwie.

Był to wymarzony dzień na wypad ojca z córką. Pospiesznie wszedł po schodach i obudził śpiącą dziewczynkę. Pomógł jej wyszczotkować zęby i nałożyć ciepłe, wełniane ubranie. Gdy na pół rozbudzona słała łóżko, zszedł i zapakował jedzenie na piknik: wędzonego łososa, świeżo kupionego od plemienia Quinault na miejscowym, przydrożnym straganie, topiony ser i krakersy dla siebie oraz masło orzechowe, biszkopt z galaretką owocową i sznurki sera dla Izzy. Annie zostawiła litr lemoniady własnej roboty, którą wlał do termosu, po czym upchnął wszystko w koszyku piknikowym.

Nie minęła godzina, gdy jechali już wzdłuż wybrzeża, krętą drogą, która zdawała się rozdzielać świat na dwie części. Jedną stronę porastały najbardziej mroczne, najgęstsze lasy Ameryki, po drugiej rozciągał się fascynująco nieobliczalny Pacyfik. Patrząc od wybrzeża, wiecznie zielone drzewa były wyrzeźbione przez sto lat huraganowych wichrów, które powyginały im konary do tyłu w nienaturalny łuk.

Nick zatrzymał się za zakrętem, gdzie w pobliżu znajdował się turystyczny punkt widokowy. Wziął Izzy za rękę i poprowadził ją szlakiem ku wybrzeżu.

W dole potężne, spienione fale uderzały o skały. Gdy wreszcie usiedli na ubitym piasku, Izzy uśmiechnęła się do ojca.

Srebrzystobłękitny ocean rozciągał się na tysiące kilometrów od lądu. Czasami na tym odcinku Pacyfiku wiatr dał tak silnie, że nie można było złapać tchu, lecz dziś panowała niemal przedwieczna cisza. Powietrze było rześkie i ożywcze, niczym dojrzałe na słońcu jabłko. Kormorany, zimorodki i mewy skrzeczały i krążyły nad głowami, siadając od czasu do czasu na którymś z po-rzeźbionych przez wiatr drzew, rosnących na szczytach nadbrzeżnych skał wielkości domów.

Nick postawił kosz na szarym głazie na skraju lądu.

- Chodź, Izzy.

Ze śmiechem pobiegli po piasku, odciskając jedyne na całe kilometry ślady stóp. Szukali ukrytych skarbów: jeżowców, przeświecających kwarcowych kamyków i maleńkich czarnych krabów. Wokół zakrętu linii brzegowej wdepnęli po kolana w masę niewielkich niebieskich meduz, które wiatr wyrzucił na brzeg - dla starych wyjadaczy był to pewny znak, że w lecie pojawią się tu tuńczyki.

Gdy słońce na niebie sięgnęło zenitu, a jego ciepło przedarło się przez warstwy wełny i goreteksu, Nick odprowadził Izzy z powrotem do miejsca, z którego wyruszyli. Na ubitym piachu rozłożył wielki, czerwono-biały koc i rozpakował koszyk. Usiedli po turecku na kocu i zjedli drugie śniadanie.

Przez cały czas Nick snuł opowiadki o rdzennych Amerykanach, którzy pierwsi przewinęli się przez to wybrzeże, setki lat przed pojawieniem się białych osadników, o szalonych zabawach, w których brał udział w

szkole średniej na tym właśnie kawałku piasku, i o tym, jak przywiózł tu Kathy, gdy była w ciąży.

Raz odniósł wrażenie, że Izzy chce coś powiedzieć. Wychyliła się do przodu, jej piwne oczy błyszczały, wargi drżały.

Odstawił swoją szklanę lemoniady. „No dalej, Izzy, misiaczku”. Ale w końcu powstrzymała się. To, co miała na końcu języka, pozostało niewypowiedziane.

W jakimś sensie ta cisza była gorsza niż poprzednie. Utkwiła w jego sercu niczym stalowa drzazga, czuł ją potem przy każdym wdechu. Ale zmusił się do uśmiechu i opowiedział kolejną historyjkę, tym razem o wieczorze sprzed lat, gdy razem z Annie wspięli się na szczyt miejskiej wieży ciśnień i na metalowych bokach wymalowali napis DOŁĄCZ DO PANTER.

Na koniec pikniku zapakowali niedojedzone resztki do koszyka i powoli, w milczeniu powędrowali do samochodu. Jechali do domu w ostatnich, gasnących promieniach zachodzącego słońca. Nickowi trudno było tak ciągle mówić, obnażać swoją duszę w kamiennym milczeniu, które ich otaczało, ale zmuszał się do tego. Gdy przejeżdżali obok knajpy Zoe, poczuł chęć na kieliszek, tak nieubłaganą jak przyływ. Mocniej nacisnął gaz i oddalili się od lokalu.

Gdy znaleźli się na podjeździe, dzień ustępował różowo-złotemu wieczorowi. Nick trzymał Izzy za rękę, gdy z wolna zbliżali się ku domowi.

- Może w coś zagramy? - zaproponował, zamykając za sobą drzwi.

Izzy nie odpowiedziała, tylko czmychnęła. Po chwili pojawiła się znowu - z przyciśniętym do piersi wielkim, wielobarwnym pudłem gry „Słodki światek”.



- Tylko nie to - jęknął dramatycznie. - Wszystko, tylko nie to. Może bierki?

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiešku. Potrząsnęła głową.

- Myślisz, że nie chcę w to grać, bo nigdy nie wygrywam. Nieprawda. To dlatego, że zapadam w śpiączkę. Proszę cię, zagrajmy w bierki.

Uśmiechnęła się tak wesoło, że aż wydeły się jej policzki. Palcem wskazującym uderzyła w pudełko „Słodkiego świątka”.

- Niech będzie. Jedna partyjka „Słodkiego świątka”, a potem bierki.

Zachichotała, a ten zwyczajny dźwięk ukoił jego stargane nerwy. Szybko rozpalil ogień, po czym rozložyli planszę na środku podłogi w bawialni.

Jedna partyjka przeszła w drugą i jeszcze następną. Gdy Nick w końcu zupełnie zdrętwiał z niewygodny, wrzucił małe niebieskie i żółte kawałeczki gry do podłużnego pudła.

- Poddaję się. Jesteś królową „Słodkiego świątka”. Nikt cię nie prześcignie. A teraz chodź, Izzy, misiaczku, pora na kolację. Nawet gotowanie jest lepsze niż ta gra. - Podniósł się z wolna - krążenie w nogach prawie mu zamarło - i chwiejąc się, stanął.

Podskoczyła do góry i chwyciła go za rękę. Miała zmartwioną minę.

Uśmiechnął się do niej.

- Wszystko w porządku, kochanie. Po prostu jestem stary, a starzy ludzie nie bardzo potrafią utrzymać się na nogach. Pamiętasz babcię Myrtle? Toczyła się jak zepsuta zabawka.

Izzy zachichotała.

W kuchni usiedli przy dużym, zbitym z desek stole i jedli kupiony w sklepie makaron z serem, aż im się zaróżowiły policzki. Izzy pomogła Nickowi zmywać i wycierać naczynia, po czym oboje poszli na górę. Tu

włożył jej nocną koszulkę, wyczyścił te niewiarygodnie małe, białe ząbki i razem weszli do wąskiego podwójnego łóżka.

Wziął z nocnego stolika podniszczony egzemplarz *Alicji w krainie czarów*. Objął drobne ramionka Izzy, przytulił ją do siebie i zaczął czytać.

Gdy zamknął książkę, powieki miała ciężkie i już prawie zasypiała.

- Dobranoc, słonko - rzekł cicho, całując ją w czoło. Powoli odsunął się i wstał.

Dziewczynka nagle chwyciła go za rękę. Odwrócił się i popatrzał na nią.

- Izzy?

- Tatusiu?

Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Po raz pierwszy od bez mała roku słyszał słodki głosik swego dziecka. Powoli, bardzo powoli usiadł obok niej. Łzy paliły go w oczy, tak że swoje ukochane maleństwo widział jak przez mgłę.

- Och, Izzy - wyszeptał, nie mogąc znaleźć żadnych innych słów.

- Kocham cię, tatusiu - powiedziała i też się rozplakała.

Uścisnął ją z całej siły, kryjąc twarz w zagłębieniu jej szyi, tak by nie widziała, że płacze. „Och, Izzy, misiaczku, ja też cię kocham” - szeptał raz po raz, gładząc jej włosy, czując, jak na jej miękkim policzku zlewają się łzy ich obojga. Ścisnął ją mocno, zastanawiając się, czy kiedykolwiek starczy mu sił, by ją puścić.

Usnęła w jego ramionach, a on nadal ją trzymał. Wreszcie położył córeczkę delikatnie na poduszce i otulił kołdrą aż po mały, ostry podbródek. Gdy spojrział na swe śpiące dziecko, poczuł przyływ wzruszenia tak czysty i słodki, że żadne słowo - nawet „miłość” - nie mogłoby w pełni oddać głębi jego uczuć.

Triumf odczuwał w krwiobiegu niczym arię, odśpiewaną drżącym, wysokim głosem, a to dlatego, że to uczucie było tak proste i tak nieskończenie skomplikowane jak dziecięce „kocham cię”. Już nigdy więcej nie uzna, że te dwa słowa po prostu mu się należą.

Nie potrafił ogarnąć ogromu swych doznań - przelewały się, zachodząc jedne na drugie niczym fale. Poczł niewiarygodną chęć, by się głośno roześmiać. Pragnął podzielić się tą chwilą z kimś bliskim.

Annie.

Wiedział, ile niebezpieczeństw kryje w sobie takie nagłe pragnienie, by z nią porozmawiać, pobyc, opowiedzieć, co czuje. Wiedział, ale uznał, że to nieważne. Nie potrafiłby się tym przejąć.

Poszedł do swojego pokoju i podniósł słuchawkę.

Poniedziałek był dniem czarownym, pełnym śmiechu. Słońce ponownie przepędziło chmury z nieba. Nick, Annie i Izzy jeździli na rowerach, zbierali dzikie kwiaty i wili wianki z drobnych, purpurowo-białych kwiatków, które rozkwitły w nocy.

Annie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła. Blake nigdy nie spędził ani dnia ze swymi paniami, tylko we trójkę - nawet gdy zdarzało mu się zostać w domu, tkwił przy telefonie, faksie czy komputerze. Annie dopiero teraz zaczęła zdawać sobie sprawę, jak samotne było jej życie.

Pedałując po ścieżce rowerowej w parku narodowym, przypominała sobie fragmenty rozmowy, jaką odbyła z Nickiem zeszłego wieczoru. „Odezwała się do mnie, Annie. Powiedziała, że mnie kocha”. Zdziwienie w jego głosie sprawiło, że oczy Annie nabrzmiały łzami, a gdy opowiadał dalej o dniu spędzonym na plaży, zazdrościła im niewymuszonej radości, dzięki której tak wspaniale spędzili czas.

Choć żadne z nich nie wspomniało dziś o tej rozmowie, wisiała w powietrzu niczym pyłki kurzu, unoszące się w słonecznej smudze. Podczas rozmowy nawiązała się między nimi nowa nić zażyłości. W pewnym sensie ułatwiła to dzieląca ich odległość i telefoniczny, nie zaś bezpośredni kontakt.

Wtedy też Annie zaczęła sobie przypominać dawnego - młodego - Nicka, a także jak bardzo go kochała. Gdy mówił, na chwilę przymknęła oczy i ujrzała chłopaka, który pierwszy pocałował ją pod gwiaździstym, nocnym niebem. Chłopaka, którego delikatne, niepewne usta doprowadziły ją do łez.

Czuła, że wpływa na niebezpieczne wody. Tyle rzeczy dotyczących Nicka wzruszało ją, lecz to głębia jego miłości do Izzy sprawiała, że w środku czuła się cała zasupłana i obolała. Wprawdzie bardzo starała się zapomnieć o życiu, jakie prowadziła w Kalifornii, i o wyborach, jakich dokonała, ale Nick znowu to wszystko rozgrzebywał. Annie wychowała córkę, która tak naprawdę nigdy nie zazna kojącego uścisku ojcowskiej miłości.

I zbyt długo była jedyną kochającą osobą w małżeństwie.

Gdy doszła do tego wniosku, poczuła się istotą żalowaną

I nic nieznaczącą. Całymi latami brała przyzwyczajenie i czułość za prawdziwą miłość. Zakładała, że uczucie, jakim darzy swego męża, jest odbiciem jego miłości dla niej i teraz, z powodu swej ślepoty, była samotną, trzydziestodwuletnią kobietą, która spędzi swe „złote” lata bez dziecka w domu i męża w łóżku.

W tej chwili dzieliły ją od Nicka całe kilometry, z czego była zadowolona, bo gdyby znajdował się obok niej, zwróciłaby się ku niemu,

błagałaby go, by ją objął, pocałował i powiedział, że jest piękna... nawet gdyby miał skłamać.

Teraz, kiedy zdążali do domu po wycieczce rowerowej, Annie modliła się, by Nick nie dosłyszał samotności i bólu w jej głosie. Za każdym razem, gdy na nią spoglądał, pospiesznie odwracała wzrok.

Po powrocie do domu czuła się jak wrak. Siedziała cicho przy stole, wbijając oczy w jedzenie, a prawą stopą nerwowo uderzała o podłogę.

Gdy tylko skończyli kolację, zerwała się z krzesła jak oparzona i pospiesznie zaprowadziła Izzy do łóżka, zostawiając Nicka, by pozmywał i powycierał naczynia.

- Dobranoc, Izzy - powiedziała, otulając dziewczynkę kołdrą. - Tatusz za chwilę do ciebie przyjdzie.

- ... branoc, Annie - wymamrotała Izzy, przekręcając się na bok.

Annie zamknęła drzwi sypialni i zeszła na dół. Nicka zastała w bawialni, wpatrującego się w jezioro. Nawet z pewnej odległości zauważyła, że ręce mu się trzęsą. U jego stóp leżała wilgotna ścierka do wycierania naczyń.

Ostatni stopień skrzypnął pod jej stopami, aż zamarła.

Odwrócił się ku niej. W świetle lampy skórę miał bladą, jego czoło świeciło potem.

- Chciałbyś się napić - powiedziała.

- Chciałbym? - Zaśmiał się nisko, chrypliwie. - To spore niedomówienie.

Annie nie wiedziała, co zrobić. Niebezpiecznie było go dotykać, ale nie mogła się odwrócić. Ostrożnie przysunęła się do niego. Wyciągnął rękę, jego spocone palce objęły jej dłoń rozpaczliwym uściskiem.

Po długiej chwili rzekła:

- A może zamiast tego zjesz miseczkę czekoladowych lodów z miętą?

- Świetnie. Powiem tylko Izzy dobranoc, a potem... pogadamy przy kominku. - Posłał jej uśmiech pełen ulgi, po czym obrócił się i śmignął na górę.

Annie poszła do kuchni i napełniła lodami dwie miseczki. Przez cały czas powtarzała sobie, że to nic takiego, po prostu dwójka przyjaciół zje razem trochę łakoci. Gdy skończyła, Nick był już na dole i razem usiedli na kanapie.

Zjedli w milczeniu. Dźwięczny stukot łyżeczek o porcelanę wydawał się niesamowicie głośny. Wszystkimi zmysłami odbierała obecność Nicka: nierówne tempo, w jakim uderzał stopą o podłogę, sposób odgarniania niesfornego loka za prawe ucho.

Nagle odwrócił się ku niej.

- Jak długo tu pozostaniesz? A więc o to chodziło.

- Jeszcze półtora miesiąca - odparła z westchnieniem. - Natalie wraca do domu piętnastego czerwca.

Podchwycił jej spojrzenie i poczuła, że tonie w jego błękitnych oczach.

Wstrzymała dech. Czekwała, co Nick teraz powie, choć nie miała pojęcia, o co by mu mogło chodzić.

- Co myślisz o Mystic? - zapytał, cedząc słowa i przypatrując się jej. - Po skończeniu szkoły średniej nie mogłaś się doczekać, żeby dać stąd nogę.

- To nie Mystic mnie stąd wyгнаło.

- Nigdy w życiu nie chciałem cię zranić - odparł po długiej chwili.

- Wiem.

- Bałem się o ciebie.

Czuła, że w dźwięku jego słów znowu rozkwita ów delikatny pączek zażyłości, który zbliżył ich zeszłego wieczoru. Obawiała się jej, zwłaszcza teraz, gdy była tak blisko Nicka. Swoją strach usiłowała pokryć śmiechem.

- Nabijasz się ze mnie, co?

Pochylił się i odstawił miseczkę na stolik. Potem powoli zwrócił się ku Annie. Przez oparcie kanapy wyciągnął ku niej rękę, a ona musiała zwalczyć chęć przytulenia się do jego dłoni.

- Myślę, że nasze losy zostały wytyczone znacznie wcześniej, niż zdążyliśmy dojrzeć na tyle, by zadawać właściwe pytania. Mój został ukuty w dniu, gdy mój ojciec porzucił moją matkę. Nie bardzo umiała... poradzić sobie z życiem. Zanim zrozumiałem, co się dzieje, zostałem jej aniołem stróżem. Nauczyłem się tego, co wie każde dziecko alkoholika: nie mów, nie wierz, nie przejmuj się. Do diabła, byłem dorosły przed ukończeniem dziesięciu lat. Robiłem zakupy, gotowałem, sprzątałem... gdziekolwiek mieszkaliśmy. Kochałem ją, więc się o nią troszczyłem, a gdy się mnie czepiała albo robiła się agresywna, wierzyłem w to, co mówi: że jestem nic niewartym bałwanem i że mam szczęście, bo ona ze mną została. - Oparł się o kanapę.

Annie poczuła, że Nick koniuszkami palców głaszcze jej ramiona. Zerknęła nań, przypominając sobie, jak niegdyś był przystojny - tak bardzo, że gdy go ujrzała pierwszy raz, zaparło jej dech w piersiach.

- Gdy zamieszkałem tu z Joem, myślałem, że śnię. Czysta pościel, czyste ubrania, mnóstwo jedzenia. Codziennie chodziłem do szkoły i nikt mnie nie bił. - Uśmiechnął się do niej, a żar tego uśmiechu wprowadził ją w drżenie. - Potem spotkałem ciebie i Kath. Pamiętasz?

- W knajpce, po meczu piłki nożnej. Zaprosiłyśmy cię, żebyś się do nas przysiadł. Puszczali wtedy płytę K-Tel.

- To ty mnie zaprosiłaś. Nie mogłem w to uwierzyć... a potem, kiedy wszyscy się zaprzyjaźniliśmy, byłem kompletnie oszołomiony. W tamtym roku wszystko zdarzało mi się po raz pierwszy. - Znowu się uśmiechnął, lecz jego uśmiech był smutny, nie doszedł do oczu, a w kącikach ust widać było zmęczenie. - Byłaś pierwszą w życiu dziewczyną, którą pocałowałem. Wiedziałaś o tym?

Annie poczuła niebezpieczny ucisk w gardle.

- Płakałam. Skinął głową.

- Myślałem, iż to dlatego, że wiesz. Wyczułaś, że nie jestem odpowiedni.

Tak bardzo chciała go dotknąć, że aż mrowiło ją w palcach. Z wysiłkiem zacisnęła dłoń w pięść.

- Nie wiem, dlaczego płakałam. Nadal nie potrafię tego wytłumaczyć.

Uśmiechnął się do niej.

- Widzisz? Ścieżki zostały wytyczone, jeszcze zanim zdążyliśmy się zorientować. Kathy była o wiele prostsza. Ją rozumiałem. Potrzebowała mnie, nawet wtedy, a w moim pojęciu było to równoznaczne z miłością. Wpadłem po prostu w rolę, którą znałem. A co miałem zrobić? Poprosić cię, żebyś rzuciła uniwersytet? Albo czekać na ciebie, choć wcale mnie o to nie prosiłaś?

Annie nigdy nie uważała się za dość śmiałą, by rozmawiać z Nickiem o swoich uczuciach. Podobnie jak on wzięła na siebie - bezwiednie przyjęła - znaną rolę. Wiedziała, czego oczekiwano od niej, Annie o złotym serduszku. Wyjechała na studia i poślubiła miłego chłopca, przed którym rysowała się świetna przyszłość.



- Zawsze uważałem, że zostaniesz sławna - powiedział wreszcie. - Byłaś taka cholernie inteligentna. Jedyna osoba w całej historii Mystic, która zdobyła stypendium na Uniwersytecie Stanforda.

- Ja, sławna? Niby w jaki sposób? - prychnęła.

- Nie mów tak, Annie. - Głos miał czuły jak pieszczotliwe muśnięcie, aż musiała spojrzeć w twarz mężczyzny. Smutek w jego oczach powodował ucisk w jej gardle. - Nie tędy droga. Uwierz mi, wiem z doświadczenia. Uda ci się dokonać wszystkiego, co zechcesz. I chrzań każdego, kto będzie ci wmawiał, że tak nie jest.

Jego zachęta była niczym łyk wody dla jej wyschniętej, spragnionej duszy.

- Rzeczywiście myślałam o czymś któregoś dnia...

- O czym?

Odsunęła się.

- Będziesz się śmiał.

- Nigdy w życiu.

Uwierzyła mu, choć wiedziała, że to ryzykowne.

- Chciałabym poprowadzić małą księgarnię. Wiesz, taką, gdzie na wszystkich krzesłach leżą książki, można się napić espresso, a pracownicy naprawdę czytają.

Musnął policzek Annie lekkim, pieszczotliwym gestem, który wprowadził ją w drżenie. Dotknął jej z rozmysłem po raz pierwszy od owej nocy nad jeziorem.

- Powinnaś się teraz zobaczyć, Annie. Żar rozpałił jej twarz.

- Pewnie uważasz, że jestem śmieszna.

- Nie. Nigdy w życiu. Zauważyłem po prostu, jak ci oczy rozbłyły, gdy powiedziałaś „księgarnia”. Uważam, że to świetny pomysł. Na Głównej

Ulicy stoi stara wiktoriańska kamienica. Jeszcze parę miesięcy temu był tam sklep z pamiątkami. Zamknęli go po śmierci właściciela. Chcą wynająć cały parter. Po drobnych przeróbkach świetnie by się dla ciebie nadał. - Urwał i popatrzał na nią. - Jeżeli chcesz otworzyć tę księgarnię w Mystic.

Marzenie przysło. Oboje wiedzieli, że jej życie nie toczy się tutaj. Miejsce Annie jest w innym stanie, pod innym słońcem, w białym domu nad morzem. Wpatrzyła się w swój diamentowy pierścionek, zastanawiając się, co by tu powiedzieć, odpędzić dziecinną mrzonkę i udawać, że nigdy o niej nie wspomniała.

- Widziałaś *O tej samej porze w przyszłym roku?* - zapytał nagle.

Zmarszczyła brwi.

- Film z Alanem Aldą - o parze, która miała romans co roku przez jeden weekend?

- Właśnie.

Jej oddech stał się urywany. Powietrze naelektryzowało się na dźwięk zwykłego słowa „romans”.

- Z... zawsze strasznie mi się podobał.

- Zaczyna się za dziesięć minut. Chcesz obejrzeć? Odetchnęła gwałtownie. Poczowała się jak idiotka, dopatrując się ukrytego znaczenia w prostym pytaniu o film.

- Jasne.

Usadowili się wygodnie na kanapie i obejrzeli film, ale przez cały czas Annie miała dziwaczne uczucie, że spada. Zerkąła na Nicka i często łapała go na tym, że się w nią wpatruje. Nie chciała się zastanawiać, ile dla niej znaczy, ale nie mogła uniknąć oczywistości.

Zeszłego wieczoru dowiedziała się, że przepada za lodami czekoladowymi i nie znosi buraków... że jego ulubionym kolorem jest

niebieski, a sporty zawodowe śmiertelnie go nudzą... że lubi pieczone kartofle z masłem i kawałkami bekonu, ale bez soli i pieprzu, i że czasami pocałunek Izzy, gdy się do niego przytula, potrafi doprowadzić go do łez.

Wiedziała, że czasami potrzeba łyknięcia czegoś mocniejszego wybuchu w nim z tak dziką gwałtownością, że brak mu tchu, a wzrok robi się szklany. Odrywał się wtedy od Annie i Izzy i samotnie biegł do lasu. Wracał później z włosami mokrymi od potu, blady, z trzęsącymi się rękoma, ale uśmiechał się do niej smutnym, rozpaczliwym uśmiechem, który nie sięgał oczu, a ona wiedziała, że znowu się przemógł. A czasami w takich chwilach, gdy ich spojrzenia zatapiały się w sobie w akcie zrozumienia, zdawała sobie sprawę, jak niebezpieczna jest ta sytuacja.

Nie chciała zbyt przywiązywać się do Nicka Delacroix, a jednak z każdym dniem byli sobie bliżsi.

Gdy film się skończył, wołała nie patrzeć na Nicka, obawiając się tego, co mogłaby dojrzeć w jego oczach... i czego on mógłby dopatrzeć się w jej wzroku. Chwyciła więc pudełko z chusteczkami, torebkę i pobiegła do drzwi, ledwo bąkając jakieś słówko na pożegnanie.

Izzy obudziła się przerażona. Śniła jej się mamusia... tylko tyle pamiętała. Mama była nad jeziorem i wołała ją... z płaczem.

Odrzuciła kołdrę i wyszła z łóżka. Bez szlafroka i kapci wyślizgnęła się z sypialni i żwawo pomaszerowała holem. Zatrzymała się przed drzwiami sypialni taty, po czym poszła dalej. Zeszła ze schodów i wymknęła się na dwór, w najmroczniejszą część nocy.

Wpatrzyła się w jezioro. Na początku widziała tylko węglowoszary cień na tle zarysu gór w kształcie odwróconego trójkąta, lecz po chwili dostrzegła połyskujące falki i usłyszała plusk wody o zwirowany brzeg. Mgła zgęstniała w szary tuman, przebijany czarnymi wykałaczkami drzew.

„Izzy, misiaczku, czy to ty?”

Zamrugła. Drzwi z siatki wysunęły się z jej dłoni i zamknęły z trzaskiem. - Mamusiu?

Coś białego błysnęło nad brzegiem.

Odwróciła głowę ku domowi i ujrzała, że okna pokoju tatusia są ciemne. Wiedziała, że powinna mu powiedzieć, dokąd idzie, ale wtedy ponownie ujrzała błysk bieli i usłyszała płaczącą kobietę, toteż nie ociągając się dłużej, podniosła rąbek nocnej koszulki i pobiegła po mokrej trawie, nie zważając, że palce oblepia jej błotnista ziemia.

Zewsząd dochodziły jakieś odgłosy: krakanie wron, pohukiwania samotnej sowy, kumkanie żab - i choć te dźwięki ją przerażały, nie zatrzymała się, póki nie doszła do jeziora.

- Mamusiu? - wyszeptała.

Zwiewna mgiełka uniosła się znad wody. To właśnie w jej oparach ujrzała mamę. Wyraźnie jak słońce stała na wodzie, założywszy ręce w pasie; złotoblond włosy tworzyły aureolę wokół jej twarzy. Izzy mignęły białe skrzydła i usłyszała rytmiczny dźwięk, niczym niewyraźny warkot dopiero co włączonej kosiarki, ale nie była pewna, czy jej wzrok nie myli. Mama promieniowała jasnością, od której Izzy bolały oczy, jakby wpatrywała się w słońce. Zamrugła i wpiła się spojrzeniem w świetlistą smugę, lecz dojrzała tylko pył czarnych kropek i gwiazd, a mama pojawiała się i znikwała.

„Izzy, misiaczku, dlaczego mnie wołałaś?”

Izzy zamrugła i próbowała dostrzec śliczne, niebieskie oczy mamusi.

- Nie wzywałam cię tym razem. „Słyszałam, jak mnie wołasz przez sen”.

Izzy usiłowała sobie przypomnieć, o czym śniła, ale migały jej tylko obrazy, odczucia i panika, a wszystko razem w tej chwili nic nie znaczyło.

- Nie wiem, czego chciałam.

Poczuła dotknięcie, podmuch wietrzyka na czole, który odgarniał jej włosy, pocałunek, pachnący mgłą, deszczem i ulubionymi perfumami mamy.

- Tęsknię za tobą, mamusiu. „Tatuś już wrócił”.

- A jeśli znowu odejdzie?" Kolejny dotyk, delikatniejszy. „Nie odejdzie, Izzy, misiaczku”.

Tym razem, gdy Izzy uniosła wzrok, matka była bliżej i dziewczynka z całą pewnością dostrzegła białe skrzydła gołębicy.

- Nie mogę iść za tobą, co?

Na ułamek sekundy mgła rozwiała się i Izzy zobaczyła mamusię. Nie było skrzydeł, białej jasności, mgły, tylko blondynka o smutnych oczach w szlafroku w różowe kwiatki, spoglądająca na swą córeczkę.

„Zawsze będę w tobie, Izzy. Nie musisz znikać, iść za mną ani usiłować mnie dosięgnąć. Wystarczy, że zamkniesz oczy i pomyślisz o mnie, a zjawię się przy tobie. Przypomnij sobie, jak poszliśmy do cyrku, a ja tak się śmiałam z klaunów, że spadłam z ławki. A gdy się uśmiechniesz na to wspomnienie, odnajdziesz mnie”.

Łzy spływały ciurkiem po twarzy Izzy, kapały jej na ręce. Mrugając powiekami, wpatrywała się w niewiarygodnie błękitne oczy mamy.

- Kocham cię, mamusiu...

I wtem, nagle, mama zniknęła.

- Izzy!

Przerażony głos ojca przedarł się przez myśli dziewczynki. Obróciwszy się, ujrzała, że biegnie ku niej.

- Tatusiu?

Objął ją i mocno przytulił.

- Izzy. - Wymówił jej imię tak dziwnie, jakby biegł całymi kilometrami. - Och, Izzy... tak mnie przestraszyłaś. Nie wiedziałem, gdzie jesteś...

- Nie zrobiłam nic złego, tatusiu. Uśmiechnął się do niej słabo.

- Wiem, skarbie.

Zaniósł ją z powrotem do domu i łagodnie położył do łóżka. Skuliła się pod kołdrą, ale jeszcze nie chciała zostać sama. Wzięła książkę z nocnego stolika. Był to cenny egzemplarz *Kopciuszka*, własność babci Myrtle, która podarowała go mamusi, a mama - Izzy.

- Tatusiu, możesz poczytać mi bajkę?

Położył się w łóżku obok niej. Łagodnym gestem otworzył książkę na pierwszej stronie. Przeczytał ją tak jak zawsze, z zapalem i werwą, zabawnie naśladowując różne głosy.

Ale Izzy się nie śmiała. Siedziała tylko oparta o jasno-żółtą poduszkę z wizerunkiem wielkiego ptaka, wpatrując się w jaskrawe obrazki na stronie. Gdy skończył, bardzo cicho spytała:

- Co się stało z mamusią Kopciuszka? Po chwili namysłu odparł równie cicho:

- Myślę, że mamusia Kopciuszka poszła do nieba.

- Aha.

- I wiesz, co mi się wydaje?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Myślę, że mamusia Kopciuszka i twoja są teraz przyjaciółkami i patrzą na nas z góry, by się upewnić, że w domu wszystko jest w porządku.

Izzy zastanowiła się nad tym. Wydawało się jej mniej więcej to samo.

- Annie powiada, że kiedy pada, to mama i aniołowie płaczą.

Odgarnął lok włosów z jej buzi.

- Annie wie mnóstwo rzeczy.

Odwróciła się od niego, starając się ukryć łzy, które paliły jej oczy.

- Zaczynam ją zapominać, tatusiu.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, delikatnie głaszcząc jej wilgotny policzek.

- Mamusia miała najpiękniejsze błękitne oczy na świecie, a gdy patrzyła na ciebie, mogło się wydawać, że deszcz ustał i słońce pada na twoją twarz. I miała krzywy przedni ząb, troszeczkę na skos, i maleńką myszkę tuż koło ucha. Kochała cię, Izzy... kochała cię nad życie.

- Oboje nas kochała, tatusiu.

Nic na to nie odpowiedział. Po prostu pocałował ją w sam czubek nosa, a jej przypomniało się, że gdy była malutka, robił to bez przerwy. Po raz pierwszy od śmierci mamy Izzy nie bała się. Krzyk, który krył się w niej od miesięcy, skurczył się jak zasuszony rodzynek i odpłynął. Wiedziała wreszcie, że wszystko będzie dobrze.

Tatuś znowu ją kochał.

Zacisnęła powieki bardzo mocno, by się nie rozplakać jak dzidzius. Gdy znowu mogła oddychać, z wolna je otworzyła.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Tatusiu? - powiedziała cicho.

- Tak, słonko?

Powoli uniosła lewą rękę. Wyraźnie jak słońce widziała małą, czarną rękawiczkę, wychodzącą z jej rękawa. Przygryzła drżącą dolną wargę, obawiając się, że to pomyłka. Z wolna zdjęła rękawiczkę i ujrzała swoją dłoń.

- Widzisz ją, tatusiu?

Spojrzał prosto na jej rękę - na pewno ją widział - ale się nie uśmiechnął. Popatrzał tylko na nią.

- Co powinienem zobaczyć?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Widzę moją dłoń... i całą rękę. A ty je widzisz?

- Owszem, widzę twoją rękę - przytaknął ochryple. Bardzo powoli, jakby lękając się, że go powstrzyma, wziął od niej rękawiczkę.

Zachichotała, poruszając paluszkami.

- Chyba zostaję z tobą, tatusiu.

- Tak, Izzy, misiaczku, chyba zostajesz.



Pociągnął nosem. Izzy uniosła wzrok i ujrzała najdziwniejszą rzecz na świecie: jej wielki, silny tatuś płakał.

„Kochała nas oboje”.

Znacznie później, gdy Nick leżał w łóżku z ramionami pod głową, mógł się wreszcie zastanowić nad tymi słowami Izzy.

„Kochała nas oboje”.

Było to zdanie, w które tak długo nie mógł uwierzyć, wypowiedziane dzieciennym głosem z absolutną pewnością.

Łzy, z którymi krył się od ponad roku, pociekły mu po policzkach. Kochał swoją żonę, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i tak to się jakoś potoczyło, że o niej zapomniał, widział całą ciemność, a zapomniał o świetle. Ona też go kochała, całym swym złamanym sercem.

- Kochałem cię, Kath - wyszeptał w cichej samotności swej sypialni. - Kochałem cię...

Deszczowy Festyn w Mystic rozpoczął się zgodnie z planem, w pierwszą sobotę maja, jak zawsze od ostatnich stu lat. Ciężkie, szare chmury wisiały nisko nad centrum miasteczka. Ulewa opadała stukoczącą kurtyną na sklepowe markizy. Świeże zielone liście pływały w ciemnej wodzie rynsztoków, wirując wzdłuż chodników.

Annie miała na sobie połyskliwy żółty płaszcz od deszczu, levisy wsunęła w wysokie, czarne gumowce, a na głowę włożyła bejsbolówkę z godłem drużyny Seattle Mariners. Hank stał obok niej, jedząc ciastko domowego wypieku, które kupił w stoisku klubu rotariańskiego.

Parada posuwała się z wolna Główną Ulicą, rozbryzgując wodę na mokre chodniki. Brały w niej udział wozy strażackie i policyjne, harcerze i sześć małych dziewczynek w różowych spódniczkach baletniczek, zakupionych w tancbudzie Esmeraldy.

Annie była oczarowana tymi ckliwymi, małomiasteczkowymi popisami. Wiedziała z doświadczenia, że parada przetoczy się przez sześć przecznic, zakręci i znowu powróci.

Brakowało jej tego. A przecież od tak dawna nie oglądała podobnych występów. Wyjechała do Kalifornii, gdzie wychowała swoją córkę za ogrodzeniem z kutego żelaza, w klimatyzowanych pokojach, w mieście, w którym lokalne parady mają mistrzów ceremonii rekrutujących się spośród znakomitych osobistości, a finansują je bogate firmy.

Nie chciała tam wracać.

Sama się zdziwiła, że tę nagłą decyzję powzięła z taką pewnością. Po raz pierwszy w życiu doszła do jakiegoś wniosku, nie biorąc pod uwagę uczuć innych ludzi, i było jej z tym dobrze.

Nie chce już dłużej mieszkać w Kalifornii i wcale nie musi. Po rozwodzie, gdy Natalie wyjedzie na uniwersytet, Annie może powrócić do Mystic, może nawet otworzy tę księgarnię...

Marzenia. To taka cenna rzecz, a ona tyle swoich marzeń oddała bez walki. Nigdy więcej.

Zwróciła się do ojca:

- Tato, pozwól, że cię o coś zapytam. Czy uważasz, że w miasteczku przydałaby się księgarnia?

- O rany, tak - uśmiechnął się. - Potrzebujemy jej od lat. Twoja mama marzyła o otwarciu czegoś takiego.

Annie zadrżała. Przez jedną dziwną, zaskakującą sekundę miała wrażenie, że matka stoi obok niej.

- Naprawdę? Myślałam o tym samym. Odwrócił się i wpatrzył w nią, długo i bacznie.

- Jesteś teraz obolała, Annie, i uciekasz, ale nie zapominaj, gdzie toczy się twoje prawdziwe życie. Już nigdy więcej nie zamieszkaż w Mystic, a poza tym nie znasz się na interesach. Jesteś panią domu.

Ten brak wiary w nią dotknął Annie do żywego. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, od jak dawna ojciec powolutku, od słowa do słowa, pozbawia ją pewności siebie. Kiedy to się zaczęło? Gdy była dzieckiem? Kiedy po raz pierwszy powiedział jej, by nie zwracała sobie czymś ślicznej główki? Albo zawsze, gdy powtarzał, że Blake się nią zajmie?

Gdyby była inną kobietą, pewnie wpadłaby w gniew, ale skoro jest taka, jaka jest, poczuła tylko mgliste resztki smutku. Ojciec pochodzi z innego pokolenia i wychował swoje dziecko najlepiej, jak umiał. Gdyby żyła jego żona, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej...

Ale nie żyła, a wraz z jej śmiercią Hankowi narzucona została rola, z którą nie mógł sobie poradzić. Wszystko, co wiedział o kobietach, pochodziło od jego matki, zmęczonej, umordowanej kobiety, którą w wieku czterdziestu siedmiu lat wpędziła do grobu ciężka harówka. Hank, podobnie jak jego ojciec, wyrósł w Mystic i niewiele świata oglądał poza nim. Uważał, że córka powinna zdobyć dobre wykształcenie, co pomoże jej znaleźć męża, który zapewni Annie lepsze warunki niż te, w jakich została wychowana.

Niestety, poszła za jego wskazówkami. Wyjechała do Stanford - gdzie świat stał przed nią otworem, gdyby wiedziała, jak się koło tego zakrzętnąć - i robiła wyłącznie to, czego od niej wymagano. Zbyt mało pragnęła sama osiągnąć... i dostała dokładnie tyle, ile chciała. Aż śmiech bierze, jak ta reguła sprawdza się w życiu.

Nie była to wina ojca, Blake'a czy Annie. Po prostu tak się potoczyły jej losy. Uznała, że jest szczęściarą, gdyż w końcu przejrzała na oczy.

Gdyby nie poznała Blake<sup>^</sup>, wiodłaby aż do śmierci żywot przeciętnej kobiety, w średnim wieku, a potem staruszki, z klapkami na oczach, przekazywanymi z pokolenia na pokolenie.

Wzięła ojca za rękę i lekko ją uścisnęła. Paradę zamykał klub jeździecki Wędzidła i Ostrogi, którego członkowie przejechali na koniach przy akompaniamencie stukotu kopyt, a gdy zniknęli za rogiem, wszyscy klaskali i wydawali radosne okrzyki. Kiedy aplauz ucichł, tłum zaczął się rozpraszać, schodząc z chodników na ulicę.

Annie i Hank spacerowali pod rękę chodnikiem, mijając stoiska rzemieślników i sprzedawców hot dogów, obok wiktoriańskiej kamienicy z tabliczką DO WYNAJĘCIA w oknie.

Hank przystanął przed stoiskiem kościoła luterańskiego i kupił dwie filiżanki wybornego espresso, jedną wręczając Annie. Ostry aromat kawy podrażnił ich nozdrza, a jej żar przyniósł ulgę obolałemu gardłu Annie. Żadne z nich nie zwracało uwagi na cichy plusk deszczu, psia pogoda nigdy nie wadziła Annie. Zabawne, że o tym zapomniała. W Kalifornii biegła po parasol przy pierwszej oznace opadów. Tutaj parasole nosili tylko turyści.

- A więc Natalie wraca do domu za półtora miesiąca. Annie pociągnęła łyk kawy, po czym skinęła głową.

- Piętnastego czerwca. Nie mogę się doczekać.

- Co powiesz Blake'owi, kiedy się z nim zobaczysz? Pytanie zaskoczyło Annie. Nie chciała zastanawiać się nad odpowiedzią i nie przypuszczała, że ojca to zainteresuje. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Przez całe tygodnie pragnęłam tylko się z nim zobaczyć, przypomnieć mu, ile wspólnie przeżyliśmy, ale teraz nie mogę sobie uświadomić, co nas właściwie łączy.

- To z jego powodu?

Już miała zapytać, o co mu właściwie chodzi, gdy ujrzała Nicka. Stał po przeciwległej stronie ulicy, trzymając Izzy na ramionach. Oboje jedli lody. Obrócił się, poprzez zatłoczoną ulicę ich oczy spotkały się i na chwilę zatopiły w sobie. Posłał jej uśmiech, pomachał i ruszył dalej. Usiłowała odpowiedzieć ojcu, ale naprawdę nie miała pojęcia, gdzie umiejscowić Nicka.

- Kto zna przyczyny czegokolwiek? Wiem tylko, że nie jestem tą samą kobietą co przedtem.

- Uważaj na siebie, Annie.

Znowu spojrzała na przeciwległą stronę ulicy, ale Nick już sobie poszedł. Poczula rozczarowanie.

- Wiesz co, tato? Znudziła mi się już ta przezorność.

- Gdy igrasz z ogniem, możesz się poparzyć.

- Masz na podorędziu jeszcze jakąś mądrość ludową, tatusiu?

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- A jak myślisz, skąd biorą się mądrości ludowe? To po prostu czysta prawda.

W poniedziałek Annie, Nick i Izzy pojechali do gorących źródeł Sol Duc i zapuścili się w głąb Parku Narodowego Olympic. Potem pływali w olbrzymim basenie ośrodka wypoczynkowego i odpoczywali w gorących siarkowych źródłach, nad którymi unosiły się obłoczki pary. O zmierzchu wgramolili się do samochodu i ruszyli ku domowi.

Gdy już wszystko wypakowali i rozłożyli na swoje miejsca, była prawie północ. Nick zaproponował Annie swoją sypialnię, a ona z tego skorzystała. Zadzwoiła do taty, który znowu na nią czekał, by mu powiedzieć, że zjawi się w domu wczesnym rankiem.

- Czy mądrze postępujesz, Annie Wirginio? - zapytał cicho.

Odpowiedziała mu, równie spokojnie, by się nie denerwował, i odłożyła słuchawkę. Potem nie miała już takiej pewności, że powzięła rozsądną decyzję, ale, prawdę mówiąc, nie była w najlepszej formie. Pragnęła opaść na wygodne łóżko i spać przez dziesięć godzin. Bolały ją plecy, czuła klucie w sercu i miała mdłości. Właściwie nie nadawała się na wyprawy turystyczne.

Starannie unikała Nicka, spiesząc na górę; umyła zęby i zapadła w głęboki sen.

Następnego ranka czuła się jeszcze gorzej. Głowa boleśnie jej pulsowała i musiała leżeć w łóżku bardzo spokojnie, skupiając się na każdym oddechu, inaczej bowiem na pewno by zwymiotowała.

Z wolna policzyła do dziesięciu, po czym podniosła się na łokciach. Słońce słało ukośne promienie przez okno jej sypialni. Blask raził ją w oczy

i pogłębiał ból głowy. Był piękny majowy poranek, a ona nie mogła się nim cieszyć.

Z trudem przetykając ślinę, odrzuciła kołdrę i chwiejnym krokiem weszła do małej, przyległej łazienki. Nie chciało jej się zapalać światła, i tak doskonale widziała podsiniałe worki pod oczami. Poruszając się jak stuletnia staruszka, z trudem wyszczotkowała zęby i umyła twarz. Zajęło jej to całe wieki. Kiedy skończyła, jej samopoczucie jeszcze się pogorszyło.

Wróciła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę. Dreszcz zimna przebiegł przez jej ciało i zamknęła oczy.

Po jakimś czasie - po godzinie? minucie? - rozległo się pukanie do drzwi. Annie usiadła z trudem.

- Proszę.

Izzy wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Annie? Chce mi się jeść.

Annie zdobyła się na słaby uśmiech.

- Jak się masz, kochanie? Wejdz, ale się nie zbliżaj. Chyba złapałam grype.

Izzy wsunęła się do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Czekałam, aż wstaniesz. Myślałam, że może nas zostawiłaś... ale tatuś powiedział, że tu nocowałaś.

Serce Annie rwało się do dziewczynki, której piwne oczy były tak wielkie i zmartwione.

- Nie postąpiłabym tak, Izzy. Nie mogłabym zniknąć bez pożegnania.

- Dorośli czasami tak robią.

- Och, Izzy... - Annie zmieniła pozycję, starając się nie zwracać uwagi na nagły zawrót głowy. - Wiem o tym. -Zaczęła coś mówić, coś kompletnie bez znaczenia, gdy nagle kichnęła z siłą armatniego wystrzału. Ledwo zdą-

żyła przykryć twarz dłonią, gdy kichnęła po raz drugi. Opadła na łóżko, starając się przypomnieć sobie, kiedy ostatnim razem czuła się tak podle.

Oczy Izzy się rozszerzyły.

- Jesteś chora?

Annie uśmiechnęła się do niej słabo, ale ze zrozumieniem.

- To nic takiego - odparła spokojnie. - Po prostu się przeziębiłam. Ty pewnie ciągle coś takiego łapiesz.

Izzy wyraźnie się uspokoiła.

- Pewnie. Wtedy zielony glut spływa mi z nosa.

- To bez wątpienia uroczy obrazek. Chyba teraz trochę się prześpię, a potem porozmawiamy. Zgoda?

Izzy powoli pokiwała głową.

- Zgoda. Do zobaczenia. Annie uśmiechnęła się słabo.

- Do zobaczenia, skarbulku. - Gdy Izzy wyszła, Annie wyciągnęła rękę do nocnego stoliczka i podniosła słuchawkę telefonu. Poprosiła o informację w biurze numerów, po czym zadzwoniła do gabinetu doktora Burtona.

Recepcjonistka odebrała natychmiast.

- Klinika rodzinna w Mystic. Mówi Madge, w czym mogę pomóc?

- Jak się masz, Madge? Tu Annie Colwater. Chciałabym zamówić wizytę u doktora Burtona.

- Czy to coś nagłego, złotko?

„Tylko jeżeli zielony glut można zaliczyć do nagłych przypadków”.

- Nie.

Doktora akurat nie ma, wyjechał na wakacje na Orkady. Przypuszczał, że będziesz dzwonić. Powiedział, żeby cię skierować do doktora Hawkinsa w Port Angeles. To psychiatra - dodała scenicznym szeptem.

Nawet w stanie takiego osłabienia Annie uśmiechnęła się.



- Jego konsultacja chyba nie jest konieczna.

- To dobrze. Jesteś zapisana na pierwszego czerwca. Potwierdzasz tę wizytę?

Annie na śmierć o niej zapomniała. Depresja, która jej dokuczała w marcu, ustąpiła, blednąc niczym stara fotografia w odcieniu sepii. Prawdopodobnie wizyta jest już niepotrzebna, ale doktor Burton niewątpliwie się jeszcze upewni. Będzie dumny, że jego pacjentka jest w tak dobrym stanie.

- Tak, przyjdę. Dzięki, Madge.

- Dobrze. Pół do jedenastej. Tylko nie zapomnij. Jeszcze zanim Annie odłożyła słuchawkę, już zamknęła oczy.

Annie śniła, że znalazła się w jakimś chłodnym, ciemnym miejscu. Słyszała szum wodospadu i brzęczenie wałki. Ktoś na nią czekał w mroku leśnej gęstwiny. Słyszała w cieniach miarowy szelest jego oddechu. Chciała go dotknąć, ale się bała. Tu, gdzie się znajdowała, czuła się znajomo, bezpiecznie, a on czekał na nią w dziwnym świetle, którego reguł nie знаła. Przejęła ją obawa, że jeśli pójdzie za nim, zagubi się.

- Annie?

Obudziwszy się nagle, ujrzała, że Nick siedzi na skraju łóżka. Próbując przywołać uśmiech na twarz, z wysiłkiem się uniosła.

- Jak się masz?

- Izzy powiedziała mi, że jesteś chora. - Pochylił się ku niej i dotknął jej czoła. - Chyba masz gorączkę.

- Myślisz?

Przysunął się bliżej i wyciągnął termometr.

- Otwórz buzię.

Jak posłuszne dziecko otworzyła usta. Śliski, chłodny termometr wsunął się pod jej język i ułożył jak należy. Zacisnęła wargi, lecz nie mogła oderwać wzroku od Nicka.

- Przyniosłem ci sok pomarańczowy i jajecznicę. Aha, jeszcze tylenol i dzbanek z zimną wodą.

Annie patrzyła ze zdumieniem, jak Nick idzie do łazienki. Wracając, starannie zwijał ręcznik na trzy części. Usiadł na krześle obok łóżka i położył Annie kompres na czole, po czym wręczył jej dwie tabletki tylenolu.

- Proszę.

Wbiła wzrok w dwa małe proszki na jego dłoni. Zmarszczył brwi.

- Annie? Płaczesz.

Z całej siły zacisnęła powieki. A niech to szlag!

- Naprawdę? Nie przejmuj się mną. To pewnie uczulenie. Albo menopauza. Hormony szaleją we mnie od tygodnia. Chyba dopadnie mnie ta cholerna... - W ostatniej chwili ugryzła się w język, by nie powiedzieć „miesiączka”. Nie rozmawiała przecież z mężem, a jej miesiączki nie stanowiły odpowiedniego tematu do konwersacji z obcym mężczyzną. Przy tym jednym słówku, którego nie mogła wypowiedzieć, uzmysłowiła sobie, jak bardzo jest zdezorientowana, jak nie może pozbierać myśli. W małżeństwie zawsze uważała za naturalne, że w każdej chwili może powiedzieć wszystko, co ma na języku, wyjawić każdy osobisty sekret. Teraz wobec nikogo nie może być tak otwarta.

- O co chodzi, Annie?

Jego łagodny głos tym mocniej pobudził ją do płaczu, a choć taki potok łez bez powodu był dla niej upokarzający, nie mogła się powstrzymać.

- Annie?

Unikała jego wzroku.

- Pewnie uważasz mnie za kretynkę. Roześmiał się, cicho i czule.

- Martwisz się tym, co powie o tobie miejscowy pijaczyna?

Mocno pociągnęła nosem.

- Nie mów tak o sobie.

- To tak się zachowują bogacze z Kalifornii? Mam udawać, że nie płaczesz? No dobrze, powiedz mi, o co chodzi.

Annie zamknęła oczy. Długo nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Dotychczas nikt nigdy nie dał mi aspiryny ot tak. Musiałam o nią poprosić. - Boże, zabrzmiało to tak żałośnie, jak sobie wcześniej wyobrażała. Czowała się zawstydzona i wystawiona na pośmiewisko. Usiłowała znaleźć jakieś wytłumaczenie, by zabrzmiało to lepiej. - Tak długo byłam matką i żoną. To ja zawsze opiekowałam się chorymi.

- Ale nikt nie opiekował się tobą. - Powiedział to jak proste stwierdzenie, a choć chciała je odrzucić jako głupie, nie mogła mu zaprzeczyć.

W tym jednym prościutkim zdaniu zawierało się wszystko, co było złego w jej małżeństwie. Robiła, co mogła, by życie Blake'a płynęło gładko i bezpiecznie, kochała go, chroniła, otaczała troską. Przez te wszystkie lata udawała, że nie widzi jego egoizmu: tłumaczyła, że był zmęczony, zajęty albo pochłonięty pracą – uciekała się do głupawych wymówek, by osłaniać mroczną, brzydką prawdę. „Nikt nie opiekował się tobą”.

Nagle zaczęła opłakiwać to wszystko, każdą straconą chwilę, każde zaprzepaszczone marzenie. Jej małżeństwo nie było dobre. Nigdy nie była rzeczywiście, prawdziwie kochana... nie tak, jak na to zasługiwała.

Wydając głębokie, urywane westchnienie, otarła oczy i uśmiechnęła się do Nicka.

- Przepraszam, że taka ze mnie beksa.

Spojrzała na wszystko, co położył na jej nocnym stoliku. Sok pomarańczowy, woda, tabletki przeciw grypie, tylenol, talerz jajecznicy i grzanka z cynamonem. Znowu zebrało jej się na płacz. Nie wiedziała, co mu powiedzieć, temu mężczyźnie, który przypadkowo otworzył drzwi do dawnego życia Annie i ukazał jej prawdę.

- Powinnaś się czegoś napić.

Wytarła nos, z którego jej ciekło, i posłała mu krzywy uśmiech.

- No, ty się chyba na tym znasz.

Przez chwilę wyglądał, jakby go zamurowało, po czym wybuchnął śmiechem.

Przeziębienie ciągnęło się przez dwa dni, a gdy przeszło, Annie czuła się słaba i zmęczona. Żołądek wywracał się jej na drugą stronę, ale postanowiła to lekceważyć.

W piątek wraz z Nickiem i Izzy pojechali do Kalaloch i spędzili dzień na przeszukiwaniu plaży. Izzy piszczała z radości za każdym razem, gdy znalazła jeżowca czy kraba. Ścigali się we trójkę wzdłuż brzegu, przewracając kamienie i patyczki w poszukiwaniu ukrytych skarbów, a gdy słońce stanęło wysoko na niebie, zjedli drugie śniadanie w tajemnej grocie. Potem brodzili w lodowatej wodzie, opryskiwali się nią, aż policzki, ręce i stopy poczerwieniały im i szczypały z zimna. W końcu, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, wrócili do samochodu i ruszyli do domu.

Annie siedziała na fotelu pasażera swego mustanga, trzymając na kolanach plastikowy koszyk, pełen muszelek i kamyków.

- Tatusiu, możemy się zatrzymać i kupić loda, tatusiu?

Nick roześmiał się beztrósco.

- Jasne, Izzy, misiaczku.

Annie spojrzała nań, oszołomiona. W ciągu ostatnich paru tygodni stał się zupełnie innym człowiekiem. Ciągłe miał uśmiech na twarzy, często wybuchał śmiechem i całymi godzinami bawił się ze swoją córeczką. Czasem, tak jak teraz, gdy słońce oświetlało go z boku i obrzucało złocistym światłem, wyglądał tak przystojnie, że Annie zapierało dech.

Ale nie tylko to ciągnęło Annie do Nicka, wzruszała ją jego siła i wrażliwość, a czuła opiekę, jaką nad nią rozciągał, zupełnie ją rozbroiła. Nie знаła nikogo, kto kochałby równie głęboko i bez pamięci jak Nick. Dlatego życie tak brutalnie go potraktowało. Krucha tarcza idealisty jest najbardziej podatna na strzaskanie.

Nadal mu się przypatrywała parę godzin później, gdy sprzątnęła ostatni talerz po kolacji i odniosła kredki Izzy. Znowu stał nad jeziorem, jego sylwetka rzucała cień pomiędzy inne cienie, lecz Annie doskonale widziała subtelne różnice między światłem i ciemnością, blady zarys jego włosów, szerokie, barczyste ramiona, księżycowe światło, które od czasu do czasu połyskiwało na metalowych nitach jego dzinsów.

Rzuciła wilgotną ścierkę do naczyń na kuchenny blat i wyszła na dwór. Chciała być z nim, a choć to ją przerażało, oczekiwanie przyspieszyło bicie jej serca. Przy Nicku była inną kobietą. Część blasku, który wokół siebie rozsiewał, padała na nią, sprawiając, że czuła się piękniejsza, miała w sobie więcej życia i energii.

Noc promieniała gwiazdami. Żaby i świerszcze śpiewały staccato w chórze, który zamarł, gdy się zbliżyła. Na bosych stopach czuła zimno i wilgoć trawy.

Nick stał bez ruchu, z opuszczonymi ramionami i wysuniętą do przodu głową.

- Cześć, Nicku - powiedziała cicho.

Gdy się obrócił, w jego oczach dojrzała ból.

- Cześć, Annie. - Głos miał cichy i szorstki jak stare cegły.

Chłodny nocny wietrzyk pieścił twarz Annie i wciskał się pomiędzy guziki jej bawełnianej koszuli, niczym zimne palce mężczyzny, posuwające się, milimetr za milimetrem, po jej ciele. Zdażyła tak dobrze poznać Nicka w ciągu paru ostatnich tygodni, że jego pragnienia stały się dla niej oczywiste.

- Chcesz się napić.

Zaśmiał się, lecz był to ostry, gorzki dźwięk, zupełnie nieprzypominający jego śmiechu. Wyciągnął rękę, chwycił jej dłoń i mocno ścisnął.

Wiedziała z doświadczenia, że Nick potrzebuje teraz dźwięku jej głosu. Nieważne, co powie, po prostu pragnie kotwicy, której mógłby się uchwycić.

- Pamiętasz to przyjęcie dla absolwentów, kiedy Kath zniknęła na jakieś pół godziny? - spytała cicho. - Byliśmy nad jeziorem Crescent. Ty i ja siedzieliśmy na brzegu, tuż przed domkiem, i gadaliśmy jak najęci. Powiedziałaś, że chcesz zostać gliniarzem.

- A ty że zamierzasz być pisarką.

Była zdumiona, że to pamiętał, i choć nie chciała, zaczęła sobie przypominać dziewczynę, która pragnęła poświęcić się własnej twórczości. Dawne marzenie ciążyło jej teraz.

- To było, zanim się dowiedziałam... Jej głos porwał wietrzyk, a potem umilkła.

Obrócił się i popatrzał na nią.

- Czego się dowiedziałas?

Wzruszyła ramionami, niezdolna napotkać jego spojrzenia.

- Sama nie wiem. Jak życie przecieka ci między palcami, gdy stoisz w kolejce w sklepie spożywczym, żeby zapłacić za karton mleka... jak czas mija i zabiera wszystko na swej drodze - młodość, nadzieje, marzenia. Marzenia - je przede wszystkim niweczy.

Znowu poczuła, że na nią patrzy, lecz obawiała się napotkać wzrok Nicka, lękała się tego, co może wyczytać z jego oczu.

- Czasami w ogóle cię nie poznaję - powiedział, łagodnie unosząc jej podbródek. - Gdy słyszę takie rzeczy, mam wrażenie, że w ogóle nie znam kobiety, która je mówi.

Parsknęła śmiechem, szeleszczącym niczym skrzydełka ćmy w ciemności.

- Nie ty jeden.

- Co się z tobą stało, Annie?

Pytanie to było tak intymne, że ją zaskoczyło. Noc uciszyła się, czekając na jej odpowiedź. Było tak cicho, że Annie słyszała, jak raptownie nabiera tchu. Pospiesznie wyrzuciła z siebie trujące słowa.

- Mój mąż kocha inną kobietę. Chce rozwodu.

- Annie...

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Starła się wymyślić coś, co rozśmieszyłoby ich oboje, lecz gdy zajrzała mu w oczy, zobaczyła straszliwe, pełne udręki współczucie, co było jej niedopatrzeniem. Siły, które zbierała i gromadziła przez ostatnie tygodnie, opuściły ją. Po jej policzku potoczyła się łza. - Jak do tego doszło? Kochałam Blake'a z całej duszy i to nie wystarczyło...

Westchnął, a smutek tego tęsknego dźwięku jeszcze bardziej ich zbliżył. Patrzała, jak usiłuje zebrać słowa, by jej odpowiedzieć, i dojrzała jego bezradność, gdy nie udało mu się wymyślić niczego pocieszającego.

- Najgorsze, że człowiek nie może przewidzieć, kiedy to na niego spadnie - ciągnęła. - Nawet nie podejrzewasz, że poniedziałek będzie ostatnim dniem, kiedy możesz zejść go od tyłu i pocałować w kark... albo że po raz ostatni oglądacie telewizję, a ty masujesz mu delikatną skórę pod kostką. I wydaje ci się, że pamiętasz, kiedy ostatnio się kochaliście, ale niczego sobie nie przypominasz. Było, minęło.

Uniosła ku niemu wzrok, zdumiona, jak łatwo przyszły jej te słowa. W ciągu tygodni, które minęły od wyznania Blake'a, zamknęła boleść w swym sercu i tam ją przetrzymywała, chłodząc żar marzeniami, koszmarami sennymi i wspomnieniami. Lecz teraz, ni z tego ni z owego, namiętności opadły, został tylko tępy, dudniący ból.

Nadal cierpiała. Pewnie już nigdy całkiem nie dojdzie do siebie. Jak po złamaniu kości, którą źle złożyono, to miejsce zawsze będzie jej czułym punktem. Na zmianę pogody, albo gdy przypominała sobie jakąś szczególną okazję, odzywała się w niej miłość, którą niegdyś czuła do Blake'a, i wtedy cierpiała udękę. Ale ten gorejący ogień wypalił się już na zimny, szary popiół.

Nick nie wiedział, kiedy to się dokładnie stało ani kto zrobił pierwszy ruch. Był świadom tylko tego, że potrzebuje Annie. Wyciągnął do niej rękę. Jego dłoń wsunęła się pod flanelowy kołnierzyk i objęła jej kark, przytrzymując ją w miejscu. Z wolna, wpatrując się w Annie, pochylił się i pocałował ją. Z początku był to delikatny pocałunek, łagodne połączenie ust i oddechu. Ale potem przysunęła się do Nicka, poddała jego uściskowi. Czuł, jak jej ręce, tak małe i giętkie, przesuwają się po jego plecach kojącym, okrężnym ruchem.



Pocałował ją mocniej. Przebiegał językiem po jej ustach, smakując, pieszcząc. Wpijał się w nią wargami, aż zakręciło mu się w głowie od pożądania, po czym z wolna się odsunął.

Ze zdumieniem uniosła ku niemu wzrok. Dostrzegł w jej oczach smutek, ale i coś jeszcze, może to samo ciche zadziwienie, które sam odczuwał.

- Przepraszam cię za to - rzekł cicho, choć nie było mu przykro. - Nie miałem prawa...

- Nie przepraszaj - wyszeptała. - Proszę... nie przepraszaj. Chciałam, żebyś mnie pocałował. Pragnęłam tego... chyba już od dawna.

Szukała zbliżenia z nim, a on nie mógł odejść. Nie obchodziło go, czy to głupota, nieostrożność, czy nie napyta sobie biedy. Wiedział tylko, że jej pragnie, sercem, ciałem i duszą. Objął ją za szyję i przyciągnął do siebie, tak blisko, że czuł na ustach jej przyspieszony oddech.

- Pragnę cię, Annie Bourne. Mam wrażenie, że pragnęłam cię całe życie.

Łza potoczyła się po jej policzku, a w tej lśniącej kropelce wilgoci ujrzał odbicie całej dzielącej ich odległości. Nadal była zdumiewająco podobna do tej szesnastoletniej dziewczynki, w której po raz pierwszy się zakochał, lecz, podobnie jak u niego, życie, jakie wiodła, i dokonane przez nią wybory zebrały się w cieniutkiej siateczce zmarszczek na jej pięknej twarzy.

- Wiem - odparła tylko i w tym prostym słowie, wypowiedzianym z cichym smutkiem, dosłyszał prawdę - że czasami pożądanie nie wystarcza.

Ujął Annie za rękę i podniósł ją. W srebrzystej księżycowej poświacie pierścionek wyglądał, jakby sporządzono go z lodowatego ognia. Bez słowa

wpatrywał się weń długą chwilę, po czym odwrócił się od niej. - Dobranoc, Annie - rzekł cicho, odchodząc od niej, zanim sam zdąży się wygłupić.

Gdy Nick znalazł się w pokoju, ściągnął ubranie i wpełznął do niepościelonego łóżka. Ze zdumieniem stwierdził, że cały się trzęsie. I choć raz jego ciało dręczył nie brak alkoholu, lecz kobiety.

„Nie myśl o niej... myśl o AA i ich radzie. Żadnych nowych związków w czasie trzeźwienia... ”

Przypominanie sobie Dwunastu Kroków nic nie pomogło. Zamknął oczy i przywołał obraz Annie. Pewnie jest teraz na drodze do miasta. Zastanawiał się, jaką piosenkę puszcza w radiu w mustangu, o czym myśli.

Musiał zebrać wszystkie siły, zmobilizować całe swe poczucie honoru, by odejść po tym pocałunku. Chciał wziąć ją w ramiona i posiąść na miejscu. Zatracić siebie i całą swą przeszłość w słodkiej ciemności jej ciała. Ale to nie byłoby w porządku i nie ośmielił się... z tylu powodów. No i leżał teraz, samotnie.

Annie przyszło do głowy, że gdyby miała choć trochę rozumu, odjechałaby natychmiast. Ale mogła myśleć tylko o Nicku i jego pocałunkach. Jego dotyk i uścisk kompletnie zawróciły jej w głowie. A kiedy ją puścił, gdy powiedział: „Pragnę cię, Annie Bourne”, wiedziała, że jest zgubiona.

Spojrzała w górę, na jego sypialnię. Jakiś cień mignął przy oknie, po czym zniknął. Pewnie Nick myśli, że pojechała do domu - i wiedziała, że tak powinna była zrobić.

Ale popatrzyła tylko na swój pierścionek na lewej ręce. Brylant rozbłysł barwami w świetle lampy. Ten pierścionek nosiła od lat. Blake włożył go Annie na palec, obsypując żonę potokiem romantycznych słów w dziesiątą rocznicę ich ślubu. Delikatnie ściągnęła pierścionek z palca.

- Zegnaj, Blake. - Powiedziała te słowa z bólem, nawet sama myśl o nich sprawiała jej cierpienie, ale, o dziwo, doznała dzięki nim poczucia wolności. Miała wrażenie, że zrzuciła okowy, być może po raz pierwszy w życiu poczuła się samodzielna. Nikt teraz nie steruje jej wyborami, nie wytycza ścieżki. Nikt prócz niej.

Nie zastanawiając się dłużej, pospieszyła z powrotem do domu, w górę po schodach. Przed drzwiami Nicka przystanąła. Nagle odwaga ją opuściła. Wszelkie powody, dla których tu się znalazła, rozpięchły się jak tchórze, opuszczający tonący okręt. Nagle przestała wydawać się sobie atrakcyjna, poczuła się krucha i samotna. Kobieta w średnim wieku, żebrząca o seks u starego przyjaciela...

Już miała się odwrócić, gdy usłyszała muzykę. Za drzwiami grało radio, ze starej, porysowanej płyty puszczała dawny przebój Nat King Cole'a *Niezapomniana*.

Ta piosenka ukoiliła jej stargane nerwy, a jeszcze bardziej to, że Nick jej słuchał. Nie był już niedoświadczonym nastolatkiem, lecz mężczyzną w tym samym wieku co ona, życie i miłość tak samo dały mu się we znaki jak i jej. Zrozumie, dlaczego Annie tu przyszła. Nie będzie jej o nic prosił prócz prostego, nieskomplikowanego aktu zespolenia.

Mocno zastukała w drzwi.

Nastąpiła cisza. Nick wyłączył muzykę.

- Wejdz, Izzy. Annie odchrząknęła.

- To ja... Annie.

Znowu chwila ciszy, po czym dobiegło ją szuranie.

- Wejdz.

Pchnęła drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem. Nick leżał w łóżku.

Z trudem przełknęła ślinę i podeszła do niego. Targał nią taki niepokój, że wszystko w środku się w niej trzęsło, czuła się niezgrabna i niezdarna jak nastolatka. Pomyślała, jak bardzo przytyła w ostatnich tygodniach, i zastanawiała się, czy Nick uzna, że jest pociągająca. Blake robił takie ostre przycinki, gdy przybyło jej choćby pół kilograma...

Spojrzał na nią z takim napięciem, że ogarnął ją żar. Zadrżała.

- Jesteś pewna? - rzekł po prostu, zadając to jedyne pytanie, które się liczyło.

I była. Absolutnie, całkowicie, zdecydowanie pewna. Czuła, jak podchodzi do niego, wyciąga rękę. Potem nie będzie mogła sobie przypomnieć, kto kogo dotknął pierwszy ani jak nagle znaleźli się razem nadzy na tym ogromnym łożu z baldachimem... lecz nigdy nie zapomni owego miękkiego, śpiewnego głosu, jakim powtarzał jej imię, gdy ją całował... jak ją objął, przytulając tak mocno, że chwilami nie mogła oddychać... ani szaleńczej gwałtowności, z jaką się kochali. Pamiętała tylko, że wspięła się na urwisty szczyt rozkoszy, a w uniesieniu wykrzyknęła imię Nicka. Nie Blake'a.

Obok łóżka mrugała spokojnie lampa naftowa, wstęga czarnego dymu wiła się leniwie ze szklanego klosza.

Annie leżała skulona obok Nicka, gołą nogę przerzuciła przez jego udo. Byli razem już od wielu godzin, rozmawiali, śmiali się i kochali. Koło północy niechętnie zadzwoniła do ojca z wieścią, że nie wróci na noc do domu - Izzy bowiem przeziębila się i potrzebuje opieki Annie. Ojciec wszakże nie dał się nabrać. Wysłuchał jej nieskładnych wymówek, po czym zapytał:

- Uważasz, że to rozsądne, Annie Wirginio?

Chichocząc jak dzierlatka, powiedziała, by się nie martwił. Nie chciała się zastanawiać, czy postąpiła rozsądnie. Po raz pierwszy w życiu czuła się szaloną jawnogrzesznicą, kipiącą siłami witalnymi, co było cudowne. Cholernie długo zachowywała się jak grzeczna dziewczynka...

Tej nocy wiele się zmieniło. Zwykłe zdjęcie pierścionka przekształciło świat Annie. Stała się młodsza, dzielniejsza, śmielsza. Nie wiedziała, że seks może być taki... zabawny. Dziś, podczas spędzonych z Nickiem godzin, odkryła w sobie całkiem nową kobietę.

Gdy już skończyli - za pierwszym razem - sądziła, że będzie się czuła winna i zawstydzona. W napięciu czekała na tę chwilę, pospiesznie usiłując znaleźć wytłumaczenie dla swego wyuzdanego zachowania, lecz wystarczyło słówko z ust Nicka, uśmiech, pocałunek i wszystkie jej wymówki wzięły w łeb.

- Nie odsuwaj się - powiedział i to wystarczyło.

Teraz leżeli w pościeli, spleceni ciałami. Jakąs godzinę wcześniej poszli pomyszkować do kuchni i wrócili z talerzem sera, krakersów i owoców, który wzięli ze sobą z powrotem do łóżka. Żadne z nich nie chciało wstawać i ponownie wkraczać do świata, który czaił się poza ścianami pokoju.

Nick objął Annie ramieniem i przyciągnął ją do siebie. Po raz pierwszy z jego błękitnych oczu wyzierał smutek.

- Piętnastego czerwca, tak?

Annie zapało dech. Zatopili w sobie spojrzenia, a ona czuła, że jej uśmiech słabnie.

Za niespełna miesiąc Annie pojedzie do domu - jakikolwiek by on był. Zostawi Nicka, Izzy, Mystic i powróci do świata, w którym wszyscy chodzą opaleni... a przynajmniej do tego, co z niego zostało.

Dotknął jej twarzy z taką czułością, że aż ją zabolowało serce.

- Nie powinienem był tego mówić.

- Mamy to, co mamy, Nicky. Nie niszczy tego, wybiegając w przyszłość. Wolałabym o niej nie myśleć.

Przesunął ręką po jej nagim ramieniu i opiekuńczym gestem przykrył jej lewą dłoń. Wiedziała, że Nick myśli o zdjętym pierścionku i o małym białym kółeczku, które zostało jako ślad po nim. Gdy w końcu spojrzał na Annie, znowu się uśmiechał.

- Wezmę, cokolwiek masz do ofiarowania i...

- I co?

Długo zwlekał z odpowiedzią, tak długo, że złękła się, czy nie zmienił zdania.

- I mam nadzieję, że to wystarczy - odparł wreszcie cicho.

Każdy dzień zbliżał ich do siebie. W ostatnim tygodniu maja lato rzuciło swą wielobarwną sieć na lasy. Całe dnie mijały bez kropli deszczu. Słupek rtęci poszybował do ponad dwudziestu stopni, a ponieważ o tej porze roku rzadko zdarzały się tak wysokie temperatury, mieszkańcy Mystic z radością powitali ten nagły przyływ ciepła. Dzieci wyciągały zeszłoroczne szorty i wyjmowały rowery ze składzików. Ptaki zbierały się na drutach telefonicznych i pikowały na dół, ćwierkając i kracząc w poszukiwaniu tłustych, soczystych robaków.

Annie coraz mniej czasu spędzała w domu ojca, a coraz więcej w łóżku Nicka. Wiedziała, że igra z ogniem, ale nie mogła się powstrzymać. Znowu była jak nastolatka, którą posiadł pierwszy kochanek. Za każdym razem, gdy spoglądała na Nicka - czyli mniej więcej co piętnaście sekund - przypominała sobie, jak się kochali. Nie mogła uwierzyć, że pozbyła się wszelkich zahamowań.

W ciągu dnia bardzo uważali, by się nie dotykać, ale wymuszona wstrzemięźliwość wzmagала jedynie pożądanie. Przez cały dzień Annie czekała tylko na zapadnięcie nocy, by mogła wślizgnąć się do łóżka Nicka.

Dzisiaj spędzili cudowny dzień nad jeziorem Crescent. Grali w siatkówkę na plaży, wynajęli kajaki, a podczas długiej jazdy do domu śpiewali do wtóru puszczane w radiu piosenki. Annie nagotowała wielki gar spaghetti, a po kolacji usiedli przy dużym kuchennym stole i uczyli Izzy czytać.

Później, gdy weszli na górę, wszyscy znaleźli się w łóżku Izzy, by poczytać jej do snu.

Annie nie chciała się zastanawiać nad tym, że czuje się dobrze w swej roli ani jak bardzo związała się z tym miejscem. Sięgnęła za głowę Izzy i dotknęła ramienia Nicka, ściskając je przez chwilę tak mocno, że aż na nią

spojrzał. Na początku się uśmiechnął, po czym jego uśmiech powoli gasł; wiedziała, że widzi w jej oczach ten nagły lęk i pożądanie, które przyniesie ból im wszystkim.

Odwróciła się, wbijając wzrok w otwartą książkę. Nick zdołał przeczytać dopiero pierwszą stronę, gdy przerwał mu dzwonek telefonu.

- Odbiorę - powiedział.

- Zaczekamy na ciebie, tatusiu - rzekła Izzy, przytulając się do Annie.

Nick wcisnął książkę w ręce Izzy i pospiesznie wyszedł z pokoju. Wrócił po paru minutach z poważną miną.

Annie poczuła ukłucie obawy. Wyprostowała się, pochyliła do przodu:

- Nick?

Osunął się na łóżko z drugiej strony Izzy.

- To twoja nauczycielka, Izzy, misiaczku. Powiedziała, że w piątek będzie zabawa klasowa i wszystkie dzieci chcą, żebyś przyszła.

Izzy zrobiła przerażoną minę.

- Och!

Nick uśmiechnął się do niej, łagodnie, dodając jej otuchy. Ten uśmiech trafił wprost do serca Annie.

- Mówiła coś o babeczkach. Izzy zmarszczyła brwi.

- Bardzo lubię babeczki.

- Wiem, słonko. - Przyciągnął ją do siebie silnym ramieniem. - Wiem, że masz stracha, ale to nic złego. Wszystkim nam się to zdarza. Źle robimy wówczas, kiedy opuszczamy ręce z obawy. Nie możemy się skryć przed wszystkim, czego się boimy.

Annie usłyszała tak wiele w jego głosie - pozostałości wszystkich lekcji, których życie mu nie szczędziło. Poczowała się z niego dumna i znowu zaczęła borykać się z myślą, że ma zostawić tego człowieka i powrócić do



swego zimnego, sterylnego bytowania, gdzie w końcu w lustrze będzie szukać dowodów na to, że istnieje.

Izzy westchnęła.

- Miło byłoby się pobawić. Zawieziecie mnie?

- Oczywiście.

- Świetnie. - Spojrzała na Nicka i uśmiechnęła się niepewnie. -

Tatusiu, przeczytasz mi jeszcze jedną opowiadkę?

Odwzajemnił jej uśmiech. Sięgnąwszy na podłogę obok łóżka, wyciągnął inną książkę.

- Spodziewałem się, że o to poprosisz.

Czytał z aktorskim zacięciem, wygłaszając kwestie potworów grubym, basowym głosem i naśladując cienkie, wysokie okrzyki chłopców. Izzy siedziała nieruchomo, z rozmiłowaniem wpatrzona w ojca. Gdy się uśmiechał, i na jej twarzy pojawiał się uśmiech; kiedy marszczył brwi, i ona je marszczyła.

Gdy przewracał stronicę, zerkał na Annie. Ponad ciemną dziecięcą główką zatopili w sobie spojrzenia. W jego oczach nie było pożądania, a jedynie zwykła przyjemność, płynąca z przeczytania córce bajeczki na dobranoc. Miał taką minę, jakby ta chwila była ucieleśnieniem jego największych marzeń i nadziei, co niezmiernie wzruszało Annie i, o dziwo, sprawiało, że pragnęła sobie popłakać jak nigdy.

Gdy Nick skończył już czytać, wrócił do swojego pokoju i czekał. Dwukrotnie wysunął głowę i wyjrzał do holu. Był pusty, jedynie kilka źle rozmieszczonych kinkietów rzucało słaby blask.

Przemierzał niewielki pokoik, uderzając głową w ukośnie opadający sufit niemal za każdym razem, gdy skręcił w prawo.

Potem usłyszał pukanie.

Pomknął do drzwi i otworzył je gwałtownie. Ujrzał Annie w za dużym podkoszulku i granatowych podkolanówkach.

Ledwo dotarli do łóżka. Całując się i obejmując, ze śmiechem padli na zgniecioną pościel. Stary, wysłużony materac skrzypiał i jęczał pod nimi.

Nick nigdy w życiu tak strasznie nie potrzebował kobiety, a Annie najwyraźniej też czuła niepohamowane pożądanie. Obejmował ją, głaskał, tulił i pieścił. Tarzała się po łóżku wraz z nim, całując go tak żarłocznie, że tracił dech, gdy wsuwała mu język głęboko w usta. Robili wszystko, na co tylko przyszła im ochota, kochali się, zasypiali i kochali od nowa.

Gdy skończyli, Nick zleżał wyczerpany na łóżku, oparłszy jedną rękę o ścianę, drugą opiekuńczo przykrywszy nagie biodro Annie. Leżała skulona obok niego, przerzuciwszy niedbale gołe nogi na jego łydki i uda, przyciskając pierś do jego żeber.

Rozkoszne znużenie po burzliwej nocy czuł w cieniutkiej warstewce potu, okrywającej skórę Annie, w słodkim aromacie, unoszącym się w powietrzu. Głowa Annie spoczywała mu na ramieniu, oddech pieścił jego skórę.

Nagle poczuł obawę, że Annie zaraz się od niego odsunie, wyrwie się z jego ramion i pospieszy do domu ojca, a jemu pozostanie tylko unoszący się w powietrzu jej zapach i chłód u boku, który go zmrozi, gdy kobieta go opuści.

- Odezwij się do mnie, Annie - poprosił cicho, gładząc aksamitną skórę na jej karku.

- To jest zawsze niebezpieczne - odparła ze śmiechem. - Większość znajomych chce, żebym się zamknęła.

- Nie jestem Blakiem.

- Przepraszam. - Przywarła doń bliżej. Jeden blady palec okręciła mu wokół włosów na piersi, po czym bezwiednie zaczęła go głaskać.

- Wydobywasz ze mnie nieprawdopodobne rzeczy. Nawet nie wierzyłam, że mogę coś takiego w sobie mieć.

- Naprawdę? A co to?

Wtoczyła się na niego połową ciała, bez żenady wciskając krocze w jego udo. Jej piękne piersi uniosły się nęcąco tuż przy jego twarzy, toteż z trudem skupiał się na jej słowach.

- Zawsze byłam taka... zorganizowana. Sprawna. Wszystkich karmiłam, ubierałam, robiłam zakupy, spisywałam listy spraw do załatwienia i chodziłam na umówione spotkania. Uprawialiśmy z Blakiem seks w piątkowe wieczory, między pierwszym i drugim gościem Jaya Leno. To był zawsze... miły seks, wygodny. Było mi dobrze i miałam orgazmy. Ale z tobą to coś innego. Nigdy nie czułam się tak, jakbym miała wyskoczyć ze skóry. - Roześmiała się, tym perlistym, zaraźliwym śmiechem, który dobywał się skądś w głębi niej.

Przy Kathy nigdy nie czuł się tak, jakby otwierał się przed nim cały świat i wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by spełnić swoje marzenia. Marzenia. Powoli przymknął oczy. Nachodziły nań tak często, choć już dawno się z nimi pożegnał. Ponownie przypomniał sobie, jak zawsze ważna była dla niego rodzina - wyobrażał sobie, że jego życie potoczy się łatwo i beztrudnie, a wokół siebie będzie miał gromadkę roześmianych dzieci.

Może gdyby przed laty wybrał Annie, jego losy przybrałyby inny obrót...

- Dlaczego mieliście z Kathy tylko jedno dziecko? -zapytała niespodziewanie Annie.

Przez chwilę Nick poczuł się zbity z tropu, zastanawiając się, czy w ogóle jest w stanie odgadnąć, co jej chodzi po głowie.

- Zawsze chciałem mieć więcej. Pragnąłem sześciorga, lecz po urodzeniu Izzy stało się oczywiste, że Kathy z następnym nie da już sobie rady. Kiedy Izzy miała dwa latka, usunięto mi nasieniowody. - Spojrzał na nią, skuloną tak blisko niego. - A ty? Jesteś taką wspaniałą matką.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Adrian, mój syn, miałby teraz czternaście lat.

- Annie...

Nie patrzała na niego.

- Był wcześniakiem i żył tylko cztery dni. Potem chwytałyśmy się wszystkiego, ale nie mogłam więcej zająć w ciążę. Zazwyczaj jest uśmiezkim, który mi się przypomina, albo łąką palącą oczy, ale czasami... jest trudniej. Zawsze chciałam mieć więcej dzieci.

Nie odpowiedział, że mu przykro, wiedział z własnego doświadczenia, jak sztucznie zabrzmiałyby te słowa niczym plaster przyklejony na broczącą krwią ranę. Wziął ją tylko w ramiona i przytulił najmocniej, jak mógł, tak blisko, że czuł na skórze uderzenia jej serca.

Wiedział, że zatracą się w tej chwili, w Annie, ale teraz nic go to nie obchodziło. Za późno, by troszczyć się o własne bezpieczeństwo; teraz już nie mógł jej nie kochać.

Szkoła podstawowa imienia Jeffersona R. Smithwooda mieściła się na porośniętym trawą pagórku, w otoczeniu stuletnich sosen. Długi cementowy podjazd zaczynał się przy podwójnych, czarnych drzwiach i ześlizgiwał na parking, gdzie rzędem stały samochody, zaparkowane wzdłuż okolonego łańcuchem płotu.

Nick stał tuż przy krawężniku, u boku Izzy. Annie podtrzymywała dziewczynkę z drugiej strony.

Mała była przestraszona, a Nick miał za zadanie dodać jej odwagi, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Ponad ciemną główką Izzy rzucił Annie bezradne spojrzenie.

„Poradzisz sobie” - wypowiedziała bezgłośnie.

Przełykając z trudem, pochylił się aż do kolan i zerknął na Izzy. Próbowwała się uśmiechnąć, lecz był to przelotny, lekki uśmiech. Wyciągnął rękę i uchwycił aksamitną, żółtą wstążkę, którą Annie przewiązała końce jej warkoczy.

Izzy drżała dolna warga.

- Będą się ze mnie naśmiewać.

- To wyłożę im skórę aż...

Annie ścisnęła go za ramię i Nick powściągnął słowa, które cisnęły mu się na język.

- Nie będą się z ciebie śmiać - zapewnił Izzy.

- Ale jestem... inna. Potrząsnął głową.

- Nie. Masz w sobie... jakiś smutek. I czasami twoi koledzy... trochę się dziwią. Ale tym razem wszystko będzie w porządku. Zaufaj mi.

- Odwieszysz mnie po zabawie?

- Jasne.

- Tuż po niej?

- Tuż zaraz.

- Dobrze - powiedziała w końcu.

- Moja dzielna dziewczynka - uśmiechnął się.

Z wolna, z trzaskiem kolan, podniósł się. Zerknął na Annie, która uśmiechała się do niego, lecz jej oczy były podejrzenie wilgotne.

Razem, całą trójką, kroczyli przez cementowy podjazd przed szkołą.

- Misiaczki i tygrysy wszyscy wraz, co, żabko? - spytała niespodziewanie Annie.

Nick nieomal parsknął śmiechem. To idiotyczne, lecz w tym momencie chyba nic lepszego nie można było zrobić. Dołączył do wspólnego chóru.

- Misiaczki i tygrysy wraz, o rany!

Początkowo w głosie Izzy słyszało się wahanie, lecz z każdym wybuchem śmiechu nabierała siły i w końcu śpiewali na całe gardło, podchodząc chodnikiem do schodów i frontowych drzwi.

Nick wsunął się w czarne, podwójne odrzwia i całą trójką weszli do cichego holu szkoły. Z lewej stał długi stół, pokryty laminatem; piętrzyły się na nim kurtki, pudełka z drugim śniadaniem i bluzy, które dzieci zostawiały, wchodząc do klasy.

Izzy przystanęła.

- Chcę sama wejść - rzekła cicho. - Żeby nie brali mnie za smarkulę. - Po raz ostatni rzuciła przerażone spojrzenie Nickowi i Annie, po czym poszła szkolnym korytarzem.

Nick powściągnął pragnienie, by za nią pobiec. Annie ujęła go za rękę. Nick westchnął, patrząc, jak jego mała córeczka maszeruje korytarzem. Dostrzegł wahanie w jej krokach i czuł, że bardzo stara się być dzielna. Wiedział, jak to jest, przeć naprzód, gdy człowiek pragnie tylko wpełznąć w ciepłą ciemność i ukryć się w niej. Na koniec musiał odwrócić wzrok. Nie zdawał sobie sprawy, że będzie mu tak ciężko patrzeć, jak jego dziecko staje twarzą w twarz ze swoimi obawami.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła go Annie. -Uwierz mi.

Popatrzał na nią, a miękka pewność w jej spojrzeniu sprawiła, że jego pierś wezbrała czułością.

- Wierzę ci, Annie - szepnął. - Naprawdę ci wierzę. Na samym końcu korytarza otworzyły się drzwi. Kobięcy głos powiedział:

- Izzy! Brakowało nam ciebie! - Przez otwarte drzwi przedarły się okrzyki powitania i oklaski. Izzy odwróciła się, przesłała Nickowi i Annie szeroki uśmiech, po czym wbiegła do klasy.



- Ta pewność oderwała moje myśli od Izzy - rzekł zadyszany Nick, gdy wreszcie zdołał wydusić z siebie słowo. Zsunął się z Annie, lecz nadal obejmował ją ramieniem. Przygarnawszy ją do siebie, oparł się plecami o ścianę, a spoconym policzkiem o rękę, i wpatrywał się w leżącą przy nim kobietę.

Wyglądała niewiarygodnie pięknie, gdy słońce przez uchylone okno padało na jej twarz i włosy, rozrzucone we wszystkich możliwych kierunkach. Oddech miała płytki i każde jej cichutkie sapnięcie przypominało mu, że teraz, wreszcie, należy do niego. Pod cienkim bawełnianym kocem jego ręka natrafiła na jej pierś i przytrzymała ją.

Pragnął tak leżeć z nią całymi godzinami, mówiąc o wszystkim i o niczym, ale też dzielić z nią coś więcej niż tylko łóżko. Wiedział, że niebezpiecznie jest żądać od Annie więcej nad jej cielesność, którą tak chętnie go darzyła. Nieważne, jak bardzo pragnął zapomnieć, że wyjeżdża piętnastego czerwca - za niespełna trzy tygodnie. Jego mózg bez ustanku drażyła myśl, że Annie nieodwołalnie wraca do swego prawdziwego życia.

Tulił ją mocno. Wiedział, że powinien trzymać buzię na kłódkę. Ale nie zdołał.

- Jakie było twoje małżeństwo?

- Z czyjego punktu widzenia? Mnie się wydawało, że przeżyłam dziewiętnaście wspaniałych lat z jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam. Potem pewnego dnia zatrzymał nasz samochód na podjeździe



I rzekł: „Kocham inną kobietę i nie zmuszaj mnie, bym to powtarzał”.

- Zaśmiała się krótkim, gorzkim śmiechem. - Jakbym chciała usłyszeć to jeszcze raz.

- Nadal go kochasz?

- Kocham? Czy to możliwe? - Westchnęła, a on wyczuł, jak faluje jej pierś. - Prócz miłości... jest jeszcze coś więcej. Przez prawie dwadzieścia lat był... moim najlepszym przyjacielem, moim kochankiem, rodziną. Czy można przestać kochać rodzinę?

- A jeśli zechce, żebyś do niego wróciła?

- Blake nie jest takim człowiekiem. To by oznaczało, że od początku było coś nie tak. Przez te wszystkie lata, które razem spędziliśmy, nigdy nie słyszałam, że jest mu przykro. Nigdy wobec nikogo.

Posłyszał smutek w jej cichych słowach. Uśmiechnęła się słabo i zaczęła wpatrywać się ponad jego ramieniem w jakąś plamkę na ścianie.

Wziął ją w objęcia, obracając tak, by mógł zatopić się w zieleni jej oczu.

- Pamiętam opowiadanie, które napisałaś z angielskiego w ostatniej klasie. O psie, który pomógł zagubionemu chłopcu odnaleźć drogę do domu. Zawsze myślałem, że zostaniesz słynną pisarką.

- A wiem. ***Jak odnaleźć Joego***. Nie mogę uwierzyć, że to zapamiętałaś.

- To było dobre opowiadanie.

Długo milczała, a gdy wreszcie się odezwała, jej głos brzmiał ochryple.

- Powinnam była wierzyć w siebie, ale Blake... uważał, że pisanie to dziecinada, więc je odrzuciłam. To nie jego wina, tylko moja. Zbyt łatwo się poddałam. Potem próbowałam wszystkiego: kaligrafii, dzudo, malarstwa,

rzeźby, układania kwiatów, urządzania wnętrz. - Parsknęła szyderczo. - Nic dziwnego, że Blake się ze mnie wyśmiewał. Stałam się malowaną lalą bez duszy.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Ale to prawda. Swoje dwie nieskończone powieści zapakowałam w śliczne różowe pudełka i wsadziłam do bieliźniarki. Pozwoliłam, by kwaśne uwagi Blake'a o „najnowszym koniku mamusi” zbiły mnie z tropu. Po paru latach zapomniałam, że w ogóle mam jakieś marzenia. Zostałam panią Blake Colwater i bez męża czułam się nikim. Dotychczas. Dzięki tobie i Izzy odnalazłam się.

Dotknął jej twarzy.

- Nie, Annie. Sama się odnalazłaś. Do diabła, walczyłaś o to.

Wbiła w niego wzrok.

- Już raz się zagubiłam, Nicku. I za nic nie chcę zrobić tego ponownie.

Bez sensu było pytać, o co jej chodzi. Wiedział. Jakimś cudem odgadła tajemnicę, którą z takim trudem usiłował przed nią ukryć. Zakochał się w niej, choć nie spędzili razem zbyt wiele czasu, tak wyglądała prawda, którą zrozumiał od początku, prawda płynąca stąd, że spał z mężatką, co z tego, że zamierzającą wziąć rozwód. Nadal pozostawała matką Natalie i prowadziła życie, w którym nie było miejsca dla Nicka.

- W porządku, Annie - rzekł cicho. - Jak na razie w porządku.

Ale nic nie było w porządku. Wiedział o tym, a i ona zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Annie stała na werandzie domu swego ojca, wpatrując się w krętą, srebrzystą wstęgę pełnej łososi rzeczki. Jasnoniebieskie dzwonki tańczyły zwawo w trawie, porastającej jej brzegi. Gdzieś dzieciół stukał w drzewo, jego ra-tata-tat rozbrzmiewało echem po lesie.

Usłyszała skrzypienie otwierających się za nią drzwi, a potem uderzenie obciążonej siatką framugi.

- No dobra, co się dzieje, Annie Wirginio?

Po spokojnym głosie ojca poznała, że wyszedł specjalnie, by ją o to zapytać.

- O co ci chodzi? - udała pierwszą naiwną.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Rumienisz się jak dziewczynka za każdym razem, gdy wymawiasz imię Nicka, i w ciągu ostatnich dwóch tygodni mało kiedy cię widziałem. Nie zajmujesz się tylko dzieckiem, robisz o wiele więcej. Zeszłego wieczoru słyszałem, jak rozmawiasz przez telefon. Opowiadałaś Terri, że Nick jest dla ciebie tylko przyjacielem. Więc chyba nie ja jeden się połapałem.

- To nie miłość - odparła cicho, choć nawet teraz zaczęła się zastanawiać. Gdy była z Nickiem, czuła się młoda, buchała z niej adrenalina. Marzenia znów wydawały się możliwe do spełnienia, pewne jak to, że jutro nadejdzie nowy dzień. Zupełnie inaczej działało się w jej małżeństwie - uznała wówczas, że marzenia to dziecinne zabaweczki, które trzeba odłożyć, by zająć się prawdziwym życiem.

- Zamierzasz wrócić do Blake'a?

- Nie. Tym razem nie myślę o Blake'u ani Natalie. Robię to dla siebie.

- Czy słusznie postępujesz?

Obróciła się do niego.

- Dlaczego tylko kobiety mają postępować słusznie?

- Myślę o Nicku. Znam tego chłopca od dawna. Już jako dziecko nie zaznał w życiu wiele dobrego. Gdy zaczął umawiać się z Kathy, Bogu dziękowałem, że nie trafił na ciebie. Ale potem ustatkował się i został najlepszym gliną w tym miasteczku. Wszyscy widzieliśmy, jak kochał

Kathy, a córeczkę uważał za źrenicę oka. A potem... nieszczęście przytrafiło się Kathy, a on... się rozpadł. Jego włosy przybrały taki dziwny kolor i za każdym razem, gdy go widziałem, przypominałem sobie, co się wydarzyło. Jakby nosił fizyczną oznakę smutku. Rzecz jasna, nikt nie obarczał go winą, ale on sam siebie winił, to się dało po nim poznać. Przykro było na niego patrzeć.

- Dlaczego mi o tym wszystkim opowiadasz?

- Jesteś wojowniczką, Annie i...

- Och, daj spokój, tato, jestem taką cichą myszką, że aż żal.

- Nie. Nigdy się nie doceniałaś. Masz stalową wolę, Annie, zawsze byłaś niezłomna. I postrzegasz świat w różowych barwach. Twoja szklanka jest zawsze w połowie pełna.

- Gdy Blake mnie zostawił, nie mogłam się pozbierać - przypomniała mu.

- Jak długo - przez miesiąc? - Cmoknął językiem. - To nic. Kiedy umarła twoja mama, zaszyłem się w domu na parę tygodni, a potem wyszedłem jeszcze silniejszy niż na początku. - Urwał, potrząsając głową. - Nie bardzo umiem wyrazić, o co mi chodzi. Usiłuję ci powiedzieć, dziecino, że w gruncie rzeczy nie pojmujesz, co to rozpacz albo słabość. Nie możesz trwać przy beznadziei. Wpatrzyła się w rzekę.

- Chyba masz rację.

- Nadal jesteś mężatką i chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że Blake zostawi cię dla jakiejś dziwki. Wróci. Kiedy się opamięta, przyjdzie do ciebie, do domu.

- Nie czuję się mężatką.

- Ależ owszem, tak.

Nie potrafiła odeprzeć jego argumentów, to, co mówił, było albo i nie było prawdą. Choć tak dojrzała i zmieniła się w ciągu ostatnich miesięcy, Hank miał rację - Annie nadal czuła się żoną Blake'a. Była mężatką przez niemal dwadzieścia lat... taki związek emocjonalny nie wyparuje z powodu kilku rzuconych w pośpiechu słów, nawet jeśli brzmiały one: „Chcę rozwodu”.

Hank podszedł do niej, dotknął jej policzka.

- Zranisz Nicka. A on nie jest człowiekiem, który łatwo znosi ciosy, jakie zadaje życie. Nie chcę ci mówić, co masz robić. Nigdy tak nie postępowałem i, niech mnie szlag, teraz nie zacznę. Ale... to się źle skończy, Annie. Dla wszystkich.

Następnego wieczoru, gdy naczynia już dawno zostały zmyte i pochowane, a Izzy poszła do łóżka, Annie usiadła na bujanym fotelu na werandzie od frontu. Patrzyła, jak maleńki czarny pajęczek snuje opalizującą nić na krzewie rododendronu. Zgrzytliwy trzask biegunów w ciszy dotrzymywał jej towarzystwa. Wiedziała, że powinna wejść do domu, Nick będzie czekał na nią na górze. Ale tu, na dworze, było tak cicho i spokojnie, a chodzące jej po głowie echo słów ojca wydawało się cichsze i bardziej odległe, gdy była sama. Kiedy wejdzie do środka i spojrzy w tak głęboko błękitne oczy Nicka, rada ojca powróci, głośno i zbyt natarczywie, by ją zlekceważyć.

Nick i Izzy dość się już nacierpieli, nie chciała przysparzać im dodatkowego bólu, a jednak wiedziała, z taką pewnością, z jaką tu siedzi, że tak to się skończy. Wiodła inne życie w innym mieście, miała inne dziecko, które będzie potrzebowało matki równie rozpaczliwie jak Izzy jeszcze przed paroma miesiącami. Jej prawdziwe życie toczy się daleko stąd, czeka na Annie, krąży w gorącym, zadymionym powietrzu południowej Kalifornii,

gotując się na spotkanie już za parę krótkich tygodni. Ten powrót będzie dla Annie próbą wszystkiego, czym była i kim postanowiła tutaj zostać.

Za nią ze skrzypieniem otworzyły się obite siatką drzwi. Na sekundę przymknęła powieki, by zebrać siły.

- Hej, Nick - powiedziała, wpatrując się w swe splecione na kolanach ręce.

Zamknął drzwi i podszedł do niej. Kładąc jej delikatnie dłoń na ramieniu, przykucnął obok.

- Co tu robisz, sama jedna?

Uniosła ku niemu wzrok i na chwilę ogarnęła ją panika. Myśl, że ma go zostawić, przerażała ją.

Ale musi mieć na względzie Nicka, nie siebie. Spojrzała nań.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Nicku.

Ujął jej lewą dłoń, koniuszkiem palca przesuwając po białym kółku.

- Miej do mnie trochę zaufania. Wiem, że to nie jest takie proste jak zdjęcie pierścionka.

Wpatrywała się w niego długą chwilę. Narastała w niej przemożna chęć, by złożyć mu niemożliwe do spełnienia obietnice, powiedzieć mu, że go kocha, ale nie mogła być tak okrutna. Wyjeżdża za dwa tygodnie. Słowa lepiej zabrać ze sobą.

- Nie będziemy razem przez wieczność, Annie. Wiem o tym.

Posłyszała coś w jego głosie, coś jakby drzenie przy słowie „wieczność”, ale uśmiechał się do niej, a ona nie chciała myśleć o tym, co Nick czuje.

- To prawda - wyszeptała.

Wziął ją w ramiona i zaniósł do swego łóżka. I, jak zawsze w jego objęciach, przestała myśleć o przyszłości

I dała się pochłonać terażniejszości.

Na wtorkowy rano zaplanowali wycieczkę na plażę. Annie spojrzęła na stojęcy obok niej koszyk z jedzeniem, po raz dziesiąty sprawdzając, czy wszystko zabrali, po czym zerknęła na zegarek. Było już pół do jedenastej. Podeszła do schodów i zawołała do Nicka i Izzy, by się pospieszyli. Potem, nucąc pod nosem, ruszyła z powrotem do kuchni.

Telefon zadzwonił akurat, gdy go mijała. Pochyliła się i podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- Halo?

- Będzie mówił Blake Colwater.

Przez moment Annie zagubiła się - nie mogła powięzać tego nazwiska z niczym w swoim życiu. Nick schodził ze schodów. Rzuciła mu zmieszane spojrzenie

- To Blake.

Nick zastygł w pół kroku.

- To ja sobie pójdę.

- Nie. Chodź tu, proszę.

Nick przeszedł przez pokój i stanął obok niej. Obróciwszy się, lekko ujęła go za rękę. Wreszcie usłyszała władczy głos Blake'a:

- Annie - to ty?

Wraz z nim dawne życie opadło ją z powrotem. Stała absolutnie nieruchomo.

- Cześć, Blake.

- Jak się miewasz, Annalise?

- Dobrze. - Urwała, zastanawiając się, co by tu powiedzieć. - A ty?

- U mnie... wszystko w porządku: Dostałem twój numer od Hanka.

Wiesz, że Natalie wkrótce wraca do domu.

- Piętnastego czerwca. Chce, żebyśmy wyjechali po nią na lotnisko. -  
Automatycznie użyła liczby mnogiej.

- Oczywiście. Jej samolot przylatuje...

Była zła, że nie pamiętał.

- Piętnaście po piątej po południu.

- Wiedziałem.

Po tym oczywistym kłamstwie zapadła niezręczna cisza. Blake roześmiał się beztrąsko, jakby nie rozmawiali ze sobą od trzech godzin, nie zaś od niespełna trzech miesięcy.

- Oczywiście musimy porozmawiać, zanim wyjedziemy po Natalie. Chcę, żebyś przyleciała na weekend do Los Angeles.

- Doprawdy?

To cały Blake. Chce porozmawiać, więc ona musi wsiadać do samolotu.

- Prześlę ci bilet. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Nie jestem jeszcze gotowa na spotkanie z tobą.

- Co takiego? Myślałem...

- Wątpię. Teraz nie mamy o czym rozmawiać.

- Ja mam.

- Dziwnie to brzmi w twoich ustach.

- Annalise. - Westchnął. - Chcę, żebyś przyleciała do domu na weekend. Musimy porozmawiać.

- Niestety, Blake'u, nie zamierzam wracać do domu w ten weekend. Mieliśmy omówić naszą separację w czerwcu. I niech już tak zostanie. Będę trzynastego.

- Do diabła, Annalise, chcę...



- Do widzenia, Blake'u, zobaczymy się za dwa tygodnie. - Powiesiła słuchawkę i wbiła w nią wzrok.

- Nic ci nie jest, Annie?

Głos Nicka odciągnął ją od czarnej krawędzi, która zaczęła rysować się na horyzoncie. Z trudem przywołując uśmiech, wtuliła się w jego ramiona.

- Wszystko w porządku.

Wpatrywał się w nią długi czas. Przez chwilę myślała, że ją pocałuje, toteż stanęła na palcach, by sięgnąć jego warg. Ale on po prostu stał, przyglądając się jej twarzy, jakby chciał zapamiętać tę chwilę.

- Nie mamy zbyt wiele czasu.

RS

Jadąc wyżłobioną koleinami jezdnią głównej ulicy Mystic, Blake przypomniał sobie, jak zawsze nie cierpiał tej dziury, żyjącej z przemysłu drzewnego. Przypominała mu miasteczko, w którym się wychował - obskurną, zapomnianą od Boga i ludzi rolniczą osadę w Iowa. Włożył wiele wysiłku w to, by o niej zapomnieć.

Wjechał wynajętym cadillakiem na stację benzynową i zaparkował. Postawiwszy kołnierz płaszcza - kto, u licha, chce mieszkać w okolicy, gdzie pod koniec maja trzeba nosić płaszcz? - pomaszerował w ulewnym deszczu do budki telefonicznej. Ciężkie krople padały tak głośno, że ledwo słyszał własne myśli.

Dopiero po chwili przypomniał sobie numer Hanka. Od lat sam nie łączył swoich rozmów. Wrzucił ćwierć -dolarówkę do otworu, przycisnął guziki z cyframi i słuchał dzwonienia.

Hank odebrał po trzecim sygnale:

- Halo?

- Cześć, Hank, to znowu ja... Blake. Chciałem porozmawiać z moją żo... z Annie.

- Doprawdy? Coś mi się nie wydawało.

- Po prostu daj ją do telefonu, Hank - powiedział z westchnieniem Blake.

- Nie ma jej. W ciągu dnia nigdy jej tu nie ma.

- Jak to?

- Zeszłym razem dałem ci numer. Tam możesz ją złapać.

- Gdzie ona jest, Hank?

- Z wizytą... u znajomych w starym domu Beauregarda.
- Stary dom Beauregarda. No to teraz trafię jak po sznurku.
- Pamiętasz stuletnią willę na końcu drogi wokół jeziora? Mieszka tam teraz jej dawny przyjaciel.

Blake poczuł dziwny ucisk w dołku.

- Co się dzieje, Hank? Zapadła cisza.

- Sam się zorientuj, Blake - odparł Hank po chwili. -Powodzenia.

Powodzenia. O co mu, do diabła, chodzi?

Zanim Blake dopytał się o drogę nad jeziorem i wrócił do samochodu, był już wściekły jak diabli. Coś tu nie gra.

Ale, w końcu, nie grało już od dawna.

Po raz pierwszy zorientował się, że coś jest nie tak, mniej więcej przed miesiącem. Nie mógł się skupić, co odbijało się na jego pracy.

A chodziło o drobiazgi, właściwie nic takiego. Na przykład krawat, który miał dziś na sobie. Nie pasował.

To bzdura, nedorzecznosc i z pewnością nikt nie zauważy, ale on wiedział. Gdy Annie kupiła mu czarny garnitur od Armaniego, dobrała do niego białą koszulę z monogramem i jedwabny krawat w drobne, szare, białe i czerwone paski. To była całość i zawsze wszystko razem nosił. Przed paroma tygodniami zorientował się, że nie może znaleźć krawata. Szukając go, przewrócił do góry nogami całą sypialnię.

- Mam nadzieję, że posprzątasz ten syf? - powiedziała Suzannah, gdy ujrzała, jakiego narobił bałaganu.

- Nie mogę znaleźć krawata do tego garnituru.

Popatrzyła nań znad filiżanki z kawą.

- Zawiadomię prasę.

Zaginięcie krawata i jego rozpaczliwe poszukiwania uznała za zabawne. Przyszło mu do głowy, że może jest gdzieś w pralni - jego ulubiony krawat, tak niezbędny.

Annie wiedziałyby, co się z nim stało.

To był początek.

Nastawił stereo i aż zamrugał, gdy z głośników ryknęła jakaś wiejska przyśpiewka. Poszukał innych kanałów, ale nic nie było wyraźnie słychać. Zdegustowany, zgasił radio. Przed nim rozciągała się droga, w środku dnia pogrążona w cieniach, którą siekł srebrzysty deszcz. Po paru kilometrach poprzez drzewa zaczęło prześwitywać jezioro. Jezdnia przeszła w zwirowaną drogę, która kręcąc się i wijąc, doprowadziła go w końcu do dużej polany. Jaskrawożółty dom rozsiadł się sztywno na podwórzu obsadzonym kolorowym kwieciami. Pod starym klonem stał zaparkowany czerwony mustang oraz wóz policyjny.

Zatrzymał samochód i wysiadł. Znowu postawił kołnierz, przeszedł przez dziedziniec, kilkoma skokami pokonał schody i mocno zastukał do drzwi frontowych. Prawie natychmiast otworzyła je dziewczynka, ubrana w kombinezon z goreteksu i czapkę bejsbolówkę. W ramionach trzymała obszarpaną szmacianą lalkę.

Blake uśmiechnął się do niej.

- Jak się masz? Jestem...

Nagle za dziewczynką pojawił się mężczyzna. Ręce położył opiekuńczo na jej ramionach i wciągnął ją lekko do środka.

- Słucham?

Blake popatrzał na wysokiego, srebrnowłosego mężczyznę, po czym wyciągnął szyję i usiłował zajrzeć w głąb domu.

- Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam Annalise Colwater. Jej ojciec, Hank, powiedział, że tu ją znajde.

Mężczyzna był wyraźnie spięty. Jego niesamowite niebieskie oczy zwięziły się, obrzucając Blake'a od stóp do głów jednym spojrzeniem. Blake miał dziwną pewność, że nie umknął mu ani jeden szczegół, od ceny garnituru od Armaniego po niepasujący krawat.

- Jesteś Blake.

Blake zmarszczył brwi.

- Tak, a ty...

Gdzieś z głębi domu Blake usłyszał tupot nóg zbiegających ze schodów.

- Jestem gotowa.

Blake rozpoznał głos Annie. Minał milczącego mężczyznę, dziewczynkę i wsunął się do środka.

Annie ujrzała go i zatrzymała się z poślizgiem.

Ledwo ją poznał. Ubrana była w żółty płaszcz od deszczu i duży kapelusz z opadającym rondem, który zasłaniał jej prawie całą twarz. Kalosze miała jakieś cztery numery za duże. Zmusił się do szerokiego uśmiechu i otworzył ramiona.

- Niespodzianka.

Rzuciła srebrnowłosemu mężczyźnie dziwne spojrzenie, po czym znowu skierowała wzrok na Blake'a.

- Co ty tu robisz?

Popatrzał na dwoje nieznajomych, oboje mu się przyglądali. Z wolna opuścił ramiona.

- Wolałbym nie mówić o tym publicznie.

Annie przygryzła dolną wargę, po czym ciężko westchnęła.

- Dobrze, Blake. Porozmawiamy. Ale nie tutaj.

Dziewczynka jęknęła i tupnęła nogą.

- Ależ, Annie, mieliśmy iść na lody.

Annie uśmiechnęła się do dziecka.

- Ja też żałuję, Izzy, ale muszę chwilę porozmawiać z tym człowiekiem. Wynagrodzę ci to, dobrze?

„Z tym człowiekiem”. Blake'a ścisnęło w żołądku. Co się tu, do diabła, dzieje?

- Nie utrudniaj Annie życia, słonko. Musi wyjść na trochę - odezwał się męski głos.

- Ale wróci... prawda, tatusiu?

Pytanie rozległo się w niezręcznej ciszy. Nikt nie odpowiedział.

Annie przeszła obok dziewczynki i stanęła przy Blake'u.

- Spotkamy się w knajpce „U Teda”. W samym centrum. Na pewno trafisz. Dołączę do ciebie za dziesięć minut.

Blake miał poczucie, że świat się wywrócił. Spojrzał na nią, na tę kobietę, którą ledwo poznawał.

- Dobrze. Za dziesięć minut.

Stał przez niemiłosiernie ciągnącą się chwilę, czując się straszliwie nieswojo. Potem zmusił się do uśmiechu. Potrzeba im tylko paru minut sam na sam, a wszystko się ułoży - tak sobie powiedział w duchu, po czym się odwrócił i wyszedł z domu. Powtarzał to dziesięć minut później, gdy zaparkował przed najbardziej obskurną, wstrętną knajpą, jaką w życiu widział. W środku wsunął się na żółte siedzenie i zamówił kawę. Gdy ją podano, zerknął na swego roleksa: 11. 15.

Był naprawdę zdenerwowany. Wsunął wilgotne ręce pod plastikowy blat stolika i ukradkiem wytarł je o spodnie.

Znowu spojrzął na zegarek - 11. 25 - zastanawiając się, czy Annie aby na pewno się pojawi. To idiotyczna myśl, którą natychmiast porzucił. Nie znał osoby, na której można tak polegać jak na Annie. Jeśli ona obieca, że gdzieś przyjdzie, to przyjdzie na pewno. Może spóźniona, często wymęczona, ale przyjdzie.

- Cześć, Blake.

Na dźwięk jej głosu raptownie odwrócił głowę od okna. Stała przy jego stoliku, z jednym biodrem wysuniętym do przodu i skrzyżowanymi ramionami. Miała na sobie spłowiałe niebieskie dżinsy i biały golf bez rękawów, a jej włosy... wyglądały jak obcięte sekatorem.

- Coś ty zrobiła z włosami?

- Chyba odpowiedź jest oczywista.

- Mhm. - Zmarszczył brwi, zbity z tropu jej widokiem i odpowiedzią. Zachowywała się nonszalancko, zupełnie nie w swoim stylu. Wyobrażał sobie ten moment -którego się obawiał i zarazem wyczekiwał - od tygodni. Ale spodziewał się, że będzie to spotkanie z dawną Annie, nienagannie ubraną, z omdlewającym uśmiechem, nieco nerwową. Nie poznawał stojącej przed nim kobiety. - Odrosną. - Nieco po niewczasie podniósł się. - Miło cię widzieć, Annie.

Przesłała mu uśmiech pełen rezerwy, który nie dosięgnął jej oczu. Wsunęła się na siedzenie naprzeciw niego.

Szybkim machnięciem ręki skinął na ubraną w poliestrowy strój kelnerkę, która pospieszyła do ich stolika. Blake spojrzął na Annie.

- Kawy?

- Nie. - Bębniła paznokciami o stół, a Blake zauważył, że są one niepomalowane i nieopilowane, poobgryzane niemal do krwi. A na lewej ręce, w miejscu, gdzie niegdyś był pierścienek od niego, znajdowało się

tylko cienkie kółeczko bladej, nieopalonej skóry. Uśmiechnęła się do kelnerki. - Poproszę budweisera.

Spojrzał na nią, wstrząśnięty.

- Przecież nie pijesz piwa. - Zabrzmiało to głupio, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Myślał tylko o pierścionku, którego nie nosiła.

Kolejny fałszywy uśmiech.

- Doprawdy?

Kelnerka kiwnęła głową i poszła.

Annie ponownie skierowała uwagę na Blake'a. W ciągu sekundy omiotła go wzrokiem, a on zastanawiał się, co też widzi ta nowa kobieta, patrząc na starego Blake'a. Czekał, by się odezwała, ale ona po prostu siedziała, z nową fryzurą, bez makijażu, z tym przerażającym palcem bez pierścionka.

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać - powiedział, czując, że zabrzmiało to dość głupawo.

- Mhm...

Znowu zapadła cisza. Milczeli nadal, gdy podeszła do nich kelnerka. Postawiła oszroniony kufel piwa na małej, kwadratowej podstawce, a Annie uśmiechnęła się do kobiety.

- Dziękuję, Sophie.

- Proszę bardzo, panno Bourne.

Panno Bourne. Wszystko w nim zawrzało na dźwięk tych słów.

- No - powiedziała wreszcie Annie, sącąc piwo - jak się miewa Suzannah?

Aż mrugnął, słysząc lodowaty chłód w jej głosie. Wiedział, że będzie miał z nią przeprawę, ale nie spodziewał się, że żona wpadnie w gniew. Annie nigdy się nie złościła.



- Już z nią nie jestem.

- Co ty powiesz?

- Tak. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Wpatrywała się weń znad kufla.

- Doprawdy?

Powinien był lepiej przemyśleć tę rozmowę, ale nie spodziewał się, że Annie będzie tak utrudniać mu zadanie. Odkąd pamiętał, zawsze odbywało się to w ten sam sposób. Wkraczał do pokoju, ona wahała się, potem uśmiechała przez łzy i mówiła, jak bardzo za nim tęskniła. Rozwierał ramiona, a ona rzucała się w nie... i tyle. Znowu byli razem.

Usiłował odgadnąć jej uczucia, ale oczy, które znał tak dobrze, były przymknięte i spoglądały niechętnie.

- Palnąłem głupstwo - zaczął, nieco się zająknawszy, co mu się rzadko zdarzało. Wyciągnął rękę przez stół.

- Głupstwo. - Cofnęła dłoń.

Usłyszał potępienie w jej głosie i wiedział, o co jej chodziło. Głupstwem byłoby zbyt późne uregulowanie rachunku w banku, on zrobił coś zupełnie innego. Sposób, w jaki Annie mu się przyglądała, i pełen rezerwy głos, zupełnie do niej niepodobny - wszystko to przekłuło balonik jego pewności siebie i poczuł, że zaczyna z niego wyciekać energia życiowa.

- Chcę wrócić do domu, Annie - powiedział cicho, błagalnie, jak nie błagał jeszcze nikogo w życiu. - Kocham cię, Annalise. Teraz się o tym przekonałem. Byłem przeklętym głupcem. Czy możesz mi wybaczyć?

Siedziała, wpatrując się weń z ustami zaciśniętymi w cienką linię.

Pośród tego milczenia zapaliła się w nim iskierka nadziei. Obszedł winylowe siedziska, usiadł obok niej i wpatrzył się w jej twarz, wiedząc, że

całe serce i dusza kryją się w jego oczach. Wierzył, że nadal jej na nim zależy. Wspomnienia ich wspólnego życia wezbrały w nim, dodając mu pewności siebie. Przypomnił sobie, ile razy ją zranił, zapominał o jej urodzinach, spędzał noce poza domem, psuł jej przyjęcia przez swą nieobecność. Zawsze mu wybaczała, bo już taka była. Nie mogła się tak kompletnie zmienić.

Wpatrywała się prosto przed siebie oczyma czujnymi i pełnymi bólu, którego on był przyczyną. Wbił wzrok w profil żony, pragnąc, by nań spojrzała. Jeśli popatrzy chociaż przez sekundę, Blake wyczyta odpowiedź z jej oczu.

- Annie? - Ujął ją za rękę, czując jej chłód. - Kocham cię, Annie - powtórzył zduszonym głosem. - Spójrz na mnie.

Powoli, bardzo powoli odwróciła wzrok, a wówczas ujrzał, że oczy ma zalane łzami.

- Myślisz, że jeśli się pokajasz, załatwi to sprawę, Blake? Jakby nic się nie stało?

Ścisnął jej rękę, czując opuszkami, jak delikatne ma kości i miękką skórę.

- Do końca życia będę ci to wynagradzał.

Na sekundę przymknęła powieki, a po jej policzku spłynęła łza. Potem otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Oddałeś mi przysługę, Blake'u. Kobieta, którą byłam... - Wysunęła rękę z jego dłoni i wytarła wilgotny policzek. - Stałam się nikim. Ale już nie jestem tamtą kobietą.

- Nadal jesteś moją Annie.

- Nie. Jestem swoją Annie.

- Wróć do mnie, Annie. Proszę. Daj nam jeszcze jedną szansę. Nie możesz odrzucić całego...

- Nie waż się kończyć tego zdania. Ja niczego nie odrzucałam. Ty do tego doprowadziłeś przez swój egoizm, kłamstwa i niepoohamowanego kutasa. A teraz doszedłeś do wniosku, że mała Suzannah chce być twoją kochanką, a nie żoną, matką i wycieraczką, toteż w te pędy przybiegłeś do mnie. Do kobiety, która z uśmiechem posprząta po tobie cały gnój i ofiaruje ci bezpieczne schronienie, gdzie niczego się od ciebie nie oczekuje i wszystko idzie tak, jak ty chcesz.

Zamurował go jej język i gwałtowność wybuchu.

- Annie...

- Spotkałam kogoś.

Szczęka mu opadła.

- Mężczyznę?

- Tak, Blake'u. Mężczyznę.

Wsunął się z powrotem na swoje miejsce. Pociągnął długi łyk wystygłej kawy, usiłując opanować wstrząs, o który przyprawiło go jej stwierdzenie. Mężczyzna? Annie z innym mężczyzną?

Ten srebrnowłosy facet o smutnych, niebieskich oczach.

Dlaczego w czasie tych miesięcy, gdy się rozstali, nigdy taka możliwość nie przyszła mu do głowy? Miał obraz żony jako cichej Annie, na której zawsze można polegać. Matkowała wszystkim, uśmiechnięta i radosna, spędzała czas nad jakimiś beznadziejnymi robótkami. Wyobrażał ją sobie, jak szyje, ozdabia dom i usycha z tęsknoty. A niech to szlag - zazwyczaj widział ją jak wzdycha na myśl o nim, niepokieszona. Uniósł ku niej wzrok.

- Czy... spałeś z nim?

- Och, na miłość boską, Blake.

A więc tak. Annie, jego Annie, spała z innym mężczyzną. Blake'a chwycił dziki, zwierzęcy gniew, wściekłość, jakiej nie czuł nigdy w życiu. Chciał odrzucić głowę do tyłu i wykrzyzczyć swoją złość, ale siedział tylko nieruchomo, z całej siły zacisnąwszy pod stołem pięści w dwie bryły, aż poczuł w nich ból. Teraz sprawy wyglądają inaczej, zupełnie inaczej, i musi postępować z najwyższą ostrożnością.

- Romans - powiedział cicho i zamrugał na dźwięk tego słowa i obrazów, które przywodziło na myśl. Annie, która wije się z rozkoszy, całuje inne usta, dotyka ciała innego mężczyzny. Odepchnął od siebie te przerażające wizje. - Zrobiłaś to, żeby się na mnie odegrać?

Roześmiała się.

- Nie wszystko kręci się wokół ciebie.

- Więc... - Co, do diabła, mówi się w takiej chwili? Chciał walnąć pięścią w lustrzane szkło szyb, a tymczasem musiał siedzieć jak człowiek kulturalny, udając, że to nie boli jak wszyscy diabli, a ona nie wyrwała mu przed chwilą serca i nie rozdeptała go. - Myślę, że... -Wzruszył ramionami. - Chyba możemy sobie wybaczyć.

- Nie chcę twojego przebaczenia.

Wzdrygnął się. Te same słowa rzucił jej przed paroma miesiącami. Jakże bolały, słodki Jezu, jak bolały!

- Przepraszam cię, Annie - rzekł cicho, unosząc ku niej wzrok. Po raz pierwszy naprawdę dotarło do niego, co jej wyrządził. W swej arogancji i egoizmie nie zastanawiał się, przez co musiała z jego winy przejść. Starał się osłodzić jej rozstanie, posługując się modnymi sloganami z lat dziewięćdziesiątych: „Potrzebuję przestrzeni”, „Nie ma sensu, żebyśmy byli razem, skoro nie jesteś szczęśliwa”, „Lepiej ci będzie beze mnie”,

„Odsunęliśmy się od siebie”. I wierzył w te frazesy. Teraz zrozumiał swój błąd. Słowa były tylko nic nieznaczącymi wymówkami dla człowieka, który uważał, że jego żadne reguły nie obowiązują. Zachowywał się, jakby ich małżeństwo było kłopotliwą zawadą, zastawem na majątku, który pragnie się pomnożyć. Słowa, które rzeczywiście miały jakąś wagę: „miłość, honor, kochać aż do śmierci”, odsunął na bok, jakby były tylko pustymi dźwiękami.

Po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwy wstyd.

- Nie miałem pojęcia, że to tak boli. Ale, Annie, kocham cię, w to możesz uwierzyć. I będę cię kochać do końca życia. Nieważne, co zrobisz, dokąd pójdziesz ani co powiesz, zawsze będę przy tobie, czekając twojego przebaczenia. I zawsze będę cię kochał.

W oczach Annie dostrzegł błysk cierpienia, nie zaciskała już tak kurczowo warg. Na mgnienie oka poczuła słabość, on zaś, jak każdy wybitny prawnik, wiedział, kiedy chwycić szansę. Delikatnie dotknął jej policzka, zmuszając ją, by nań spojrzała.

- Myślisz, że tak naprawdę wcale cię nie kocham, że jestem tym samym samolubnym bucem co zawsze... ale to nieprawda. Dzięki tobie mam pełne życie.

- Blake...

- Pamiętasz dawne czasy? Kiedy mieszkaliśmy nad morzem w Laguna Niguel? Nie mogłem się doczekać, żeby wrócić do domu i zobaczyć cię. A ty zawsze witałaś mnie w drzwiach - pamiętasz? Otwierałaś je szeroko i rzucałaś mi się w ramiona. I jak urodziła się Natalie, wcisnąłem się do tego wąskiego szpitalnego łóżka i spędziłem przy tobie noc - póki nie wyrzuciła mnie ta koścista stara pielęgniarka. A jak o północy robiliśmy na plaży zamki z piasku, piliśmy szampana i marzyliśmy o domu, który kiedyś będziemy mieć? Powiedziałaś, że chcesz biało-niebieską sypialnię, a ja

obiecałem, że odmaluję ci ją nawet na purpurowo, jeśli taka cię najdzie fantazja, pod warunkiem że na zawsze zostaniesz w moim łóżku.

Płakała teraz.

- Blake, proszę cię, nie...

- Co nie? Nie przypominać ci, kim jesteśmy ani jak długo byliśmy razem? - Wyciągnął chusteczkę i otarł łzy z jej twarzy. - Tworzymy rodzinę. Powinienem był wcześniej to zrozumieć, ale byłem ślepym, samolubnym durniem i wiele rzeczy uważałem za naturalne. - Jego głos przeszedł w gardłowy szept, wpatrywał się w nią przez zasłonę własnych łez. - Kocham cię, Annie. Musisz mi uwierzyć.

Przetarła oczy i odwróciła od niego wzrok, cicho pociągając nosem.

- Wierzyłam ci przez dwadzieścia lat, Blake. Teraz to nie jest już takie łatwe.

- Wcale tak nie myślałem.

- Ależ owszem. Uśmiechnął się ponuro.

- Masz rację. Sądziłem, że wysłuchasz moich przeprosin, rzucisz mi się w ramiona i razem odjedziemy w promieniach zachodzącego słońca. - Westchnął. - I co teraz?

- Nie mam pojęcia.

To już było coś, jakieś światełko w tunelu.

- Musisz dać mi - nam - jeszcze jedną szansę. Gdy mnie o to poprosiłaś, zgodziłem się, przemyślałem, co poszło nie tak, i oto jestem. Jesteś mi winna takie same względy, Annie. Jesteś to winna naszej rodzinie.

- Wspaniale. Wykład na temat wartości rodzinnych z twoich ust. - Wyjęła puderniczkę z torebki i zerknęła w lusterko. - Rewelacja. Wyglądam jak dójka.

- Wyglądasz pięknie. Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Ale włosy mi odrosną.

- Nie powinienem był tego mówić. Z trzaskiem zamknęła puderniczkę.

- Nie, nie powinieneś.

Wpatrywała mu się prosto w oczy, aż poczuł się zmieszany, gdyż jakimś sposobem jej wzrok uświadamiał mu, że po prawie dwudziestu latach małżeństwa zupełnie nie zna siedzącej naprzeciw niego kobiety.

- Czternastego czerwca spotkamy się w domu... Wtedy możemy wszystko to... omówić. - Gdy się podniosła, ujrzał, że porusza się nieco chwiejnie. Najwyraźniej z najwyższym trudem udawało się jej utrzymać nerwy na wodzy.

To budziło w nim nadzieję.

- Nie poddam się, Annie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś do mnie wróciła.

Westchnęła.

- Zawsze bardzo zależało ci na wygranej, Blake'u. -Wygłosiwszy tę ostatnią, ciętą uwagę, odwróciła się i wyszła z knajpki.

Nick czekał na powrót Annie. Przez pierwszą godzinę powtarzał sobie, że jest idiotą. Wiedział, że spotkanie z mężem zajmie jej co najmniej dwie godziny.

Lecz potem dwie godziny przeciągnęły się w trzy, cztery, wreszcie pięć.

Ze względu na Izzy z wymuszonym uśmiechem starał się wyczarować wspaniałe danie na kolację. Na podstawie przepisu Annie niewprawnie przyrządził piersi kurczaka w panierce z płatków kukurydzianych. Zapomniał w porę postawić ryż, toteż podał pieczone piersi z plasterkami banana i kawałkami sera. Usiłował zająć Izzy rozmową, ale myśli obojga krążyły wokół pustego krzesła przy stole.

Wszystko szło dobrze, póki Izzy z wąsikiem z mleka nad górną wargą nie spojrzała na ojca.

- Tatusiu, ale ona wróci, prawda, tatusiu? Widelec Nicka z brękiem uderzył w krawędź talerza.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, toteż zachował się jak każdy rodzic. Zrobił unik.

- Nie mów z pełną buzią - odparł, szybko odwracając wzrok.

Gdy zmyli naczynia, Nick wykapał Izzy i położył ją do łóżka, był tak roztrzęsiony, że nie mógł skupić się na tyle, by poczytać jej do snu. Pocałował ją w czoło i wybiegł z pokoju.

Blake wyglądał dokładnie tak, jak Nick się spodziewał -i jak się obawiał. Gdy ujrzał tego przystojnego, pewnego siebie mężczyznę w drogim garniturze, tego rywala, któremu najwyraźniej powiodło się w życiu, poczuł



się nikim. Zobaczył ostro jak na dłoni własne niedomogi - tanie, małomiasteczkowe dzinsy, które należałoby podszyć, bawełniany podkoszulek, niegdyś niebieski, lecz po wielu praniach tak wypłowieły, aż stał się brudnoszary, oderwana szlufka u paska, której jakoś nie chciało mu się przyszyć. I wolał nawet nie myśleć, jakie wrażenie sprawiają głębokie zmarszczki wokół oczu, które wryły przeżycia z Kathy, i zaskakujący kolor włosów.

Blake reprezentował to wszystko, czego Nick nigdy nie osiągnie.

Żałował, że nie może odrzucić na bok swego zmartwienia, zająć uwagi czymś innym, czymkolwiek. Ale im bardziej starał się rozluźnić, tym bardziej czuł, że była tam, w nim. Annie trzymała w garści serce i duszę Nicka, nawet o tym nie wiedząc.

Nigdy nie czuł się tak głęboko związany z rodziną jak teraz.

A jej częścią była żona innego mężczyzny.

Ujrzała go, gdy stał nad jeziorem. Wysiadła ze swego mustanga, cicho zamknęła drzwi i wolnym krokiem przemierzała trawnik.

Bez słowa stanęła tuż obok niego. Czekwała, aż jej dotknie, przysunie się bliżej, by mogła poczuć kojące ciepło jego obecności, ale się nie ruszył. Stał sztywno na swoim miejscu.

- Jak poszło?

Okłamywanie go nie miało sensu.

- Zrobił straszne głupstwo i kocha mnie.

- Rzeczywiście zrobił straszne głupstwo.

Głos zadrżał mu lekko, po czym poznała, jak cierpi.

- I co teraz będzie? - zapytał cicho.

- Sama nie wiem. Przez dwa i pół miesiąca próbowałam się odkochać i gdy już prawie mi się udało, chce to wszystko cofnąć. Nie potrafię się tak szybko przystosowywać.

Milczał, a ona uświadomiła sobie sens własnych słów. „Prawie mi się udało”. Prawie przestała kochać męża. Chciała przyłożyć plaster na ranę, którą zadały jej słowa, ale „prawie” oddawało smutną prawdę o jej uczuciach do Blake'a. Każde inne stwierdzenie byłoby kłamstwem.

Na brzegu woda pluskała cicho o żwir. Wietrzyk szeleścił liśćmi starego, rozłożystego klonu.

Myśl o wyjeździe przerażała ją. Przypomniała sobie wielki, pusty dom w Kalifornii i wszystkie godziny, które przepędziła tam samotnie.

- A jeśli...

Odwrócił się do niej.

- A jeśli co?

Głęboko zaczerpnęła oddechu.

- A jeśli... tu wrócę? Kiedy... wszystko będzie załatwione? Coraz częściej myślę o założeniu księgarni. Miałaś rację, dom na Głównej Ulicy świetnie się nada. A tu przydałaby się księgarenka...

Znieruchomiał.

- O czym ty mówisz?

- Po rozwodzie... i wyjeździe Natalie na uniwersytet zostanę w południowej Kalifornii sama jak palec...

- Nie rób mi nadziei, Annie. Nie mydl mi oczu. Nie mogę do końca życia czekać na ciebie i wpatrywać się w podjazd, myśląc „dzisiaj, może dzisiaj”. To by mi złamało resztki serca. Nie składaj obietnic, których nie zdołasz dotrzymać. Tak... będzie mi łatwiej.

Chyba całe powietrze uszło jej z płuc. Oklapła. Miał rację, wiedziała, że miał rację. Jej przyszłość była tajemnicą, nieprzeniknioną, lecz dręczącą. Nie wiedziała, co się stanie, gdy wróci do domu. Nie była nawet pewna, czego by pragnęła.

- Tak mi przykro - wyszeptała. Chciała dodać jakąś wymówkę, przypomnieć mu, że zna Blake'a od dawna, że Natalie jest jej córką, że była meżatką od zawsze, ale te słowa nie miały żadnego znaczenia.

Nie odezwał się. Po prostu stał tak, kołysząc się lekko, i spoglądał na nią, jakby już ją utracił.

Następnego ranka Annie czuła się tak przygnębiona, że w ogóle nie poszła do Nicka. Leżała w łóżku i na zmianę to płakała, to wpatrywała się w przestrzeń.

W głowie kotłowały się jej ostatnie wydarzenia, gdy przypominała sobie wszystkie rzeczy, które musi przemyśleć, omal nie wpadła w histerię. Jej mąż - człowiek, którego pokochała jako dziewiętnastoletnia dziewczyna - poprosił o jeszcze jedną szansę naprawy ich małżeństwa. Było mu przykro. Palnął głupstwo.

A czyż zaledwie przed paroma miesiącami to nie ona go błagała, by dał ich małżeństwu szansę?

Zadzwonił telefon przy jej łóżku. Przekreśliła się na bok i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Annie Colwater? Mówi Madge z gabinetu doktora Burtona. Chciałam przypomnieć, że masz zamówioną wizytę u doktora na dziś na pół do jedenastej.

Na śmierć o tym zapomniała.

- Właściwie nie wiem, czy to konieczne...

- Doktor Burton nie chce słyszeć o żadnych odmowach.

Annie westchnęła. W zeszłym tygodniu myślała, że przezwyciężyła depresję, lecz dziś znowu dopadła ją chandra. Czuła się jak kupka nieszczęścia, wepchnięta w czarną dziurę, z której nie może wygrzebać się na powierzchnię. Może rozmowa z doktorem dobrze jej zrobi. Przynajmniej się czymś zajmie, będzie miała po co wyjść z domu. Już samo wstanie z łóżka poprawi jej samopoczucie.

- Dzięki, Madge - rzekła cicho. - Przyjdę.

Westchnęła ze znużeniem, wygramoliła się z łóżka i poszła pod prysznic. Piętnaście po dziesiątej była ubrana w dżinsy i znoszoną bluzę. Nie czesząc się - bo i po co? - chwyciła torebkę, kluczyki do samochodu i wyszła z pokoju.

Hank siedział na ganku w fotelu bujanym i czytał książkę. Słyszając jej pospieszne kroki, uniósł wzrok.

- Późno się dziś pozbierałaś - rzekł.

- Mam wizytę u lekarza.

Uśmiech ojca zgasł.

- Coś ci dolega?

- Prócz tego, że jestem w podłym nastroju i zatrzymuję więcej wody, niż mieści się w basenie dla fok, nic złego się ze mną nie dzieje. Doktor Burton wyznaczył mi wizytę, gdy mnie ostatnio badał. Chciał mieć pewność, że przeszło mi przygnębienie, nim... wrócę do domu.

Przygnębienie. Takie zwykłe słówko na określenie pustki, sączącej się w jej krwiobieg.

Zmuszając się do uśmiechu, pochyliła się i pocałowała Hankę w czoło.

- Pa, tato.

- Pa.

Zbiegła ze schodów i pospieszyła do swego mustanga.

W miasteczku zaparkowała w cieniu wiązu i zostawiła samochód, nie zamykając go nawet. Po betonowych stopniach weszła do budynku z cegły, do którego tak często przychodziła w dziecięcych czasach.

Madge uśmiechnęła się do niej.

- Jak się masz, złotko? Doktor czeka na ciebie. Wejdź do gabinetu numer dwa.

Annie skinęła głową i ruszyła korytarzem o białych ścianach. Znalazła drzwi oznaczone dużą, czarną dwójką i weszła do środka. Usiadła na przykrytym papierem stole i zaczęła przeglądać najnowszy numer „Wiadomości Rybackich”.

Mniej więcej po pięciu minutach doktor Burton zastukał i wszedł do środka.

- Jak się masz, Annie? Nadal gnębią cię czarne myśli?

Jak, do diabła, ma na to odpowiedzieć? Raz była w różowym humorze, a po chwili - zwłaszcza od telefonu Blake'a - miała wrażenie, że spowija ją cmentarny kir. Rzuciła pismo na puste krzesło.

- Czasami - odparła.

- Madge powiada, że chciałaś zamówić wizytę podczas mojej nieobecności. O co chodziło?

- Atak grypy. Odparłam go, ale... w ciągu ostatnich paru dni wróciły mi mdłości.

- Uprzedzałem cię, że w tym czasie trzeba szczególnie o siebie dbać. Gdy masz depresję, twój system odpornościowy słabnie. Pobiorę ci krew i zbadamy, co się dzieje. Jeśli wyniki będą dobre, pogadamy, jak się naprawdę czujesz.

Trzy godziny później Annie stała przed domem ojca. Drżąc, ruszyła naprzód. Nogi miała jak z waty, człapała jakby przedzierała się przez gęstą, szarą mgłę, która stawia opór jej ruchom.

Stopień po stopniu pokonała schody i weszła do środka.

Hank siedział przy kominku, rozwiązując krzyżówkę. Gdy usłyszał kroki córki, uniósł wzrok.

- Spodziewałem się ciebie dopiero...

Wybuchnęła płaczem. Natychmiast znalazł się przy niej. Objął ją swymi potężnymi ramionami i tulił, gładząc po włosach. Przycisnął Annie do piersi, zaprowadził na kanapę i usiadł obok. Z tyłu trzasnęły drzwi, odgradzając Annie od świata.

- Co się stało, Annie?

Łkała, z nosa jej ciekło. Wytarła go rękawem. Odwróciła się od ojca, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Annie?

- Jestem w ciąży - wyszeptała i znowu zaczęła płakać. Pragnęła tryskać radością z powodu tej wieści - to już trzeci miesiąc. Przez całe lata mierzyła temperaturę, z nabożeństwem wykreślała cykle jajczkowania i stawała na głowie po zbliżeniu, aż tu nagle, bez specjalnych zabiegów, poczęła dziecko.

Dziecko Blake'a.

Nigdy w życiu nie czuła się tak roztrzęsiona i zbita z tropu, nawet wtedy, gdy Blake poprosił o rozwód. Początkowo, kiedy doktor Burton podał jej wyniki badania krwi, myślała, że to pomyłka. Kiedy uświadomiła sobie, że nie ma się co oszukiwać, ogarnęła ją fala paralizującego strachu, od którego przewracały się jej wnętrzności. Zastanawiała się, czyje to dziecko.

Potem przypomniała sobie, co jej powiedział Nick. Gdy Izzy miała dwa lata, wycięto mu nasieniowody. Później badanie miednicy wykazało, że Annie jest w trzecim miesiącu.

To bez wątpienia dziecko Blake'a.

Hank dotknął jej policzka i delikatnie obrócił ją ku sobie.

- To cud - oznajmił, a ona wiedziała, że ma rację. Czowała maleńkie nasionko dziecka, które w niej rośnie. Położyła rękę na brzuchu. To ją podniecało i przerażało.

- Cięża wszystko zmienia - powiedziała cicho.

I tego się najbardziej obawiała. Wolałaby nie wracać do zimnego, sterylnego życia, które wiodła w Kalifornii. Chciała zostać tu, w Mystic, w świecie chłodnej, zielonej ciemności, i kochać Nicka. Odezwało się w niej gwałtowne pragnienie, by patrzeć, jak Izzy dostaje aparat ortodontyczny, obcina włosy i uczy się tańczyć. Tu mogłaby otworzyć księgarnię, mieszkać we własnym domu i być odpowiedzialna tylko przed sobą.

Nade wszystko jednak jej serce tęskniło za miłością do końca życia, marzyła, by co rano budzić się obok Nicka i każdej nocy zasypiać w jego ramionach. Ale to było niemożliwe. W promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Mystic nie było dobrego neonatologa ani szpitala, w którym znajdowałby się oddział intensywnej terapii dla noworodków. Zadzwoiła do swej lekarki, położnika w Beverly Hills, która powiedziała jej, by wracała do domu. Przede wszystkim powinna dużo odpoczywać. Podobnie jak przy Adrianie. Z tym że teraz ma prawie czterdzieści lat, nie wolno ryzykować. Pani doktor chciała widzieć u siebie Annie za trzy dni - i ani dnia później, oznajmiła surowo.

- Powiedziałaś Blake'owi?

Tym razem chciała się rozplakać, ale nie mogła. Wpatrywała się w ojca, już czując, że wszystko, czego pragnie, odsuwa się poza jej zasięg.

- Och, tato, Blake będzie chciał...

- A czego ty chcesz?

- Nicka - wyszeptała.

Hank uśmiechnął się do niej smutno.

- A więc teraz uważasz, że jesteś w nim zakochana. Annie, jesteście ze sobą dopiero od paru miesięcy. Kochałaś Blake'a już jako młoda dziewczyna. Jeszcze niedawno rozpad twojego małżeństwa wprawiał cię w taką rozpacz, że nie mogłaś podnieść się z łóżka. Teraz chcesz to wszystko wyrzucić jak wczorajsze śmieci?

Wiedziała, że ojciec ma rację. To, co przeżywała z Nickiem, było wyjątkowe i magiczne, ale bez podstawy, jaką stanowiło małżeństwo.

- Blake i ja od dawna staraliśmy się o więcej dzieci. Po stracie Adriana rozpaczliwie pragnęłam jeszcze raz zająć w ciążę, ale lata płynęły i... nic. Kiedy się dowie o dziecku...

- Wrócisz do niego - zdecydował Hank, a spokojna pewność w głosie ojca rozdarła jej serce.

Wiedziała, że Hank ma rację, że nic innego jej nie pozostaje. Nie mogła zabrać Blake'owi dziecka i samodzielnie zamieszkać tutaj. Dziecko powinno mieć ojca.

Tak się rzeczy mają, ta prawda zmroziła jej duszę i Annie została tylko z garstką niespełnionych marzeń

I obietnic, które również nie zostaną spełnione.

Znowu płakała, nie mogła się powstrzymać. Wyobrażała sobie, co ją czeka - ten moment, kiedy będzie musiała powiedzieć Nickowi o dziecku - i



było to tak bolesne, że nie mogła oddychać. Nie chciała być silna, nie chciała być prawym człowiekiem, nie chciała postępować jak należy.

Wspominała wspólnie spędzony czas, wszystkie chwile, w których ją obejmował, pieścił i całował jej wargi z niewyobrażalną delikatnością. Dumiała o Izzy, o tym, ile to dziecko straciło, a potem o powrocie do Kalifornii, do łóżka Blake'a, do krainy, gdzie powietrze jest brązowe, a ziemia sucha. Ale przede wszystkim myślała o tym, jak rozpaczliwie samotny będzie jej świat bez Nicka...

Annie jechała wciąż przed siebie, aż opadła z sił. W końcu skierowała się do domu Nicka. Gdy tam dotarła, Nick był w ogrodzie z Izzy.

Życie tej rodziny będzie toczyć się dalej w tym domu -bez niej. Izzy urośnie, nauczy się tańczyć i pójdzie na pierwszą randkę, ale Annie tego nie zobaczy.

Spojrzała na Nicka i z przerażeniem stwierdziła, że widzi jego zamglony obraz, gdyż łzy zalewają jej oczy.

- Annie?

Z drżeniem zaczerpnęła oddechu. Najbardziej na świecie pragnęła rzucić się w jego potężne, silne ramiona. Przeniknęła ją przemożna chęć, by powiedzieć mu te cenne słowa: „Kocham cię”, ale się nie odważyła. Wiedziała, że Nick, gdyby mógł, przyrzekłby jej, że słońce zawsze będzie im świecić. Ale żadne z nich nie było już tak naiwne, oboje nauczyli się, że wszystko może się zmienić w ułamku sekundy i że z serca płynące przysięgi zakochanych to kruche słowa, które, pogruchotane, mogą zranić tak głęboko, że rana już zawsze będzie krwawić.

Podniósł się i ruszył ku niej. Brudnym palcem dotknął jej brody, tak delikatnie, jakby musnęło ją skrzydełko motyla.

- Kochanie, co się stało?

Zmusiła się do promiennego uśmiechu, wiedziała, że jest aż nazbyt promienny, lecz nic nie mogła na to poradzić.

- Wpadło mi coś do oka. Nic takiego. Przebiorę się, potem wyjdę i pomogę wam.

Zanim zdołał odpowiedzieć - czy też zadać kolejne bolesne, pełne czułości pytanie - pobiegła do domu.

\* \* \*

Nick i Annie leżeli w łóżku, ledwo się dotykając, z nagich nóg zrzucili przykrycie. Wielki, stary, dębowy wentylator leniwie obracał się na suficie i szumiąc, rozgarniał powietrze z cichym „słop słop słop”.

Gdy Izzy poszła spać, Nick i Annie krążyli wokół siebie, nie mówiąc nic z tych rzeczy, które zbierały się w powietrzu pomiędzy nimi. Teraz Nick trzymał ją mocno, głaszcząc jej miękką, wilgotną pierś. Przez cały wieczór Annie była milcząca, a spoglądając na nią co rusz, widział jej smutne oczy, patrzące jakby z daleka. Ta nagła, nieoczekiwana milkliwość go przerażała. Raz po raz zamierzał zapytać ją, co się stało, lecz gdy słowa już miały wypłynąć mu z ust, gryzł się w język. Lękał się tego, co mogło kryć się w tym milczeniu.

- Musimy porozmawiać - szepnęła, przeturlawszy się ku niemu.

- Boże, to dwa najgorsze słowa, jakie kobieta może powiedzieć do mężczyzny. - Czekał, by roześmiała się wraz z nim.

- Mówię poważnie.

- Wiem - odparł z westchnieniem.

Wierciła się, póki prawie się na nim nie ułożyła. W bladym owalu twarzy jej oczy wydawały się ogromne, ogromne i pełne smutku.

- Byłam dziś u lekarza.

Serce stanęło mu w gardle.

- Źle się czujesz?

Uśmiechnęła się doń smutnym i zmęczonym uśmiechem, który nie uniósł kącików jej ust.

- Nic mi nie jest.

Odetchnął gwałtownie.

- Chwała Bogu.

- Jestem też w trzecim miesiącu ciąży.

- Chryste Panie... - Znowu zabrakło mu tchu.

- Przez całe lata staraliśmy się począć dziecko.

Dziecko Blake'a, człowieka, który palnął głupstwo i chciał, żeby wróciła. Nick miał wrażenie, że roztopia się w rozgrzanej, pomiętej pościeli, pachnącej jej perfumami i ich wyładowaną namiętnością.

„Zawsze chciałam mieć więcej dzieci”. Tak dokładnie brzmiały słowa Annie, w których posłyszał resztki bólu dręczącego ją przez całe życie. Wiedział wówczas, że tego jednego pragnienia nie mógł zaspokoić. Teraz to nie miało znaczenia.

Znał Annie aż nazbyt dobrze, była pełnym miłości, prawym człowiekiem i matką, która dałaby się porąbać za dziecko. To między innymi w niej kochał, owo niezachwiane poczucie honoru. Wie, że Blake ma prawo poznać swoje dziecko.

Teraz nie ma już dla nich przyszłości, nadchodzące lata nie zastaną ich siedzących na ganku w wielkich, bujanych fotelach.

Pragnął znaleźć słowa, które cudownym sposobem przekształciłyby tę chwilę w coś, czym nie jest, wyczarowałyby wspomnienie, które nie będzie źródłem cierpień do końca życia. Ale nie potrafił.

Ich pieśń miłosna, zanim naprawdę rozbrzmiała, dobiegała już końca.

Nick wiedział, że Annie czyni przygotowania do powrotu do domu, ale starała się oszczędzać jego uczucia. Odkładała słuchawkę, gdy wchodził do pokoju.

Usiłował wznieść między nimi tarczę, coś, co złagodzi jego upadek, gdy Annie odjedzie, ale było to niemożliwe. Wczoraj wybrali się razem do Seattle na konsultację do specjalisty od ciąż wysokiego ryzyka. Nick nie mógł podejść do tego z dystansem. Był z nią sercem w każdej chwili, zachęcał, by piła wodę, gdy myślała, że nie przełknie już ani jednego łyka, trzymał ją za rękę podczas badania ultrasonografem. Gdy ujrzał dziecko - małą, wijącą się, szarą kreseczkę w morzu przymglonej czerni - musiał się szybko odwrócić, mamrocząc coś o konieczności pójścia do toalety.

Co dzień od nowa starał się nie myśleć o przyszłości, ale czuł cichy, nieprzerwany marsz każdej godziny, tykanie, z którym uchodziło to, czego najbardziej w życiu pragnął.

Czasami, pośrodku dnia, gdy promień słońca wpadał przez otwarte okno i oświetlał przyszczyżone włosy Annie, jej piękność zapierała mu dech w piersiach, a gdy się do niego uśmiechała, tym łagodnym, smutnym uśmiechem, po którym poznawał, że doskonale odgaduje jego uczucia, wszystko powracało z hukiem. Znowu słyszał w głowie to tykanie.

Tyle w nim zmieniła, jego Annie. Dała mu rodzinę i natchnęła wiarą, że miłość to ciepły zimowy płaszcz, który ogrzewa człowieka przez cały rok. Pokazała mu, że może się wyzwolić od niszczących zachowań, przestać pić i zająć się córką. Dała mu wszystko, o czym marzył.

Z wyjątkiem przyszłości.

Gdy byli razem, nie rozmawiali o dziecku ani o tym, co z nimi będzie.

Teraz stała w bawialni, wpatrując się w fotografie na gzymsie kominka. Bezwiednie pogłaskała swój nadal płaski brzuch.

Schodząc ze schodów, zastanawiał się, o czym myślała. Stopnie trzeszczały pod jego ciężarem, a słysząc skrzypienie, uniosła wzrok i posłała mu zmęczony uśmiech.

- Hej, Nicky! - zawołała.

Podszedł do niej, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Oparła się tyłem głowy na jego ramieniu. Ostrożnie wyciągnął rękę i położył na jej brzuchu. Na mgnienie oka pozwolił sobie zamarzyć, że to jego dziecko, że ona należy do niego i że ta chwila to początek, nie koniec.

- O czym myślisz? - zapytał cicho, z wściekłością słysząc w swoim głosie strach, gdy zadawał to proste pytanie, które tak często powtarzają kochankowie na całym świecie.

- Myślałam o twojej pracy. - Obróciła się w jego ramionach i spojrzała nań. - Powiedz mi, że do niej wracasz.

Zabolał go ten cichy dowód troski. Wiedział, czego w tej chwili od niego oczekuje: uśmiechu, żartu, gestu, który by ją upewnił, że mężczyzna da sobie radę bez niej. Ale nie miał tyle siły, choć tego żałował.

- Trudno mi powiedzieć na sto procent...

- Wiem, że byłeś dobrym policjantem. Nie znam drugiego człowieka, który tak bardzo troszczyłby się o innych.

- To mnie prawie załamało... ta troska. - Słowo to można różnie rozumieć, a Nick nie wątpił, że Annie będzie wiedziała, o co mu chodzi.

- Ale chciałbyś to wszystko zostawić... troskę, miłość i starania... rzuciłbyś to dlatego, że koniec jest bolesny?

Lekko dotknął jej twarzy.

- Nie pytasz o moją pracę...

- To na jedno wychodzi, Nick. Dano nam tylko czas, możliwość próby. Koniec... ból... nie zależy od nas.

- Doprawdy?

Łza spłynęła jej po twarzy, a choć pragnął ją otrzeć, lękał się, że owa maleńka kropelka wilgoci spali mu ciało. Wiedział, że ta chwila zostanie z nim na zawsze, nawet gdyby później chciał wymazać ją z pamięci.

- Nigdy nas nie zapomnę, Annie.

Tym razem nie obchodziło go, jak bardzo to było bolesne, i pograżył się w marzeniu, że dziecko, które nosi Annie, jest jego.

Annie przybyła do domu ojca wczesnym rankiem. Po wyjściu z samochodu przez chwilę po prostu stała, wpatrując się w dom swego dzieciństwa, jakby go nigdy dotąd nie widziała. Okna płonęły złotym światłem, a burza barwnych kwiatów otulała okratowanie pod biegnącą wokół domu werandą. W tym roku Annie nie będzie tutaj, gdy zakwitną chryzantemy, a choć nie widziała ich w rozkwicie od wielu lat, teraz ją to zasmuciło.

Będzie jej brakować ojca. To zabawne, że gdy mieszkała w Kalifornii widywali się rzadko - czasami nie odwiedzała go przez cały rok - i nie odczuwała owej bolesnej tęsknoty, która teraz ciążyła jej na sercu jak kamień. Miała wrażenie, że znowu jest dziewczynką, która z lękiem po raz pierwszy wyjeżdża od rodziców.

Z westchnieniem zatrzasnęła drzwi samochodu i podeszła do domu.

Nie dotarła jeszcze do ganku, gdy Hank otworzył drzwi.

- Najwyższa pora, nie widziałem cię od wielu dni. Czekałem...

- Już czas, tato.

- Tak prędko?

Skinęła głową.

- Wyjeżdżam jutro rano.

- Ach tak. - Wysunął się przez drzwi i zamknął je za sobą. Minał córkę i usiadł na wiklinowej ławeczce. Potem gestem wskazał jej miejsce obok siebie.

Opadła na bujany fotel matki i odchyliła się do tyłu. Otaczały ją tu wspomnienia dzieciństwa, zakodowane w skrzypieniu fotela na drewnianym ganku. Nieomal słyszała głos matki, wołający ją, by wróciła do domu.

Hank wpatrywał się w zieloną ciemność lasu.

- Przykro mi, Annie. Z powodu tego wszystkiego. Annie poczuła, że ściska ją w gardle.

- Wiem, tato.

Nareszcie się do niej odwrócił.

- Przygotowałem coś dla ciebie. - Wszedł do domu i po chwili znowu się pojawił, niosąc prezent.

Wzięła cienkie pudełko, opakowane w piękną niebieską folię, i otworzyła je. W środku znajdował się gruby, oprawny w skórę album. Otworzyła go. Na pierwszej stronie widniała mała, czarno-biała fotografia, zrobiona aparatem Kodaka, która pamiętała lepsze czasy; brzegi miała zagięte, a drobne, białe rysy pokrywały ją na podobieństwo mapy.

Było to jedno z nielicznych zdjęć Annie i jej matki, którego nigdy przedtem nie widziała. Mama miała na sobie białe spodnie do pół łydki i koszulę bez rękawów, włosy związała w kucyk. Uśmiechała się. Obok niej, na patykowatych nogach, stała Annie, oparta o nowiutki rower.

Pamiętała ten rower. Dostała go na urodziny. Pośród chmary ulatujących w niebo balonów i ciągłego śmiechu jedli też tort. Pamiętała

również, jak dumna była z niej matka, gdy Annie po raz pierwszy sama pojechała na rowerze. „Świetnie, Annie, skarbie, śmigasz jak strzała”.

Powoli przewracała stronicę, napawając się każdą fotografią po kolei. Tu Annie się wreszcie odnalazła... od niemowlęctwa, zanim wyrosły jej zęby, przez przedszkole, aż po odsłonięty brzuch nastolatki.

Oto ukazało się przed nią jej życie, po kolei, w zastygłych momentach, a każdy przywoływał gorzko-słodkie wspomnienie. Lady - szczeniak, przyniesiony ze sklepu spożywczego... ozdoby na choinkę, które zrobiła na zajęciach z obróbki drewna u pana Quisdorffa... biała satynowa sukienka bez rękawów z potańcówki na pierwszym roku studiów.

Wspomnienia cisnęły się, podnosząc larum, by się nad nimi pochylić i zatopić bez pamięci. Annie zastanawiała się, dlaczego aż tyle zapomniała. Na każdym zdjęciu widziała siebie, kobietę wyłaniającą się stopniowo z piegowatej, szczerbatej dziewczynki. Ostatnia strona albumu zarezerwowana była na rodzinne zdjęcie, do którego ona, Blake i Natalie pozowali zaledwie przed dwoma laty.

Oto jestem - myślała, spoglądając na uśmiechniętą, promienną kobietę w czarnym swetrze... - i zarazem mnie nie ma.

- Nie znalazłem wielu fotografii twojej mamy - powiedział cicho Hank. - Przerzuciłem kilkanaście pudeł na strychu. To chyba wszystko. Przykro mi.

Annie zaskoczył dźwięk jego głosu. Pograżona we własnych myślach, zapomniała, że ojciec jest tuż przy niej. Uśmiechnęła się doń lekko.

- My, matki, takie jesteśmy. Robimy zdjęcia, ale niezbyt pilnie utrwalamy własne życie. To błąd, z którego zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy jest już za późno...



Przerzuciła stronicę z powrotem na początek, do białego czarnego zdjęcia formatu pocztówki, ukazującego matkę w dniu wręczania dyplomów. Wyglądała tak młodo, że aż się serce krajało. Na zdjęciu nie było widać orzechowej barwy jej oczu, lecz Annie doskonale ją pamiętała. Pieszczotliwie przesunęła dłonią po fotografii. „Czy kiedykolwiek szukałaś siebie w lustrach, mamó? Czy byłaś taka sama jak wszyscy? Czy dlatego marzyłaś o otwarciu księgarni?”

Zastanawiała się teraz, po raz pierwszy od lat, jak jej mama wyglądałaby dzisiaj. Czy farbowałaby włosy, czy też pozwoliłaby, żeby jej piękne blond loki zblakły w siwiznę? Czy nadal nosiłaby ten jaskrawoniebieski cień do powiek z lat siedemdziesiątych i przewiązywała cieniowane kucyki mechatymi, wściekle różowymi kawałkami włókna? Czy też z gracją zmieniłaby fryzurę, nobliwie nosząc włosy do ramion?

- Była piękna - powiedział cicho Hank - i bardzo cię kochała. - Dotknął policzka Annie pergaminową ręką starego człowieka. - Powinienem był ci to powiedzieć

I dać ci te zdjęcia już dawno temu. Ale byłem młody, głupi i nie wiedziałem...

Hank mówił głosem ochryplym ze wzruszenia. Annie zaskoczyła ta nieoczekiwana skłonność do intymnych zwierzeń.

- Czego nie wiedziałeś? Wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że opłakiwałaś mamę przez parę obowiązkowych miesięcy, a potem żyłaś swoim życiem. Nie wiedziałem, jak głęboka może być miłość ani że miałaś ją we krwi, nie w sercu, i że ta sama krew krąży w twoich żyłach przez całe życie. Myślałem, że będziesz szczęśliwsza, jeśli o niej zapomnisz. Powinienem był wiedzieć, że to niemożliwe.

Serce Annie ścisnęło się boleśnie. Ojciec nigdy nie okazał swego smutku i miłości tak otwarcie i wyraziście. Wzruszyło ją to tak bardzo, że dotknęła jego aksamitnego policzka.

- Miała szczęście, że była tak kochana. Przez nas oboje.

- Nadal ją Kocham - i nadal tęsknię. Nikt nie może zająć jej miejsca w moim sercu, z wyjątkiem Ciebie, Annie. Masz w sobie wszystko, co najlepsze z Sarah i ze mnie, a czasami, gdy się uśmiechasz, widzę Twoją mamę tuż przy sobie.

Wiedziała, że na zawsze zapamięta ten dzień. Kupi wiklinową ławeczkę na swój taras, będzie tam siedzieć z dziadkiem i przypominać sobie to, co niegdyś uszło jej pamięci.

- Tym razem będę Cię częściej odwiedzać - postanowiła. - Obiecuję. I chcę, żebyś przyjechał w tym roku na Święto Dziękczynienia i na Boże Narodzenie. Żadnych wymówek! Przyślę Ci bilet.

- Lepiej autobus.

Uśmiechnęła się. Była pewna, że to właśnie powie.

- Do diabła, tato, wsadzę Cię do autobusu, jeżeli pod tym warunkiem przyjedziesz.

- Nic Ci nie będzie, Annie Wirginio?

- Nie martw się o mnie, tato. Tego jednego nauczyłam się tu, w Mystic. Jestem silniejsza, niż myślałam. Nigdy mi nic nie będzie.

\* \* \*

W dzień wyjazdu Annie padało. Przez całą ostatnią noc w domu Nicka leżeli bezsennie w łóżku. Rozmawiali, dotykali się, pieścili, usiłując na wszelkie możliwe sposoby wyryć w duszach pamięć o tej nocy. Patrzyli w milczeniu, jak słońce pełnie nad kopułą góry Olimp, zmieniając lodowce w różowe włókno szklane na urwistych granitowych szczytach; jak chmury

toczą się, wymazując słońce, i jak deszcz pomyka na paluszkach po tafli jeziora, przechodząc od łagodnego plusku w ryczącą nawałnicę, a potem znowu w plusk. Wpatrywali się w siebie oczyma pełnymi powstrzymanej tęsknoty i obaw, ale nadal nic nie mówili.

Gdy wreszcie Annie podniosła się z pościeli, przesyconej ich zapachem, Nick wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Czekala, aż się odezwie, ale milczał. Powoli, niechętnie, zdjęła podkoszulek, po czym ubrała się w legginsy i długą bluzę.

- Moje torby są w samochodzie - powiedziała wreszcie. - Pożegnam się z Izzy, a potem... pojadę.

- Chyba już się pożegnałaś - odparł cicho. Potem uśmiechnął się łagodnym, chwytającym za serce uśmiechem, od którego zmarszczyła mu się skóra wokół oczu, a Annie chciała się rozplakać. - Do diabła, zegnamy się chyba od chwili, kiedy się spotkaliśmy.

- Wiem...

Stali długo, wpatrując się w siebie. Gdyby to było możliwe, zakochałaby się w nim jeszcze bardziej. W końcu nie mogła już wytrzymać bólu, jaki sprawiał jej widok Nicka.

Wysunęła rękę z jego dłoni i podeszła do okna. Stanął za nią. Chciała, by wziął ją w ramiona, ale on tkwił nieruchomo, daleki i już nie jej.

- Jestem mężatką od prawie dwudziestu lat - przypomniała cichym głosem, wpatrując się w swe odbicie w szybie. Widziała, jak jej wargi się poruszają, słyszała słowa wychodzące z jej ust, ale miała wrażenie, że mówi inna kobieta.

I tak rzeczywiście było. Annalise Colwater. Powoli, bardzo powoli, obróciła ku niemu twarz.

- Kocham cię, Annie. - Powiedział to tak, jak mówił wszystko, ze spokojną powagą. - Wydaje mi się, że zawsze cię kochałem. - Głos miał niski i chropawy. - Nie wiedziałem, że może być tak... że miłość zdoła podtrzymać upadającego...

Te słowa sprawiły, że poczuła się krucha, jakby ukształtowana z liczącego sto lat szkła, i byle podmuch wiatru mógł ją roztrzaskać.

- Och, Nick...

Przysunął się bliżej, na tyle blisko, by mógł ją pocałować, ale jej nie dotknął. Po prostu wpatrywał się w nią tymi smutnymi, niebieskimi oczyma i posłał jej uśmiech, w którym kryła się cała jego radość i smutek, nadzieja i obawa.

I wiedza. Wiedza o tym, że miłość nie jest tylko owym wynoszonym pod niebiosa uczuciem. Że czasami może złamać serce.

- Muszę wiedzieć, Annie... czy zostanę sam z moją miłością.

Annie zamknęła oczy.

- Nie chcę tego mówić, Nick. Proszę...

- Zostanę sam, Annie, oboje o tym wiemy. W miarę upływu miesięcy zacznę cię zapominać - jak marszczy ci się skóra w kącikach oczu, gdy się śmiejesz; jak przygryzasz dolną wargę, kiedy jesteś zdenerwowana; jak, oglądając wiadomości, żujesz paznokiec kciuka. - Dotknął jej twarzy tak łagodnie, że Annie mało serce nie pękło. - Nie chcę doprowadzać cię do łez. Pragnę tylko usłyszeć, że nie oszalałem. I jeśli mam cię puścić, byś była szczęśliwa, zrobię to i nigdy już o mnie nie usłyszysz. Ale, na miłość boską, Annie, muszę wiedzieć, co czujesz...

- Kocham cię, Nicku. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Kocham cię do szaleństwa. Wariuję z miłości. Ale to nie ma znaczenia. Oboje o tym wiemy.

- Mylisz się, Annie. Miłość ma znaczenie. I może tylko ona.

Nie czekając na odpowiedź, obdarzył ją ostatnim, czułym pocałunkiem - pocałunkiem, który smakował łzami i żalem. Tym pocałunkiem ostatecznie się z nią pożegnał.

Gdy Annie przechodziła przez dom, pomyślała, że powinna zostawić w nim coś swojego - sweter wiszący w szafie albo parę butów wciśniętych pod łóżko. Teraz nie ma śladu jej obecności, żadnej pamiątki, która przywoływałaby owe dni, gdy śmiała się w tym pokoju, albo noce spędzone w ramionach Nicka.

Przygryzając dolną wargę, weszła do pokoju Izzy, gdzie zastała dziewczynkę siedzącą na brzegu łóżka; nogi dyndały jej tuż nad podłogą. Miała na sobie biały sweter Annie, kaszmirowy z perłowymi guziczkami. Śliczne lakierowane pudełko leżało otwarte na jej kolanach.

- Hej, Izzy, misiaczku - rzekła cicho Annie. - Mogę wejść?

Izzy uniosła wzrok. Usiłowała się uśmiechnąć, lecz jej brązowe oczy już lśniły łzami.

- Chcesz jeszcze raz obejrzeć mój zbiór?

Annie podeszła do łóżka i usiadła obok Izzy. Wskazała na śliczny pierścionek z ciemnoczerwonym oczkiem.

- To bardzo ładne.

- Należał do babci Myrtle... a to są guziki mojej mamy... - Izzy wyciągnęła duży, kremowy guzik z czterema dziurkami w środku. Wręczyła go Annie. - Powąchaj.

Annie wzięła guzik i podniosła go do nosa.

- Ten pachnie sypialnią mojej mamy.

Powoli Annie odłożyła guzik. Potem sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła złożoną chusteczkę. Był to śliczny, różowy kawałek materiału z monogramem AWC wyszytym na dole.

- Może i ją dołączysz do swojego zbioru? Izzy przycisnęła ją do nosa.

- Pachnie tobą.

Annie bała się, że wybuchnie płaczem.

- Naprawdę?

Izzy wyciągnęła z pudełka spłowiała wstążkę.

- Moja wstążka do włosów. Możesz ją wziąć. Annie wygładziła dłonią podłużny kawałek satyny.

- Dzięki, skarbulku.

Izzy zamknęła pudełko i wgramoliła się na kolana Annie. Annie mocno przytuliła miękkie ciało, wdychając zapach włosów dziewczynki.

Wreszcie Izzy odsunęła się, a jej oczy wydawały się ogromne w bladej twarzy. Annie odgadła, że mała z całych sił stara się powstrzymać łzy.

- To dzisiaj, co? Zostawiasz nas.

- Tak, Izzy, to dzisiaj.

Izzy z całej siły przełknęła ślinę.

- Ale, Annie, kto teraz zaplecie mi włosy? Kto pomaluje paznokcie u nóg i zadba, żebym ładnie wyglądała?

Annie unikała spojrzenia szczerych, błyszczących wyjątkowym blaskiem oczu Izzy. Zmuszając się do słabego uśmiechu, wzięła dziewczynkę za rękę. „Chodź ze mną” powiedziała i wyprowadziła ją na dwór. Kroczyły po mokrej trawie, a Annie otworzyła nową, białą bramę do ogrodu. Szły ostrożnie kamienną ścieżką do parkowej ławki, stojącej pośrodku kwietnej grządki.

W milczeniu patrzyły na rozkwitające pąki, a Annie wiedziała, że Izzy, podobnie jak ona, przypomina sobie dzień, w którym je zasadziły. Później, gdy zakwitł pierwszy kwiat, wraz z Izzy i Nickiem siedzieli w ogrodzie, w gęstniejącym mroku i wspominali Kathy. Śmiali się, płakali i rozmawiali.

Od tamtej pory Izzy mówiła, że każdy nowy pączek przypomina jej o mamie.

Dziewczynka przysunęła się bliżej. Annie zbierała się na odwagę, by stawić czoło przyszłym wydarzeniom. Z westchnieniem sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła starożytną monetę. Zaciskając wilgotne palce na cienkim metalowym krążku, wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w gamę kwiatnych kolorów.

- Strasznie będę za tobą tęsknić, Izzy.

- Wiem, ale musisz być teraz ze swoją córką. Dopiero po chwili Annie zdołała wydobyć głos.

- Tak.

- Chciałabym... chciałabym być twoją córką.

- Och, Izzy... twoja mamusia kochała cię bardzo mocno. A tatuś kocha cię całym sercem i duszą.

Izzy odwróciła się do niej.

- Przecież Natalie mogłaby przyjechać tutaj. Oddałabym jej swój pokój. A gdy dzidzius się urodzi, może spać ze mną. Dam... dam mu się bawić panną Tońcią. Słowo honoru, że mu pozwolę. Obiecuję, że będę grzeczna. Będę czyściła zęby, słała swoje łóżko i zjadała jarzyny.

- Już jesteś grzeczną dziewczynką, Izzy. - Dotknęła drobnej, mokrej od łez twarzyczki. - Natalie i ja mamy dom w Kalifornii. A dzidzius ma tatusia, który za mną tęskni.

Izzy westchnęła.

- Wiem. Koło Disneylandu.

- Mhm. - Ścisnęła rączkę Izzy. - Ale to nie znaczy, że cię nie kocham, Izzy. Nie przestanę o tobie myśleć i będę bardzo często dzwonić... - Głos jej się załamał i przez chwilę czuła tak dotkliwy ból, że musiała zebrać siły, by

nie wybuchnąć płaczem i nie zepsuć wszystkiego. - Zawsze będę cię kochała, Izzy, misiaczku.

- Tak. - Było to ciche, ledwo słyszalne westchnienie. Obróciła się twarzą do Izzy.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła podczas mojej nieobecności.

- Co takiego?

- Musisz zaopiekować się tatusiem. Jest duży i silny, ale czasami potrzebuje pomocy.

- Będzie mu smutno. Te słowa zapiekły ją.

- Tak. - Wręczyła Izzy monetę, którą znalazły w opustoszałej stacji, tę, o której pilnowanie dziewczynka poprosiła Annie. - Daj to twojemu tatusiowi. U niego będzie bezpieczna. Tatusiowi możesz zaufać we wszystkim.

Izzy wpatrzyła się w spoczywającą na dłoni Annie monetę, po czym z wolna uniosła wzrok. Łzy sprawiły, że jej oczy wydawały się jeszcze większe.

- Ty ją zatrzymaj.

- Nie mogę.

Drobne kropelki potoczyły się po policzkach Izzy.

- Zatrzymaj ją, Annie. Wtedy będę miała pewność, że wrócisz.

Annie nie zdążyła się opanować, wybuchnęła płaczem. Posadziła sobie Izzy na kolanach i przytuliła ją. Zaczął siąpić ciepły deszczyk, srebrzyste strużki osuwały się po białych palikach i uderzały w błotnistą trawę, tak cicho, jak cicho padają kobiece łzy, jak bezgłośnie dusza pęka na dwoje.

- Kocham cię, Izzy - wyszeptała, głaszcząc dziewczynkę po włosach. Potem prawie niesłyszalnym szeptem dodała: - Do widzenia.



Nick zostawił Izzy pod opieką Lurlene i pojechał wozem patrolowym za Annie aż za miasto, zachowując bezpieczną odległość. Czuł się jak jeden z tych zwariowanych facetów, łąjących za obiektami swojej miłości, ale nic nie mógł na to poradzić. Zapуścił się za nią hen, do mostu Hood Canal.

Tu zatrzymał się, wysiadł i patrzył, jak jej czerwony mustang mknie przez most, stając się coraz mniejszy, mniejszy i mniejszy.

Aż wreszcie Annie zniknęła równie nagle, jak pojawiła się w jego życiu.

Kątem oka ujrzał klomb pięknych, delikatnych żółtych kwiatów, porastających skraj drogi.

„Spójrz, Annie, liliowce już zakwitły”. Myśl ta przyszła znikąd, wrzynając się głęboko. Nie mógł już więcej zwrócić się ku niej i powiedzieć, co mu przyjdzie do głowy. Poza tym jechała do krainy, gdzie kwiaty kwitną cały rok.

Nagle ogarnęła go gwałtowna, przemożna chęć, by się napić.

Zamknął oczy. „Boże, pozwól mi wytrzymać...”

Ale modlitwa na nic się nie zdała. Czuł, że zaczyna upadać, a nie ma nikogo, kto by go podtrzymał. Pomknął do samochodu i wskoczył do środka. Wóz zakręcił na rozjeździe przy moście i zarzucając, wjechał z powrotem na autostradę i popędził ku Mystic.

U Zoe jego ulubione miejsce było wolne, czekało nań w ciemnym rogu. Panowała południowa cisza, od czasu do czasu rozlegał się tylko brzęk ciężkiego szkła o kontuar przy akompaniamencie cichego buczenia telewizora.

Wszystko wyglądało tak jak zawsze, co bez żadnego wyraźnego powodu zdumiało go. Ten sam dębowy bar ze stolkami po bokach. Te same tanie wentylatory, obracające się ze znużeniem na suficie, które ledwo

rozgarniały przesycone dymem powietrze. Siedziała tu za ledwie garstką gości, stara gwardia, okupująca stałe miejsca. Tkwili na stołkach, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem, i palili, zaciskając kurczowo ręce na swoich drinkach.

- Jezus, Nick, gdzieś ty się podziewał?

Nick uniósł wzrok i ujrzał obok Zoe. Postawiła przed nim drinka, po czym wolno skinęła głową i wróciła za bar.

Nick wziął szklanekę do ręki. Była chłodna, gładka i kojąca. Obrócił ją, patrząc, jak alkohol mieni się w mętym świetle górnej lampy.

Podniósł drinka do ust, wdychając słodki, znajomy aromat szkockiej. „Napij się... napij” - powiedział mu cichy głosik gdzieś w głębi. „Wiesz, że to przyniesie ulgę...”

Ten uwodzicielski głos kusił Nicka, by napawał się aromatem whisky, obiecywał ukojenie bólu w sercu, mglisty filtr, który przesłoni obraz Annie.

Pragnął wyłopać tego drinka, a potem zamówić następnego, jeszcze jednego i jeszcze, aż całkiem zapomni, że ją kochał.

Ale wówczas pomyślał o Izzy.

„Mogę wrócić do domu, Izzy?” Gdy wymawiał te słowa, nade wszystko na świecie pragnął zdobyć jej zaufanie. I nadal mu na tym zależało.

Picie nic nie da, myśląca część jego mózgu wiedziała o tym. Upije się - znowu będzie pijakiem - i co potem? Annie przez to do niego nie wróci, a znowu zawiedzie swoją dziewczynkę.

Z trzaskiem postawił szklanekę, rzucił na stolik banknot dziesięciodolarowy, wstał na nogi i zaczął się wycofywać. Przy barze pomachał do Zoe.

- Zabieram się stąd.

Wyciągnęła spod lady moką ścierkę, którą przetarła drewniany blat, mierząc Nicka wzrokiem.

- Nic ci nie jest, Nick?

Próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło.

- Jak zawsze w formie, Zoe.

Wypadł z baru. Ręce mu się trzęsły, w gardle miał nieprzyjemnie sucho, ale był rad, że się stamtąd wyrwał.

Biegł, aż zaczęło go boleć w boku, oddech miał urywany, lecz chęć napicia się przestała go trawić. Potem siedział przez dwie godziny na ławce w parku, patrząc, jak słońce z wolna zachodzi nad Główną Ulicą. Z każdym oddechem opuszczała go panika i obawa. Nadal dręczył go ból, pulsujący w sercu jak w otwartej ranie, a on wiedział, że będzie mu dokuczał jeszcze długo, lecz Annie zmieniła go, pomogła mu spojrzeć na samego siebie w innym, łagodniejszym świetle. Na tym teraz musi się skupić. Jego życie coś znaczy, a prócz tego ma córkę, która go kocha i potrzebuje. Degrengolada to luksus, na który nie może sobie pozwolić.

Gdy zaczęło się spotkanie AA, Nick zepchnął potrzebę napicia się do małego, ciemnego kącika swej duszy. Wszedł do zadymionego pomieszczenia za sznurem znajomych.

Joe był tuż za nim. Poczował rękę przyjaciela na swoim ramieniu, usłyszał jego szorstki, zgrzytliwy głos:

- Jak leci, Nicholasie? Nick zdołał się uśmiechnąć.

- W porządku, Joe. Dzięki - odparł i usiadł na składanym metalowym krześle, a Joe zajął miejsce obok.

Joe obrzucił go spojrzeniem.

- Na pewno nic ci nie jest?

Nick wiedział, że musi wyglądać na bladego i zmęczonego.

- Wszystko gra, Joe - potwierdził, sadowiac się na twardym plastikowym siedzeniu.

Joe uśmiechnął się i lekko poklepał go po ramieniu.

- Jestem z ciebie dumny, Nicholasie.

Nick zamknął oczy i odchylił się do tyłu, wzdychając ciężko. Początkowo nie poczuł klepnięcia w plecy. Gdy do niego dotarło, wyprostował się gwałtownie. Serce waliło mu, pełne oczekiwania. Annie zmieniła zdanie, zakręciła i wróciła. Obrócił się na metalowym krześle...

I ujrzał, że za nim stoi Gina Piccolo. Jej nieumalowane oczy wzywały ze zmęczeniem z kredowobiałej twarzy. Zauważył, że nie ma już kolczyka w nosie ani czarnej szminki. Wyglądała równie młodo i niewinnie jak wtedy, gdy ją pierwszy raz zobaczył, kiedy jechała na rowerze na pole golfowe „Świat Cudów” przed tyloma laty.

Podniósł się z wolna.

- Gina - powiedział - co ty tu robisz?

- Drew umarł w tym tygodniu. Przedawkował. - Głos miała cichy i drżący. Jej oczy nabrzmiały łzami, które spływały na wychudłe policzki.

- Powiedział pan, że gdybym kiedykolwiek potrzebowała pomocy... to znaczy... nie miałam do kogo innego się zwrócić... na posterunku powiedzieli mi, że może pan być tutaj...

- W porządku, Gino...

- Nie chcę umrzeć, panie Delacroix.

Przed wydarzeniami tegorocznej wiosny Nick obawiałby się tej chwili, dostrzegłby w niej narodziny kolejnej tragedii, następnej klęski, która nad nim wisi. Ale teraz czuł koło siebie Annie, mocną i ciepłą jak słońce. Słyszał jej głos, szepczący gdzieś w głębi: „Rzuciłbyś to wszystko, Nick... troskę... rzuciłbyś to wszystko, gdyż na końcu czai się ból?”

Może mu się nie powiedzie - najprawdopodobniej mu się nie powiedzie - ale to go teraz nie powstrzyma. Tylko dzięki usilnym staraniom może uratować siebie i, jak dobrze pójdzie, również tę stojącą obok niego zrozpaczoną dziewczynę. Ujął jej rękę.

- Trafiłaś pod właściwy adres, Gino. Odrzucenie kul jest trudne i przerażające, ale będę przy tobie. Zawalczę o ciebie, jeśli i ty o siebie zawalczysz.

Uśmiech pojawił się na jej twarzy, sprawiając, że wyglądała niewiarygodnie młodo, a z jej oczu biła nadzieja.

- Tylko wezmę sobie colę i usiądę przy panu.

- Dobrze. - Popatrzył, jak idzie przez zatłoczoną salę, po czym usiadł.

- Nicholasie - odezwał się Joe. - O co tu chodzi?

Nick z szerokim uśmiechem odwrócił się do swego mentora.

- Chyba po prostu jeszcze jeden gliniarz próbuje uratować jeszcze jednego dzieciaka od nieszczęścia.

Joe radośnie wyszczerzył zęby.

- Witaj znowu u nas, Nicholasie. Brakowało nam ciebie.

Te słowa zapadły w duszę Nicka, osiadając stopniowo

I znajdując wygodną niszę.

- Mnie też siebie brakowało - przyznał cicho. - Chyba możesz z powrotem włączyć mnie do służby. Powiedzmy, od poniedziałku rano?

- Ach, Nicholasie, nigdy cię nie wykreślałem.

Nick z uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła. Niebawem Gina usiadła obok niego.

Spotkanie rozpoczęło się. Nick słuchał opowieści i z każdą historią, każdym ludzkim losem, tak bardzo podobnym do jego życia, stawał się

silniejszy. Gdy wreszcie spotkanie zaczęło zbliżać się do końca, dał znak prowadzącemu.

- Chciałbym coś powiedzieć - rzekł cicho.

Po sali przebiegł szmer zdziwienia. Krzesła trzeszczały, gdy ludzie odwracali się na siedzeniach, by spojrzeć na Nicka.

- Mam na imię Nick - zaczął mówić pośród zapadłej nagle ciszy. Następne słowa utknęły mu w gardle, toteż spróbował znowu. - Mam na imię Nick i jestem alkoholikiem.

- Cześć, Nick - odpowiedzieli chórem, uśmiechając się do niego z dumą.

Dostrzegł zrozumienie w ich oczach, w sposobie, w jaki machali do niego, patrzyli nań czy wychylali się z krzeseł w jego stronę. „W porządku” - mówili bezgłośnie. „Wiemy”.

- Chyba byłem alkoholikiem na długo przedtem, zanim wypilem pierwszego drinka. Ale wszystko wymknęło mi się z rąk przed rokiem, gdy umarła moja żona...

Słowo po słowie, które wydobywały się z głębi duszy, przeżywał to wszystko na nowo, przedzierał się przez gruzy własnego życia, obnażając wszystkie swe słabe strony, porażki, triumfy i załamania. Wywnętrzył się całkowicie przed kiwającymi doń, pełnymi zrozumienia twarzami w tym nędznym, wypełnionym dymem pokoju, wiedząc, że troskliwie pochylią się nad jego bólem i przekształcą go w nową jakość, rozbudzą jego świadomość tak, by zdołał przetrwać długie, samotne noce bez Annie. Ciągnąc swoją opowieść, czuł, że ciężar zeszłego roku zaczyna spadać z jego ramion. Dopiero gdy wspomniał o Izzy, słodkiej Izzy, i dniu, w którym powiedziała: „Kocham cię, tatusiu”, wreszcie coś w nim pękło.

## *CZEŚĆ III*

*Bóg dał nam wspomnienia, byśmy mogli mieć róże w grudniu.*

James M. Barrie

### *24*

Upał wznosił się migotliwymi falami z czarnej wstęgi asfaltu i wtapiał w brązowe, przesycone smogiem powietrze. Annie wcisnęła się głębiej w pachnące aksamitne obicie fotela i z westchnieniem oparła ręce na brzuchu.

Już teraz nie mogła wytrzymać oddalenia od Nicka i Izzy, czuła się tak, jakby odcięto jej jakąś część ciała, mającą zasadnicze znaczenie dla funkcjonowania organizmu, i pozostawiono gdzieś, by zwiędła.

Nie uważała już tej oplecionej betonową siecią krainy za swoje miejsce na ziemi. Wydawała się jej apokaliptyczną wizją przyszłości, w której zielone drzewa, niebieskie niebo i białe chmury zastąpiono milionami odcieni szarości, będącymi dziełem rąk człowieka.

Taksówka skręciła z autostrady wzdłuż Pacyfiku na drogę wiodącą do jej domu - to zabawne, nadal myślała o nim jako o swoim domu. Za strzeżoną bramą Colony mijali starannie ukryte nadmorskie rezydencje, ich goniący za nowinkami projektanci każdą wykroili z tej samej materii; były to olbrzymie, wielowarstwowe domy, zbudowane praktycznie jeden na drugim, położone w odległości niespełna trzech metrów od siebie. Każdy stanowił małe królestwo, pragnące oddzielić się od reszty świata.

Skręcili w jej podjazd, widać już było białe kanty domu, szybujące ku błękitnemu niebu. Na dziedzińcu wszystko kwitło, istna orgia różowych i czerwonych hibiskusów oraz lśniących, zielonych liści. Jego piękno było

takie... fałszywe. Gdyby przestali podlewać ten sztuczny ogród, uschnąby i obumarł.

Taksówka podjechała pod garaż i stanęła. Kierowca wysiadł i otworzył bagażnik.

Annie powoli wysiadła. Wpatrzyła się w podjazd, przypominając sobie, jak pilnowała układania na nim cegieł, jednej po drugiej. „Tu jest niedobrze, krzywo. Mógłby pan położyć ją jak trzeba, zanim cement zastygnie?”

- Proszę pani? Czy to wszystko? - Taksówkarz stał obok jej walizek marki Louis Vuitton.

- Tak, dziękuję. - Otworzyła torebkę i wyciągnęła z portfela pieniądze za kurs plus hojny napiwek. - Proszę bardzo.

Wziął pieniądze i schował je do kieszeni.

- Proszę po mnie zadzwonić, jeśli znowu będzie pani chciała jechać na lotnisko - powiedział.

Lotnisko.

- Dzięki, naturalnie - odparła.

Gdy odjechał, ruszyła w kierunku domu. Przez chwilę myślała, że nie da rady, że nie zdoła podejść do ręcznie rzeźbionych mahoniowych drzwi, otworzyć ich i wejść do środka. Ale po chwili przeszła pod łukowatym sklepieniem, pachnącym jaśminem, i wyciągnęła z etui pęk kluczy.

Klucz dał się wsunąć - a czego się spodziewała? Że nie będzie pasował, bo ona tu nie pasuje? Drzwi otworzyły się ze świstem i powitała ją woń stęchlizny.

Przeszła po piętach, pokój po pokoju, czekając, by coś poczuła... smutek, radość, przygnębienie... cokolwiek. W obramowaniu sięgających od podłogi do sufitu okien widniał promienny błękit morza i nieba.



Czuła się tak, jakby zwiedzała obcy dom. Kłębiły się w niej myśli o Nicku i Izzy, domagając się, by roztrząsała je i wybrała najmilsze, ale się nie odważyła. W zamian skupiła uwagę na drobiazgach: fortepianie, który kupiła na aukcji w Sotheby's, kandelabrze, uratowanym ze starego hotelu w San Francisco, kolekcji statuetek Lladró, które zaczęła zbierać, gdy Natalie poszła do szkoły średniej.

Rzeczy.

Weszła na górę do swojej sypialni. Ich sypialni.

Tu na pewno coś odczuję - pomyślała. Ale znowu miała to dziwne wrażenie, że ogląda resztki dawno umarłej cywilizacji. To był pokój Annie Colwater i tylko tyle z niej pozostało.

Jej szafa pełna była kosztownych jedwabów, wełen i kaszmirów, spódnic wszelkich kolorów i długości, butów w pudełkach, nadal opatrzonych nalepkami, na których widniały astronomiczne ceny.

Podniosła słuchawkę telefonu stojącego na nocnym stoliku i długo słuchała sygnału. Chciała zadzwonić do Nicka i Izzy, ale się nie zdecydowała. Nakręciła natomiast numer biura Blake'a. Nie czekając, aż ją z nim połączą, zostawiła wiadomość, że jest w domu.

Potem odłożyła słuchawkę i ciężko klapnęła na krawędź łóżka.

Wkrótce znowu zobaczy Blake'a. Niegdyś nerwowo buszowałaby po szafach w poszukiwaniu najodpowiedniejszego stroju, ale teraz było jej wszystko jedno, co ma na sobie. Nie pociągał jej żaden ciuszek z tej ogromnej, kosztownej szafy, miała wrażenie, że żaden nie jest jej. Całe akry ubrań innej kobiety.

Wygląd gabinetu odpowiadał usposobieniu jego właściciela - urządzone był kosztownie, lecz bez ostentacyjnego zbytku. Blake tak wyobrażał sobie swoje biuro przed laty, na długo zanim mógł sobie pozwolić na wynajem pomieszczeń na rogu Century City - za rozciągającą się za oknami panoramę wieżowców ze szkła i betonu trzeba było słono płacić. Zawsze chciał, by ten pokój sprawiał wrażenie surowe i powściągliwe, by nic w nim nie mówiło: „Ależ proszę siadać i opowiedzieć mi o swoich kłopotach”. Nigdy nie zamierzał być takim prawnikiem i stworzył dokładnie taki wizerunek samego siebie, na jakim mu zależało. W tym gabinecie klient skręcał się na krześle, a każde ciche tyknięcie stojącego na biurku zegara miało przypomnieć nieszczęsnej ofierze, ile kosztuje tu każda minuta.

Prawdę mówiąc, ten gabinet był oczywiście dziełem Annie. Całymi godzinami wybierała zasłony i obicia. Zaprojektowała i zamówiła ozdobne biurko z afrykańskiego mahoni i wszystkie ręcznie barwione przybory skórzane.

Gdziekolwiek teraz spojrzeł, widział ją.

Westchnął i odchylił się w krześle. Stos papierów na biurku mgliście rysował mu się przed oczyma. Odsunął je na bok i patrzył, jak dokument niezwyklej wagi, wirując, opada na marmurową posadzkę.

Czuł się dziwnie, był w podłym nastroju od czasu zaimprovizowanej wycieczki do tej parszywej knajpy w Mystic.

Myślał, że wystarczy przeprosić Annie, by wrócić do dawnego życia jak do wygodnych kapci. Ale Annie nie była już tą samą Annie, a on nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć, by ją odzyskać.

Zadzwoił wewnętrzny telefon na jego biurku. Niecierpliwie nacisnął przycisk.

- Tak, Mildred?

- Dzwoniła pańska żona...

- Przełącz ją.

- Zostawiła wiadomość. Chciała panu powiedzieć, że jest w domu.

Blake nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Odwołaj wszystkie spotkania, Mildred. Wychodzę i dziś mnie już nie będzie.

Wybiegł z budynku, wskoczył do swego ferrari, wyjechał z parkingu i pomknął na autostradę.

Gdy dotarł do domu, śmignął po frontowych stopniach, wcisnął klucz do zamka i gwałtownym ruchem otworzył drzwi. U podnóża schodów ujrzał stos bagaży.

- Annie?

Stała pod łukowatym sklepieniem, oddzielającym salon od jadalni.

Była z powrotem w domu. Teraz, wreszcie, wszystko się ułoży.

Ostrożnie ruszył w jej stronę.

- Annie?

Odwróciła się od niego i weszła do salonu, stając samotnie przy oknach.

- Muszę ci coś powiedzieć, Blake.

Poczuł się nieswojo, gdyż nie chciała na niego patrzeć. Widok tej sztywnej i nieustępliwej Annie przypominał mu dobitnie, że nie jest tą samą kobietą, którą zostawił zaledwie przed paroma miesiącami. Poczuł suchość w gardle.

- O co chodzi?

- Jestem w ciąży.

O nie, tylko nie to - jęknął w duchu. Nie chce jeszcze raz tego całego kołowrotu. Potem przypomniał sobie mężczyznę, z którym Annie spała, i nie mógł złapać tchu. Czuł się tak, jakby ktoś przesunął mu kostkę lodu po grzbiecie.

- Czy to moje?

Westchnęła, a ten smutny, cichy dźwięk nie dodał mu pewności siebie.

- Tak, to już trzeci miesiąc.

Nie mógł zebrać myśli.

- Dziecko... Chryste, po tylu latach.

Obróciła się doń z filuternym uśmiechem, w którym nareszcie rozpoznał dawną Annie. Jego Annie. Wówczas uświadomił sobie to, co wcześniej nie przyszło mu na myśl. To dziecko sprowadziło ją z powrotem.

- Dziecko. - Tym razem zdobył się na uśmiech. - Nasze dziecko...

- Przez cały czas myślałam, że Bóg nie słucha. Okazuje się, że jest złośliwy. Najwyraźniej chce, żebym jednocześnie przechodziła menopauzę i uczyła dziecko siadać na nocniczku.

- Tym razem się nam uda - powiedział miękko.

Mrugnęła, słysząc te słowa, a on zastanawiał się, czy nie powinien był ich ująć w formę pytania.

- Blake...

Nie chciał słuchać, co miała do powiedzenia.

- Cokolwiek zaszło w Mystic, to już przeszłość. Nosisz nasze dziecko. Nasze. Musimy znowu stać się rodziną. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę.

Nie odpowiedziała, po prostu długo wpatrywała się w jego rękę na swoim brzuchu, po czym, bez cienia uśmiechu, odwróciła wzrok.

„Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę”.

Annie zamknęła oczy. Boże, ile nocy przeleżała samotnie w łóżku, nade wszystko pragnąc usłyszeć z jego ust te słowa? Ale teraz padły na jej serce niczym kamienie w głąb studni. Stukały, podskakiwały i nic nie znaczyły.

A co mu powiedziała przed paroma miesiącami? „Nie mogę uwierzyć, że odrzucisz to wszystko. Jesteśmy rodziną, Blake, rodziną”.

- Annie...

- Nie teraz, Blake - powiedziała łamiącym się głosem. - Nie teraz.

Usłyszała, jak wzdycha. Dobrze знаła ten znużony, pełen rozczarowania dźwięk. Był zagubiony i wściekły -nie umiał przegrywać, zdobyć się na cierpliwość ani trzymać języka za zębami.

- Pewnie przeleżę parę miesięcy w łóżku, tak jak przy... Adrianie. - Uniosła ku niemu wzrok. - To będzie wymagało trochę wysiłku z twojej strony. Zapomnij o starej, dobrej Annie, która o wszystkich się troszczyła. Teraz musisz postawić mnie na pierwszym miejscu.

- Możesz na mnie liczyć. Chciałaby w to wierzyć.

- Wiem, że nie będzie ci łatwo znowu mi uwierzyć. Spieprzyłem...

- To spore niedomówienie.

Jego głos przycichł do płaczliwego szeptu:

- Nie mogę uwierzyć, że już mnie nie kochasz...

- Ja też nie - przyznała cicho i to była prawda. Gdzieś w głębi jej istoty musiał pozostać cień ich miłości. Kochała go przez dwadzieścia lat. Takie uczucie nie znika z dnia na dzień.

- Próbuję uwierzyć w to, co mieliśmy, i modłę się, byśmy powrócili do naszej miłości, ale teraz cię nie kocham. Do diabła, nawet niespecjalnie cię lubię.

- Polubisz - odparł z taką pewnością siebie, że Annie omal nie zgrzytnęła zębami. Pochylił się ku niej. -Chodźmy do łóżka.

- Ejże, Blake. Czyś ty mnie w ogóle słuchał? Jeszcze nie jestem gotowa z tobą spać... a poza tym doktor North mówiła, że to ryzykowne. Pamiętasz? Wczesne skurcze.

Wyglądał pociesznie, jak przekłuty balonik.

- No tak. Pomyślałem tylko, że skoro mamy się pogodzić, powinnaś...

- Nie mów mi więcej, co powinnam, a czego nie, Blake. Nie jestem tą samą kobietą co dawniej. A śmiertelnie się obawiam, że ty pozostałeś tym samym wrednym facetem.

- Nie. Naprawdę nie. Ja też dorosłem. I wiem, jak cenne było nasze życie. Nie popełnię znowu tych samych błędów.

- Mam nadzieję. Przysunął się do niej.

- Zawsze mówiłaś, że najdłuższa podróż zaczyna się od jednego kroku. Rzeczywiście, było to jedno z jej ulubionych powiedzonek. Teraz taki optymizm wydawał się jej bardzo, bardzo odległy.

Najwyraźniej czekał na jej odpowiedź, a skoro się nie odezwała, rozejrzał się wokół.

- Chcesz pooglądać telewizję? Zrobię prażoną kukurydzę i gorącą czekoladę - jak za dawnych czasów.

Dawne czasy.

Te słowa sprawiły, że Annie mignęło przed oczyma całe życie. Tej wiosny z wielkim wysiłkiem odkopła prawdziwą Annie, a teraz Blake chce ją znowu zagrzebać w piachu dawnych wzorców. Wiedziała, że jutro będzie musiała uczciwie poszukać powrotnej drogi do Blake'a, ale dzisiaj była na to zbyt zmęczona.

- Nie, dzięki - odrzekła cicho. - Chyba się położę. Miałam męczący dzień. Możesz spać w zielonym pokoju gościnnym. Powlokłam dziś świeżą pościel.

- Och, myślałem...

- Wiem, co myślałeś. Nic z tego.

Mogłaby się roześmiać na widok jego miny - taki był zmieszany i strapiony - ale Annie to nie śmieszyło. Był jej mężem, ojcem jej dzieci, mężczyzną, którego przysięgła kochać, szanować i nie opuszczać aż do śmierci, a teraz, stojąc w salonie domu, w którym przemieszkali razem tyle lat, nie miała mu absolutnie nic do powiedzenia.

Blake spotkał Natalie koło odprawy celnej. Uścisnęła go mocno, po czym cofnęła się i rozejrzała dookoła.

- Gdzie jest mama?

- Nie dała rady przyjechać. Opowiem ci wszystko w samochodzie po drodze do domu.

- Masz ferrari?

- A cóż by innego?

- Mogę prowadzić?

Blake skrzywił się z niezadowoleniem.

- Czyżby ktoś ci powiedział, że niedawno doznałem uszkodzenia mózgu? Nigdy nie pozwolę...

- Och, tato, proszę. Nie prowadziłam od miesiący.

- To nie jest argument przemawiający na twoją korzyść.

- Oj, tato, prooooszę.

Wyobraził sobie, jaką Annie zrobi minę, kiedy się dowie, że pozwolił Natalie prowadzić. Z wolna wyciągnął kluczyki z kieszeni i rzucił je w powietrze. Natalie schwyciła je jedną ręką.

- Idziemy, tato! - Złapała go za rękę i pociągnęła przez salę. Po chwili przypięci pasami mknęli sportowym samochodem w kierunku domu.

Jak zawsze Blake czuł się nieswojo w obecności córki. Zastanawiał się, co by tu powiedzieć, by przerwać niezręczną ciszę, która zawsze między nimi zapadała.

Zmieniła jego stację radiową. Ciężka rockandrollowa muzyka grzmotnęła z głośników.

- Zgaś to - powiedział jak automat.

Wyłączyła muzykę, po czym nacisnęła kierunkowskaz i wjechała na pas szybkiego ruchu, siadając na ogonie czarnego kabrioletu mercedesa. Zanim zdążył jej powiedzieć, co ma robić, zwolniła i się cofnęła.

- Tato, więc jak się ma dziadek Hank?

- A skąd mogę wiedzieć? Zerknęła na niego.

- Przecież byłeś w Mystic.

Poruszył się niespokojnie na fotelu, zadowolony, że spojrzeniem powróciła na szosę. Nie umiał sobie radzić w takich sytuacjach. To Annie powinna odpowiednio przedstawić Natalie sprawę ich separacji.

- Byłem... strasznie zajęty. Mam na głowie ten rozdmuchany spór między gwiazdą rocka i...

- Ach, więc byłeś strasznie zajęty - powtórzyła cicho, mocno zaciskając ręce na kierownicy, wpatrzona prosto przed siebie.

- Miałem urwanie głowy.

- To pewnie dlatego ani razu do mnie nie zadzwoniłeś.

Posłyszał urazę w jej głosie i nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy przedtem nie słyszał tego tonu, lecz nagle zaczął się zastanawiać, czy nie używała go przez cały czas.

- Co piątek przesyłałem ci kwiaty.



- Rzeczywiście. Kazałeś swojej sekretarce, by zleciła posyłanie mi kwiatów co tydzień. Tyle o mnie myślałeś.

Blake westchnął. Został zepchnięty na pozycje defensywne. Jak może wyjawić swej nastoletniej córce, że porzucił rodzinę - i to na parę miesięcy - żeby bez opamiętania uprawiać seks z kobietą, której nie było jeszcze na świecie, gdy zastrzelono Kennedy'ego.

Co ma jej powiedzieć? Prawdę, kłamstwo czy coś pośredniego?

Annie wiedziałyby, co zrobić i jak z nią rozmawiać. Zawsze pomagała mu w kontaktach z Natalie. Spojrzeniem, dotykiem czy szeptem subtelnie dawała do zrozumienia, kiedy ma się do niej zbliżyć, a kiedy wycofać.

Ale teraz coś musiał powiedzieć. Natalie najwyraźniej czekała na jego wyjaśnienia.

- Twoja mama... jest na mnie zła. Popełniłem parę błędów i... no cóż...

- Wiosną przeprowadziliście separację. - Powiedziała to bezdźwięcznym, monotonnym głosem, nie patrząc na Blake'a.

Zamrugął.

- Po prostu mała przerwa i tyle. Teraz już wszystko będzie dobrze.

- Doprawdy? Podczas mojej nieobecności poddałeś się operacji - może przeszczepowi osobowości? Czy też odszedłeś na emeryturę? Daj spokój, tato, jakim cudem ma być lepiej? Nienawidzisz siedzenia w domu.

Zmarszczył z niezadowoleniem brwi, wpatrując się w jej surowy profil. Dziwnie to zabrzmiało w ustach jego własnej córki.

- Nie masz racji.

- Tak, jasne. Dlatego sprzed czasów liceum w ogóle cię nie pamiętam.

Głębiej wbił się w fotel. Może właśnie z tego powodu tyle czasu spędzał poza domem. Annie i Natalie były mistrzyniami w zrzucaniu na niego wydumanych win.

- Wszystko się ułoży, Natalie, przekonasz się. Twoja mama... będzie miała dziecko.

- Dziecko? O Boże, dlaczego mi o tym nie powiedziała? - Roześmiała się. - Wprost nie mogę uwierzyć...

- To prawda. Znowu musi przeleżeć tę ciążę - tak jak z Adrianem. I będzie potrzebowała naszej pomocy.

- Naszej pomocy?

Tyle tylko powiedziała, a on był zadowolony, że zarzuciła temat separacji, lecz po chwili milczenie stało się dokuczliwe. Myślał o tym absurdalnym zdanku: „W ogóle cię nie pamiętam”. Powracało doń uporczywie, choć starał się je odpędzić.

Wyjrzał przez okno na całe swe życie. Przed laty, gdy Natalie była pucołowatym berbeciem, któremu buzia się nie zamykała, stosunki między nimi były zupełnie inne. Patrzyła na ojca oczyma pełnymi uwielbienia.

Ale z czasem przestała uważać, że może jej dać gwiazdkę z nieba, a on, z powodów, których już nie pamiętał, machnął na to ręką. Zawsze był tak cholernie zajęty.

To bezsprzecznie prawda, że nigdy nie miał dla niej zbyt wiele czasu. Ale macierzyństwo było działką Annie, a jej przychodziło to tak łatwo, że nie czuł się niezbędny. Jego rzeczą było zarabiać na dom. A gdy uświadomił sobie, że córka przestała przychodzić do niego ze swoimi kłopotami - ruszający się ząb, zgubiony miś - było już za późno. Jednego dnia była bezzębnym brzdącem, a nim się obejrzał, wychodziła do miejscowego centrum z grupą dziewcząt, których nie rozpoznawał.

Z przykrością uświadomił sobie, że on również niewiele pamięta z jej życia. Pewne chwile, tak, obrazy w jego umyśle, oczywiście. Ale

wspomnień, tych pamiątek wspólnie spędzonego czasu, nie miał prawie żadnych.

Annie najpierw usłyszała pisk.

- Mammaa!

Usiadła w łóżku, wzburzając leżące za nią poduszki.

- Tu jestem, Nano!

Natalie wpadła do sypialni Annie. Rozradowana, szeroko uśmiechnięta, rzuciła się do wielkiego łóża i objęła Annie w uścisku. Blake wszedł parę minut później i stanął obok łóżka.

Nareszcie Natalie odsunęła się. Jej piękne, niebieskie oczy pełne były łez, ale uśmiechała się od ucha do ucha.

Annie nie mogła się napatrzeć na córkę.

- Tęskniłam za tobą, Nano - wyszeptała.

Natalie przechyliła głowę, obrzucając Annie krytycznym wzrokiem.

- Co ci się stało z włosami?

- Obcięłam je.

- Wyglądasz wspaniale. Mogłybyśmy uchodzić za siostry. - Spojrzała na nią z udanym przerażeniem. - Ale chyba nie pojedziesz ze mną na uniwersytet...

Annie rzuciła jej spojrzenie zranionej sarny.

- Nie sądziłam, że ci to nie w smak. Zobowiązałam się, że będę pilnować porządku w twoim pokoju.

Natalie przewróciła oczami.

- Gdyby to powiedziała czyjaś inna matka, mogłabym uznać, że żartuje. - Spojrzała na Blake'a. - Nie pozwolisz jej pojechać, co, tato?

Annie uniosła wzrok ku Blake'owi, który się w nią wpatrywał. Przysunął się bliżej i władczy gestem położył jej rękę na ramieniu.

- Zrobię, co mogę, żeby ją zatrzymać w domu -oświadczył zdecydowanym tonem.

- Tata powiedział, że jesteś w ciąży. - Leciutka uraza przemknęła przez błękitne oczy Natalie i znikła. - Nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś.

Annie delikatnie dotknęła policzka córki.

- Sama dopiero co się dowiedziałam, kochanie. Natalie się uśmiechnęła.

- Przez szesnaście lat prosiłam o siostrę, a ty zachodzisz w ciążę akurat, jak wyjeżdżam na uniwersytet. Serdeczne dzięki.

- To stanowczo podpada pod kategorię „wypadku”. Wierz mi, zawsze chciałam wypełnić ten dom dziećmi -ale nie tuż przed emeryturą.

- Nie jesteś taka stara. Czytałam o sześćdziesięciolatce, która miała dziecko.

- Doprawdy podniosłaś mnie na duchu. Rozumiesz, oczywiście, że teraz zmieniły się reguły. Nie można mieć dziecka, póki jego rodzeństwo nie skończy szkoły średniej. I będziesz musiała mnie przedstawiać jako swoją macochę.

Dziewczyna się roześmiała.

- Kłamię na twój temat od lat, mamó. Odkąd rozplakałaś się na moim występie tanecznym i trzeba cię było wyprowadzić z budynku.

- To był atak alergii.

- Ha, ha, akurat. - Roześmiała się. - Wiesz co, mamó? Tata pozwolił mi prowadzić ferrari do domu.

- Żartujesz.

- Dobrze, że cię tam nie było. Kazałabyś mi włożyć kask i jechać bokiem szosy - najlepiej z włączonymi światłami awaryjnymi.

Annie roześmiała się i aż ją zastanowiło, jak dobrze się w tym wszystkim czuje - pośród przekomarzania się, żarcików, w tej atmosferze zażyłości. To było takie naturalne.

Stanowili rodzinę. Prawdziwą rodzinę. Blake pochylił się niżej nad Annie. Wszeptał tak cicho, że tylko ona mogła to usłyszeć:

- Ludzie się zmieniają, Annalise.

Przeraziło ją to zwodniczo proste zdanie, które jakby obiecywało jej słońce, księżyc i gwiazdy.

Wtedy właśnie zorientowała się, że jest w ryzykownym położeniu. Człowiek, którego kochała od tak dawna, zawsze wiedział, co powiedzieć i co zrobić. Znowu może ją postawić w skrajnej sytuacji. Jeśli nie będzie uważać, zsunie się, nie wzbudzając nawet falki, do łagodnie płynącego strumienia swego dawnego życia, wciągnie ją prąd, a ona nawet nie zaskomli na znak protestu. Kolejna gospodyni domowa zaginiona w odmętach cichej wody.

Jej potrzaskane na kawałki życie rodzinne ułożyło się w całość ze zdumiewającą łatwością. Niczym na szklanym wazonie, który stłukł się i został starannie posklejany, drobne rysy widać było dopiero po przyjrzeniu się z bliska, gdy Blake i Annie zostawali sami. Ta dwójka była niczym żołnierze, którzy czujnie krążyli wokół siebie, układając się o niezręczny pokój, choć żadne z nich nie nosiło go w sercu.

Annie przez dwadzieścia lat żyła ustalonym trybem i teraz gładko weń wskoczyła. Wstawała wcześnie i ubierała się w kosztowny jedwabny szlafrok ze śliczną kokardą, wiązaną w coraz bardziej grubiejącej tali. Umiejętnie podkreślała rysy makijażem, nakładając warstwy podkładu, by ukryć ciemne sińce pod oczami, które powstawały podczas niespokojnych nocy.

W poniedziałki sporządzała listę zakupów żywności i posyłała Natalie na róg, do sklepu dla smakoszy. We wtorki płaciła domowe rachunki. W środy naradzała się z gospodynią i ogrodnikiem, a w czwartki wysyłała córkę w różne miejsca, by pozbierała wszelkie, najprzeróżniejsze kawałki ich wspólnego życia. Dom znowu był dobrze zarządzaną jednostką.

Pomagała Blake'owi dobierać garnitury i krawaty, przypominała mu, kiedy ma pójść po rzeczy do pralni. Co rano całowała go na do widzenia - muskała mu policzek beznamiętnym pocałunkiem przyzwoitej żony - a wieczorem witała go w domu uśmiechem. On zaś przysiadł na jej łóżku i opowiadał sztywno, jak minął mu dzień.

Szczerze mówiąc, chętnie spędzała dni w łóżku, kryjąc się tu przed małżeńską rzeczywistością. Przez większość czasu, gdy Blake był w pracy,

razem z Natalie całymi godzinami rozmawiały, śmiały się i dzieliły wspomnieniami.

Annie dowiedziała się, że Blake ani razu nie zadzwonił do Natalie, gdy była w Londynie. Słyszała w głosie córki urazę i rozczarowanie, lecz nie była w stanie nic na to poradzić.

- Strasznie mi przykro - powtarzała tylko raz po raz.

Annie zauważała coraz więcej zmian w Natalie, dojrzałość, którą teraz zaczęła okazywać. Od czasu do czasu zaskakiwała Annie zdumiewającymi spostrzeżeniami. Jak wczoraj.

„Myślisz tylko o tym, żebyśmy byli szczęśliwi. A kiedy ty jesteś szczęśliwa, mamó?”

Albo: „Wiosną... miałaś głos zupełnie inny niż zawsze. Wydawałaś się taka szczęśliwa”.

I najbardziej nieoczekiwane ze wszystkich pytań: „Kochasz tatę?”

Annie już miała odruchowo odpowiedzieć: „Tak, oczywiście, że kocham twojego tatę”, lecz spojrzawszy w oczy Natalie, dostrzegła w nich dojrzałe zrozumienie. I tak Annie odezwała się do kobiety, którą stała się jej córka:

„Zakochałam się w twoim tacie już jako nastolatka. Po prostu teraz przeżywamy trudny okres”.

„On cię kocha” - odparła Natalie. „Podobnie jak kocha mnie, ale... ta jego miłość... nie jest bardzo gorąca... nie taka jak twoja, mamó”.

Ta spokojna uwaga doprowadziła Annie do łez. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że Natalie nigdy nie będzie wiedziała, co tak naprawdę oznacza ojcowska miłość. Tej straty w życiu Natalie już nigdy nie da się nadrobić...

W przeciwieństwie do Izzy.

Zamknęła oczy i osunęła się na łóżko, przypominając sobie, jak Nick i Izzy grali w „Słodki świątek” i Nick siedział zgarbiony nad planszą... albo gdy oboje bawili się lalkami Barbie na podłodze bawialni i Nick pytał fałszywie: „Widziałaś moje niebieskie buty do tańca?”

Wczoraj, gdy razem z Natalie poszły do lekarza, Annie nie mogła odegnąć wspomnień. Były po prostu zbyt bolesne. Nie miała koło siebie męża, który potrzyzymałby ją za rękę i zaśmiał się, że Annie tak koniecznie musi iść na siusiu. Nie miała przy sobie męża, który by patrzył na zamazany czarny obraz na monitorze i podziwiał cud.

Nie było Nicka.

Zastanawiała się, jak długo to potrwa. Czy resztę życia spędzi z poczuciem, że zasadniczą część siebie zostawiła w innym miejscu i czasie?

Pierwszy list, który przyszedł, był mały i pognieciony. Niebieski, wyblakły stempel głosił: Mystic, WA.

Annie wpatrzyła się w różową kopertę. Otworzyła ją bardzo ostrożnie, po czym wyjęła karteczkę. Był to rysunek piórem przedstawiający górę Olimp. Wewnątrz znajdował się list od Izzy.

„Kochana Annie,

Jak się masz? Ja dobrze.

Kfiaty są cudne. Dzisiaj nauczyłam się jeździć na roweże.

Było fantastycznie.

Tensknij za tobie. Kiedy wrucisz do domu? Całuję, Izzy.

P. s. Tatuś pomogł mi napisać ten list”.

Annie ścisnęła karteczkę w ręce. Cały ten liścik, każdy błędnie napisany wyraz poruszał struny jej serca. Siedziała sztywno na łóżku i wpatrywała się w przeraźliwie błękitne niebo, pragnąc, by zaczęło padać. Wiedziała, że odpowie Izzy, ale co jej napisać? Parę beznadziejnych zdań,



niezawierających żadnych obietnic? Albo szereg bezsensownych banałów, głoszących, że wszyscy razem na zawsze pozostaną przyjaciółmi? Tylko przyjaciółmi, ale czasami przyjaciele pragną czegoś więcej...

Znaczenie miało tylko kilka słów, które były ze wszystkich najprawdziwsze: „Ja też za tobą tęsknię, Izzy”...

Wysunęła szufladę nocnej szafki, wyciągnęła wstążkę do włosów Izzy i pogłaskała ten kawałek satyny. Wiedziała, że jutro odpisze dziewczynce i że gęsto wypełni stronicę, ale nie zająknie się nawet na temat tego, co najważniejsze. Nie powie Izzy tej jednej rzeczy, którą dziewczynka pragnęłaby usłyszeć.

Podniosła ze stołu telefon bezprzewodowy i długo słuchała sygnału, po czym z wolna odłożyła słuchawkę. Dzwoniąc do Nicka i Izzy, wyrzuciłaby im krzywdę, nie powinna koić swej samotności wsłuchiowaniem się w ich głosy. „Nie rób mi tego, Annie” - powiedział Nick. „Nie rzucaj mi nadziei jak ochłapu, żebym go zakopał za domem...”

- Mamo? - Natalie wsunęła głowę do sypialni. - Nic ci nie jest?

Annie pociągnęła nosem i odwróciła się od niej. Natalie pospieszyła do łóżka i położyła się przy matce.

- Dobrze się czujesz?

„Nie” - pragnęła odpowiedzieć. „Nie czuję się dobrze. Tęsknię za ukochanym mężczyzną, jego córką i za miejscem, gdzie opady mierzy się w decymetrach, włosy zawsze są wilgotne, a dorośli w środku popołudnia grają w »Tor przeszkód« z sześciolletnią dziewczynką”.

Ale takich rzeczy nie mówi się nastoletniej córce, żeby nie wiem jak dorośle wyglądała.

- Wszystko w porządku, kochanie, naprawdę.

Choć tak strasznie starała się być dawną Annie, nie bardzo jej to wychodziło. Mimo że za wszelką cenę usiłowała wykonywać wszystkie swe normalne obowiązki, czuła, że ster rządów wymyka się jej z rąk. Widziała, jak z każdym dniem przybliża się przyszłość, skryta w nisko kłębiących się tumanach mgły straconych szans i zaprzepaszczonych możliwości.

Lato buchnęło w południowej Kalifornii falą niezwykłych jak na tę porę roku upałów. Wzgórza Malibu wyschły i zbrązowiały. Liście, jeden po drugim, zwijały się i wędły, opadając niczym kawałki nadpalonego papieru na sztucznie zielone trawniki.

Blake stał na werandzie przed swoim pokojem, sącząc szkocką z wodą. Pod bosymi stopami czuł ciepłe drewno, kryjące resztki zdumiewająco gorącego dnia.

Źle spał w nocy. Prawdę mówiąc, źle spał od wielu tygodni. Odkąd przeprosił Annie i stwierdził, że nic ją to nie obchodzi.

Wiedział, że starała się, by ich małżeństwo funkcjonowało należycie. Robiła, co mogła, każdego rana malowała się, nosiła kolory, które lubił. Od czasu do czasu nawet go dotykała - krótko, przelotnie, co miało poprawić mu samopoczucie, lecz wywierało efekt wręcz odwrotny. Za każdym razem, gdy ich ciała stykały się, doznawał lekkiego, ale dokuczliwego bólu w piersi i przypominał sobie, jak to niegdyś bywało, jak dotykała go przez cały czas, śmiała się z jego żartów i odgarniała mu włosy z twarzy, a te wspomnienia raniły go do żywego.

Nie była już sobą, to się rzucało w oczy. Leżała w ich wielkim łóżu niczym milczący, ciężarny duch, a gdy się uśmiechała, był to przelotny, kruchy grymas, wcale nie jak u dawnej Annie.

Można by rzec, z braku lepszego słowa, że... znikła.

Kiedyś ciągle się śmiała i paplała, znajdowała radość w szaleństwie życia, lecz teraz nic jej nie ciekawiło. Jej nastroje tworzyły płaską linię, równą i gładką. Tak gładką, że nie odnajdywał śladu Annie w tej milczącej kobiecie, która wraz z nim wieczorami oglądała telewizję.

W zeszłym tygodniu, gdy padało, usiadła na łóżku, wpatrując się w sieczone srebrzystymi smugami okno. Kiedy ją zawołał, odwróciła się, a on dojrzał łzy w jej oczach. Trzymała w ręce kawałek podartej wstążki do włosów, jakby to był święty Graal.

Nie mógł tego dłużej znieść. Nie był typem człowieka gotowego się natrudzić, by osiągnąć cel. Dość już tego.

Odstawił drinka na stół i wrócił do domu. Zastukał do drzwi Annie - szybko, nim straci cierpliwość.

- Wejdz - usłyszał.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Pokój wyglądał równie miło jak zawsze, ze ścianami w kolorze morskiego błękitu, dywanem i białym łóżem.

Annie czytała w łóżku książkę zatytułowaną ***Jak prowadzić własną, małą firmę***. Obok niej leżał stos podobnych poradników.

Jezus, czyżby zamierzała podjąć pracę?

Gdyby szukała zajęcia, czułby się upokorzony, wiedziała, jakie mąż ma zdanie na temat przyjęcia przez nią posady. Zwłaszcza że nie ma żadnego przygotowania zawodowego. Co będzie robić - nalewać kawę i wyciągać rogaliki z oszklonej lady?

Nie miał pojęcia, kim jest kobieta, która siedzi w łóżku i czyta o przedsiębiorczości. Czuł się niezwiązany z Annie, musi coś zrobić, by znowu stanowili jedność.

Gdy uniosła wzrok, dostrzegł sińce pod jej oczami i szary odcień skóry. W zeszłym miesiącu sporo przybrała na wadze, ale dziwnym trafem

jej twarz wyglądała na szczuplejszą. Włosy, już nieco dłuższe, zaczęły się wściekle kręcić na końcach. Znowu wyglądała jak kobieta, której nie znał.

- Cześć, Blake - przywitała go cicho, zamykając książkę. - Czy film już się zaczyna? Myślałam...

Podszedł do łóżka i usiadł obok niej, wpatrując się w jej piękne, zielone oczy.

- Kocham cię, Annie. Wiem, że poradzimy sobie z tym wszystkim, jeśli będziemy... razem.

- Jesteśmy razem.

- Gdzie masz obrączkę?

Ruchem głowy wskazała na mahoniową szyfonierkę.

- W szkatułce z biżuterią.

Wstał i podszedł do szyfonierki, ostrożnie otwierając ręcznie malowane puzderko, zawierające wszystkie skarby, które jej przez te lata ofiarował. Tu, między czarnymi aksamitnymi fałdami, znajdował się pierścionek z trzy-karatowym brylantem, który podarował jej na dziesiątą rocznicę ślubu. Obok leżała zwykła złota obrączka, którą kupili na samym początku. Wziął je, powrócił do łóżka i usiadł obok żony.

Wpatrzył się w rzucający iskry brylant.

- Pamiętasz te wakacje przed laty w hotelu Del Coronado? Natalie miała chyba roczek...

- Sześć miesięcy - poprawiła go. Spojrzał na nią.

- Przynieśliśmy wielki, stary, niebiesko-czerwony koc - ten, którym przykrywałem łóżko w akademiku -i rozłożyliśmy go na plaży. Nie było tam żywej duszy, tylko nasza trójka.

Na twarzy Annie pojawił się cień uśmiechu.

- Poszliśmy pływać, chociaż ziab przejmował do kości.

- Trzymałaś Natalie, a fale omywały ci uda. Miałaś praktycznie sine wargi i gęsią skórę, ale śmiałaś się, i pamiętam, jak bardzo cię wtedy kochałem. Aż czułem ukłucie w sercu za każdym razem, gdy na ciebie patrzałem.

Spojrzała na ręce, złożone na podolku.

- To było dawno temu.

- Znalazłem jeżowca, pamiętasz? Dałem ci go, a nasze dziecko raczkowało między nami na kocu, kołysząc małą pupką w przód i w tył. Chyba uczyła się pełzać.

Annie przymknęła oczy, a on zastanawiał się, o czym żona myśli. Czy pamięta resztę tego dnia? Jak często jej dotykał... albo jak się pochylił i muskał jej kark pocałunkiem. „Hej, Godiwo” - wyszeptał. „Dalej przy tej drodze wypożyczają konie”. I jej pełną śmiechu odpowiedź: „Dzieci nie jeżdżą konno”.

- Kiedy przestaliśmy się razem bawić, Annie? Kiedy? - Uwodził ją wspólnymi wspomnieniami i widział, że to działa, wpatrywała się bowiem z niezwykłym nateżeniem w swe dłonie, a jej oczy błyszczały wilgocią.

Z wolna wyciągnął rękę i wsunął jej obrączkę i pierścionek z powrotem na palec.

- Wybacz mi, Annie - poprosił.

Uniosła wzrok. Łza spłynęła jej po policzku i opadła na szlafrok, zostawiając szarą, moką plamkę.

- Chciałabym.

- Pozwól mi spać dzisiaj ze sobą...

Westchnęła. Długo nie odpowiadała, tak długo, że zaczynał tracić nadzieję.

- Dobrze - zgodziła się w końcu.

Powiedział sobie, że liczy się tylko odpowiedź. Nie zwracał uwagi na niepewność w jej głosie, łzy w oczach ani na to, że patrzyła nań jakoś z ukosa. Po wspólnie spędzonej nocy znowu wszystko będzie jak dawniej. Ułamki ich roztrzaskanych żywotów na powrót złożą się w całość.

Chciał rzucić się na nią i gwałtownie objąć, ale zmusił się do powolnego działania. Wstał, podszedł do szafki i przebrał się w piżamę. Potem niespiesznie wrócił do łóżka, odgarnął kołdrę i wsunął się w chłodną, białą, bawełnianą pościel.

Gdy ją przytulił, poczuł ukojenie, jakby po długim dniu w biurze wsunął stopy w ulubione kapcie. Pocałował ją lekko, a ona jak zawsze była uległa i niewymagająca. W końcu odwrócił się - jak zawsze na początku ich nocnego rytuału. Po długiej chwili sama przytuliła się do niego.

Przywarła doń ciałem w pieszczocie, przycisnęła brzuch do jego pleców. Zawsze tak spali, ale tym razem nie otoczyła go ramionami.

Leżeli obok siebie, dotykając się i nie dotykając, w łóżku, w którym przez tyle lat namiętnie się kochali. Nie odzywała się, powiedziała mu tylko: „dobranoc”, a on nie mógł wymyślić niczego innego.

Minęły długie godziny, nim zasnął.

Natalie postawiła dużą metalową misę prażonej kukurydzy u stóp łóżka Annie, po czym weszła do niego i przytuliła się do mamy. Było piątkowe popołudnie - dzień dziewcząt. Annie, Natalie i Terri spędzały razem popołudniowe piątkowe godziny od czasu powrotu Annie do domu. Śmiały się, rozmawiały, grały w karty i oglądały telewizję.

- Zostawiłam drzwi otwarte, żeby Terri mogła wejść - rzekła Natalie, kładąc sobie miskę na kolanach.

Annie się uśmiechnęła.

- Wiesz, co powiedziałyby twój tatuś. Uważa, że bandziory cały dzień kryją się po krzakach róż i tylko czekają, aż któraś z nas zostawi otwarte drzwi.

Natalie roześmiała się. Gawędziły po trosze o wszystkim. Rozmowa płynęła z biegiem rzeki ich lat, tocząc się od jednego tematu do następnego. Śmiały się z błazeństw wczorajszych i liczących tyle lat co Natalie. Przez cały czas Annie zdumiewała dojrzałość córki - nastolatka, która wyjechała do Londynu, wróciła do domu jako młoda kobieta. Mogłoby się wydawać, że minęły lata świetlne od czasu, gdy Natalie buntowała się, ostrzygła włosy na krótko i ufarbowała je na platynowo czy też przekłuła sobie uszy w trzech miejscach.

- Dlaczego tata nigdy nie mówi o dziecku?

Pytanie padło jak grom z jasnego nieba i poraziło Annie. Starła się nie porównywać Blake'a i Nicka, ale w takich chwilach jak ta było to niemożliwe. Nick czuwałby nad każdym krokiem Annie na tej długiej drodze, wraz z nią cieszyłby się tym cudem, patrząc, jak rośnie jej brzuch. Trzymałaby go kurczowo za rękę podczas punkcji owodni, a jego żarty odwróciłyby jej uwagę od igły... a potem śmialiby się razem na wieść, że to dziewczynka, przerzucaliby książki z wykazami imion i snuli marzenia...

- Cięża wprawia twego tatę w zakłopotanie - westchnęła. - Zawsze tak było. Mnóstwo mężczyzn reaguje w ten sposób. To się poprawi, jak urodzę.

- Spójrz prawdzie w oczy, mamó. Tata jest dobry w tym, co robi. A przecież macie podobno przezwyciężyć „trudny okres”, ale taty nigdy tu nie ma. Nadal pracuje po siedemdziesiąt godzin tygodniowo, gra w koszykówkę we wtorkowe wieczory, a w każdy piątek po pracy idzie na drinka z „chłopakami”. To kiedy rozwiążecie swoje problemy? Oglądając

***Wielkiego Brata?***

Annie uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Zrozumiesz to, gdy będziesz starsza. Znajome rzeczy... niosą pewną pociechę.

Natalie wbiła w nią wzrok.

- Czy wiesz, że nie mam żadnych wspomnień o tacie? Pamiętam tylko kilka pocałunków składanych w przelocie i dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Gdy słyszę zapuszczany silnik albo szum spadającej bramy od garażu, myślę o tacie. - Odwróciła się do Annie. - A co będzie, gdy minie lato... i wyjadę?

Annie zadrżała, choć w pokoju było ciepło. Odwróciła wzrok od Natalie, nie mogąc znieść smutnej pewności w oczach córki.

- Gdy odjedziesz, będę się martwiła sadzaniem dziecka na nocniczku i pielęgnacją blatu stolika w salonie. Zastanowię się, czy nie zrobić sobie operacji plastycznej, żeby piersi nie zwisały mi do pępka. No wiesz, takie rzeczy.

- I będziesz samotna.

Annie pragnęła zaprzeczyć. Chciała być dojrzałą i dobrą rodzicielką i mówić to, co należy, by Natalie się nie martwiła. Ale żadne kojące kłamstwo nie przychodziło jej do głowy.

- Może trochę. Tak bywa w życiu, Nano. Nie zawsze otrzymujemy to, czego chcemy.

Natalie spojrzała na swoje dłonie.

- Gdy byłam małą, mówiłaś mi, że życie daje to, czego pragniemy, jeśli się walczy i wierzy w swój cel. Mówiłaś, że po burzy zawsze świeci słońce.

- To mówiła matka maleńkiej dziewczynce. A teraz rozmawiam z prawie dorosłą kobietą.

Natalie wpatrywała się w nią długo i uważnie. Polem się odwróciła.



Annie poczuła się nagle bardzo oddalona od córki. Przypomniała sobie, jak przed czterema laty Natalie całkiem zmieniła swą osobowość. Można by odnieść wrażenie, że w ciągu jednej nocy ich upodobania zupełnie się rozeszły - Natalie nienawidziła tego, co lubiła Annie. Boże Narodzenie owego roku było pełnym napięcia koszmarem; Natalie bez śladu entuzjazmu otwierała każdą, starannie opakowaną paczkę, mrużąc kwaśno: „O rany, dziękuję”.

Natalie z wolna odwróciła się do Annie.

- Wiesz, nie musisz być taka.

- Ale jaka?

Natalie potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- Nieważne.

Annie z wolna zaczęło świtać, o co jej idzie, a to odkrycie bardzo ją zabolalo. Teraz wszystko zaczęło do siebie pasować: pojęła, dlaczego Natalie zapragnęła studiować biochemię na Uniwersytecie Stanforda, nagle wyjechała do Londynu, nie spotykała się z tym samym chłopakiem dłużej niż przez parę miesięcy. Kryło się za tym smutne przesłanie: „Nie chcę być taka jak ty, mamó. Nie chcę we wszystkim zależeć od mężczyzny”.

- Rozumiem - rzekła Annie.

Gdy Natalie wreszcie odwróciła się do niej, w jej oczach błyszczały łzy.

- Co rozumiesz?

- Nieważne.

- Ważne. O czym myślisz?

- Myślę, że jako dorosła kobieta nie chcesz być podobna do starej matki i... choć mi przykro, jestem z ciebie dumna. Chcę, żebyś w życiu liczyła na siebie. Sądzę, że w sumie to wszystko, co mamy.

- Nigdy byś tego nie powiedziała, gdyby nie złamał ci serca.

- Chyba ostatnio trochę dojrzałam. W życiu nie zawsze świeci słońce i niebo jest niebieskie.

- Ale zawsze uczyłaś mnie, żeby dopatrywać się jasnych stron. Czy robisz to, mamó? Zastanawiasz się, jak być szczęśliwą?

- Oczywiście, że tak - odparła szybko, ale obie wiedziały, że to kłamstwo. Annie unikała przenikliwego wzroku córki. - Cieszę się, że nie chcesz być taka jak ja, Nano.

Twarz Natalie powlekła się smutkiem.

- Nie chcę takiego małżeństwa jak twoje i nie rozumiem, dlaczego z nim jesteś - nigdy tego nie rozumiałam. To nie znaczy, że nie chcę być taka jak ty. Na świecie jest tylko dwoje ludzi, którzy cię nie szanują - w każdym razie, jak mi wiadomo.

Annie spojrzała na Natalie, lekko potrząsając głową, jakby mogło to zatrzymać potok słów córki.

- Tylko dwoje - ciągnęła Natalie. Po jej policzku spływała łza, którą otarła niecierpliwym ruchem. - Tata... i ty.

„Ty”. Annie nagle poczuła, że pragnie zniknąć, wtopić się w kosztowną pościel i przepaść. Wiedziała, że Natalie czeka na jej słowa, ale nie miała pojęcia, jak należy odpowiedzieć. Czuła się, jakby była dzieckiem, a Natalie matką, i jako dziecko zawiodła swoją rodzicielkę.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć - nie miała pojęcia, co - gdy nagle Terri wpadła do sypialni niczym wielobarwny byk; jej ciało okrywały warstwy czerwonej i złotej lamy.

Koło łóżka zatrzymała się, z trudem łapiąc oddech. Opierając ręce na obfitych biodrach, rzuciła okiem na miskę prażonej kukurydzy.

- A gdzie jest moja kukurydza? To wystarczy na dwie takie chudziny jak wy, ale prawdziwe kobiety lubią kukurydzę w miskach, które mogą się dwukrotnie powiększyć, jak łodzie ratunkowe. I koniecznie musi być w niej dużo masła.

- Jak się masz, Terri? - uśmiechnęła się Natalie.

Terri odwzajemniła uśmiech, mocno wytuszone rzęsy niemal zakrywały jej błyszczące oczka.

- Jak się masz, księżniczko?

- Zrobię następną porcję kukurydzy.

- Dobrze, złotko - przytaknęła Terri, odwijając z głowy złocisty turban. Gdy Natalie pospiesznie wyszła z pokoju, Terri usiadła na skraju łóżka i oparła się o podnózek.

- Boże, co za dzień! - westchnęła. - Przepraszam za spóźnienie.

Annie uśmiechnęła się słabo z tych teatralnych efektów.

- Co się stało?

- Moja bohaterka ucieka przed wymiarem sprawiedliwości - po raz kolejny - ale tym razem wsadzają ją do samolotu. - Terri potrząsnęła głową. - To bardzo niedobrze.

- A cóż w tym złego?

- Postać z serialu nie może zrobić nic gorszego niż wsiąść do samolotu - chyba tylko wsiąść do samochodu. Potem słyhać syreny... i marsza pogrzebowego. Jeżeli rzeczywiście wyznaczą lot na jutro, zostanie ze mnie tylko kupa mięcha.

- Odbijesz sobie.

- Czkawką. - Terri przesunęła się do przodu i obróciła, by usiąść obok Annie. -I jak się miewa nasz mały balonik?

Annie zerknęła na brzuch.

- Rośnie zdrowo.

- Od tygodni przychodzę tu do ciebie co piątek i bez przerwy rozmawiamy przez telefon. Przyznasz, że jestem cierpliwa jak diabli.

- Pod jakim względem?

Terri spojrzała na nią ciężkim wzrokiem.

- Pod jakim? Nie udawaj.

Annie westchnęła.

- Chodzi o Nicka?

- A o kogóż by innego? Czekałam cierpliwie - a obie wiemy, że cierpliwość nie jest moją najmocniejszą stroną - aż bąkniesz coś wreszcie na jego temat, ale się nie doczekałam. Nie spodziewaj się, że taktownie nie będę ci włąziła z butami w duszę. No, a teraz gadaj. Dzwoniłaś do niego?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego nie?

Annie odwróciła się do przyjaciółki.

- Daj spokój, Terr.

- Aaa... to kwestia honoru. Czytałam o tym. Ze sprawami honorowymi rzadko mamy do czynienia w południowej Kalifornii. A już w serialach w ogóle się o nich nie wspomina. Ale kochasz go?

- Wolałabym o tym nie mówić.

- Nie ma co okłamywać takiej starej dziwki jak ja. Do diabła, Annie, byłam zakochana częściej niż Liz Taylor, a spałam z takim zastępem mężczyzn, że w razie wojny mogliby obronić Amerykę. No więc: kochasz go?

- Tak - wyszeptała, krzyżując ramiona. Ciężko jej było wypowiedzieć to słowo na głos i natychmiast tego pożałowała. - Ale się przemożę. Muszę.

Blake wyłazi ze skóry, żebyśmy znowu byli rodziną. Teraz jest nam... trochę ciężko, ale wszystko się ułoży.

Terri uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Mam nadzieję, że ci się uda, Annie, ale zazwyczaj, kiedy miłość odchodzi, to już na dobre, i żadne udawanie ani pobożne życzenia nie sprowadzą jej z powrotem.

- Czego nie sprowadzą z powrotem? - spytała Natalie, która stała w drzwiach z miską prażonej kukurydzy i butelką wody mineralnej.

- Niczego specjalnego, kochanie - rzekła cicho Annie.

Natalie wyciągnęła zza pleców taśmę wideo.

- Pożyczyłam film. - Włączyła magnetowid, po czym weszła na łóżko obok Terri.

Terri wzięła garść kukurydzy.

- Jaki film?

- *W przyszłym roku o tej samej porze.*

- Ten z Alanem Aldą? - Terri rzuciła Annie bystre, przenikliwe spojrzenie. - Zawsze uważałam, że to rewelacyjny pomysł. Chodzi mi o romans raz do roku. Mąż Ellen Burstyn to, zdaje się, kawał sukinsyna - pracoholik o moralności lubieżnego kocura. Przelatywał chyba wszystkie babki z okolicy, a potem przypełzał jak robał, którym w istocie jest. A ponieważ Ellen to słodkie stworzonko, przyjmowała go z powrotem i udawała, że nic się nie stało. Jednak w sekrecie spotyka się ze swoim ukochanym podczas jednego weekendu w roku na dzikim wybrzeżu Oregonu. Niech ja skonam, to kapitalna historia.

- Ciii - szepnęła Natalie. - Zaczyna się.

Annie odwróciła wzrok od Terri. Próbowwała wyzbyć się wszelkich uczuć, lecz gdy popłynęła muzyka i wyświetlano czołówkę, zagłębiała się

coraz bardziej w poduszki, jakby odległość mogła zmiękczyć ostre kontury wspomnień.

RS

Nick przetrwał lato, żyjąc z dnia na dzień. Co wieczór przed pójściem spać stawał nad jeziorem, gdzie wspomnienie Annie było najżywsze. Czasami ogarniała go tak gwałtowna tęsknota, że aż czuł ból w piersi. Podczas takich nocy najbardziej ciągnęło go do kieliszka, tęsknił za kojącym działaniem trunku.

Ale się nie dawał. Po raz pierwszy od lat przeżywał życie na swoich warunkach. Annie miała rację w tak wielu sprawach, o których mu mówiła. Wrócił do pracy, a codzienne zajęcia wyznaczały mu cel. Nigdy nie był tak dobrym policjantem. Robił wszystko dla ludzi będących pod jego ochroną, lecz gdy służba dobiegała końca, zawodowe problemy zostawiał w komisariacie. Uznał wreszcie, że porażki są rzeczą normalną, jedyne, co może zrobić, to starać się jak najlepiej.

Na przykład z Giną. Nadal odpierała pokusy dawnego sposobu życia i samobójczych zachowań, które dawały wszak chwilową pociechę. Inne dzieciaki były wobec niej przerażająco okrutne. „Grzeczne aniołki” nie chciały zadawać się z wyrzutkiem, a „łobuzy” robiły wszystko, by wciągnąć ją z powrotem w krąg narkotyków i bezcelowej wegetacji, lecz, jak Nick, trzymała się. Wprowadziła się z powrotem do swej starej sypialni i na nowo, z mozołem, odbudowywała więzy rodzinne, które tak bez namysłu zerwała. W zeszłym miesiącu zapisała się do szkoły.

I zawsze była Izzy, czekająca na Nicka pod koniec dnia z uśmiechem i własnoręcznie narysowanym obrazkiem czy nowo wyuczoną piosenką. Stali się nierozłączni. Najlepsi kumple. Nick cenił sobie każdą wspólnie spędzoną chwilę, każde słowo, które padło z ust córeczki.

W ciągu tygodnia pracował od dziewiątej do piątej; z chwilą gdy służba się kończyła, zabierał Izzy ze szkoły i odjeżdżali. Cały wolny czas spędzali razem.

Dziś skończył pracę przed trzema godzinami, po czym rozpoczął się wieczorny rytuał rodzinny. Najpierw kolacja na ganku (lasagne i zielona sałata od Vittoria), a potem razem szybko pozmywali naczynia.

Teraz Nick siedział po turecku na zimnej podłodze z desek, wpatrując się w barwną planszę „Słodkiego świątka”. Na polu startowym leżały trzy tekturki: czerwona, zielona i niebieska.

- Ale jest nas tylko dwoje, Izzy - powiedział, gdy dziewczynka postawiła trzeciego ludzika.

- To jest Annie, tatusiu.

Nick patrzył z rosnącym smutkiem, jak Izzy ze stoickim spokojem rzuca kostką za Annie i przesuwając jej niebieski kawałeczek tekturki z kwadratu na kwadrat.

- Chodź tu, Izzy - rzekł wreszcie, odsuwając grę. Podpełzła po podłodze i usiadła mu na kolanach, okręcając wokół niego swe cienkie nóżki. Wpatrzył się w nią. Słowa więzły mu w gardle, bo jak ma odebrać małej dziewczynce resztkę nadziei?

- Wróci, tato - zapewniła go Izzy wysokim, pełnym przekonania głosem niewinnego dziecka.

Pogłaskał ją po włosach.

- To rozumiałe, że za nią tęsknisz, słonko, ale ona raczej nie wróci. Ma inne życie... jak i przedtem. Mieliśmy szczęście, że była u nas tak długo.

Izzy oparła się o jego zgrubiałe palce.

- Mylisz się, tato. Wróci. Więc nie bądź taki smutny.



Smutny. Takie małe słówko, raptem podmuch oddechu, nijak się nie miało do bezmiernego poczucia utraty, które dręczyło go od wyjazdu Annie.

- Kocham cię, Izzy, misiaczku - wyszeptał. Cmoknęła go w policzek.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

Wpatrzył się w nią, gdy tak leżała w jego ramionach w różowej flanelowej piżamie i kapciuszkach z puszką; czarne włosy, jeszcze wilgotne, wiły się wokół jej twarzy; mrugała wielkimi, brązowymi oczyma, pełna oczekiwania.

Uświadomił sobie wówczas, tak jak i wielokrotnie wcześniej, że bez względu na to, co przyniesie przyszłość, zawsze będzie kochał Annie za wszystko, co mu ofiarowała.

Następnego ranka rześkie, chłodne powietrze zapowiadało jesień. Pod koniec lata kwiaty więdły już, a jesienne kolory - pomarańczowy, zielony i szkarłatny - zastąpiły promienne barwy sierpnia. Zachmurzone niebo rzucało cienie na cmentarz, gdzie akry trawy falowały łagodnie ku kurtynie wiecznie zielonych drzew. To ostatnie miejsce spoczynku większości mieszkańców Mystic było starannie pielęgnowane.

Nick szedł z wolna w kierunku najdalej wysuniętego na wschód rogu cmentarza. U jego boku kroczyła Izzy, trzymając go za rękę. Z każdym krokiem czuł, jak zaciskają mu się wnętrzności, a gdy doszedł do celu, gardło miał wyschnięte i rozpaczliwie pragnął się napić.

Spojrzał na kamień nagrobny: „Kathleen Marie Delacroix. Ukochana żona i matka”.

Westchnął. Te słowa miały podsumować całe jej życie. Nie były właściwe, wiedział to od początku, ale wówczas tak skręcała go żałość, że pozwolił niskiemu, pucołowatemu przedsiębiorcy pogrzebowemu zająć się wszystkim. A prawdę mówiąc, Nick, nawet teraz, nie bardzo wiedział, jaki

inny napis by wybrał. Jak można zawrzeć całość ludzkiego życia w kilku wyrazach, wyrytych w szarym, gładkim kamieniu?

Spojrzał na Izzy.

- Już dawno powinienem był cię tu przyprowadzić. Izzy puściła jego rękę. Wyciągnęła z kieszeni pomietą

kartkę papieru. Zeszłego wieczoru, gdy powiedział jej, że tu przyjdą, Izzy wzięła papier i kredki, po czym zamknęła się w swoim pokoju. Gdy się z niego wyłoniła, trzymała rysunek ulubionego kwiatka mamy.

- Tatusiu, dam jej obrazek. Dzięki temu będzie wiedziała, że ją odwiedziłam.

Z powagą pokiwał głową.

Usiadła na wykutej z żelaza ławce. Wyglądając papier leżący na jej kolanach, wpatrzyła się w kamień nagrobny.

- Tatuś powiedział, że mogę z tobą porozmawiać, mamusiu. Słyszysz mnie? - Z drzeniem wciągnęła powietrze. - Tęsknię za tobą, mamusiu.

Nick schylił głowę, myśląc o tysiącu rzeczy naraz i nie myśląc o niczym.

- Hej, Kath - powiedział.

Czekał, aż odpowie, ale, naturalnie, usłyszał tylko szum rozkołysanych, wiecznie zielonych drzew i świergotliwy trzel ptaka.

To miejsce miało tak niewiele wspólnego z Kathy. Dlatego właśnie tu nie przychodził, ani razu od dnia, gdy umieścili jej błyszczącą mahoniową kasetkę w ziejącej dziurze w ziemi. Nie mógł patrzeć na równo przystrzyżony dywan trawy, wiedząc, że spoczywa pod nim jego żona, która zawsze bała się ciemności i samotności...

Wyciągnął rękę i końcem palca przesunął po literach układających się w jej imię, wyżłobione w zimnym kamieniu nagrobnym.

- Przyszedłem się pożegnać, Kath - zaczął mówić miękko, zamykając oczy, gdy poczuł nagłe ukłucie łez. Głos mu się załamał, tak że nie mógł mówić. - Kochałem cię przez większość mojego życia i wiem, że ty też mnie kochałaś. To... to, co zrobiłaś, dotyczy czegoś innego, czegoś, czego nigdy nie mogłem pojąć. Chcę, żebyś wiedziała, że nam wybaczam. Staraliśmy się, jak mogliśmy najlepiej...

Znowu dotknął kamienia, poczuł ciepło pod palcami i przez chwilę - mgnienie oka, które poszybowało w wieczność - wyobraził sobie, że Kathy stoi obok niego, jej złote włosy unoszą się na wietrze, skóra wokół oczu marszczy się w uśmiechu. Ożyło w nim wspomnienie dnia, w którym urodziła się Izzy. Kathy siedziała na szpitalnym łóżku, z włosami krzywo odgarniętymi na bok, skórę miała bladą z wyczerpania, różowy flanelowy szlafrok zapięty nie tak, jak trzeba. Nigdy nie wyglądała tak pięknie, a gdy spojrzała na dziecko, śpiące w jej ramionach, zaczęła cicho płakać.

- Isabella - powiedziała, wypróbując, jak to imię brzmi w jej ustach, nim uniosła wzrok ku Nickowi. -Możemy dać jej na imię Isabella?

Jakby Nick potrafił czegokolwiek jej odmówić.

- Wspaniały pomysł.

Kathy nadal się w niego wpatrywała, a łzy spływały jej po policzkach.

- Zawsze będziesz się nią opiekował, prawda, Nicky? Już wtedy wiedziała, że zabierze ją ciemność.

Ale czy miała pewność, że ją kocha, że zawsze ją kochał i że jego miłość nigdy nie przeminie? Była częścią niego, być może największą, i nawet teraz czasami słyszał jej śmiech w poszeptach wiatru... W zeszłym tygodniu, gdy ujrzał na jeziorze piękne, białe łabędzie, przystanął, zapatrzył się na nie i pomyślał: „Sa, Kath... znowu wróciły... ”

Izzy wsunęła rączkę w jego dłoń.

- W porządku, tato. Mama wie.

Wziął córeczkę w ramiona i przytulił, wpatrując się w niebo przez gorące, palące łązy. „Mam ją, Kath - najlepszą część nas obojga - i zawsze będę przy niej”.

Postawili na trawie wiklinowy koszyk, pełen kwitnących chryzantem, po czym odjechali do domu.

- Sprawdź, co słychać w ogrodzie - rzuciła Izzy, gdy wjeżdżali na podjazd.

- Ale nie siedź tam długo. Chyba zaraz zaczniesz padać.

Skinąwszy głową, wysiadła z samochodu i pobiegła na przełaj do płotu z białych palików. Nick zamknął drzwi i ruszył do domu. I oczywiście zaczęło padać, nim dotarł do ganku.

- Tatusiu, tatusiu, chodź tutaj, tatusiu!

Odwrócił się. Stała przed drzewkiem wiśni, które posadzili w zeszłym roku. Podskakiwała niczym rozgorączkowany ptak, machając rękami.

Pomknął przez dziedziniec. Gdy do niej dobiegł, spojrzała ku niemu z uśmiechem na mokrej od deszczu buzi.

- Tatusiu, spójrz.

Nick dojrzał, co chciała mu pokazać, i osunął się na kolana na mokrą już trawę. Na wiśni widniał jeden jedyny, idealnie różowy pączek.

\* \* \*

Jesień przywróciła barwy południowej Kalifornii. Brązowa trawa zaczęła się zielenić. Szare powietrze, oczyszczone przez wrześnieowe wietrzyki, odzyskało wiosenny błękit. Lokalne radiostacje rozpoczęły niekończący się potok pogaduszek na temat piłki nożnej. Zewsząd dochodziły jęki dmuchawy do odgarniania liści.

Była to pora nagłych, gwałtownych zmian: po upalnym dniu, rozświetlonym żółtym jak cytryna słońcem, następowała zimna, iskrząca się gwiazdami noc. Letnie koszule z krótkimi rękawami pakowano do pudeł, a na ich miejsce wkładano swetry. Ptaki zaczynały znikać jeden po drugim, zostawiając gniazda bez opieki. Mieszkańcom Kalifornii, przyzwyczajonym do noszenia ubrań cienkich jak bibułka i bardziej skąpych niż ścierka do wycierania naczyń, zaczynało się robić zimno. Trzęśli się w podmuchach wiatru, który zrywał z przydrożnych drzew ostatnie, więdnące czerwone liście. Czasami przez długie minuty ani jeden samochód nie skręcał w stronę plaży. Na skrzyżowaniach nie było turystów i tylko ludzie o największym hartie ducha odważali się o tej porze roku wejść do chłodnego Pacyfiku. Tłum miłośników pływania na desce przerzedził się na stanowej plaży do kilku niezłomnych zapaleńców dziennie.

Teraz przyszła pora odprężenia. Ale jak osiągnąć ten stan? Annie przez siedemnaście lat usiłowała chronić córkę przed światem, a teraz cała ta obrona zawierała się w miłości, którą obdarzyła Natalie, w słowach, których używała podczas ich rozmów, starała się też, jako matka i żona, świecić jej przykładem.

Idealna matka i żona.

Annie westchnęła, przypominając sobie rozmowy, które prowadziła z Natalie, i rozczarowanie, jakie poczuła, gdy uświadomiła sobie, że nie była zbyt dobrym wzorcem. Teraz już za późno na zmianę jej wizerunku. Czas Annie przeminał.

- Mamo? - Natalie wsunęła głowę do sypialni Annie.

- Hej, Nano - przywitała córkę, starając się, by jej głos brzmiał radośnie. - Wejdz.

Natalie wsunęła się do łóżka i wyciągnęła koło Annie.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę jadę.

Annie otoczyła córkę ramieniem. Ta piękna dziewczyna nie może wszak być ta samą istotą co dziecko, które lizało metalowy słup wyciągu krzesełkowego na górze Mammoth... ani dziewczynką, która, choć za rok miała być już nastolatką, wsuwała się do łóżka rodziców, gdy dręczył ją nocny koszmar.

Siedemnaście lat minęło w mgnieniu oka. Zbyt prędko. Gdybyż nie musiały się już rozstawać...

Annie leniwie przeczesywała palcami długie blond włosy córki. Od dawna przygotowywała się na ten dzień, niemal odkąd po raz pierwszy zostawiła Nanę w przedszkolu, i ciągle jeszcze nie była gotowa.

- Czy już ci dziś mówiłam, jaka jestem z ciebie dumna?

- Zaledwie bilion razy.

- Dodaj jeszcze jeden.

Natalie przysunęła się bliżej i przycisnęła rękę do brzucha Annie.

- Jak wypadły ostatnie badania stresowe i ultradźwięki?

- Wszystkie wykazują, że to zdrowa dziewczynka. Nic się nie przejmuj.

- Szczęściara z niej, że ma taką matkę.

Annie położyła rękę na dłoni Natalie. Pragnęła powiedzieć córce tyle rzeczy w tym dniu, gdy wyrusza na przygodę swego życia, ale wiedziała, że jej czas jako matki minął. Wszystkie ważne sprawy, które chciała przekazać Natalie, już z nią omówiła, a jeśli nie zdążyła, teraz było już za późno. Mimo to pragnęła, by przyszła jej do głowy jakaś jedna, zbawienna rada, której mogłaby udzielić swemu dziecku jako spuściznę.

Natalie oparła się o nią.

- Co zamierzasz robić po moim wyjeździe? „Wyjazd”. Takie twarde, zimne, bezkompromisowe słowo. Jak „śmierć” albo „rozwód”. Annie przełknęła ślinę.

- Tęsknić za tobą? Natalie obróciła się ku niej.

- Pamiętasz, gdy byłam mała... zawsze mnie pytałaś, kim chcę być, gdy dorosnę?

- Pamiętam.

- A ty, mamó? Co odpowiadałaś dziadkowi Hankowi, gdy zadawał ci to samo pytanie?

Annie westchnęła. Jakże zdoła wytłumaczyć Natalie to, co sama zrozumiała dopiero w tym roku, dobiegając czterdziestki? Hank nigdy nie rozmawiał ze swą jedynaczką o przyszłości. Był samotnym, zagubionym, owdowiałym rodzicem, żyjącym przed epoką słynnych feministek, i uczył córkę, że pozycję kobiety wyznaczają otaczający ją mężczyźni. Wpojono mu, że dziewczynki nie muszą myśleć o przyszłości - te marzenia zarezerwowane są dla chłopców, którzy, gdy dorosną, poprowadzą firmy i dorobią się.

Annie popełniła mnóstwo błędów, głównie dlatego, że twardo trzymała się środkowej pozycji. Ale teraz wiedziała, że nie ma życia bez ryzyka i jeśli przypadkiem ugrzeźnie się w bezpiecznym, błogim ciepłku, to przede wszystkim dlatego, że tak naprawdę nie dążyło się do niczego innego.

Teraz wreszcie Annie znalazła cel i dla jego osiągnięcia gotowa była ryzykować. Zwróciła się do córki:

- Gdy byłam w Mystic, zaczęłam zastanawiać się nad otwarciem własnej księgarni. Na końcu Głównej Ulicy stoi cudowna wiktoriańska kamienica, która ma pusty parter.

- Dlatego czytasz te wszystkie książki o prowadzeniu firmy?

Annie stłumiła uśmiech i przytaknęła. Znowu czuła się jak dziewczynka, która pokazała przyjaciółce swój największy skarb i stwierdziła, że jest tak piękny, jak sobie wyobrażała.

- Tak - przyznała.

Natalie uśmiechała się do niej coraz szerzej.

- To ambitne, mamó. Uda ci się wspaniale. Księgarnia w Malibu pójdzie z torbami. Może latem będę mogła pracować dla ciebie.

Annie odwróciła wzrok. Wcale nie o tym marzyła, nie chciała prowadzić księgarni tutaj, pod czujnym, krytycznym okiem męża. Już słyszała jego uwagi...

Nick zareagowałby zupełnie inaczej.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Annie spięła się. Przyszła pora.

- Wejdz! - zawołała.

Blake wkroczył do pokoju, ubrany w czarny jedwabny garnitur, uśmiechając się promiennie.

- Cześć, dziewczyny. Czy Natalie jest gotowa? Pani Peterson i Sally przyjechały po nią.

Annie zdobyła się na słaby uśmiech.

- Zawsze wyobrażałam sobie, że wniosę ci walizki do pokoju i rozpakuję twoje ubrania. Chciałam, żebyś miała porządek przynajmniej na początku.

- Musiałabym wezwać ochronę, żeby się ciebie pozbyć. - Natalie najpierw się roześmiała, a potem zaczęła płakać.

Annie wzięła ją w objęcia.

- Będę za tobą tęsknić, dziecinko.



Natalie przywarła do niej, szepcząc:

- Nie zapomnij o księgarni podczas mojej nieobecności.

Annie pierwsza wysunęła się z uścisku, wiedząc, że taka jest jej rola. Dotknęła miękkiego policzka Natalie, spojrzała w jej najdroższe, błękitne oczy, przypominając sobie po raz pierwszy od lat, że niegdyś były ciemnoszare. Tak dawno temu...

- Do widzenia, Nanie-bananie - pożegnała się.

- Kocham cię, mamó. - To nie drżący dziecinny głosik wypowiedział te słowa, lecz młoda kobieta, gotowa nareszcie do rozpoczęcia samodzielnego życia. Pociągając nosem, z niepewnym uśmiechem, Natalie się odsunęła.

- No to już, tato. Odprowadź mnie - poprosiła, nadal uśmiechając się słabo.

Gdy odwrócili się i odeszli, odprowadzała ich wzrokiem aż do chwili, gdy drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem. Była zdumiona, że się nie rozpląkała.

Och, wiedziała, że później, w ciemności długiej nocy i w ciągu wielu dni, które miała przed sobą, przypelźnie do niej nowy rodzaj samotności i będzie krzyczeć niemym głosem pośród echa tego bardziej teraz pustego domu, ale wiedziała też, że przeżyje. Była silniejsza niż w marcu. Dojrzała do tego, by wypuścić swą najstarszą córkę w świat.

- Do widzenia, Nano - wyszeptała.

W pierwszym tygodniu listopada Annie poczuła bóle porodowe. Gdy obudziła się w środku nocy, brzuch jej płonął. Drugi skurcz był tak mocny, że nie mogła oddychać. Zgięła się wpół.

- Oooch... Boże... - Wbiła wzrok w ręce, póki ból nie przeszedł. Trzymając się za brzuch, odrzuciła kołdrę i wygramoliła się z łóżka. Chciała krzyczeć, lecz kolejny skurcz ściał jej głos do żalostnego syku. - Blake...

Usiadł na łóżku.

- Annie?

- To za wcześnie - powiedziała, sapiąc i chwytając go za rękaw piżamy.

Pomyślała o Adrianie i ogarnęła ją panika. - O Boże, za wcześnie...

- Jezu! - Blake wysunął się z łóżka i śmignął po ubranie, ciśnięte na krzesło.

Po paru minutach Annie była już w samochodzie, którym pomknęli do szpitala.

- Trzymaj się, Annie. Dowiozę cię na miejsce. - Rzucił jej nerwowe spojrzenie. - Tylko się trzymaj.

Z całej siły zacisnęła powieki. „Wyobraź sobie, że jesteś na plaży, pokrytej białym piaskiem”. Kolejny skurecz.

- Cholera - rzuciła z sykiem. To było nie do wytrzymania. Mogła myśleć tylko o bólu, palącym, przeszywającym bólu, który przeżerał jej brzuch i życie w nim. Jej dziecko. Ścisnęła żołądek. - Trzymaj się, córeczko... trzymaj się.

Ale widziała tylko Adriana, maleńkiego Adriana, podłączonego do kilkunastu aparatów, opuszczanego do ziemi w kasecie wielkości pudełka na chleb...

„Tylko nie to” - modliła się w duchu, powtarzając te słowa raz za razem. „Boże, proszę... tylko nie to”.

Białe, sterylne ściany szpitalnej poczekalni napierały na Blake'a. Chodził nerwowo tam i z powrotem, patrząc na zegar, to znowu przerzucając jakieś idiotyczne pismo o sławach i ich dzieciennych problemach.

Ostatnie wydarzenia ciągle przewijały mu się przez myśl. Annie pospiesznie wieziona na porodówkę, jej oczy rozszerzone strachem. „To za wcześnie” - powtarzała raz po raz łamiącym się i ochrypłym głosem.

Wszystko rozbłysło mu przed oczyma w tym jednym, przerażającym momencie, gdy kładli ją na nosze na wózku i wieźli gdzieś, aż zniknęła mu z oczu. W jednej sekundzie ujrzał całe swoje małżeństwo, dobre i złe chwile, a także zwyczajne dni; oczyma duszy zobaczył ponownie Annie i zmiany, które w niej zaszły - od studentki drugiego roku o świeżej buzi do trzydziestodziewięcioletniej ciężarnej kobiety.

- Panie Colwater?

Odwrócił się od okna i ujrzał w drzwiach doktor North, lekarzkę Annie, która przyjmowała poród. Miała na sobie świeżo wykrochmalony biały fartuch i uśmiechała się ze znużeniem.

- Dziecko...

- Co z Annie?

Doktor North zmarszczyła na chwilę brwi, po czym odparła:

- Pańska żona śpi spokojnie. Może ją pan zobaczyć. Odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Chodźmy - powiedział i poszedł za doktor North cichym, białym korytarzem do prywatnego pokoju.

W środku zasłony były zaciągnięte i całą salkę zalegały błękitnawe cienie. Wąskie łóżko o stalowych barierkach wciśnięto starannie za parawan w kształcie litery L. Na nocnym stoliku stał telefon i niebieski plastikowy dzbanek z wodą, na którym z boku wypisano numer pokoju - na wypadek gdyby ktoś chciał go ukraść. Metalowe stojaki do kroplówki sterczały przy łóżku niczym wysokie, chude sępy, ich plastikowe worki i przezroczyste żyłki podłączono do bladych przegubów Annie.

W tym obcym łóżku wyglądała na istotę młodą i kruchą. Przywoływało ono mnóstwo bolesnych wspomnień o synu.

- Kiedy się obudzi? - zapytał lekarzę.

- Chyba niebawem.

Blake nie mógł się ruszyć. Stał na środku, wpatrując się w żonę. Omal jej nie stracił. Ta myśl bezustannie przebiegała mu przez głowę. Omal jej nie stracił.

Podszedł do łóżka i przysunął sobie krzesło. Usiadł i wbił wzrok w kobietę, która przez prawie dwadzieścia lat była jego żoną. Doktor North powiedziała coś - nie wiedział, co - po czym wyszła.

Minęła cała wieczność - stracił poczucie czasu - nim Annie otworzyła oczy.

- Blake?

Uniósł głowę. Ujrzał, że Annie siada. Wyglądała na przerażoną i załamana.

- Annie - wyszeptał, ujmując ją za rękę.

- Moje dziecko - powiedziała. - Jak się ma nasza dziewczynka?

Jasna cholera! Nawet o to nie zapytał. Wypadł z pokoju i pomknął korytarzem. Znalazł doktor North u pielęgniarek i zaciągnął ją z powrotem do Annie.

Gdy lekarka weszła, Annie wyprostowała się. Za wszelką cenę starała się nie rozpłakać, Blake widział, ile ją to kosztowało wysiłku.

- Dzień dobry, pani doktor - rzekła, z trudem przelękając ślinę.

Doktor North podeszła do Annie i dotknęła jej ręki.

- Twoja córeczka żyje, Annie. Jest na oddziale intensywnej terapii na neonatologii. Wystąpiły pewne komplikacje, mała waży niecałe dwa i pół kilo i to powoduje pewne problemy rozwojowe. Niepokoi nas...

- Żyje?

Doktor North potaknęła.

- Nadal musi pokonać wiele przeszkód, Annie, ale żyje. Chciałabyś ją zobaczyć?

Annie przycisnęła rękę do ust i skinęła głową. Szlochała zbyt gwałtownie, by odpowiedzieć w jakikolwiek inny sposób.

Blake odszedł parę kroków, gdy lekarka pomagała Annie usiąść w fotelu na kółkach, który stał w rogu. Potem, czując się odsunięty na bok, poszedł za nimi na oddział intensywnej terapii dla noworodków.

Annie siedziała skulona koło inkubatora. Za przezroczystymi plastikowymi taflami dziecko leżało spokojnie jak śmierć, kilkanaście rurek i igieł wbijało się w chude, czerwone ramionka.

Blake podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

Uniosła ku niemu wzrok.

- Chciałabym dać jej na imię Kathleen Sarah. Może być?

- Naturalnie. - Rozglądał się - w górę, w dół, na boki - wszędzie, byleby nie patrzeć na inkubator. - Przyniosę coś dla nas do zjedzenia.

- Nie chcesz z nami posiedzieć?

Nie patrzył na dziecko.

- Nnie... mogę.

Annie nie potrafiła powiedzieć, dlaczego była zdumiona ani co ją tak okrutnie zabolalo. Blake nie potrafił poradzić sobie z tragedią czy obawą, nigdy mu to nie szło. Jeśli emocji nie dawało się schludnie upchnąć do pudełeczka, udawał, że nie istnieją. Będzie musiała się z tym uporać tak, jak stawiała czoło wszelkim trudnościom - samotnie. Przytaknęła tępo.

- Dobrze. Kup sobie coś. Ja nie jestem głodna. Aha, i zadzwoń do Natalie. Na pewno chciałyby wiedzieć, co się dzieje.

- Dobrze.

Gdy wyszedł, wsunęła rękę przez wyłożony miękkim plastikiem otwór inkubatora i pogładziła maleńkie paluszki swego dziecka. Choć nie mogła wymacać skóry, pamiętała jeszcze aksamitną miękkość. Usiłowała nie myśleć o Adrianie i czterech dniach, które przesiedziała na marne w pokoju takim samym jak ten, szepcząc w duchu te same, bezużyteczne modlitwy, wypłakując na darmo te same łzy.

Rączka Katie była tak maleńka i krucha. Annie wsunęła palce pod mikroskopijny przegub. Przez następną godzinę mówiła w nadziei, że znajomy dźwięk jej głosu przyniesie córce ukojenie, i żeby wiedziała, iż nawet w tym jaskrawo oświetlonym nowym świecie, pełnym igieł, respiratorów i obcych ludzi, nie jest sama.

Nie mogłaby później powiedzieć, o czym mówiła, jakie uczucia wyłowiła ze swej przerażonej duszy, by przelać je na to surowe, przerażające plastikowe pudło.

Niebawem słowa jednak wyparowały, zabierając ze sobą fałszywy optymizm.

W końcu przyszły pielęgniarki i zabrały ją. Przypomniały Annie, że musi nabrać sił, że powinna jeść i spać. Usiłowała z nimi dyskutować - czyż nie wiedzą, że nie może? Nie teraz, gdy jej najdroższe, nowo narodzone dziecko z każdym oddechem walczy o życie.

Ale, naturalnie, wróciła do swego pokoju, weszła do wąskiego, niewygodnego łóżka i wpatrzyła się w nagie ściany. Zadzwoiła na Uniwersytet Stanforda i rozmawiała z Natalie, która zarezerwowała lot na piątkowy wieczór - tuż po przeglądowym teście z oceanografii. Potem telefonowała jeszcze do Hanka i Terri.

Gdy skończyła rozmawiać, całkiem opadła z sił. Myślała o tych maleńkich, czerwonych piąstkach i nóżkach, które wyglądały jak nitki spaghetti, aż wreszcie zamknęła oczy. Czuła w piersi ból tak wielki, że zastanawiała się, czy go wytrzyma, czy też to jej stare serce po prostu zablokuje się i umrze.

Gdzieś zadzwonił telefon. Ten niespodziewany, ogłuszający dźwięk wyrwał ją z rozmyślań. Mrugając powiekami, rozejrzała się i uświadomiła sobie, że to telefon przy łóżku.

Podniosła słuchawkę.

- Halo - odezwała się bezbarwnym głosem.

- Annie? Tu Nick. Zadzwoniła do mnie twoja przyjaciółka Terri...

- Nick? - Tyle tylko powiedziała - wymówiła zaledwie jego imię - i otworzyły się śluzy. Nie mogła już tego dłużej w sobie dusić. - Czy Terri opowiedziała ci o dziecku? Mojej ślicznej dziewczynce... och, Nick... - szlochała w słuchawkę. - Waży tylko dwa kilo. Nie ma w pełni rozwiniętych płuc. Gdybyś widział te wszystkie igły... - Łkała, póki nie wypłakała wszystkich łez, aż poczuła się wyczerpana, wycuta z wszelkiej energii i niewypowiedzianie stara.

- Gdzie jesteś?

- W Beverly Hills Memorial, ale...

- Zaraz przyjadę.

Zamknęła oczy.

- Nie musisz. Nic mi nie będzie, naprawdę Blake tu jest.

Zapadła między nimi długa, niezręczna cisza, po czym w końcu odezwał się Nick:

- Jesteś silniejsza, niż myślisz. Cokolwiek się stanie, przetrwasz to, dasz sobie radę. Pamiętaj.

Otarła oczy.

- O czym mam pamiętać?

- Że deszcz - odparł miękko - to anielskie łzy. A każda szklanka jest do połowy napełniona. O tym nie zapominaj. Wiem, co dzieje się z człowiekiem... który zapomni, że nadzieja jest na wyciągnięcie ręki.

Omam nie powiedziała: „Kocham cię, Nick”, ale w porę ugryzła się w język.

- Dzięki.

- Kocham cię, Annie Bourne.

To ciche, spokojne przypomnienie o czymś, co już prawie nie istniało, o mały włos nie doprowadziło jej znowu do łez. „Colwater - chciała powiedzieć. - Jestem Annie Colwater, a ty kochasz kobietę, która zanika z każdą sekundą”. Zmusiła się do słabego, pełnego znużenia uśmiechu, rada, że Nick jej nie widzi.

- Dzięki, Nicku - wyszeptała. - Dziękuję ci z całego serca. Powiedz Izzy, że zadzwonię do niej za parę dni, kiedy... kiedy będę wiedziała, jak się sprawy mają.

- Będziemy się modlić... za was wszystkich - rzekł wreszcie.

Westchnęła, czując, że niepotrzebne łzy znowu napływają jej do oczu.

- Do widzenia, Nicku.



Był środek nocy, lecz Annie nie mogła zasnąć. Choć już nie była pacjentką, szpital udostępnił jej pokój, by mogła zostać blisko Katie. Próbowwała czytać, jeść, pisać, robić cokolwiek, byleby oderwać myśli od Katie, ale wszystko na nic.

Całymi godzinami siedziała skulona przy inkubatorze, czytała tam, śpiewała i modliła się. Ściągała mleko do butelki, lecz patrząc na żółtawy płyn, zastanawiała się, czy jej dziecku kiedykolwiek będzie dane go wypić. Czy też może wzmocni się, wyjdzie z tego sterylnej świata, wyrośnie, pójdzie do szkoły i będzie się tulić do swej mamy...

„Przebrniemy przez to” - mówiła sobie, prostując plecy, lecz za każdym razem, gdy zabrzęczała jakaś maszyna, Annie myślała: „To koniec, przestała oddychać”.

Blake usiłował jej pomóc, na swój sposób, ale nic to nie dawało. „Wszystko będzie dobrze” - powtarzał raz po raz, lecz w oczach miał pustkę i strach.

Prawdę mówiąc, Annie była zadowolona, gdy wychodził ze szpitala.

„Po prostu nie mogę tu zostać” - powtarzał.

„W porządku” - odpowiadała, a nawet wtedy, w cichej ciemności, te słowa spowite były smutkiem i żalem.

Próbował obrócić wszystko w żart.

„Chyba nie muszę spać na krześle, by udowodnić swoją miłość, co?”

„Oczywiście, że nie” - odparła, wiedząc, że to kłamstwo. „Pojedź po Natalie. Samolot przylatuje o dziewiątej”.

Zgodnie z jej przewidywaniami natychmiast skorzystał z możliwości wyrwania się stąd. Wolałby być w każdym innym miejscu niż w tym zimnym, nieznanym świecie, gdzie jego żona płakała całymi dniami.

Wstała z łóżka i z wolna podeszła do okna. Bolały ją szwy, lecz fizyczne cierpienie nie sprawiało jej przykrości. Pochyliła się do przodu i przycisnęła czoło do zimnego szkła szyby. Poniżej widniał wielki, szary kwadrat parkingu, upstrzony kilkoma, okrytymi cieniem, czarnymi samochodami.

Wreszcie odwróciła się. Weszła właśnie z powrotem do łóżka, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Annie? To ja, Nick.

- Nick - powiedziała tęsknym szeptem.

- Pomyślałem, że możesz mnie potrzebować.

Tych kilka słów brzmiało tak prosto, lecz owinęły się wokół jej serca i ścisnęły je. Przez całe życie samotnie przeżywała kryzysy, zawsze będąc silniejszą stroną, zawsze nad wszystkim panując, i aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie pociechy.

- Jak mała? - zapytał.

Przesunęła drżącą dłonią po swych krótkich włosach.

- Na razie nieźle. Neonatolog powiada, że wszystko będzie dobrze, jeśli... przetrzyma jeszcze parę tygodni... -Zaczęła cicho płakać. - Przepraszam, Nicku. Jestem zmęczona i przerażona. Całymi dniami tylko bym płakała.

- Chcesz posłuchać bajeczki?

Rozpaczliwie pragnęła się wyrwać z realnego świata na skrzydłach jego głosu.

- Tak, bardzo...

- To opowieść o człowieku, który zaczął życie jako biała nędza, szukał pożywienia w kubłach na śmieci, a mieszkał na tylnym siedzeniu starej impali. Gdy jego mama umarła, świat dał mu wyjątkową szansę - młody człowiek przeniósł się do wiecznie mokrego miasteczka, o którym nigdy nie słyszał, gdzie nikt nie znał jego paskudnej przeszłości. Chodził tam do szkoły i zakochał się w dwóch dziewczynach. Jedna była słońcem, a druga księżycem. Był młody, toteż sięgnął po księżyc, wyobrażając sobie, że to bezpieczne, ciche miejsce - bo wiedział, że jeśli się sięga po słońce, można się spalić na popiół. Gdy jego żona umarła, stracił duszę. Odwrócił się od dziecka i swych marzeń, wszedł natomiast do butelki z wódką. Pragnął tylko umrzeć, ale nie starczało mu odwagi.

- Nick, nie...

- Ten pijaczyna czekał, żeby ktoś go wykończył. Albo żeby zabrał dziecko. „Wtedy” - myślał, że wtedy zbierze się w sobie i przestrzeli swój głupi łeb. Ale do tego nie doszło, gdyż w jego życiu pojawiła się księżniczka z bajki. Nadal pamięta ten dzień, kiedy deszcz właśnie zaczął padać, a tafla jeziora była nieruchoma jak lustro. Pamięta każdą chwilę dnia, w którym ją spotkał.

- Nick, proszę... - Chciała, by przestał, zaraz, nim opowieść omota jej serce pajęczymi nićmi i porwie ją w krainę, z której nie ma powrotu.

- Ta kobieta, która nieproszona weszła w jego życie, zmieniła je nie do poznania i zażądała od niego wszystkiego, co najlepsze. Zanim się zorientował, przestał pić

I poczynił pierwsze kroki, by znowu stać się rodzicem, a także zakochał się - po raz drugi i ostatni w życiu.

- Dobijasz mnie, Nicku - wyszeptała urywanym głosem.

- Nie chciałem. Pragnę ci tylko powiedzieć, że nie jesteś sama. Miłość może wznieść się ponad tragedię i wskazać nam drogę do domu. Tego mnie nauczyłaś, a teraz muszę ci o tym przypomnieć.

Dni Annie upływały, jeden po drugim, monotonnym strumieniem godzin, które spędzała skulona przy inkubatorze, niepewna terażniejszości ani przyszłości, czując bezradność i beznadzieję. Szpital przydzielił jej nowy pokój, była więc zawsze blisko Katie, lecz nocami, gdy leżała samotnie w wąskim łóżku, czuła się oddalona o wiele kilometrów od ukochanych osób.

Rachubę czasu oparła na drobiazgach: Natalie przylatywała na weekendy, a w ciągu tygodnia była na uczelni; Hank zjawił się bez zapowiedzi i zawsze przychodził do szpitala, Terri i Blake odwiedzali ją codziennie po pracy. Zegar cykał. Rosie O'Donnell codziennie pokazywała się na ekranie stojącego w rogu telewizora i złożonywszy całość z tych wszystkich elementów, Annie wiedziała, że minął dzień. W Święto Dziękczynienia jedli indyka z opakowania próżniowego i sos z puszki, podane na żółtych plastikowych tacach w przeraźliwie pustej stołówce.

Ale Annie ledwo to wszystko zauważała. Czasami, gdy siadała przy inkubatorze, Natalie stawiała się Adrianem, Adrian zaś Katie, i w takich chwilach, gdy Annie zamykała oczy, widziała tylko maleńką trumienkę, pokrytą kwiatami. Ale wtedy dzwonił budzik albo przychodziła pielęgniarka i Annie przypominała sobie, że co do Katie może mieć pewną nadzieję.

Bez przerwy mówiła do swojej dziecinki („Siedzę obok ciebie. Czy mnie czujesz? Słyszysz, jak oddycham? Czujesz, jak cię dotykam?”).

- Mamo?

Annie otarła oczy i spojrzała na drzwi. Stali w nich Natalie i Hank. Jej ojciec wyglądał na dziesięć lat starszego, niż był w rzeczywistości.

- Przywiozłem ci coś, żebyś się rozerwała - rzekł.

Annie uśmiechnęła się ze znużeniem. Widać minął kolejny tydzień. Natalie znowu jest w domu.

- Jak się macie? Nano, dobrze ci poszedł sprawdzian z psychologii?

Natalie przysunęła sobie krzesło.

- To było dwa tygodnie temu, mamó, i już ci mówiłam, że miałam najlepsze wyniki. Pamiętasz?

Annie westchnęła. W ogóle nie przypominała sobie takiej rozmowy.

- Och, przepraszam.

Natalie i Hank usiedli przy łóżku i zaczęli rozpakowywać grę. Gawędzili przez cały czas, lecz Annie nie mogła się skupić na rozmowie.

Wpatrywała się tylko w bok łóżka. Tu powinna być zamocowana pleciana kołyska, do której wkładają maleńkiego, różowego, owiniętego w pieluszki noworodka, jeśli jest zdrowy. Pamiętała, że zainstalowali kołyskę, gdy urodziła się Natalie, lecz nie przy Adrianie.

Hank pochylił się i dotknął jej policzka.

- Wszystko będzie dobrze, Annie. Musisz w to uwierzyć.

- Stopniowo przybiera na wadze, mamó. Rozmawiałam z Moną, wiesz, tą przełożoną pielęgniarek na intensywniej terapii na nocnej zmianie, i ona powiedziała, że Katie jest zdrowa jak rybka.

Annie nie patrzyła na nich.

- Jeszcze mi jej nie przynieśli. Czy ktokolwiek prócz mnie zdaje sobie z tego sprawę? - Ta myśl prześladowała ją, nie pozwalała zasnąć w nocy. Jej dzieciątko, naszpikowane igłami i rurkami, nigdy nie zaznało ciepła matczynych objęć, nigdy nie zasnęło przy kołysance...

- Przyjdzie na to pora, mamó - zapewniła ją Natalie, ściskając jej przegub. - Wszystko się ułoży. Może...

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do pokoju weszła doktor North. Doktor Overton, neonatolog, stał obok niej w zielonym chirurgicznym fartuchu.

Na ich widok w Annie zamarło serce. Nie patrząc, chwyciła Natalie za rękę, tak mocno ściskając jej smukłe palce, aż poczuła, jak przesuwają się drobne jak u ptaka kosteczki. Hank poderwał się i ścisnął Annie za ramię.

- O Boże - wyszeptała.

Znowu otworzyły się drzwi, po czym przysadzista, ubrana na biało pielęgniarka imieniem Helen wtoczyła się do pokoju przy akompaniamencie szeleszczącego poliestru. W rękach trzymała zawiniątko, okutane w różowe pieluszki.

Doktor North podeszła do nóg łóżka.

- Chciałabyś potrzymać swoją córeczkę?

- Czy chciałabym... - Annie nie mogła złapać tchu. Nie wierzyła, że nadejdzie ten moment, miała taką nadzieję, owszem, ale w głębi serca czaiła się niepewność. Bała się uwierzyć, bo gdyby się zawiodła, chyba nigdy nie doszłaby do siebie.

Niezdolna wydusić słowa, wyciągnęła rękę. Pielęgniarka przysunęła się i złożyła jej córkę w ramiona.

Nozdrza Annie wypełnił zapach noworodka, zarazem znajomy i niezwykły. Odwinęła różowy kocyk i pogłaskała czoło córeczki, podziwiając miękkość jej skóry.

Katie zmarszczyła usteczka jak różany pączek i ziewnęła, po czym spod kocyka wysunęła się różowa piąstka. Annie, śmiejąc się i gruchając, odwinęła bawełniane ubranko i wpatrzyła się w swoją dziewczynkę w maleńkiej pieluszce, w sam raz dla lalki. Siateczka błękitnych żyłek przecinała jej bladą pierś, pocętkowała cienkie ramionka i nóżki.

Katie otworzyła buzię i wydała gniewny pisk.

Annie poczuła łaskotanie w piersiach, wilgoć przesączała się przez nocną koszulę. Pospiesznie rozwiązała szlafrok i przystawiła Katie do piersi. Z początku dziewczynka nieporadnie ruszała usteczkami, przesuwała buzię po piersi Annie, lecz zaraz zaczęła ssać.

- Och, Katie - wyszeptała Annie i głaszcząc mięciutką główkę córki, zaśmiała się cicho z tej cudownej chwili. - Witaj w rodzinie.

Pierwsze dni po powrocie do domu były szalone. Hank i Terri krążyli wokół Annie, domagając się, by pozwoliła sobie pomóc, nie chcąc słuchać jej odmów. Przystroili dom na Boże Narodzenie, wyciągając pudełko za pudełkiem ze strychu, i piszczełi z uciechy za każdym razem, gdy znajdowali nowy skarb. Ustawili w salonie trzymetrową choinkę i ułożyli pod nią nieprawdopodobną górę prezentów. Natalie dzwoniła do domu podczas każdej przerwy między zajęciami, pytając o Katie. Annie nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić, zwłaszcza że pragnęła tylko wpatrywać się w cudowne zjawisko, jakim było jej dziecko. Nareszcie Hank pojechał do domu - ale przedtem przysiągł, że wróci na Boże Narodzenie.

Gdy Blake i Annie znowu zostali sami, usiłowali powrócić do dawnych domowych zwyczajów, ale nie było to takie proste. Annie cały czas spędzała na sofie z Katie, a Blake coraz dłużej przesiadywał w pracy.

W trzecim tygodniu grudnia Hank spotkał Natalie na lotnisku w San Francisco, skąd razem poleciełi do Los Angeles. Cała rodzina zjadła cichy świąteczny obiad w atmosferze pełnej napięcia, co tylko przypomniało Annie, jak wyprane z uczuć stały się ich wzajemne stosunki. Nawet przy rozpakowywaniu prezentów w bożonarodzeniowy poranek nie słychać było wybuchów radości czy wesołych okrzyków.

Hank bez przerwy bacznie przypatrywał się Blake'owi. Annie słyszała, jak dźgał go pytaniami: „Dokąd idziesz? Dlaczego wieczorem nie będzie cię w domu? Czy mówiłeś o tym Annie?”

Annie wiedziała, że Blake we własnym domu czuje się jak obcy. Natalie obserwowała go czujnie, czekając, aż weźmie na ręce Katie, ale nigdy mu się nic takiego nie zdarzyło. Annie rozumiała, przeszła już przez to poprzednio. Blake po prostu nie przepadał za noworodkami. Przerazały go i wprawiały w zakłopotanie, a odzęgnywał się od obu tych uczuć. Ale Natalie nie mogła tego zrozumieć i Annie raz po raz widziała rozczarowanie córki, gdy wręczała siostrzyczkę ojcu, a Blake potrząsał tylko głową i się odwracał.

Teraz Annie leżała skulona na krawędzi materaca. Obok niej rozłożył się Blake, jedną rękę wyciągnął w stronę żony, kolano przycisnął do jej biodra, wyginając łóżko w charakterystyczny sposób. Słyszała jego oddech - rytmiczny pogłos, który przez tyle lat towarzyszył jej snom.

Cicho wysunęła się z łóżka, podeszła do sięgającego od sufitu do podłogi okna i otworzyła je. Przejrzyste zasłony z białego jedwabiu, poruszane nocnym wiatrem, falowały na jej gołej nodze.

Często się budziła, samotna, rozpaczliwie szukając pociechy w ciemności, ale w małżeństwie pociechy nie znajdowała. Och, próbowali, każde na swój sposób. On za pomocą prezentów, obietnic i cichych rozmów o rzeczach, na których zależało Annie, ona drżącymi uśmiechami, wypożyczaniem kaset wideo i eleganckimi kolacyjkami dla dwojga. Ale na nic się to nie zdało. Byli jak motyle rozdzielone szybą, z rozpaczliwym trzepotem usiłujące przedrzeć się przez szkło.

Z pełnym znużenia westchnieniem Blake odsunął dyktafon i włożył zeznania z powrotem do teczki. Ostatnio trudno mu się było skupić, na czym



zaczęła cierpieć jego praca. Katie sypiała tylko po kilka godzin, po czym się budziła, płacząc lub kwiląc, a Blake nie mógł znowu zasnąć.

Podniósł się i nalał sobie szkockiej. Mieszając bursztynowy płyn w markowej szklaneczce, podszedł do okna i wyjrzał. Miasto tonęło w rozmytych styczniowych szarościach. Kilka obszarpanych noworocznych dekoracji, które zapomniano sprzątnąć, zwisało z ulicznych lamp.

Nie chciał wracać do domu, do tej dziwnie nieznajomej żony i piszczącej, nowo narodzonej córki. Tak jak się spodziewał, całe życie Annie kręciło się wokół dziecka. Nie miała już czasu dla Blake'a, a kiedy wreszcie położyła małą spać, była tak wykończona, że po omacku docierała do łóżka, gdzie mogła się zdobyć tylko na to, by pospiesznie cmoknąć go w policzek i wymamrotać: „Dobranoc”.

Był za stary na ojca. Już za młodu nie bardzo mu to wychodziło, a teraz potomstwo interesowało go jeszcze mniej.

Rozległo się pukanie do drzwi. Blake odstawił szklanę.

- Proszę wejść.

W otwartych drzwiach stali Tom Abramson i Ted Swain, dwaj wspólnicy Blake'a.

- Hej, kolego, jest pół do siódmej - rzucił Ted z łobuzerskim uśmiechem. - Co byś powiedział na to, żebyśmy skoczyli do baru i uczcili decyzję Martinsona?

Blake wiedział, że powinien odmówić. Kołatało mu się w głowie, że ma w domu coś ważnego do zrobienia, ale za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, co to miało być.

- Dobrze - zgodził się, sięgając po palto. - Ale tylko na jednego. Muszę wracać do domu.

- Jasne - przyznał Tommy. - Wszyscy mamy rodziny.

Było to, oczywiście, prawdą. Wszyscy trzej mieli żony i dzieci, które czekały na nich w domu. Ale jakimś cudem tego wieczoru jeszcze o jedenastej siedzieli w barze, śmiejąc się, pokrzykując, trącając szklaneczkami, gdy spełniali kolejny toast.

Ted poszedł do domu o pół do dwunastej, a Tom ruszył w ślad za nim. Blake został sam na barowym stołku. Powiedział kolegom, że chce dokończyć drinka, ale naprawdę tkwił od godziny nad tym samym koktajlem. Patrzył na drzwi, myśląc: „Powinienem iść”, ale potem stawało mu przed oczyma wielkie łóżko w domu, na którym leżała żona, skulona na brzegu materaca, i pozostał na swoim miejscu.

Annie przepięknie nakryła stół. Świece mrugały nad koronkowym obrusem, rzucając delikatne cienie na srebrną zastawę, na której kusily podniebienie wszystkie ulubione dania Natalie: makaron domowej roboty z serem, gorące rogaliki z miodem i masłem oraz kaczan kukurydzy. Na końcu stołu leżał stosik prezentów, opakowanych w wielobarwną folię, a do każdego krzesła przywiązany był jaskrawy, napełniony helem balon.

Świętowano osiemnastą rocznicę urodzin Natalie, z tej okazji wszyscy mieli się zebrać przy stole. Annie postanowiła znowu zrobić z nich szczęśliwą rodzinę, przynajmniej na parę godzin.

Jeszcze raz spojrzała na stół, żaden szczegół nie uszedł jej baczemu oku. Hank podszedł do córki, objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Przez otwarte, łukowate wejście do kuchni słyszał śmiech Natalie i Terri. Annie oparła się o ojca.

- Cieszę się, że przyjechałeś na święta, tato. To bardzo wiele znaczy dla mnie i Natalie.

- Za nic w świecie bym tego nie przepuścił. - Rozejrzał się. - Więc gdzie się podziewa ten twój zapracowany mąż? Można by już siadać do stołu.

- Spóźnia się tylko o kwadrans. Jak na Blake'a to nic. Powiedziałam mu, żeby był o pół do siódmej, więc przyjedzie o siódmej.

Z wolna Hank zabrał rękę. Obróciwszy się lekko, podszedł do okna, które wychodziło na podjazd. Poszła za nim.

- Tato?

Upłynęła cała minuta, nim się odezwał, a jego głos brzmiał miękko jak nigdy.

- Gdy po raz pierwszy przyprowadziłaś Blake'a do domu, zrobił na mnie wrażenie. Fakt, że był młody, chudy i goły jak święty turecki, ale widziałem, że ma charakter. Takiego męża dla swej córki pragnąłby każdy ojciec -inteligentnego i ambitnego, nie jak chłopaki z Mystic. Pomyślałem, że on zaopiekuje się moją dziewczynką...

- Znam tę opowieść, tato.

Odwrócił się do niej.

- Myliłem się, co?

Zmarszczyła brwi.

- Jak to?

- To jeszcze jedna osoba, którą wzięłaś pod swoje skrzydła. - Nachmurzył się. - Powinienem był się martwić o stan twojego serca, a nie konta. Gdyby twoja matka żyła... wiedziałyby, czego szukać. Po prostu chciałem, żebyś miała więcej, niż ja mógłbym ci zaofiarować.

- Wiem, tato.

- Nie mogę... nie mogę patrzeć, jak się męczysz. Zeszłej wiosny byłaś taka szczęśliwa. Brakuje mi twojego śmiechu. Obawiam się... że kiedy byłaś

w Mystic, źle ci poradziłem. A niech to, całe życie źle ci radziłem. Powinienem był cię przekonać, że znakomicie poprowadzisz księgarnię. Teraz w brodę sobie pluje, że nie stawiałem na ciebie od małości. - Wreszcie się do niej odwrócił. - Dlaczego nigdy ani słówkiem nie dałem ci poznać, że jesteś najinteligentniejszą, najbardziej utalentowaną i najhojniej obdarzoną przez los ze wszystkich znanych mi osób... i że rozpira mnie duma, gdy na ciebie patrzę? Twoja mama by ci to powiedziała.

- Och, tato... - Annie wiedziała, że jeśli powie jeszcze choć słówko, rozpłacze się.

- Tato... wpaja poczucie odpowiedzialności, daje przykład rzetelności, ale mama... ach, mamą uczy dziecko marzyć, sięgać do gwiazd i wierzyć w bajki. Sara w każdym razie dałaby ci to. Ale ja? Co taki niewykształcony robotnik z tartaku może wiedzieć o baśniach, szansach i marzeniach? - Westchnął, a gdy nań spojrziała, dostrzegła łzy w jego oczach. - Gdyby można było cofnąć czas, Annie Wirginio...

Objął ją potężnymi, silnymi ramionami, a ona mocno doń przywarła.

- Kocham cię, tato - wyszeptała, tuląc się do jego ciepłej szyi.

Gdy w końcu się od niego oderwała, po jej twarzy spływał tusz do rzes.

- Wyglądam jak z horroru o wampirach - zaśmiała się. - Pójdę do łazienki doprowadzić się do porządku.

Odwróciła się i pobiegła przez kuchnię. Minęła Terri i Natalie, które ustawiały świece na torcie. Natalie uniosła wzrok.

- Nic ci nie jest?

Annie pokręciła głową.

- Absolutnie nic. Tusz mi puścił.

- Czy tata już wrócił?

- Zaraz zadzwonię na telefon w samochodzie. Pewnie jest na podjeździe.

Ponad głową Natalie Terri rzuciła Annie poirytowane spojrzenie. Annie bezradnie wzruszyła ramionami, podeszła do telefonu i nacisnęła numer komórki Blake'a. Nie usłyszała nawet sygnału, od razu włączyła się poczta głosowa.

Annie odwróciła się i napotkała ich wyczekujące spojrzenia.

- Nie ma go w samochodzie.

Czekali na Blake'a jeszcze czterdzieści minut, po czym za milczącą zgodą, rozpoczęli przyjęcie bez niego. Zasiadli do stołu i rozmawiali ze sztucznym ożywieniem, pragnąc pokryć zmieszanie i rozczarowanie. Mimo wszystko nie dało się odwrócić uwagi od pustego krzesła na czołowym miejscu.

Annie przez cały czas zmuszała się do promiennego uśmiechu. Terri raczyła ich zabawnymi anegdotami o życiu na planie seriali i ekipie, która miała śmierć w oczach - aż wszyscy skręcali się ze śmiechu. Po kolacji usiedli przy kominku i otworzyli prezenty.

O dziesiątej Terri niechętnie poszła do domu. Mocno uścisnęła Natalie, po czym wzięła Annie za rękę, gdy obie szły do drzwi frontowych.

- To skończony gnojek - wyszeptała z wściekłością. Annie nie odpowiedziała. Uścisnęła przyjaciółkę, pożegnała się z nią, po czym niespiesznie wróciła do salonu.

Hank natychmiast się podniósł.

- Chyba pójdę się położyć. Staruszkowie potrzebują dużo snu dla urody. - Ścisnął Natalie za ramię i pochylił się, by ją pocałować. - Wszystkiego najlepszego, kochanie. - Wyprostował się, rzucił Annie zmartwione spojrzenie i wyszedł z pokoju.

Zapadło milczenie.

Natalie podeszła do okna. Annie stanęła obok niej.

- Przykro mi, Nano. Szkoda, że nie mogę nic poradzić.

- Nie wiem, dlaczego ciągle mam nadzieję, że on się opamięta...

- Kocha cię. Po prostu... - Annie nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Powtarzała tę śpiewkę tak wiele razy, że teraz nawet nie udawała już, iż coś się zmieni.

Natalie odwróciła się do Annie.

- A co mi po jego miłości?

Annie poczuła się jak smagnięta biczem, na jej sercu zaczęła pulsować czerwona, piekąca pręga.

- To jego strata, Natalie.

Oczy Natalie powoli zaczęły wypełniać się łzami. Annie ogarnęła bezmierna litość dla córki.

- Kiedy byłam mała, udawałam, że on nie jest moim prawdziwym tatą. Wiedziałaś o tym?

- Och, Nano...

- Dlaczego z nim jesteś?

Annie westchnęła. Nie czuła się na siłach do prowadzenia tej rozmowy, przynajmniej nie dziś wieczór.

- Jesteś młoda i porywcza, skarbie. Któregoś dnia zrozumiesz. Miałam obowiązki, podjęłam się pewnych zadań - to zamula człowieka jak osad. Trzeba zrobić wszystko, co należy. Musiałam myśleć o innych.

Natalie prychnęła.

- Może jestem młoda i porywcza, ale ty, mamo, jesteś naiwna i zawsze taka byłaś. Czasami czuję się bardziej dorosła od ciebie. Zawsze uważasz, że wszystko obróci się na dobre.

- Kiedyś tak sądziłam. Teraz już niekoniecznie.

Natalie spojrzała na nią poważnym wzrokiem.

- Szkoda, że nie słyszałaś siebie zeszłej wiosny, mamo. Wydawałaś się taka... szczęśliwa. Teraz wiem, dla czego. Nie było go przy tobie, nie musiałaś podrywać się zawsze, gdy wchodził do pokoju, żeby spełnić każdą jego zachciankę.

Annie przez chwilę zapało dech, a gdy wreszcie się odezwała, w jej cichym głosie słychać było urazę.

- Więc tak mnie widzisz?

- Widzę cię taką, jaka jesteś, mamo. Kochasz z całego serca i robisz wszystko, żebyśmy byli szczęśliwi. Ale zeszłej wiosny ktoś sprawił, że to ty byłaś szczęśliwa.

Annie ścisnęło w gardle. Odwróciła się, by Natalie nie dostrzegła wilgoci zbierającej się w jej oczach.

- Opowiedz mi o Izzy. Założę się, że zajęłaś się nią jak matka.

- Izzy. - Annie zaczęła wspominać, choć wiedziała, że sprawi jej to ból. Pobiegła myślami do ogrodu, do garstki wybujałych stokroci, do małej, okrytej czarną rękawiczką rączki. - To niezwykła dziewczynka, Natalie. Pokochałabyś ją.

- A on?

Annie z wolna odwróciła się do córki.

- Kto?

- Tatuś Izzy.

- To mój stary przyjaciel z liceum. - Annie zauważyła, że głos jej mięknie, a choć wiedziała, że wkracza na śliskie tory, nic nie mogła na to poradzić. - To pierwszy chłopak, którego pocałowałam. - Uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

- Znowu to słyszę, mamó.

Annie zmarszczyła brwi.

- Co takiego?

- Ten głos. Mówiłaś takim tonem, gdy dzwoniłaś do mnie do Londynu.

Czy między innymi dzięki temu człowiekowi byłaś wtedy taka szczęśliwa?

Annie poczuła się krucha i wystawiona na cel, niczym kobieta przechodząca przez chwiejny, rozklekotany most. Nie mogła powiedzieć córce prawdy. Może kiedyś, gdy po latach Natalie dojdzie do pełnej kobiecości, gdy dowie się więcej o życiu i miłości. Wtedy zrozumie.

- W Mystic byłam szczęśliwa z wielu powodów.

Minęła długa chwila, nim Natalie się odezwała.

- Może on mógłby tu przyjechać z Izzy. Albo ja ich odwiedzę któregoś dnia.

- Nie - odparła łagodnie Annie. Chciała jeszcze coś dodać, doczepić jakieś uzasadnienie do prostego słowa, które zabrzmiało bezsensownie. Ale nie mogła się na to zdobyć. Wzięła tylko Natalie w ramiona i mocno ją przytuliła. - Przykro mi, że tata zapomniał o twoich urodzinach.

Natalie pociągnęła nosem.

- To mnie jest przykro za ciebie.

- Ale czemu?

- Za osiemnaście lat powiesz to samo Katie.

Gdzieś tak koło północy do Blake'a podeszła kobieta. Miała na sobie czarne trykoty, szeroki srebrny pas na biodrach i wysokie szpilki. Z zachęcającym uśmiechem przysiadła się i zastukała długim paznokciem o kontuar.

- Martini z wódką, dwie oliwki - rzuciła do barmana.



Gdzieś z głębi dochodziła śpiewana ochryłym głosem piosenka Dwighta Yoakama, coś o kieszeni klauna.

Kobieta zwróciła się ku niemu. Skubiąc oliwkę, poprosiła go do tańca.

Blake odsunął stółek barowy i niepewnie odszedł od niej, starając się oddalić możliwie na jak największą odległość.

- Niestety - wymamrotał. - Jestem żonaty.

Ale się nie odwrócił, nie mógł. Stał jak zauroczony, wpatrując się w kobietę. Chcąc nie chcąc, zastanawiał się, jakie w dotyku są jej piersi - młode, jędrne piersi kobiety, która jeszcze nie rodziła, a jej drobnych, różowych sutek nigdy nie ssało niemowlę.

W tym momencie coś w nim drgnęło. Uświadomił sobie prawdę, którą odrzucał od miesięcy. Kochał Annie, ale ona mu nie wystarczała. Będzie ją oszukiwał. Może jeszcze nie dzisiaj, może nawet nie w tym roku, ale prędzej czy później powróci do dawnych zwyczajów. To tylko kwestia czasu.

A wtedy znowu będzie stracony. Nikt nie jest bardziej samotny na ziemi nad człowieka, który stale zdradza żonę. Blake wiedział, jak nęcąca była owa pokusa, by osiąść nieznajomą, kochać się w środku nocy z obcą kobietą. Lecz potem, nie wiedzieć czemu, zawsze był załamany, wstydził się przed samym sobą i unikał spojrzenia żony.

Roztrzęsiony, odwrócił się od kobiety w trykocie i wyszedł. Pojechał do domu i zaparkował w garażu. Ze znużeniem wszedł do ciemnego, chłodnego domu. Nie zapalając świateł, przeszedł przez kuchnię.

Annie czekała na niego w salonie. Siedziała na sofie z podwiniętymi nogami.

- Cześć, Blake - powiedziała cichym, zmęczonym głosem, który boleśnie przeszył mu serce.

Stanął jak wryty. Ni stąd, ni zowąd zdało mu się, że wiedziała o scenie w barze i o tym, co o mały włos byłby zrobił.

- Hej, Annie - odparł z wymuszonym uśmiechem.

- Spóźniłeś się.

- Poszliśmy całą gromadą do baru na Czwartej Alei, gdzie przyjmują zakłady. Wygraliśmy kupę forsy na...

- Dzisiaj było przyjęcie urodzinowe Natalie.

Blake zamrugął.

- A niech to szlag! Zapomniałem je zaznaczyć w biurowym kalendarzu.

- Na pewno będzie zachwycona taką odpowiedzią.

- Powinnaś była zadzwonić i mi przypomnieć.

- Nie zrzucaj tego na mnie, Blake. Ty to schrzaniłeś. Pamiętasz, kiedy przypada płatność alimentów klienta, ale zapominasz o osiemnastych urodzinach córki. - Westchnęła. - Powinieneś zająć do niej - założę się, że jeszcze nie śpi.

- Pewnie jest zmęczona...

- Należą się jej wyjaśnienia.

Odwrócił się, podszedł do eleganckiego kamiennego stolika, przylegającego do ściany, i wpatrzył się w swe odbicie, wyzierające nań z lustra w złoconej ramie.

- Natalie jest na mnie zła - wyznał cicho. - Gdy była w Londynie, nie zadzwoniłem do niej. Co tydzień przysyłałem kwiaty. Dziewczęta lubią dostawać kwiaty, w każdym razie tak powiedziała Su... - Uświadomił sobie, co ma zamiar chlapnąć, i zamknął usta.

- Suzannah się myliła - rzekła ze znużeniem Annie. -Siedemnastoletnia dziewczyna potrzebuje znacznie więcej niż kwiaty, które co piątek przesyłała sekretarka ojca.

Przesunął ręką po włosach.

- Bez ciebie... nie bardzo radziłem sobie z Natalie. Ciagle myślałem, że powinienem do niej zadzwonić, a wtedy przychodziło zeznanie albo wypadła mi sprawa w sądzie i zapomniałem. Ale wszystko to naprawię, nawet jeszcze dzisiaj.

Odwrócił się z powrotem do Annie. Podniosła się i stanęła parę metrów od niego ze skrzyżowanymi ramionami. W podniszczonych spodniach od dresu i bluzie, która pamiętała lepsze czasy, wyglądała bardziej jak włóczęga niż jego żona.

- Kupię jej laptopa.

- W niedzielę wyjeżdża na uczelnię. Nie zobaczymy jej aż do przerwy wiosennej, a niebawem... w ogóle rzadko będziemy ją widywali. Znajdzie własne miejsce w świecie i nie będzie tak często przyjeżdżać do nas do domu.

„Do nas”. Usiłował zaczerpnąć odwagi z tych dwu zwykłych słów, lecz nie całkiem mu się to udało.

- Więc co mam jej powiedzieć?

- Nie wiem.

- Oczywiście, że wiesz. Zawsze...

- Dość tego. Jeśli chcesz wytworzyć więź z córką, sam się tym zajmij.

Nie będę ci już więcej suflerować.

- Daj spokój...

- Jak ma na imię jej chłopak, Blake?

- Ona nie ma chłopaka.

- Doprawdy? Brian by się zdziwił. A co ona chce studiować?

Trudno mu było się skupić, gdy patrzyła takim wzrokiem.

- Prawo, tak jak ja. Zamierza z czasem zostać moim wspólnikiem w firmie.

- Doprawdy? A kiedy ostatnio na ten temat rozmawialiście?

- W zeszłym roku? - powiedział pytająco, a widząc jej spojrzenie, odgadł, że się pomylił. - Przed dwoma laty?

- Doprawdy?

Miotła w niego tym słowem jak rzutką. Czuł się jak człowiek sięgający po linę ratowniczą, która znajduje się tuż poza jego zasięgiem. W końcu przestał kłamać i wyznał prawdę:

- Nie mam pojęcia.

Jego szczerłość sprawiła, że rysy Annie złagodniały.

- Musisz z nią porozmawiać, Blake. Ale przede wszystkim powinieneś słuchać. - Uśmiechnęła się tak dobrze mu znanym, smutnym uśmiechem. - A oboje wiemy, że słuchanie przychodzi ci z trudem.

- Dobrze. Porozmawiam z nią.

Powiedział te słowa miękko, dokładnie takim tonem, jak należało, ale obydwójce znali prawdę. Prowadzili tę dyskusję setki razy, Annie wielokrotnie błagała go, by poświęcił nieco czasu Natalie.

Oboje wiedzieli, że tak naprawdę nigdy tego nie zrobił.

W ostatni dzień stycznia wczesnym rankiem przyjechała Terri, jak zwykle pełna energii, przywożąc butelkę szampana Moet & Chandon i torbę francuskich rogalików.

- Gdy kobieta kończy czterdziestkę - powiedziała pogodnie - powinna zacząć pić już od rana. A zanim zaczniesz jęczeć na temat karmienia oraz

ilości alkoholu w mleku matki, chcę poinformować, że szampan jest dla mnie, a dla ciebie - rogaliki.

Usiadły razem na wielkim drewnianym tarasie. Wanna z gorącą wodą bulgotała cicho obok nich.

- Wiesz - rzuciła Terri, sącząc szampana - wyglądasz jak upiór.

- Dzięki. Mam nadzieję, że zaszczybisz swoją obecnością moje pięćdziesiąte urodziny, kiedy naprawdę będę potrzebowała pociechy.

- Nie sypiasz.

Annie zamruwała. Przyjaciółka mówiła prawdę. Od tygodni porządnie się nie wyspała.

- Katie złapała przeziębienie.

- Aha - potwierdziła Terri domyślnie - więc chodzi o Katie.

- Tak naprawdę... to nie, doktorze Freudzie.

Annie zerknęła na połyskującą powierzchnię morza, patrząc, jak jęzory fal o białych grzywach lekko muskają piasek. Nie musiała przymykać oczu, by ujrzeć inne miejsce, gdzie są prawdziwe zimy. Tam przyroda odzyska puszcę. Turyści odjadą znacznie wcześniej, szybko wypędzi ich nagle zapadająca ciemność, towarzyska zimy. Na prawdziwie alpejskich wzgórzach śnieg będzie głęboki na półtora metra, lecz jego biel wbrew wszelkim prawom natury ubarwią drobne, czerwono-fioletowe kwiatki. W leśnych ostępach, nietkniętych ręką człowieka, drzewa będą skłaniały się ku sobie, tworząc zasłonę czerni, gdzieś tylko przetykaną leciutką smugą zieleni. W środku dnia zapanuje tam ciemność i nawet najjaskrawsze zimowe słońce nie przedrze się do zimnego, zamrożonego leśnego podłoża. Każdy na tyle szalony czy zawzięty, by o tej porze roku zapuścić się w szaro-czarny gąszcz, zaginie na zawsze.

Tęskniła za tą krainą, za rześkim podmuchem zimowego powietrza na policzkach. Chciała opatulić się w kilka warstw ubrań i położyć na śniegu, robić orła rękami i nogami, patrząc, jak para jej oddechu uchodzi w srebrzyste powietrze.

- Dlaczego tkwisz przy nim?

Annie westchnęła. Wiedziała, że przyjaciółka zada jej to pytanie, spodziewała się go codziennie od nieudanego przyjęcia urodzinowego Natalie. Sama się nad tym zastanawiała po nocach, leżąc w łóżku obok męża, gdy sen nie przychodził.

Często myślała o Natalie, dorosłej teraz i samodzielnej, a także o Katie, która ma jeszcze tyle lat przed sobą. W takich chwilach, gdy samotność boleśnie jej doskwierała, wpatrywała się w mrok własnego życia, szukając mętnego odbicia samej siebie. A gdy oglądała się wstecz, widziała chudą dziewczynkę o kasztanowych włosach, która zawsze robiła to, czego od niej oczekiwano.

Tęskniła za kobietą, którą się stała nad brzegami jeziora Mystic, tą, która ośmieliła się marzyć o własnej księgarni i potrafiła rzucić swoje serce do gry tak ryzykownej jak miłość. Brakowało jej Nicka, Izzy i rodziny, którą złożyli w całość z kawałków swych oddzielnych żywotów.

O takiej rodzinie Annie zawsze marzyła... do takiej rodziny ma prawo Katie... „Czy wiesz, że nie mam żadnych wspomnień o tacie?” Terri dotknęła jej ramienia.

- Annie? Ty płaczesz...

Zbyt długo dusiła to w sobie, udając, że wszystko jest w porządku, że ważni są wszyscy prócz niej. Nie mogła już dłużej tego ukrywać.

- Ja jestem ważna - odezwała się cicho.

- Chwała Bogu - wyszeptała Terri i wzięła Annie w ramiona. Annie dała się obejmować i kołysać przyjaciółce.

- Nie mogę już tak dłużej żyć.

- Jasne, że nie.

Annie wysunęła się z jej uścisku, z drzeniem odgarniając z czoła włosy, które zdążyły sporo urosnąć.

- Nie chcę, by któregoś dnia Katie też powiedziała, że nie ma żadnych wspomnień o ojcu.

- A co będzie z tobą, Annie?

- Mam prawo do czegoś więcej... Nic mnie już z Blakiem nie łączy. Nawet cud narodzin naszych dwojga dzieci.

Tej prawdy unikała przez ostatnie miesiące. Ich miłość przeminęła, po prostu przeminęła, zgasła jak świeca, po której jedynie swąd czarnego jak sadza dymu przypominał, że w ogóle kiedyś płonęła. Nie pamiętała nawet tych zamierzchłych dni, gdy byli w sobie zakochani.

Żałowała utraty łączącego ich ognia, a winę za to ponosiła w równym stopniu jak Blake. Całe dotychczasowe życie spędziła w cieniu, zbyt obawiając się porażki czy porzucenia, by sięgnąć po światło nawet jednej świecy. Na kształt swego małżeństwa zapracowali oboje - i to była najsmutniejsza prawda.

Blake również nie był szczęśliwy. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Nie chciał jeszcze puścić Annie, lecz pragnął Annalise Bourne Colwater, kobiety, którą się stała po latach życia ustalonym trybem w stadle, jakie sami stworzyli.

Pożądał tego, co odeszło bezpowrotnie.

Słabe tony muzyki płynęły z głośników w sypialni. Blake stanął przed pleciana dziecinną kołyską, wpatrując się w maleńkie niemowlę w różowym beciku.

Sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął niewielkie, czarne, aksamitne pudełko. Przesuwał palcami po miękkim materiale, przypominając sobie dziesiątki prezentów, które dawał Annie w poprzednich latach, prezentów na Boże Narodzenie, na rocznice ślubu, urodzinowych.

Zawsze dawał jej to, co, jego zdaniem, wypadło. Na przykład pierścionek. Na dziesiątą rocznicę ślubu kupił jej trzykaratowy diament soliter, nie dlatego, że pragnęła mieć taki klejnot - Annie w zupełności zadowalało złote kółeczko, które podarował jej, gdy na nic innego nie mogli sobie pozwolić - lecz ponieważ to kształtowało właściwy obraz Blake'a. Każdy, kto ujrzał pierścionek Annie, wiedział natychmiast, że Blake jest człowiekiem, któremu się powiodło i zdołał zbić fortunę.

Nigdy nie dał jej tego, czego potrzebowała, czego chciała. Nigdy nie dał jej siebie.

- Blake?

Na dźwięk jej głosu, miękkiego i niepewnego, odwrócił się. Stała w otwartych drzwiach w niebieskim szlafroku, który kupił jej przed laty, i wyglądała tak ślicznie, że nie wierzył własnym oczom.

- Musimy porozmawiać - odezwała się.

Zbierając się w sobie, ruszył w jej stronę.

- Wiem - odparł.

Wpatrzyła się weń i przez sekundę pragnął tylko przycisnąć ją do siebie tak mocno, by nigdy więcej go nie opuściła. Lecz przekonał się, że



uścisk zbyt mocny przynosi tyle samo szkód, co gdyby w ogóle nie brał jej w ramiona.

- Mam coś dla ciebie. Prezent urodzinowy. - Wyciągnął rękę z pudełkiem, które na jego dłoni wyglądało niczym czarna rana.

Z wahaniem, ciągle się weń wpatrując, wzięła puzderko i otworzyła je. Na podściółce z jasnoniebieskiego, połyskliwego jedwabiu leżała błyszcząca złota bransoletka. Na górze widniało wygrawerowane imię: „Annie”.

- Och, Blake - wyszeptała, przygryzając dolną wargę.

- Odwróć ją - rzekł.

Wyjęła bransoletkę z pudełka, a on ujrzał, że drżą jej ręce, gdy ją obracała i przeczytała napis na spodzie.

- „Zawsze będę cię kochał”. Spojrzała na niego wilgotnymi oczyma.

- Nic z tego, Blake. Za późno.

- Wiem - wyszeptał, czując niemęski ucisk w gardle, lecz nic go to nie obchodziło. Może gdyby w przeszłości nie przemagał takich uczuć, nie stałby tutaj, żegnając się z jedyną kobietą, która naprawdę go kochała. - Chciałbym... - Nie wiedział nawet, czego chce. Żeby była inna? Żeby on inaczej się zachowywał? Czy żałował, że już dawno temu nie dostrzegli prawdy?

- Ja też - odparła.

- Czy będziesz... pamiętać słowa na bransoletce?

- Och, Blake, nie potrzebuję bransoletki, żeby pamiętać, jak bardzo cię kochałam. Byłeś moim życiem przez ponad dwadzieścia lat. Gdy tylko spojrzę wstecz, pomyślę o tobie. - Łzy srebrnymi strumykami pociekły jej po twarzy. - A co z Katie?

- Oczywiście wszystko biorę na siebie... - Zorientował się, że ją uraził tą odpowiedzią. - Nie miałem na myśli tylko pieniędzy.

Podszedł do niej, dotknął jej policzka. Wiedział, czego od niego w tej chwili pragnęła, lecz nie mógł jej tego ofiarować. Nigdy się na to nie zdobył i na tym, między innymi, polegał ich problem. Nie będzie go przy Katie, tak jak nie było go przy Natalie. Nagle odczuł tę stratę. Zrobiło mu się żal czasów dobrych i złych, dróg, którymi nie podążyli, i ich losów, tak lekkomyślnie rozdzielonych. Popatrzał na nią ze smutkiem.

- Chcesz, żebym cię okłamywał?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

Powoli wziął Annie w ramiona. Przytulił ją mocno, wiedząc, że obraz ten będzie nosił w sercu do końca życia.

- To chyba naprawdę koniec - wyszeptał w jej słodko pachnące włosy.

Po długiej chwili usłyszał jej odpowiedź, cicho wypowiedziane słówko, od którego przechodzą ciarki:

- Tak.

Pokój Natalie w akademiku zawałony był pamiątkami z Londynu. Na biurku leżały zdjęcia nowych przyjaciół, pomieszane z fotografiami rodzinnymi i stosami prac domowych. Na podwójnym łóżu, obramowanym metalową ramą, piętrzyła się kosztowna pościel od Laury Ashley, a w środku znajdowała się różowa poduszka, na której przed laty Annie wyhaftowała z czułością: TU ŚPI KSIĘŻNICZKA.

Natalie siedziała po turecku na łóżku, rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona. Wyglądała na zmartwioną i zdenerwowaną, co jest normalną reakcją nastolatki na odwiedzinach obojga rodziców w akademiku.

Annie pragnęła, by jakimś sposobem bez słów przekazać córce wiadomość o rozwodzie, by milcząco oswoić ją z tą smutną, dręczącą prawdą.

Blake stał w rogu pokoju. Wydawał się spokojny i swobodny - jak na sali sądowej - lecz po ciągłym spoglądaniu na zegarek Annie zorientowała się, że zżerają go nerwy.

Wiedziała, że ona musi to załatwić, dalsza zwłoka niczego nie da. Podeszła do łóżka i usiadła obok Natalie. Blake z wahaniem postąpił ku nim kilka kroków, po czym stanął na środku pokoju.

Natalie spojrzała na Annie.

- O co chodzi, mammo?

- Twój tata i ja mamy ci coś do powiedzenia. - Ujęła rękę Natalie, wpatrzyła się w szczupłe palce i cienki pierścionek z czerwonym oczkiem, który jej dała na szesnaste urodziny. Trudno jej było siedzieć spokojnie, z wyprostowanymi plecami. Głęboko zaczerpnęła oddechu i z desperacją rzuciła: - Twój tata i ja rozwodzimy się.

Natalie znieruchomiała.

- Nie jestem specjalnie zaskoczona - powiedziała miękko.

Annie posłyszała w jej słowach echo dziecięcego głosiku Natalie, a także głosu kobiety, którą się stawała. Pogłaskała córkę po włosach, rozczesując je palcami tak jak kiedyś, gdy Natalie była mała.

- Przykro mi, kochanie.

Gdy Natalie uniosła wzrok, w oczach miała łzy.

- Dobrze się czujesz, mammo?

Annie ogarnął nagły przyływ dumy z córki.

- Czuję się świetnie i nie chcę, żebyś czymkolwiek się martwiła. Nie omówiliśmy jeszcze szczegółów. Nie wiemy, gdzie każde z nas będzie mieszkać. Adresy, święta, wakacje wymagają jeszcze ustaleń. Ale wiem jedno. Zawsze będziemy rodziną - tyle że inną. Wygląda na to, że teraz będziesz miała dwa domy zamiast tylko jednego.

Natalie skinęła z wolna, po czym odwróciła się do ojca.

Blake podszedł bliżej i ukląkł przed Natalie. Przynajmniej raz nie wyglądał na prawnika biorącego trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę, lecz na przerażonego człowieka, którego łatwo zranić.

- Popełniłem parę błędów... - Spojrzał na Annie i uśmiechnął się do niej z wahaniem, po czym znowu zwrócił się do Natalie: - Wobec twojej mamy i ciebie. Przepraszam cię, słoneczko. - Dotknął jej policzka.

Łzy pociekły z oczu Natalie.

- Nie zadzwoniłeś do mnie, odkąd spadłam z drabinek w trzeciej klasie.

- Mnóstwa rzeczy nie powiedziałem - ani nie zrobiłem - przez te lata. Ale mam zamiar to nadrobić. Chcę, żebyśmy razem spędzali czas - jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- W maju będą wyświetlać *Upiór w Operze*. Może byśmy poszli?

- Chętnie - odparł z uśmiechem.

- Tym razem mówisz poważnie? Mam kupić dwa bilety?

- Mówię poważnie - potwierdził i powiedział to takim tonem, że Annie mu uwierzyła. Zresztą zawsze mu wierzyła.

Blake z wolna wstał i odsunął się.

- Nadal będziemy rodziną - zapewniała Annie, wsuwając Natalie niesforny kosmyk włosów za ucho. - Zawsze będziemy rodziną. - Spojrzała na Blake'a i uśmiechnęła się.

To była prawda. Blake zawsze będzie częścią niej, ucieleśnieniem jej młodości. Razem dorastali, zakochali się w sobie, stworzyli rodzinę i tej więzi nic nigdy nie wymaże. Kartka papieru i sąd nie mogą zabrać wszystkiego - jedynie tyle, ile oboje są skłonni oddać, a Annie chciała zatrzymać,

ile się da, całe dobro, zło i to, co znalazło się pośrodku. To kawał życia jej i Blake'a, a wspólnie spędzone lata ukształtowały ich takimi, jakimi są.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ujął ją i razem otoczyli Natalie, oplatając ją ramionami. Gdy była mała, nazywali to rodzinnym uściskiem, a Annie zastanawiała się, dlaczego zaprzestali tej zabawy.

Słyszała cichy, stłumiony płacz córki i wiedziała, że ten ból już zawsze będzie tkwić w jej sercu.

\* \* \*

To była wyprawa w głąb czasu. Jeszcze raz Annie i Blake spacerowali po miasteczku uniwersyteckim. Oczywiście teraz Annie miała czterdziestkę, tyleż życia za sobą co przed sobą... i pchała wózek.

- Dziwnie być znowu tutaj - zauważył Blake.

- Tak - odparła miękko.

Spędzili cały dzień z Natalie i w to jedno popołudnie czuli silniejszą więź rodzinną niż przez wiele poprzednich lat, lecz teraz przyszła pora, by się rozejść, każde w swoją stronę. Annie przyjechała tu cadillakiem, Blake przyleciał samolotem, a do miasteczka uniwersyteckiego przybył wynajętym samochodem.

Zatrzymali się przy wozie Annie, która pochyliła się i odpięła Katie od spacerówki.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Blake.

Annie przystanęła. To samo pytanie zadał jej, gdy Natalie wyjechała zeszłej wiosny. Wówczas była przerażona. Teraz, wiele miesięcy później, te same słowa otworzyły wrota, przez które Annie dostrzegła świat nowych możliwości.

- Nie mam pojęcia. W domu czeka na mnie góra roboty. Dwadzieścia lat trzeba posortować, uporządkować i popakować. Na pewno sprzedam

dom. Już nie jest... mój. - Wyprostowała się i spojrzała na Blake'a. - Chyba że ty go chcesz.

- Bez ciebie? Nie.

Annie rozejrzała się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Tu następowało rozwidlenie ich drogi życiowej, po tylu latach on pójdzie w jedną stronę, ona w drugą. Nie miała pojęcia, kiedy go znowu zobaczy. Pewnie w kancelarii adwokackiej, gdzie staną się banalną parą serdecznych wobec siebie ludzi, niegdyś związanych węzłem małżeńskim, którzy przychodzą teraz jako odrębne jednostki, by podpisać dokumenty...

Blake wpatrywał się w nią. Oczy miał zamglone smutkiem, toteż przysunęła się do niego.

- Co powiesz o mnie Katie? - zapytał cicho.

Annie usłyszała ból w jego głosie, co tak ją poruszyło, że pogłaskała go po policzku.

- Nie mam pojęcia. Moje dawne „ja” wymyśliłoby skomplikowaną opowieść, by nie ranić jej uczuć. - Roześmiała się. - Może powinnam jej powiedzieć, że jesteś szpiegiem, pracującym dla rządu, i kontaktowanie się z nami zagrażałoby twemu życiu. Ale teraz... sama nie wiem. Chyba za wcześnie łamać sobie nad tym głowę. Na pewno nie będę jej okłamywać.

Odwrócił głowę, unikając jej wzroku. Zastanawiała się, o czym myśli - czy o kłamstwie i ile go ono kosztowało przez te wszystkie lata? A może o córce, z którą mieszkał pod jednym dachem przez osiemnaście lat, lecz jej nie znał. Albo o drugiej, z którą przebywał krótko i nigdy jej nie pozna. Czy też rozważał swą przyszłość, czekające go dni, które spędzi samotnie, wiodąc ciche życie, w którym nie ma miejsca na śmiech dziecka. Ciekawa była, czy zdawał sobie sprawę, że gdy się zestarzeje, gdy posiwieją mu włosy, a oczy zasłoni katarakta, nie będzie miał wnuków, które

podskakiwałyby mu na kolanach, córka nie uklęknie w trawie koło jego fotela na kółkach i nie będzie wspominać dawnych psot. Jeśli nie zadba o to teraz, kiedy jeszcze może nadać kształt swojej przyszłości, dowie się, że niektórych dróg nie da się ponownie odnaleźć i że prawdziwa miłość wymaga czasu i wysiłku... oraz że w życiu spędzonym w blasku słońca nigdy nie pojawi się tęcza.

- Będiesz za mną tęskniła? - zapytał, znowu wracając do niej spojrzeniem.

Annie uśmiechnęła się smutno.

- Będę tęskniła za rodziną, którą byliśmy - już mnie żal ogarnia. I za tym, kim moglibyśmy być.

Oczy z wolna napełniły mu się łzami.

- Kocham cię, Annie.

- Zawsze będę miała w sercu chłopca, w którym się zakochałam, Blake. Zawsze...

Zbliżyła się ku niemu, unosząc się na palcach, by go pocałować. Taki pocałunek nie połączył ich od lat: długi, czuły, serdeczny. Nie było w nim żadnych ciągot seksualnych, za to krył w sobie wszystko, czym powinien być pocałunek jako wyraz czystego uczucia - a we wspólnym życiu tak bezwiednie go zaniechali. Nie pamiętała już, kiedy ich pocałunki stały się powierzchowne, pozbawione znaczenia. Może gdyby codziennie tak się całowali, nie byłiby tu teraz, nie staliby razem na środku miasteczka studenckiego Uniwersytetu Stanforda, żegnając związek, który miał trwać wiecznie.

Gdy Blake się odsunął, twarz miał zmęczoną i smutną.

- Chyba to wszystko fatalnie pochrzałem.

- Będziesz miał jeszcze jedną szansę, Blake. Tacy mężczyźni jak ty nie zostają sami. Jesteś przystojny i bogaty, kobiety będą ustawiały się w kolejce, by rozpocząć z tobą nowe życie, a jakie ono będzie, to zależy tylko od ciebie. Przesunął ręką po włosach i odwrócił wzrok.

- A niech to szlag, Annie. Oboje wiemy, że to też schrzanię.

Roześmiała się.

- Najprawdopodobniej.

Wpatrywali się w siebie przez całą długą minutę i w tym czasie Annie ujrzała łuk ich miłości: jej promienny, świetlany początek przed laty, a potem stopniowy rozpad i od lat samotne noce.

W końcu Blake spojrzał na zegarek.

- Muszę się zbierać. Mój samolot odlataje o szóstej. - Schylił się do spacerówki i po raz ostatni musnął Katie wargami. Gdy się wyprostował, rzucił Annie słaby uśmiech. - Ciężko mi...

Uścisnęła go po raz ostatni, po czym powoli się odsunęła.

- Życzę bezpiecznego lotu.

Skinął głową i odwrócił się od niej. Wsiadł do wynajętego samochodu i odjechał.

Odprowadzała go wzrokiem, póki wóz nie zniknął jej z oczu. Spodziewała się, że w takiej chwili przytłoczy ją smutek, lecz, o dziwo, wręcz tryskała optymizmem. W zeszłym tygodniu zrobiła coś, do czego, jak jej się wydawało, była zupełnie niezdolna: samotnie ruszyła w podróż. Tylko dla zabawy. Na cały dzień zostawiła Katie u Terri - wraz z dwoma arkuszami instrukcji i całą półką butelek z wyciśniętym pokarmem - a potem ruszyła prosto przed siebie. Zanim zorientowała się, dokąd jedzie, dotarła do granicy meksykańskiej. Błysk strachu omal nie zatrzymał jej na miejscu, gdy zdezelowany autobus stanął przy krawężniku, ale wzięła się w garść.



Wsiadła do autobusu wraz z innymi turystami i pojechała do Meksyku. Sama jedna.

Ten dzień był cudowny, czarowny. Spacerowała po obskurnych, zatłoczonych ulicach, jedząc po drodze churros, kupione na straganie. W porze obiadowej znalazła miejsce w restauracji, zamówiła nie wiadomo co i rozkoszowała się każdym kęsem, a gdy zaczął zapadać mrok i rozbłysły neony, zrozumiała, dlaczego zawsze obawiała się podróżować w pojedynkę. W jakiś sposób dokonywała się zmiana w człowieku - a czy w końcu nie o to chodziło? Wyruszyła do miejsca zupełnie odmiennego od wszystkich znanych jej okolic i stwierdziła, że potrafi się targować w obcym języku o głupią błyskotkę, a potem wsunęła ten drobiazdek blisko serca, gdyż stanowił jakąś część jej samej. Każde zaoszczędzone peso było symbolem drogi, jaką przebyła. A gdy w końcu wieczorem wróciła do domu, wlokąc zmęczone ciało po schodach, to tuląc się do swej małej wiercipięty w ogromnym łóżu, wiedziała, że w końcu, w wieku czterdziestu lat, stanęła u początku nowej drogi.

- Chodź, Katie Sarah. Idziemy.

Uniosła swą przysypiającą córkę i przypięła ją pasami do fotela na tyle cadillaca. Potem rzuciła nieporęczną torbę z pieluchami na siedzenie pasażera, wsiadła do samochodu i włączyła silnik. Zanim jeszcze ruszyła, nastawiła radio i znalazła ulubioną stację. Nuąc wraz z Mickiem Jaggerem, wydostała się na autostradę, gdzie przyspieszyła do stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

„Co teraz zrobisz?”

Spraw do załatwienia w południowej Kalifornii miała na całe miesiące. Musi zamknąć i sprzedać dom, zapakować wszystko, postanowić, gdzie

chce mieszkać i co zamierza robić. Nie musiała, oczywiście, zarabiać na utrzymanie, ale nie chciała znowu wpadać w pułapkę próżnia-czego życia.

Potrzebowała pracy.

Jeszcze raz pomyślała o księgarni w Mystic. Miała dość kapitału na rozkręcenie interesu - a w tej wiktoriańskiej kamienicy było mnóstwo miejsca na piętrze, gdzie mogłyby zamieszkać z Katie, tylko we dwie.

Mystic.

Nick. Izzy.

Miłość do nich odezwała się w niej tak ostro, jakby dotknęła krawędzi rozbitego szkła. Czasami, gdy budziła się w środku nocy, wyciągała rękę do Nicka - ale go przy niej nie było i o tej cichej godzinie tęskniła za nim tak, że aż czuła ból w piersi.

Wiedziała, że znowu do niego pojedzie, gdy uporządkuje swoje życie; w ciągu ostatnich kilku tygodni bez przerwy snuła takie plany.

Kupi sobie kombi i pojedzie autostradą 101 wzdłuż dzikich plaż, z włosami powiewającymi wokół twarzy. Puści rozrywkowe kawałki i pośpiewa sobie na cały głos, bo wreszcie może robić to, co jej się żywnie podoba. Przemierzy tę trasę, gdy słońce będzie wysoko na niebie, i nie zatrzyma się, choć gwiazdy zaczną błyszczeć w górze. Pojawi się bez uprzedzenia, z nadzieją, że nie przybyła za późno.

Wybierze się do niego wiosną, w tym czarownym tygodniu, gdy w powietrzu czuje się zmianę, a wszędzie unosi się woń świeżości i nowego życia.

Pewnego dnia pojawi się na ganku, ubrana w jasnożółty płaszcz od deszczu, który przykrywał większość jej twarzy. Minie cała minuta, nim sięgnie do dzwonka; wspomnienia opadną ją z taką siłą, że poczuje chęć, by

się w nich pławić. Katie w tym czasie będzie już raczkować, ubrana w mechaty niebieski kombinezon, który kupiły specjalnie na Mystic.

A gdy Nick otworzy drzwi, powie mu, że przez te długie miesiące, gdy byli osobno, miała wrażenie, że spada, coraz niżej i niżej, i nie było nikogo, kto by ją podtrzymał...

Szosa przed nią przechodziła w autostradę międzystanową. Dwa zielone znaki drogowe przecinały stalowo-szare niebo. Miała do wyboru: I-5 Południe i I-5 Północ.

Nie.

Po głowie chodzą jej jakieś szalone pomysły. Nie jest przygotowana. W torbie na pieluchy nie ma nawet szczoteczki do zębów. W Mystic nastąpiła zima, mroźna, szara i mokra, a Annie ubrana była w jedwabie...

Na południu leżało Los Angeles - i piękny biały dom nad morzem, a w nim zleżały resztki jej dawnego życia.

Na północy znajdowało się Mystic - a w Mystic byli mężczyzna i dziecko, którzy ją kochali. Kiedyś miłość uznawała za coś naturalnego. Nigdy więcej. Miłość to słońce, księżyc i gwiazdy w świecie, który z natury swej jest zimny i ciemny.

Nick o tym wiedział. Pamiętała jego pożegnalne słowa: „Mylisz się, Annie. Miłość ma znaczenie. Może to jedyna rzecz, która się liczy.

Zerknęła w lusterku wstecznym na swoją córkę, która prawie przysnęła.

- Posłuchaj, Kathleen Sarah. Udzielę ci pierwszej lekcji z książki żywota Annalise Bourne Colwater. Może nie wiem wszystkiego, ale mam już czterdziestkę i czegoś tam się nauczyłam, więc słuchaj uważnie. Czasami trzeba robić wszystko jak należy i postępować zgodnie z zasadami. Musisz poczekać, aż wszystkie twoje kaczątka ustawią się w rzędzie, zanim

się ruszysz. - Uśmiechnęła się. - A kiedy indziej... tak jak teraz... powiedz sobie: „A, do diabła” i chwytaj życie na gorąco.

Śmiejąc się w głos, Annie włączyła kierunkowskaz, zmieniła pasy...

I ruszyła na północ.

RS